

Gert Godeng
Tom 10.
CZERWONA STREFA

Przełożyła Mirosława Zimoń
Autor: Gert Nygardshaug (Gert Godeng)
Tytuł oryginału: Rodsonen
Elipsa Sp. z o.o.

Parę wiosennych dni później
7 kwietnia godzina 15:00

Komisarz Centrali Policji Kryminalnej w Oslo, Arthur Krondal, został uprzejmie poprowadzony przez jedną z pielęgniarek przez korytarze i szklane drzwi aż na oddział intensywnej opieki medycznej. Wyczuł słaby zapach * czy to eter? Nafta? Szpital, pomyślał. Stał przed uchylonymi drzwiami, a pielęgniarka skinęła lekko głową i zniknęła w korytarzu.

Nie podobało mu się to.

Szef, KRIPOS poczuł, że żołądek jeszcze bardziej mu się ścisnął, to uczucie zagościło tam na dobre zaledwie dwa dni temu i nie chciało ustąpić. Jego twarz była szara, a brak snu wycisnął na niej swe piętno i nie czynił jej wcale piękniejszą. Pod zaczerwienionymi oczyma pojawiły się duże ciemne worki. Odwrócił się ku uchylonym drzwiom, otworzył je na całą szerokość i wszedł do środka. Zapach czegoś, co przypominało naftę, stał się o wiele bardziej intensywny. Na parę sekund musiał zamknąć oczy w obronie przed migotaniem stroboskopowych zielonkawych światełek aparatów ustawionych wzdłuż jednej ze ścian i ekranów zamontowanych na przesuwanych stolikach wokół łóżka, które stało na samym środku pokoju.

Słaby szum i jakieś tykanie.

Przytłumione światło, niemal półmrok.

Tylko te zielone migoczące światełka.

Wzmocnione odbiciami od pokrytej białymi płytkami podłogi.

Odczuł spory dyskomfort.

Podszedł ku łóżku.

Pacjent leżał pod zielonym prześcieradłem. Klatka piersiowa, gardło i głowa nie były przykryte. Niezliczona ilość elektrod i igieł łączyła jego ciało z aparatami, których Krondal zdawał się nie dostrzegać. Skoncentrował się wyłącznie na jednym punkcie, na twarzy mężczyzny, którą w połowie zasłaniała maseczka tlenowa.

* Fredricu Drum * szepnął.

Oczy mężczyzny były zamknięte. Żaden mięsień nawet nie drgnął. Żadnego dostrzegalnego bicia serca, żadnego pulsowania aorty. Jego twarz była czysta, jasna, spokojna, niemal niematerialna i nierzeczywista. W zielonym świetle przypominał martwą woskową figurę. Komisarz KRIPOS podniósł rękę i ostrożnie zbliżył ją do czoła mężczyzny, zatrzymując palce w odległości zaledwie paru centymetrów od jego skóry. Stał tak do chwili, kiedy zauważył cień przy kontrolce aparatu u wezłowia łóżka. Kobieta wstała z krzesła i podeszła do niego. Pielęgniarka nie miała wieku ani twarzy. Krondal pokazał jej swą legitymację, a ona skinęła głową.

* Doktor Sachmud może nadejść w każdej chwili * powiedziała

i zniknęła tam, skąd przyszła. Była teraz nieruchomym konturem, którego istnienie od czasu do czasu wyjawiało tylko zielone migotanie światełek.

Arthur Krondal stał bez ruchu.

Słuchał swego oddechu.

Zastygł tak do chwili, kiedy ktoś położył dłoń na jego ramieniu. Zadrżał i spojrzął na osobę, która zupełnie bezgłośnie weszła do pokoju.

* Domyślam się, że pan komisarz?

* Tak, to ja. * Zauważył, że jego głos jest zachrypły. Chrząknął dwa razy.

Doktor był niski, prawie o głowę niższy niż on sam, i przy kości. Na czubku jego głowy lśniła łysina, a okrągłą twarz niemal całkowicie przesłaniały ogromne okulary w grubych oprawkach. Przypomina kogoś między postacią z serii rysunkowej * Elmerem Fuddem * a artystą rewiowym Dagiem Rolandem, pomyślał Krondal. Profesor doktor Ernst Sachmuld. Przypomniał sobie rekomendacje, które wczoraj przez cały dzień leżały na jego biurku i które bez większej radości przeczytał dziesiątki razy. Jeden z czołowych neurologów i psychiatrów w Europie, z wieloma stopniami naukowymi w dziedzinie badań mózgu i świadomości, specjalista z zakresu systemu limbicznego, zwojów mózgowych podstawy mózgu, corpus stratum, cortex cerebri, i jakby tego było mało, także hipokampu, pojęć i słów, które Krondalowi absolutnie nic nie mówiły, ale zmusił się do wyszukania choć jednego z nich w leksykonie. Wybór padł na hipokamp, który to termin okazał się oznaczać grupę komórek zlokalizowanych z tyłu płatu skroniowego mózgu, mających kluczowe znaczenie dla pamięci. Ernst Sachmuld był najlepszy.

Jeśli ktokolwiek mógł coś zrobić, to tylko Sachmuld, uważał Krondal, i uzyskał aprobatę ordynatora szpitala. Teraz profesor stał w panującym w pomieszczeniu zielonym świetle i kiwał głową, przeglądając stos papierów, które rozkładał obok wciąż leżącego nieruchomo pacjenta.

* Śpiączka. * Sachmuld kiwnął głową do Krondala. * Bardzo szczególny przypadek, który graniczy z anoksją, a który nie został jednak wywołany brakiem tlenu.

* Może wkrótce się obudzi, wróci do życia? * Policjant znów chrząknął.

* Obudzi! * Oczy ukryte za wielkimi okularami błysnęły. * Możemy go obudzić w każdej chwili, ale wie pan, co się wówczas stanie?

Krondal powoli pokręcił głową.

* Od razu popadnie w stan potraumatycznej epilepsji, po której zapadnie w znacznie głębszą i poważniejszą śpiączkę. Czy nie widzi pan krzywych na ekranie?

Krondal posłusznie spojrzął na zielony ekran i skinął głową. Z trudem zdławił przekleństwo, jakimi miał ochotę obrzucić doktora, który myślał, że wszyscy ludzie wokół niego są zaznajomieni z funkcjonowaniem skom-

plikowanych aparatów pokazujących aktywność ludzkiego mózgu. Odsunął się o dwa metry od łóżka i zamknął oczy. Zaprzagnął znaleźć się w zupełnie innym miejscu i by te dwa ostatnie dni zostały wymazane z jego pamięci. To nie było jednak możliwe.

* Więc to pan jest odpowiedzialny za to, że pacjent znalazł się w takim stanie, tak? *

Psychiatra rozłożył wszystkie swoje papiery na łóżku i zwrócił się teraz do szefa KRIPOS.

* W pewien sposób tak.

* Co się stało? Jak do tego doszło?

* Wiem bardzo niewiele. Został tutaj przewieziony wczoraj rano.

* Tak też przeczytałem. Tu jest tak napisane. * Sachmuld wskazał zaokrąglonym palcem jedną z teczek, która leżała mniej więcej w miejscu, w którym musiał znajdować się najczulszy z organów Druma. * Może mi pan powiedzieć wszystko, co wie?

Krondal powiedział wszystko, co wiedział. Trwało to około dziesięć minut. Słuchając, doktor poprowadził policjanta do ekranu komputera, na którym od lewej do prawej przebiegały dwie krzywe, a między nimi znajdowało się zielone pole.

* To tutaj * powiedział, kiedy Krondal skończył mówić, i wskazał jedną z migoczących na ekranie krzywych * to Fredric Drum. Młody mężczyzna po trzydziestce. To jego aksonalny poziom świadomości właśnie w tej chwili. Czy może mi pan, na Boga, powiedzieć, co to jest?! * Pokazał palcem drugą krzywą, która znajdowała się nad pierwszą.

* Aaa * wyrwało się szefowi KRIPOS, który intensywnie wpatrywał się w ekran, oczywiście niczego nie rozumiejąc.

* No tak. Widzę, że te krzywe niewiele panu mówią. Dla mnie jednak to, co pokazuje ten ekran, jest bardzo ważne, i powtarzam: bardzo mnie to martwi.

Zdecydowanie wyprowadził Krondala z pokoju na korytarz, w stronę miejsc do siedzenia na lewo od drzwi.

* Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Studiowałem trau*matyczną śpiączkę tego pacjenta przez parę godzin przed pana przybyciem. To dla mnie bardzo niepokojące. Dlatego musi mi pan powiedzieć wszystko, co wie o tym Fredricu Drum, jego rodzinie, pracy, kolegach, znajomych i tak dalej. Zrozumiano?

Krondal usiadł, a doktor wyjął z kieszeni notes i długopis. Co wiedział o Fredricu Drum?

Niewiele. Zmrużył zmęczone oczy i próbował znaleźć dobry początek dla tej odrobiny, którą miał do przekazania. Kiedy skończył, doktor powoli skinął głową, polerując okulary.

* To niewiele, Gravdal * powiedział.

* Krondal * poprawił go.

* Przepraszam, Krondal, tak. Biorąc pod uwagę mizerną ilość informacji, które mam o pacjencie, trudno będzie rozpocząć adekwatne leczenie. Najbliższe dni dadzą nam odpowiedź na pytanie, czy jest nadzieja. *Znow włożył okulary.

* Ale... * Krondal znowu chrząknął. * Nadzieja? On umrze? Co mu, do diabła, dolega?

Dlaczego jest w takim stanie?

* Pan to powinien wiedzieć, ale najwyraźniej nie wie. * Sachmuld podniósł głos, akcentując każde słowo.

Krondal nie odpowiedział, a tylko odwrócił głowę.

* To, co najprawdopodobniej się stało * głos doktora stał się łagodniejszy * to załamanie, śpiączka wywołana przeciążeniem aksonów. W mózgu mamy coś, co nazywamy aksonami, wie pan, to takie wypustki łączące komórki nerwowe z mózgiem. Każda komórka nerwowa ma tylko jeden akson. W przypadku fizycznego uszkodzenia mózgu, w stanach śpiączki, aksony są rozerwane, zniszczone. Ten pacjent nie został narażony na żadne uszkodzenia fizyczne, a mimo to jego aksony nie funkcjonują. Są przeciążone i dlatego blokują świadomość. Rozumie pan?

Krondal przytaknął.

* Gdy tkanka mózgowa jest zagrożona urazem, to nie wiąże się to jedynie z mechanicznym uszkodzeniem, ale jak pokazały ostatnie badania, mogą także zaistnieć biochemiczne oddziaływania, mające konsekwencje dla funkcjonowania mózgu. Badania wykazały, że kiedy jakaś komórka zagrożona jest zniszczeniem, w tkance wydzielane są tak zwane aminokwasy pobudzające. Jeśli uwalniane są w zbyt wielkich ilościach, to są trujące i w najgorszym razie mogą zniszczyć sąsiednie komórki. Jeśli obudzimy tego pacjenta, właśnie to może się stać. Dlatego nakazałem tutajszemu personelowi utrzymywać pacjenta w kontrolowanej śpiączce aż do chwili, dopóki nie znajdę przyczyny takiego stanu rzeczy. * Doktor Sachmuld wstał z krzesła. * I dopóki nie dowiem się, czym jest ta całkowicie niepożądana linia na ekranie, która wcale nie powinna była się pojawić.

* No cóż, chyba niewiele więcej mogę... * Krondal wyciągnął do doktora rękę.

* Ależ może pan * przerwał mu Sachmuld. * Wie pan coś o tym przedmiocie?

Doktor wyjął z kieszeni gładki, lśniący przedmiot, rodzaj gwiazdy, czte*ry*pięć centymetrów średnicy i dość gruby.

* Nie. * Krondal zamrugął.

* Pacjent miał to w lewej kieszeni spodni, gdy go tutaj przywieziono. To idealny pentagram, pięcioramienna gwiazda z kryształu. * Włożył przedmiot z powrotem do kieszeni. * Nowy raport może pan otrzymać jutro przed południem. Może być o jedenastej?

Komisarz KRIPOS, Arthur Krondal, skinął głową. Jego chód stał się ciężki, jakby ciągnął za sobą swoje myśli upakowane w niewidzialnym worku. Znalazł drogę do wyjścia z kompleksu szpitalnego i wyszedł na zewnątrz, gdzie pod popielatym niebem świeciło blade wiosenne słońce.

8 kwietnia godzina 11:05

Doktor siedział przy jednym z ekranów i bębnił w niewidzialną klawiaturę, gdy Krondal wszedł do pokoju. Sceneria była dokładnie taka sama, jak poprzedniego dnia. Zerknął na mężczyznę w łóżku i głośno chrząknął, aby zwrócić uwagę Sachmulda.

* To, do jasnej cholery, zupełnie niepojęte! * Wybuch psychiatry nie był głośny, ale za to żywiołowy, i dobiegł uszu szefa KRIPOS z pełną siłą.

Krondal aż odskoczył w tył. Czuł się niekomfortowo, spotykając się z ludźmi będącymi autorytetami w dziedzinach, w których on nie błyszczał wiedzą.

* Brak świadomości czy śpiączka, rozumie pan, panie Grav... eee... Krondal, to niejednoznaczny termin. * Wstał i wyprowadził Krondala na korytarz, w to samo, co poprzedniego dnia miejsce. * To nie jest tak, że pacjent jest lub nie jest w śpiączce, ale mówi się o różnych stopniach utraty świadomości, mierzonych według tak zwanej Skali Glasgow, opracowanej przez oddział neurochirurgiczny szpitala uniwersyteckiego w Glasgow. Nasz pacjent, ten Fredric Drum, znajduje się najniżej w tej skali, w stanie, który zwykle się nazywa czerwona strefa, i to dobrze. Chcemy, aby teraz tak właśnie było, ale niech mnie szlag, wtedy ta krzywa powinna wyglądać zupełnie inaczej!

* Tak? * przerwał mu Krondal, który także tej nocy niewiele spał.

* Czy przejawiał jakieś nietypowe formy zachowania? Miał jakąś manię prześladowczą lub wykazywał symptomy rozdwojenia jaźni? Jak się panu zdaje?

* Nic mi o tym nie wiadomo. Zachowywał się normalnie. Był wspaniałym kucharzem o rozwiniętym ponad przeciętność zmysłem smaku i zapachu. W związku z tym wygrał parę konkursów dla kiperów... * Zamilkł.

* Naprawdę? * Doktor od razu się zainteresował. * Może pan powiedzieć o tym coś więcej?

Krondal dość krótko opowiedział to, co wiedział o renomie Fredrica jako smakosza win, i o tym, że był niepokonany w kwestii odgadywania typu wina po jego smaku.

* Całkiem nieźle. Wracając jednak do obecnego stanu pacjenta * kontynuował doktor * to jeśli miałbym interpretować krzywe dosłownie, do czego w zasadzie jestem zmuszony, to pokazują one, że możemy tutaj mówić o jakiejś dziwnej dualności. Tak jakby dwa rozumy, dwie świadomości znajdowały się w jednym mózgu.

* Czy to możliwe? * Komisarz KRIPOS przetarł bolące oczy.

* Możliwe? Cholera, jasne, że tak, człowieku. * Psychiatra poirytowany machnął ręką. * Sam miałem przyjemność, że tak to określe, obserwować parę takich przypadków. Byli to jednak pacjenci w ostatnim stadium, tacy, których minuty lub sekundy dzieliły od śmierci. W takich wypadkach

rzeczywiście skan mózgu i krzywe świadomości wykazują pluralizm lub, jak to nazywamy, wiele terminalnych świadomości. Niestety nigdy nie poznamy odpowiedzi na pytanie, co to oznacza, bo po chwili pacjent umiera.

* Ale... * Krondal starał się zrozumieć. * Czy to znaczy, że on umiera?

* Nie. On wykazuje normalne funkcje życiowe i jest daleki od śmierci. Śpiączka, w której się znajduje, jest i będzie podtrzymywana farmako*logicznie tak długo, jak zechcemy. Muszę to powtarzać? * Psychiatra znów z irytacją machnął ręką. * Jeśli jednak teraz go wybudzimy, to ryzykujemy, że wystąpi hiperaktywny stres i potraumatyczna epilepsja, a skutki tego chyba już pan zna, jeśli pan pamięta, co panu wczoraj opowiedziałem?

Krondal zamknął oczy, próbując zrozumieć. Powoli skinął głową. Zmęczenie sprawiało, że wszelkie próby zdobycia się na rozsądne myślenie ginęły w szarej mgle.

Doktor zdjął okulary i zmrużył oczy, patrząc na policjanta.

* Wydaje mi się * powiedział z wolna * że powinienem wyjaśnić panu pewne rzeczy zupełnie od podstaw. Chodzi o to, że bodźce, które otrzymujemy, na przykład wrażenia wzrokowe, przechodzą normalnie od oczu poprzez wzgórze, taką jakby naszą stację przesyłową, do kory mózgu, gdzie mówiąc ogólnie, rodzi się świadomość. Stamtąd wiadomość zostaje wysłana do hipokampa, który jest źródłem tego, co nazywamy pamięcią. Jeśli jednak zaistnieją silne sygnały zagrożenia * coś, na co najprawdopodobniej ten pacjent został narażony * to wiadomość omija korę mózgu. Obiera jakby skrót i przebiega ze wzgórza od razu do miejsca zwanego ciałem migdałowatym, amygdalą, małego ośrodka w mózgu, w którym zachowywana jest pamięć o przerażających doświadczeniach. Kiedy ciało migdałowate rejestruje coś strasznego, inicjuje reakcję na strach. Jeśli będzie ona silna, ryzykujemy utratę przytomności, a w najgorszym razie śpiączkę. Coś, czego mamy tutaj przykład, Krondal. Rozumie pan?

Komisarz mógł tylko przytaknąć, wierząc się na krzesła. Czy ten geniusz, bóg tej dziedziny, nie może pojąć, że jedyną rzeczą, którą chce wiedzieć, jest to, czy Fredric Drum obudzi się z tego stanu i wróci do normalności? Chce wiedzieć, co się dzieje!

* Czy pan coś przede mną ukrywa? * Doktor popatrzył na Krondala zmrużonymi oczyma. * Może ukrywa pan coś, co mogłoby przysporzyć panu problemów w pracy, co?

* Absolutnie nie! * Krondal poczuł, że wzbiera w nim irytacja.

* To dobrze. Bo jeśli pan coś zatai, to nie mogę na dobre zacząć leczenia tego pacjenta, bo nie wiem, jakie skutki będą miały moje działania.

Wstał z krzesła.

Krondal nic nie odpowiedział, tylko hardo popatrzył na doktora.

* I co teraz? * zapytał.

* Rozpocznę pierwszą próbę leczenia, co oznacza spore ryzyko. Zbyt wiele niewiadomych.

Krondal skinął głową i wstał.

Nie miał tu już nic do roboty.

Kiedy opuścił teren szpitala, postanowił, że wróci pieszo do Helsfyr i kwatery KRIPOS.

Może znów odnajdzie wiosnę, która zagościła już chyba w Oslo na dobre.

8 kwietnia, godzina 17:10

Doktor Ernst Sachmuld chodził po pokoju w tę i z powrotem, od czasu do czasu zerkając na pacjenta, który leżał dokładnie tak samo, jak przez parę ostatnich dób. Dyżurna pielęgniarka siedziała, pilnując wskazań aparatury. Przy łóżku Fredrica Drum pojawił się jeszcze jeden stolik, na którym teraz piętrzyły się papiery, książki i zeszyty, a także taśma miernicza i suwmiarka. Na tym samym stole leżała kryształowa pięcioramienna gwiazda, która lśniła dziwnym blaskiem w zielonkawym świetle ekranu.

To nie może być przypadek.

Na czym jednak polega związek?

Gdzie znaleźć wytłumaczenie?

Doktor przysunął krzesło do stołu i usiadł. Wyjął zapiski, które robił przez całe popołudnie, i raz jeszcze je przejrzał.

Wszystko się zgadzało.

To zdumiewające.

Zamknął oczy i przemyślał wszystko od nowa.

To właśnie kryształowa gwiazda uruchomiła w psychiatrze ciąg skojarzeń wraz z tym, co szef policji kryminalnej opowiedział o niesamowitej umiejętności Fredrica Drum polegającej na rozróżnianiu smaków i zapachów. Mistrz kuchni, właściciel znakomitej restauracji „Kasserollen”, najlepszego miejsca do jedzenia w Oslo, z gwiazdkami w przewodniku

Mi*chelina, niepokonany w rozpoznawaniu win, a poza tym mający hobby i zainteresowania, które sprawiły, że stał się autorytetem w dziedzinie znajomości pierwotnych kultur. Fredric Drum był uznanym ekspertem w odczytywaniu i tłumaczeniu języków pierwotnych i miał wręcz niespotykany zmysł logiczno*lingwistyczny.

I ten mężczyzna, pomyślał doktor Ernst Sachmuld, przez chwilę spoglądając na woskową twarz pacjenta, ten mężczyzna jest w posiadaniu kryształowej gwiazdy będącej idealnym pentagramem, ale nie tylko penta*gramem. Gwiazda miała wymiary, które co do milimetra spełniały warunki złotego podziału czy niepojętej matematycznej ϕ , 1,618...

Wstał.

Wziął taśmę i suwmiarkę.

Odsunął prześcieradło z ciała Fredrica Drum.

Nagie ciało mężczyzny było proporcjonalne i nie nosiło oznak jakichś fizycznych uszkodzeń, poza trzema przypominającymi blizny plamami na piersiach. Psychiatra kiwnął sam do siebie głową, a potem z możliwie największą dokładnością zmierzył odległość od grzebienia kości udowej do pięty, a potem odległość od grzebienia tejże kości do środka stawu kolanowego, i wreszcie od kolana do pięty. Zanotował wyniki i znów skinął głową. Następnie dokonał pomiarów na prawej ręce pacjenta. Mierzył, notował i dzielił. Wiele czasu poświęcił różnym częściom twarzy. Na samym końcu zmierzył odległość dzielącą czubek głowy od pięty, a potem od pępka, i wreszcie pępek od pięt.

Wszystko zgadzało się co do milimetra.

Złoty podział.

Fredric Drum był wspaniałym przykładem złotego podziału.

On był złotym podziałem.

Doktor wziął notatki i podszedł do monitora, który pokazywał krzywą świadomości pacjenta, a mówiąc ściślej, niesamowite dwie krzywe. Kim, do licha, jest ten Fredric Drum? Długo wpatrywał się w ekran, kręcąc głową.

* To szalone * powiedział do siebie. * Całkowicie niemożliwe. Muszę wiedzieć wszystko o Fredricu Drum. Absolutnie wszystko.

10 kwietnia 11:05

Nie było najmniejszych wątpliwości, że nastąpiła wiosna. Panujące od kilku tygodni ciepło sprawiło, że na drzewach i innych roślinach pojawiły się pąki. Wszystko zakwitnie chyba szybciej niż zwykle. Czy w tym roku w ogóle była jakaś zima? Arthur Krondal zastanawiał się nad tym, gdy znów przekroczył bramę szpitala i ruszył korytarzami. W każdym bądź razie wiosna przychodziła coraz wcześniej. Tego dnia myśli komisarza policji kryminalnej były o wiele jaśniejsze, bo po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł się w miarę wypoczęty. Czy miało to związek z brązową kopertą, którą zaledwie jakiś pół godziny temu ponownie zakleił i która teraz leżała na jego biurku gotowa do wysyłki? Możliwe, pomyślał, tak musiało być. Niełatwo było napisać ten list. Skończył dopiero sześćdziesiąt lat, ale gdyby ktoś wpadł na to, by winą za wszystko obarczyć jego, to w ten sposób uprzedzi krytyków i oszczędzi sobie długiego procesu, do którego, jak sądził, może dojść, choć pewne osoby z Ministerstwa Spraw Zagranicznych znalazły się w o wiele gorszej sytuacji, ale czy to tchórzostwo? Znów to "może". Zatrzymał się przed drzwiami do sali, w której leżał Fredric Drum. Po co w ogóle tu przyszedł? Nie mógł przecież nic zrobić. Dlaczego wciąż prosił psychiatrę o te spotkania? Telefoniczny raport z pewnością by wystarczył.

* Autorytet i odpowiedzialność, Arthurze * powiedział sam do siebie. * Musisz pokazać swój autorytet i nie zachowywać się jak imbecyl

w obliczu tragedii, która się wydarzyła. Przynajmniej tyle możesz teraz zrobić!

Otworzył drzwi do pokoju.

Zapach szpitala nie dawał mu się już we znaki.

Psychiatra stał przy łóżku.

Ledwie widocznie skinął głową na widok Krondala.

* Jest jakiś postęp? * Głos szefa policji kryminalnej był mocny i stanowczy.

* Dla samego pacjenta nie. * Krondal znów został grzecznie wyprowadzony z sali na stałe miejsce w korytarzu.

* A jak długo mają państwo zamiar utrzymywać go w stanie, w którym się obecnie znajduje?

* Krondal stanowczo wpatrywał się w doktora.

* Tak długo, jak będę tego potrzebował. Albo umrze, jak go wybu*dzimy, albo się obudzi, a coś umrze. * Ton głosu doktora wydawał się obojętny.

* Co takiego? * Krondal zadrżał. * Myślałem, że...

* To, co się panu wydaje, jeśli chodzi o stan pacjenta, nic nie znaczy. Mówię to nie dlatego, że chcę być niegrzeczny, Krondal, ale dlatego, że w tej sprawie także to, co ja uważam, bardzo niewiele znaczy. Problemem jest to, co uważa i w co wierzy Fredric Drum.

Krondal pokręcił głową i zauważył, że jego autorytet znów gdzieś zniknął.

* W porządku. * Psychiatra uśmiechnął się przyjaźnie. * Zaraz zdam panu szybki raport z tego, czym się zajmowałem od czasu naszego ostatniego spotkania. To bardzo proste sprawy, choć kosztowały mnie wiele czasu i trochę wysiłku. Ostatnią dobę spędziłem głównie poza szpitalem. Poświęciłem czas na to, by dowiedzieć się czegoś o pochodzeniu pacjenta, jego przeszłości i rodzinie. Nie ma już w zasadzie żadnych żyjących krewnych. Nie ma rodzeństwa, a jego rodzice zmarli parę lat temu. Matka, Re*becca Drum, na raka, a ojciec, piekarz w Grimstad, na wylew. Nie znaczy to jednak, że nie mogłem poznać żadnych faktów z jego przeszłości. Poza tym rozmawiałem z jego współnikiem, współwłaścicielem „Kasserollen”, niejakim Torbjornem Tinderdalem, i paroma innymi osobami, które go znają.

* Tak?

* Zna pan, nawiasem mówiąc, tego człowieka? * Psychiatra wyjął z kieszeni fartucha starą i wymiętą czarno*białą fotografię i podał ją szefowi policji.

Przedstawiała młodego mężczyznę.

Przystojnego, o czystych i łagodnych rysach.

Na samym dole widniał napis: "Fredric Drum, maj 1909".

* Ale... Nie, to chyba nie... * Arthur Krondal przyglądał się zdjęciu.

* Nie, to nie nasz pacjent. Oczywiście, że nie. * Sachmuld zmrzył oczy. * Podobieństwo jest jednak uderzające, nieprawdaż? To pradziadek Fredrica Drum, który też nazywał się Fredric Drum, rozumie pan?

* Ach tak. * Szef policji oddał doktorowi zdjęcie. * I co w związku z tym? Jego rodzina ma tu chyba poboczne znaczenie?

* Ten pradziadek był poszukiwaczem przygód. Poza tym, że był świetnym kucharzem, podróżował dokoła świata, zwiedzając najdziwniejsze miejsca. W 1921 roku otworzył w Paryżu restaurację, którą nazwał „La Casserolle”. Najprawdopodobniej spłodził wiele dzieci z wieloma kobietami, ale w tajemniczy sposób zniknął z kart historii. Podobno zaginał w grocie na Nowej Gwinei.

Krondal rozdziawił usta.

Wpatrywał się w doktora.

Grota na Nowej Gwinei.

Arthur Krondal poczuł, że ma gęsią skórkę. Zrobiło mu się zimno.

* Co pan wie o złotym podziale, Krondal? * Sachmuld mówił cicho.

* Złotym podziale? * Mocno pokręcił głową, ale nie potrafił pozbyć się uczucia chłodu. * Złoty podział to jakaś zasada w matematyce, jakiś wzór, czyż nie?

Psychiatra skinął głową.

* Złoty podział * powiedział * opiera się na ulubionej liczbie wszechświata. Fi, 1,618... z niezliczoną ilością miejsc po przecinku. Starożytni matematycy doznali szoku, kiedy pojęli szczególne właściwości fi. Obecnie wszyscy od biologów po astronomów zdumiewają się

tym, że ϕ pojawia się w najmniej oczekiwanych miejscach. Także w neurologii i badaniach mózgu natykamy się na tę wartość, stosunek, który daje nam złoty podział. Mówiąc ogólnie, anatomia człowieka jest zbudowana wokół tej wielkości. Faktycznie wydaje się, iż cała natura w mniejszym lub większym stopniu opiera się na ϕ . Jeśliby się przyjrzeć jakiejś przypadkowej roślinie w ogrodzie, ϕ z dużym prawdopodobieństwem będzie odzwierciedlona w budowie tej rośliny, jej liściach czy kwiatach. Płatki wokół łodygi róży układają się na przykład niczym stopnie spiralnych schodów, a kąt pomiędzy dwoma płatkami w stosunku do całego okręgu jest równy ϕ . Złoty podział, panie policjancie, występuje we wszystkim, od muszli ślimaka począwszy, a na galaktyce skończywszy, w wahaniach na giełdzie papierów wartościowych i w odległości gniazd nasiennych w jabłku. Kryształły są najbardziej stabilne w zachowywaniu tej właśnie formy. Liczba fenomenów jest nieskończona, ale nie będę pana zanudzał wymienianiem ich.

Doktor Sachmuld zdjął okulary.

* Nic nie jest doskonałe, panie komisarzu * kontynuował. * Mimo że złoty podział występuje wszędzie i cały czas oraz natura, byt, a nawet myśli i świadomość zabiegają, by być najbliżej niego, to zawsze istnieją małe rozbieżności. Może brakować paru milimetrów, jakiś kąt może być troszkę za duży czy półkula mózgu może ważyć o parę gramów za dużo w stosunku do hipokampa. Ja i paru moich kolegów od lat prowadzimy empiryczne badania z zakresu stosunku anatomii człowieka do złotego podziału, by w ten sposób wyprowadzić teorię homeostazy i równowagi umysłu. Póki co może się wydawać, że im bliżej anatomia człowieka znajduje się złotego podziału, tym większa stabilność i harmonia umysłu i homeostazy.

* Tak, rozumiem. * Krondal zaczynał się niecierpliwić. * A teraz, gdy zaznajomił się pan już z faktami z przeszłości Fredrica Drum, informacjami o jego rodzinie i pracy, zainteresowaniami i hobby, a poza tym zmierzył pan jego ciało pod kątem złotego podziału, to chyba jest pan gotów do rozpoczęcia leczenia, które sprawi, że odzyska świadomość, prawda?

Sachmuld spojrział na niego surowo.

* Czy zdaje pan sobie sprawę z jednej rzeczy, Krondal? Osoba tu leżąca, ten cały Fredric Drum, spełnia wszystkie zależności występujące w złotym podziale i tym samym jest reprezentantem niemal doskonałej jego formy?

* To brzmi wspaniale. * Krondal wstał.

Psychiatra nie dosłyszał sarkazmu w jego głosie. Zmrużył oczy, nagle wstał i pociągnął za sobą policjanta do sali, aż do monitora, który pokazywał podwójną krzywą.

* Ta krzywa wyżej jest czymś zupełnie niesamowitym. Nie można jej wyjaśnić. Psuje niemal perfekcyjną homeostazę Fredrica Drum. Musi zostać usunięta, rozumie pan? * W głosie Sachmulda dało się usłyszeć jakieś ziarnko niepewności.

* Proszę ją zatem usunąć. * Krondal nie miał innego pomysłu na komentarz.

* Nie mogę. * Głos psychiatry był tak cichy, jakby mówił sam do siebie. * Nie mogę, nie dowiedziałem się, co ona oznacza.

* No to jesteśmy w punkcie wyjścia. * Krondal zerknął na zegarek.

Doktor Sachmuld nic nie odpowiedział. Odwrócił się do niego plecami i podszedł do pacjenta. Usiadł i wziął do rąk notatki, które leżały na stole. Czytał, mamrocząc coś, czego Krondal nie rozumiał.

Szef policji kryminalnej opuścił pokój możliwie jak najbardziej niezauważony.

Za bramą szpitala nie poczuł wiosennego ciepła; tylko to przeraźliwe zimno, które ogarnęło go przed paroma minutami, rozeszło się po jego ciele i przyprawiło go o drgawki.

Zdjęcie.

Pradziadek Fredrica Drum.

Zaginął w grocie na Nowej Gwinei.

10 kwietnia godzina 23:11

Ernst Sachmudl po raz ostatni tego wieczoru wypolerował okulary i zaczął porządkować notatki i książki na stoliku przy łóżku, gdy zerknął na pacjenta i szerzej otworzył oczy.

Małe, spazmatyczne drgania lewego policzka Fredrica Drum.

Mały palec lewej ręki i palec serdeczny zginały się. Drżały.

Usta poruszały się delikatnie.

Krzyknął coś do pielęgniarza dyżurnego i obiegnął łóżko, zmierzając ku aparaturze; od razu zauważył, iż encefalogram pokazuje niewielkie zmiany.

* Wzrost temperatury ciała * powiedział pielęgniarz, młody mężczyzna. * 37,8 stopnia.

* Jasna cholera, co to? Ciśnienie krwi?

* Spada.

* Nie może!

Psychiatra położył dłoń na czole Fredrica Drum i podniósł jedną powiekę palcem wskazującym, ale źrenice nie poruszały się.

* Prawa półkula mózgu przejawia zbyt dużą aktywność. * Głos młodego pielęgniarza był spokojny, wręcz apatyczny.

Sachmudl podszedł do monitora i od razu zrozumiał, co zaczyna się dziać * dendryty wykazywały zmiany, co oznaczało stres. Poza tym wzrosło napięcie w ciele migdałowatym. Trzeba było szybko działać.

* Beta*blokler! * krzyknął do pielęgniarza. * Proszę natychmiast przygotować zastrzyk z propranololem.

Szybkie podanie tego beta*blokera będzie mogło zmniejszyć efekt ciała migdałowatego i tym samym stłumić traumaryczne wspomnienie, które nagle musiało się pojawić w głowie Fredrica Drum. Pielęgniarz profesjonalnie wykonał zastrzyk i teraz stali obaj, spoglądając to na pacjenta, to na aparaturę.

Gorączka spadła.

Spazmy ustały.

Encefalogram był zadowolający.

Śpiączka znów była pod kontrolą.

Co spowodowało stres? Sachmudl wstał z krzesła i spojrzał na leżącą przed nim nieruchomą postać. Żadnej widocznej zmiany. Choć nie do końca * małe blizny na piersi zniknęły. Lekarz pokręcił głową. Wrócił do monitora i zeszytniał.

Teraz nie było już dwóch krzywych.

Pojawiła się trzecia.

1

Tego ranka żadne ptaki nie podrywają się do lotu z koron drzew, jest mowa o cenie pewnego rodzaju drewna, a siedczemu wydaje się, że sprawa jest już prawie rozwiązana

Kombang powinien był się domyślić, że ten dzień będzie zupełnie inny, niż się tego spodziewał, już wtedy, gdy jak co rano otworzył zaciśniętą pięść z sago i delikatnie wysypał je przed Noogoshinoo, ich domowym bóstwem stojącym przed wejściem do domu na palach, w którym mieszkał z rodziną. Wiele ziaren sturlało się z dywanika i wylądowało w błocie. Kombang pokręcił głową. Nie miał czasu ich pozbierać. Już był spóźniony. W jego uszach wciąż brzmiały pogrożki przełożonego, że ci, którzy przyjdą do pracy za późno, nie mają już po co przychodzić następnego dnia.

Kombang Kombangpung Ui sądził, że miał całkiem udane i szczęśliwe życie. Miał nie tylko miłą i dobrą żonę, która wcale nie zrobiła mu wyrzutów czy awantury, kiedy zdarzyło mu się

zasiedzieć się z kolegami w „Barze u Albyssona” w porcie i wypić parę butelek jasnego piwa, które sprzedawał Australijczyk, ale także trzech synów i córkę. A może żona da mu jeszcze więcej dzieci? Wydawało mu się, iż miał nie więcej niż trzydzieści parę lat, choć zupełnej pewności co do swego wieku nie miał. Poza tym dostał pracę w nowym tartaku nieco w górę rzeki. Cztery miesiące temu przed biurem zarządcy tartaku stała długa kolejka mężczyzn, starych i młodych, ale tylko dziewięciu dostało pracę, a Kombang był jednym z nich. Zastanawiał się wtedy, jak to możliwe, by w tak wielkim tartaku potrzebowano zaledwie dziewięciu pracowników? Teraz znał już odpowiedź. Większą część pracy wykonywały maszyny i dziwne roboty.

Kombang Kompangung Ui był szczęśliwym człowiekiem.

Zdawał sobie z tego sprawę także dzisiaj.

Pobiegł do tartaku.

Jego nagie stopy ślizgały się w błocie, parę razy upadł i cały się zmoczył, ale to nic. Kiedy wstanie słońce i ciepło sprawi, że woda pozostała po nocnych opadach deszczu i wilgoć wyparuje, jego ubranie też wyschnie, a on strzepie z niego zaschły brud tak, że Talabom, jego żona, nie będzie musiała znów pracować.

Zjawił się na miejscu siedem minut przed tą chwilą, kiedy ostry i przenikliwy gwizd oznajmił, że oto zaczyna się dzień pracy. Co rano ten dźwięk przerażał całe chmury kazuarów i innych ptaków, które zrywały się do lotu z koron drzew w dżungli, która od północy i zachodu graniczyła z tartakiem. Raz Kombang zauważył nawet barund, dziką świnię, uciekającą w panice z dziupli w pniu drzewa. Z tego, co wiedział, tutaj na wybrzeżu było to rzadkie zwierzę. Może obgryzało korę ze zgromadzonego drewna? Tak mogło być. W każdym bądź razie ten widok bardzo go ubawił i wszyscy się śmiali, kiedy wieczorem powtórzył tę historię w „Barze u Albyssona”.

Miejsce Kombanga było przy dużej pile.

Tej, która przecinała bale wzdłuż.

Spędzał tam dziesięć godzin dziennie.

Od godziny siódmej rano do piątej po południu.

Tylko z jedną piętnastominutową przerwą na posiłek w środku dnia.

Kombang stał, pilnując, aby bale układały się odpowiednio na taśmie transmisyjnej, a nie na ukos, nim zostaną przecięte przez ogromną piłę znajdującą się zaledwie pięć metrów dalej. Piła miała ponad dwa metry średnicy. Obracała się z wielką prędkością i przecinając drewno, wywoływała tak wielki hałas, że aż słyszalny w mieście. W rękach miał długi drąg zakończony metalowym hakiem. Używał go do poprawiania położenia bali, które leżały trochę krzywo. Bywało, że długo stał bezczynnie, gdyż spychane na taśmę drewno układało się idealnie. Dla rozrywki liczył takie bale. Rekord wyniósł dwadzieścia siedem bali pod rząd. Nie musiał przy nich nawet kiwnąć palcem. Kombang uważał jednak, że to nudne tak stać i nic nie robić. Żadnych kolegów do pogawędki. Z miejsca, w którym stał, nie widział pozostałej ósemki zatrudnionej w tartaku. Najbliżej miał do młodego Mangopona Boolabona, który pracował przy pile numer dwa, dwadzieścia metrów od niego, ukryty za nadbudówką. Tam drwa były przecinane na mniejsze kawałki. Hałas uniemożliwiał jednak komunikację, gdyż zagłuszał wszystkie krzyki.

Nim rozległ się gwizd piły, założył słuchawki.

Podniósł wieczko zakrywające przycisk awaryjny przy taśmie.

Czerwony przycisk, który od razu zatrzymywał piłę.

Na wypadek, gdyby jakiś bal utknął.

To nie zdarzyło się ani razu podczas dwunastu tygodni, które tu przepracował.

Gdy wreszcie rozległ się gwizd i piła została wprawiona w ruch, jak zwykle spojrzął ku drzewom na skraju dżungli, by zobaczyć podrywające się do lotu ptactwo. Tego ranka nie było jednak żadnych ptaków. Także to mógł potraktować jako ostrzeżenie, że ten dzień będzie

zupełnie inny od wszystkich innych, ale Kombang wzruszył tylko ramionami, dochodząc do wniosku, iż ptaki wreszcie nauczyły się, że drzewa w pobliżu tartaku nie są dla nich najlepszym miejscem. Pierwszy kawał drewna perfekcyjnie wszedł do luku, gdzie bale jedno po drugim były przesuwane ku taśmie transmisyjnej silnymi ramionami robotów. Tak samo było z balem drugim i trzecim. Czwarty musiał trochę poprawić. Kombang uśmiechnął się do siebie i zanucił w głowie melodię, którą usłyszał w „Barze u Albyssona” parę wieczorów temu.

Przez pierwszą godzinę piła numer jeden przepiłowała siedemnaście wielkich bali drewna. Wiele z nich miało ponad metr grubości, ale tylko kilka musiał poprawić drągiem. Przez następne godziny praca przebiegała równie sprawnie, ale kiedy podczas godziny poprzedzającej lunch na taśmie wylądował dziewiętnasty bal drewna, Kombang Kombangpung U i zeszywniał, wpatrzony w zaskakujący widok.

Do bala przywiązany był człowiek.

Mocną liną.

jego oczy były zamknięte. Nie ruszał się.

Minęło parę sekund, nim Kombang zareagował. Mogło już jednak być za późno. Gdy bal dostał się pod piłę, rozległ się przeraźliwy pisk. Kombang rzucił się ku czerwonemu przyciskowi, który zatrzymywał piłę. Nacisnął. Raz, drugi, ale nic się nie stało. Piła obracała się z całą mocą. Nagle poczuł coś ciepłego i mokrego. Wokół piły unosiła się czerwona chmura, a jego ubranie, które wcześniej pokrywało błoto, teraz stało się czerwone. Czerwone od krwi. Kombang krzyczał i desperacko naciskał przycisk, ale piła nie zatrzymywała się. Wreszcie chwycił drąg i z całej siły uderzył nim w skrzynię, w której zamontowano wyłącznik. Mocno zaiskrzyło, coś zatrzeszczało i piła znieruchomiała.

Carl Christian Ender zdusił cygaro, które już dawno samo zgasło, osuszył pot z twarzy i chciwie wypił ostatnie łyki chłodnego piwa z chininą. Czuł, że zaraz znów ogarnie go gorączka. Cholerna malaria, pomyślał. On i jego współnik zachorowali. Dało się jednak z tym żyć. Wiedział, że istnieją leki, które łagodzą objawy. Kiedy tylko wyjadą jak najdalej stąd, opuszczą to przekłete miejsce na samym zachodzie Nowej Gwinei, Irian Jaya, jak nazywała się zachodnia indonezyjska część wyspy, otrzymają pomoc lekarską. Będzie ich stać na każdą pomoc! Uniósł prawy kącik ust, jakby w uśmiechu. Ale gdzie, do cholery, podział się Rolf? Rolf Hakkeng, jego współnik, miał tylko kupić więcej tego piwa, które łagodziło przebieg malarii. Ender z niepokojem zerknął na zegarek i raz jeszcze osuszył pot z czoła. Nie było go już prawie dwie godziny, a sklep był w dole ulicy.

Spojrzał na kartkę, którą właśnie otrzymał faksem.

Wzrosła cena drewna merbau.

Cena w Chinach wynosiła ponad trzysta dolarów za kubik.

Na rynku amerykańskim była dziesięć razy wyższa.

Firma Irian Limbtrade Export mogła z optymizmem patrzeć w przyszłość. Zaledwie pół roku upłynęło, odkąd Hakkeng i on założyli tę firmę zajmującą się eksportem drewna, a na ich kontaktach już narosły sześciodziesiąt tysięcy dolarów. Prawy kącik jego ust znów się uniósł, a z brody popłynęła na przepoconą koszulę brązowa strużka. Brązowa, bo połowa cygara, które miał w ustach, została przeżuta i zmieszała się ze śliną.

Drzwi do ciasnego biura otworzyły się i do środka wszedł niski mężczyzna po czterdziestce. Jego niemal płaską twarz pokrywały strupy i zadrapania po ukąszeniach owadów. Kręcone jasne włosy zwisały mu na czoło i wpadały do oczu sklejonymi potem pasmami. Jego matowe niebieskie oczy lśniły nienaturalnie. Otrzeptał ciemne błoto z butów i postawił przed Enderem na stole sześciopak piwa z chininą marki Vaga.

* Gdzie, do licha, byłeś tak długo? Znów musiałeś Zajrzeć do burdelu czy co? * Ender wyszczerzył usta w uśmiechu, wyrwał jedną butelkę, otworzył ją i duszkiem wypił połowę zawartości.

* Ci pieprzeni szpiedzy znów tu są * parsknął Hakkeng, nie zwracając uwagi na sarkazm Endera. * Spotkałem właśnie na ulicy dziewczynę, tak w ogóle całkiem ładną. Zatrzymała mnie.

* Tak? Ośmieliła się? Myślałem, że mają już dość i spakowali manat*ki. Sądziłem, iż tak się przerazili tym, co się stało z ich kolegą, że już stąd zniknęli.

Ender zapalił nowe cygaro. Rolf Hakkeng spojrział na niego z ukosa.

* Nie. Gdzieżby tam! Ona, Sara coś tam, powiedziała mi, a właściwie zagroziła, że teraz połączyli się z indonezyjską organizacją działającą na rzecz ochrony środowiska WALHI. * Hakkeng roześmiał się. Śmiech przeszedł jednak zaraz w atak kaszlu. * Co ty na... * Znów zakaszłał.

* No, no, cóż za przymierze. * Ender uśmiechnął się ukazując zęby. * Jaką to ostatnio musieliśmy im dać łapówkę? 200 dolarów? * Wydmuchał chmurę dymu.

* Chyba jakoś właśnie tyle. Poza tym spotkałem Astvinera. Wygląda na to, że przeniósł się tu na dobre z Jayapury. Ma małe biuro w porcie.

* Pieprzona gorączka! Chyba muszę się na chwilę położyć, nim minie ten atak. * Hakkeng wziął ze sobą dwa piwa i udał się na drugie piętro, gdzie znajdowały się ich sypialnie.

Ender pozostał przy biurku, na którym stał faks. Był o parę lat młodszy od Hakkenga i stanowił jego całkowite przeciwieństwo pod względem wyglądu. Miał ciemne włosy, był wysoki i szczupły. Wielu powiedziałoby, że za chudy. Miał ostre rysy. Mógłby uchodzić za przystojniaka, gdyby nie kąciki ust, cały czas zabrudzone resztkami przeżutych cygar. Spojrzenie jego stalowoniebieskich oczu było niezbyt łagodne.

Niespokojnie kiwał się na krześle tam i z powrotem. To nie tylko gorączka. Wiadomość o tym, że aktywiści działający na rzecz ochrony lasów deszczowych nie poddali się, zaniepokoiła go bardziej, niż okazał to Hak*kengowi. Poza tym sprawa przybrała nieco nieciekawych obrót, bo norweskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych przysłało tutaj policjanta w celu zbadania okoliczności morderstwa. Denerwujący mężczyzna, który węsząc tu i ówdzie, może się wmieszać w to i owo. Wiele razy pojawił się w ich biurze, by poszperać. Ender wysunął szufladę i wyjął trzy nie najlepszej jakości zdjęcia zrobione polaroidem. Przez chwilę przyglądał się fotografiom, a potem schował je z powrotem do szuflady. Chrząknął z niezadowoleniem i ponownie otarł pot. Jednego z nich już nie ma, pomyślał, Jana Vennalie*go, tego najbardziej natarczywego. Policjant raczej niczego nie znajdzie.

A może?

Facet nie ma tu właściwie żadnej władzy.

Władze lokalne są zaciekłymi stróżami swego rewiru.

Pewne osoby bardzo tego pilnują.

Żadnego rozgrzebywania drażliwych spraw.

Inaczej źródła zarobków mogą zniknąć.

Korupcja.

I dzięki Bogu, pomyślał Carl Christian Ender. Wstał z krzesła i chwycił kolejną butelkę piwa. Cały ten biznes opiera się na korupcji, łapówkach, fałszywych papierach i obrotnych osobach, które pociągają za sznurki, kierując tym wszystkim. Tak będzie jeszcze przez wiele, wiele lat, uspokajał sam siebie. Otworzył drzwi z siatką chroniącą przed moskitami i wyszedł na małą werandę, znalazł podniszczone krzesło bez podpórek na ręce oraz z plastikowymi elementami zwisającymi z siedzenia i usiadł. Stąd miał widok na to, co należałoby uznać za główną ulicę tego miejsca, które na wyrost można by nazwać miastem. Mógł stąd zajrzeć do leżącego po drugiej stronie ulicy Pepes Drugstore & Ford i przyglądać się klientom zmierzającym do burdelu Mamma Suggosabols nieco dalej w dół ulicy. Usta Endera znów wykrzywiły się w nierównym uśmiechu. Najlepsze, co przytrafiło się tej dziurze poza tym burdelem, pomyślał, to zaawansowany technologicznie tartak, który przeniesiono tutaj z USA. Nawet z miejsca, w

którym siedział, mógł usłyszeć odgłos piły przecinającej drewniane bale. Ten tartak bardzo, ale to bardzo ułatwiał niektóre rzeczy.

Ender nagle uśmiechnął się szeroko.

Słaby powiew złagodził nieco nieprzyjemne odczucie gorączki.

Drewno. Drewno, które przerabiano na deski.

Niezidentyfikowane deski.

Deski, które zmieniały się w dolary.

Wiele, wiele dolarów, a to dopiero początek.

Peder Ungbeldt, śledczy z norweskiego KRIPOS, siedział w kącie w połowie zabudowanej, przypominającej restaurację, jadłodajni przy końcu ulicy, prawie w porcie. Przez ostatni tydzień bywał tu prawie co wieczór i zawsze zaskakiwało go nagle nadejście ciemności.

Przejście dnia w noc odbywało się tutaj bardzo szybko. Teraz jednak zbliżało się dopiero południe. Nie podobało mu się tutaj. Nie podobało mu się miejsce, w którym siedział.

Wyjął z kieszeni butelkę z mleczkiem przeciwko komarom.

Wysmarował porządnie wszystkie odsłonięte miejsca.

Dopilnował, aby koszula była dokładnie zapięta.

Aż po samą szyję.

Chciał bowiem za wszelką cenę uniknąć zarażenia się malarią. Dlatego odbywał swój rytuał z mleczkiem przeciwko komarom każdego ranka, gdy wschodziło słońce, i co wieczór, kiedy zachodziło. Przeczytał, że o tej porze komary przejawiają największą aktywność. Dla pewności smarował się też w środku dnia, jak właśnie teraz. Dodatkowo przyjmował profilaktycznie tabletki.

Pełen sceptycyzmu spojrzał na talerz, na którym leżało przypominające ragotit mięso, gęsty sos kokosowy i sago, w połowie zjedzony przez niego lunch. Odsunął go i poczęstował się owocami, cały czas dolewając sobie czarnej jak noc kawy ze stalowego czajniczka. Owoce i kawa. Co za wspaniałe połączenie smaków, pomyślał. Skarphedin Olsen powinien to zobaczyć. To na pewno przyprawiłoby go o atak apopleksji! Ta myśl od razu wprawiła go w lepszy nastrój.

W zasadzie Peder Ungbeldt nie miał powodu, by być w złym humorze. Wczoraj po południu sprawa, którą się zajmował, przybrała zupełnie nieoczekiwany obrót. Mógł powiedzieć, że nastąpił pewien przełom. Pozostało tylko kilka koniecznych konfrontacji, nim to, co zdarzyło się z aktywistą działającym na rzecz ochrony środowiska i lasów deszczowych, Janem Vennalim, dwudziestosześcioletkiem z Lier w pobliżu Oslo, zostanie wyjaśnione w całym swym okropieństwie i z konsekwencjami, które także tutaj, wśród lokalnych władz, wywołają poruszenie. Tak właśnie uważał. Twardy śledczy wciąż odczuwał dyskomfort, przywołując pewne szczegóły i okoliczności zbrodni.

Poza tym lokalna policja w dużym mieście Jayapura była bardzo gościnna i wyrozumiała, niemal służalcza w swej chęci niesienia pomocy. Tutaj, w małej mieścinie Tanjung u ujścia rzeki Mamberamo, za utrzymanie porządku odpowiadało wojsko, tyle że podlegające szefowi policji w Jaya*purze. Ungbeldt z biegiem czasu zrozumiał, jakie są powody tej służalczości. Przyjazne nastawienie i otwartość miały zakamuflować dość duży zasięg płatnych nieoficjalnych usług, które pracownicy państwowi z przyjemnością świadczyli. Peder Ungbeldt zdawał sobie z tego sprawę, ale nie obchodziło go to tak długo, jak długo nie miało wpływu na jego pracę i uprawnienia. Odkąd tutaj przyjechał, mógł działać bez ograniczeń. Szef policji z Jayapury, którego imienia Ungbeldt nawet nie starał się zapamiętać, z dużą powagą podszedł do morderstwa popełnionego na młodym Norwegu, o czym solennie zapewnił i dał Ungbeldtowi do dyspozycji dwóch podległych mu policjantów.

Zły humor Ungbeldta wynikał po prostu z faktu, że od pierwszego dnia bardzo źle się tutaj czuł. Dokuczало mu gorąco i wilgoć z dżungli. Powietrze było ciężkie i duszące, a w związku z tym, że co najmniej raz dziennie przychodziła potężna ulewa, błoto było dosłownie

wszędzie. Pederow*wi Ungbeldtowi wcale nie podobał się tutejszy klimat. Teraz jednak mógł spodziewać się szybkiego wyjaśnienia sprawy, ale musiał się liczyć z tym, że przyjdzie mu jeszcze parę dni tu pozostać.

Rozwikłał sprawę?

Tak. Ungbeldt uważał, że już wszystko wie.

Dzięki temu, co zdarzyło się poprzedniego dnia.

Czysty przypadek?

Teraz musi być ostrożny.

Do konfrontacji dojdzie zupełnie nieoczekiwanie. Był doświadczonym policjantem i w związku z tym wiedział, jakie warunki muszą zostać spełnione. Całe przedpołudnie analizował szczegóły i opracowywał strategię, która jego zdaniem była odpowiednia. Para jego pomocników, Anna Bolipom i Gorion Sen, zostali poinformowani o tym, co zdarzyło się w sprawie wczoraj po południu, i otrzymali rozkaz, aby stawić się dziś wieczorem, dokładnie o 23:00, w uliczce między budynkami portowymi, a skoro on sam nie nosił przy sobie służbowej broni, poprosił ich, aby byli uzbrojeni. Na wszelki wypadek. Ungbeldt uważał jednak, iż użycie broni w tym wypadku nie będzie konieczne.

Śledczy przeliczył rupie.

Przywołał kelnera i zapłacił.

Wstał i wyszedł.

W pokoju wynajmowanym w dusznym, maleńkim hotelu zmiotł otrute środkiem owadobójczym karaluchy z podłogi przed łóżkiem, zdjął koszulę, pochylił się nad zardzewiałym zlewem i zdołał wydobyć z kranu tyle kropli wody, że był w stanie umyć twarz, szyję i tors.

Zostało jeszcze wiele godzin.

Opadł na kolana i zasłoniły oczy. Nie miał odwagi spojrzeć w kierunku piły. Poczł unoszącą się w powietrzu słodkawą, nieprzyjemną mgiełkę i zrobiło mu się niedobrze. Zauważył, że coś kapie mu na kark. Podniósł głowę i zobaczył, że z taśmy spływa strużka krwi. Kombang Kombang*pung Ui nagle wstał i zaczął biec. Po paru krokach zaplątał się w łańcuch i upadł w błoto.

Leżał.

Zdawało mu się, iż całą wieczność.

Nagle stanął nad nim zarządca.

* Co tu się, do cholery, dzieje?! * Głos silnego Papuańczyka zatrudnionego w tartaku jako zarządca zagłuszył hałas powodowany pracą innych pił.

* Co, do licha... * Gwałtownie umilkł.

Wokół piły leżały resztki zmasakrowanego ciała, mięso i wnętrzności, jelita i mózg w połączeniu z w połowie przepiłowanym balem. Zrobił parę kroków w tył, a Kombang usłyszał, że ciężko oddycha.

* Co, do... * powiedział tym razem bardzo cicho.

Kombang podniósł się z trudem. Jego przepona kurczyła się spazmatycznie. Otarł błoto z twarzy i wyrzucił z siebie:

* To... To... Ja nie... nie... nie zdążyłem wy*wy*wylączyć. Przy*przy*przycisk nie działał, panie Tambong!

Zarządca nic nie odpowiedział, tylko patrzył. Wreszcie chwycił Kom*banga za koszulę, szarpnął nim i rzucił go na ziemię.

* Do cholery, człowieku! * Zaczął obrzucać go przekleństwami i wyzwiskami. * Chodź! Idziemy stąd! Nie mamy tutaj teraz nic do roboty.

Kombang nie dał się prosić dwa razy. Pobiegł do baraku, czterokątnej budy z aluminium, z której John Tambong miał dobry widok na tartak i nadzorował pracę. Kombang został

wepchnięty do środka i stanął w najgłębszym kącie pomieszczenia, próbując zapanować nad drżeniem, podczas gdy Tambong darł się:

* Kto to był, do cholery?!

* Nie wiem, panie Tambong. * Mówił powoli w języku bahasha * ma*lajskim, który znał najlepiej. * Był mocno przywiązany do kawałka drewna. Miał zakneblowane usta, ale żył, panie Tambong. Widziałem jego oczy. Wciskałem i wciskałem czerwony przycisk, tak szybko, jak mogłem, panie Tambong, ale piłą się nie zatrzymywała. Wykorzystałem drąg, ale było już za późno, panie Tambong.

* Przycisk nie działał? * Zarządca zmrużył oczy.

* Nie, panie Tambong. Mówię prawdę. Nie działał.

* Ty pieprzony idioto! * prychnął. * Działał wczoraj, kiedy robiłem obchód.

* Mówię prawdę, panie Tambong, nie działał. Wziąłem drąg i rozbiłem całą kontrolkę, jak pan widział. * Kombang skulił się.

Zarządca pogrzebał w swych lekko falistych włosach, a potem podszedł do panelu kontrolnego i wcisnął parę przycisków.

Pozostałe piły zatrzymały się.

Po chwili cały hałas ucichł.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Chwycił mikrofon i zaczął mówić głośno i wyraźnie. Jego głos dudnił w głośnikach ustawionych w różnych miejscach tartaku.

* Stacje 1*2*3, kończymy na dziś pracę. Proszę opuścić teren tartaku! Dotyczy to także kierowców ciężarówek! Powtarzam: koniec pracy na dziś. Opuśćcie tartak. Natychmiast udajcie się do wyjścia!

Powtórzył tę wiadomość trzykrotnie. Kiedy skończył i uświadomił sobie, iż wszyscy zrozumieli i zacierają ku wyjściu, podszedł do Kombanga i spojrzał na niego surowo.

* Myślę jednak, że najlepiej będzie, jak ty tu zostaniesz * powiedział. *

Jesteś jedyną osobą, która widziała, co się stało * dodał. Znow zmrużył oczy, przyglądając się pracownikowi.

Przez chwilę wahał się, a potem pchnął go ku drzwiom z tyłu baraku. Drzwi otworzyły się, a Kombang, potknąwszy się, wpadł na śmierdzące wiadro pełne ekskrementów i moczu. Drzwi zatrzasnęły się za nim. W środku panowała nieprzenikniona ciemność. Usłyszał odgłos przekręcania klucza w zamku. Został zamknięty.

Kombang skulił się w ciemności.

Pomieszczenie było ciasne.

Drżał.

Pod przemoczoną koszulą miał drugie śniadanie.

Wyjął je. Było zmiążdżone, zniszczone. Śniadanie, które żona przygotowała dla niego jak co rano. Cztery kromki chleba sago z kiełbasą. Było mu niedobrze. Zwymiotował. Jak długo pan Tambong ma zamiar trzymać go tutaj? Nie zrobił nic złego, więc dlaczego nie pozwolono mu pójść do domu wraz z pozostałymi pracownikami? To nie jego wina. Czy pan Tambong tego nie rozumie? Myśli krążyły mu w głowie. Kim był ten biedak uwiązany do drewnianego bala? Ten obraz znow pojawił się przed jego oczyma. Jego usta były zamknięte. Czy żył? Co za okrutny człowiek mógł zrobić coś takiego bliźniemu? Kto mógł dostać się do składu, gdzie leżały setki bali gotowych do przepiłowania?

Nie wiedział. Kombang Kombangpung Ui nie mógł wiedzieć. Wiedział tylko, że pracownicy zazwyczaj nie bywali tam przed południem. Całą robotę odwalaly maszyny, ale po południu przyjeżdżały samochody z drewnem i zostawiały tam ładunek. Bale były dokładnie układane. Tydzień za tygodniem.

Bał się.

Może zostanie uznany za winnego?

Słyszał, że zarządca rozmawia z kimś przez telefon.

Dobiegły go strzępki rozmowy.

* Przeróżający widok... Dlaczego... nie wiem... Nie... trzymam go tutaj... Pewnie... Ile czasu?... OK... Nie, żadnych innych, wysłałem ich do domu... OK.

Cisza.

Tylko kroki zarządcy, który od czasu do czasu przechadzał się po pomieszczeniu. Kombang czekał. Lada moment przyjadą pewnie amerykańscy szefowie, właściciele tartaku, którzy posiadają poza tym wiele tartaków. Tak przynajmniej słyszał. Wtedy go wypuszczą i będzie mógł wrócić do domu, do swej kochanej Talabom i dzieci. Nie opowie im o tym przerażającym zdarzeniu, którego był świadkiem. Nie chce ich straszyć takimi historiami. Kiedy dziś wróci wcześniej do domu, to wytłumaczy to tym, że zaklinował się bal drewna. Tak. Tak właśnie powie. Kombang rozmyślał i czekał. Mijały godziny, a jego zaczynała boleć głowa. Powietrze było gęste i nieruchome, a w klitce panował przeraźliwy smród. Ciepło sprawiało, że jego ciało i ubranie parowały. Próbował zamknąć oczy i pomyśleć o czymś miłym, o wieczorach spędzanych z kolegami w „Barze u Albyssona”, gdzie opowiadali sobie różne historie, ale nagle znów powrócił obraz mężczyzny przywiązanego do bala. Kombang poczuł pęczniejącą kluskę w gardle.

Głosy w pokoju zarządcy.

Pojawił się tam ktoś obcy.

Rozmawiali po cichu.

Czy zaraz go wypuszczą?

Wreszcie usłyszał kroki i ktoś przekreślił klucz w zamku. Przez chwilę Kombang musiał zasłonić oczy, oślepiiony ostrym światłem, które wkradło się do środka po otwarciu drzwi.

* Wstawaj i wychodź, człowieku! * Był to głos zarządcy.

Kombang wstał i chwając się, opuścił klitkę. Spoglądał na nieznanego mężczyznę, który stał przed nim. Był potężnie zbudowany, a miał na sobie marynarkę, koszulę i krawat. Jego twarz była czerwona i pełna paskudnych pryszczyci i krost. Na głowie nosił biały kapelusz. Kombang pomyślał, że to musi być jeden z amerykańskich szefów. Mężczyzna coś mówił, ale Kombang nie rozumiał jego języka. Nie uśmiechał się, a to, co mówił, nie mogło być niczym miłym, bo pan Tambong z poważnym wyrazem twarzy patrzył w ziemię.

* Mogę pójść do domu, panie Tambong? * Jego głos był cienki i błagalny.

* Najpierw wybierzesz się na przejażdżkę łodzią. * Zarządca nie podnosił wzroku.

* Ale ja... * Kombang był zmieszany. * Nie wiem, kto... Co mam zrobić na łodzi?

Amerikanin zwrócił się do zarządcy i powiedział po angielsku:

* Jesteś pewien, że poza nim nikogo nie było przy pile numer jeden? Inaczej mogą się rozejść plotki.

* Całkowicie pewien. Wszyscy bezzwłocznie opuścili teren tartaku. Został tylko on. *

Pokazał na Kombanga.

* OK. Jesteśmy zmuszeni zrobić to, o czym mówiłem. Zrozumiałeś, co to oznacza, Tam?

Mogę na ciebie liczyć? * Amerykanin uniósł brwi.

* Oczywiście. Może pan na mnie polegać. Mimo że nie jestem akurat... * Przerwał.

* To jakieś wielkie gówno. Holy pig! Paskudny psikus, którego zrobił nam ktoś, komu zależy na tym, by się nas pozbyć. Nie mam pojęcia, kto to może być! * Zacisnął usta, zdjął kapelusz i z impetem zabił nim muchę, która usiadła mu na udzie.

Przez chwilę obaj stali w milczeniu.

Nagle Amerykanin otworzył drzwi wyjściowe, włożył palce do ust i głośno zagwizdał. Z zabłoconego jeepa, który stał zaparkowany nieco

dalej, przybiegło dwóch mężczyzn. Kombang poczuł lodowaty strach. Mężczyźni byli półnaczy, ich włosy upięte były w dziwne koki, a przy skórzanych pasach, które nosili na biodrach, znajdowały się długie noże. Wiedział, że to mężczyźni z plemienia żyjącego w głębi łądu. Ich szerokie, nieco płaskie twarze, duże usta i spiłowane zęby nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. Kombanga sparaliżował strach, bo słyszał o tym, do czego takich ludzi wykorzystywano tutaj na wybrzeżu.

Sprawy potoczyły się teraz szybko.

Kombang był popychany i ciągnięty ku brzegowi rzeki.

W stronę długiej, płaskiej łodzi z silnikiem na pokładzie.

Brutalnie wepchnięto go na łódź.

Odcumowano ją i uruchomiono silnik.

Czuł, że coś zaraz rozsądzi mu piersi, ale mimo to nie udało mu się wydobyć słowa czy krzyknąć. Wszystko utknęło w krtani. Dlaczego mu to robią? Tak brzmiało pytanie, które starał się wyartykułować, kuląc się na pokładzie. Zarządca i Amerykanin pozostali na łodzi, a łódź nabierała prędkości, uwalniając się od korzeni drzew porastających ten podmokły teren. Jeden z mężczyzn siedział w pobliżu silnika, a drugi obwiązywał liną ogromny kamień. Potem tą samą liną mocno obwiązał kostkę Kombanga. Nie wierzgał nogami. Jego sparaliżowane strachem kończyny odmawiały posłuszeństwa. Nie potrafił wydobyć z siebie głosu. To nie działo się naprawdę! Mocno zmrużył oczy i poczuł, że ciepłe łzy zaczynają płynąć mu po policzkach. Łódź zatrzymała się w miejscu, gdzie rzeka mocno zakręcała, około kilometra od oceanu.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

Szerokie usta i spiłowane zęby.

Pokazali na niego i roześmiali się.

Jasnoczerwone dziąsła i ślina na brodzie.

Następnie wyjęli noże. Podchodzili powoli, jakby polowali na niebezpiecznego dzikiego zwierza. Jego stopy odżyły. Odpychał się nimi, cofając się po pokładzie aż na samą rufę. Chwilę przed tym, nim przebiły go długie noże, zamknął oczy i zobaczył domowe bóstwo Noogoshi, które uśmiechało się ze smutkiem, gdy ziarna sago toczyły się w błoto.

Śledczy Peder Ungbeldt spędził większą część popołudnia w pokoju hotelowym. Nie miał teraz zbyt wiele do roboty. Usiadł przy małym stoliku pod oknem, który załatwił sobie u prowadzącego ten hotel mężczyzny i jego córki. Pierwotnie w pokoju nie było niczego poza łóżkiem, krzesłem i małą szafką pod paskudną umywalką.

Na stoliku leżał mały dyktafon.

Poza nim teczki i ułożone porządkie papiery.

Peder Ungbeldt lubił porządek.

Raporty były napisane ręcznie.

Dostarczy je na komendę po powrocie do Oslo.

Miał nadzieję, że nastąpi to pod koniec marca.

Komisarz KRIPOS, Arthur Krondal, nie powinien mieć powodów do narzekania. Poczul podekscytowanie i napięcie. Nie z powodu zbliżającej się konfrontacji i aresztowania, ale dlatego, że nie mógł się już doczekać końca tej sprawy. Ostatnie dni tutaj może spędzić w Jayapurze, gdzie są hotele z klimatyzacją i asfaltowe ulice. Tam może skończyć papierkową robotę i dopełnić formalności. Popołudniowe godziny mijały powoli. Próbował zabić czas, przypominając sobie najistotniejsze szczegóły sprawy, którą zaledwie czternaście dni temu otrzymał od szefa KRIPOS z uzasadnieniem, że jako jedyny policjant policji kryminalnej ma jakąś wiedzę z zakresu ochrony środowiska. Za młodu był aktywnym działaczem i dostał nawet parę wyroków za cywilne nieposłuszeństwo, co omal nie kosztowało go utraty szansy na pracę w policji. Jednak ochrona środowiska w Norwegii to co innego, tłumaczył

Krondalowi, tutaj chodzi o ochronę lasów deszczowych, a o tym ma minimalne pojęcie, zwłaszcza na temat lasów w Papui * Nowej Gwinei.

Protesty na nic się zdały.

Został wyposażony w niezbędne pełnomocnictwa i wysłany z Norwegii.

W małej miejscinie Tanjung, na samej północy należącej do Indonezji części Nowej Gwinei, odnaleziono bestialsko zamordowanego obywatela Norwegii. Mężczyzna nazywał się Jan Vennali i przebywał tam parę tygodni, wysłany przez Fundusz na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych. Razem z dwójkiem innych osób, Sarą Enghall i Albanem Trossigiem, prowadzili dochodzenie dotyczące nielegalnej wycinki lasów, nielegalnego eksportu oraz rejestracji indonezyjskich, amerykańskich i chińskich importerów drewna. Na terenie działania trójki aktywistów panowało bezprawie i wielka korupcja, a rządzą nim rozmaici dorobkiewicz, którzy za pomocą łapówek spacyfikowali tutejszą policję i wojsko. Aktywiści najwyraźniej wysyłali różne materiały zarówno do norweskiego rządu, jak i do tego w Indonezji, ale ich działania nie doprowadziły do żadnych zmian.

Zaginienie Jana Vennaliego zostało zgłoszone przez jego dwoje przyjaciół po tym, jak pojechał jeepem za transportem drewna. Samochód odnaleziono dzień później. Leżał w rowie przy leśnej drodze, parę kilometrów od miasta. Wyglądało na to, że ześlizgnął się z drogi. Dobre później w portowym zaułku znaleziono ciało Yennaliego. Zwłoki były pozbawione głowy. Został brutalnie zamordowany. Ciało szybko zidentyfikowano. Władze prowincji i policja przesłały raport do norweskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które wysnuło wniosek, iż Vennali musiał paść ofiarą rytualnego mordu popełnionego przez członków jakiegoś dzikiego plemienia. Takie morderstwa, których ofiarą padali zwłaszcza misjonarze, nie

były niczym nadzwyczajnym, jak twierdzono. Sprawcy zachowywali wierność tradycji i odcinali głowy ofiarom, zabierając je ze sobą.

Sara Enghali i Alban Trossig otrzymali nakaz powrotu do domu.

Zarówno od Funduszu na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych, jak i od norweskich władz. Odmówili jednak.

Informacje, które wysyłali do domu, były niepokojące.

Wreszcie w sprawę została włączona Centrala Policji Kryminalnej.

Przez pierwsze dni Peder Ungbeldt błądził po omacku, pracując w bardzo trudnych warunkach. Rozmowy z Enghail i Trossigiem nie naprowadziły go na żaden ślad, a tylko pozostawiły trudny do opanowania chaos.

Dochodzenie prowadzone wokół miejsc przebywania odszczepieńców z pierwotnych plemion także nie przyniosło rezultatów. Od pół roku, to jest od czasu, gdy obcięli głowy dwóm nowozelandzkim misjonarzom, nikt ich nie widział. To stało się jednak daleko w górach.

Sprawców zidentyfikowano, ale nie pojmano, gdyż misjonarze poruszali się po terenach chronionych, oznaczonych na mapie jako czerwona strefa.

Peder Ungbeldt tkwił zatem w miejscu.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych wiedziało o obecności na tym obszarze Norwega Tora Henry'ego Astvinera i Szweda Hansa Mercura El*fhammara, ale oni także nie potrafili mu pomóc. Również długie rozmowy z dwoma innymi Norwegami, Carlem Christianem Enderem i Rolfem Hakkengem, o których obecności tutaj ani KRIPOS, ani ministerstwo nie wiedziały, także nie były pomocne. Ungbeldt uważał, że gdyby policja do ścigania przestępstw gospodarczych mogła zbadać ich firmę, Irian Limb*trade Export, z pewnością wyszłoby na jaw wiele nieprawidłowości i prze*krętów, co potwierdzili także aktywiści Sara Enghail i Alban Trossig. On jednak nie zajmował się tego typu przestępczą działalnością. Chodziło o morderstwo.

Sprawę, która wydawała się niemal nie do rozwiązania.

Aż do wczorajszej nocy.

Odsunął na bok papiery i teczki i zaczął się bawić malutkim dyktafonem, który leżał przed nim na stole. Skinął głową. Nie mógł się mylić. Wiele razy odsłuchiwał nagranie i zawsze nasuwał mu się ten sam wniosek. Peder Ungbeldt chrząknął. Malutki dyktafon był niezastąpiony w pracy śledczego. Teraz otworzył go ostrożnie i wyjął maleńką kasetę. Potem odwrócił się i rozejrzał po pokoju, wstał i z wolna skinął głową.

Przypadki? Nie tylko. Także szczęście. Póki co nie poinformował ani KRIPOS, ani ministerstwa o rozwoju sprawy. Zamienił tylko parę słów z kolegą, Skarphedinem Olsenem. Nie ma pośpiechu, a całą sprawę najprawdopodobniej uda się zakończyć pomyślnie. Otarł pot z czoła. Otworzył kolejną butelkę wody i spojrzął na zegarek.

Nastał wieczór.

Ciemność jak zwykle zapadła nagle.

Szum dochodzący z ulicy stał się bardziej donośny.

Dla większości ludzi dzień pracy już się skończył. W związku z tym coraz więcej osób zbierało się na ulicy. Pijani, alfonsi, hazardziści, młodzieńcy w wojskowych mundurach i najróżnorodniejsi handlarze mogli być naprawcie dokuczliwi przez cały wieczór i noc. Ungbeldt postanowił spędzić ostatnie godziny w spokojnym miejscu. Nieco wyżej, nad portem, był względnie cichy region, gdzie ludzi zatrudnieni w tartakach oraz pracownicy fabryki olejku palmowego i kopry zamieszkiwali wybudowane wzdłuż plaży domy na palach. Prymitywne zabudowania, ale tak żyła większość lokalnej ludności.

Posmarowawszy się obficie mleczkiem przeciwko komarom i zapiawszy dobrze koszulę, ruszył główną ulicą; nim dotarł do magazynów, co najmniej tuzin razy zaoferowano mu różnorodne usługi. Potem skręcił ku plaży, zdjął buty i wyplukał je z błota. Chodzenie boso wzdłuż brzegu było wspaniałym uczuciem.

Na chwilę stanął i wpatrywał się w usiane tysiącami gwiazd czarne jak smoła niebo. Pomyślał, że nigdy nie widział tak gwieździstego nieba. Delikatna bryza sprawiała mu przyjemność. Po raz pierwszy od przybycia tutaj Peder Ungbeldt poczuł jakąś radość. Zauważył, że delektuje się tą chwilą. To miejsce jest trochę spokojniejsze, wolne od komarów, biedy i przestępczości, pomyślał. To mógłby być raj, ale tak jednak nie jest. Powoli szedł dalej, aż dotarł do rzędów domów na palach. Stanął na chwilę, przyglądając się czynnościom wykonywanym przez ich mieszkańców. Kobiety i dzieci były na plaży. Niektóre prały odzież, inne rozpały ogniska, na których grillowały rybę, yams czy chleb z sago. Paru chłopców ustawiło prymitywne bramki do gry w piłkę nożną. Słyszał ich pełne zapału krzyki i śmiech.

Wiedział, że parę kilometrów od domów, na brzegu rzeki Mambera*mo, znajduje się nowo założony tartak. Właścicielami tartaku byli dwaj Amerykanie, bracia Justin i Ferdinand Culpepper. Z nimi też przeprowadził parę rozmów. Drewno, na którym się dorobili, było absolutnie nielegalnie przywożone do tartaku z głębi lądu, ale śledczy z Norwegii bardzo niewiele mógł zrobić w tej sprawie, mimo że aktywiści tak bardzo tego pragnęli. To wykraczało poza jego uprawnienia.

Wrócił tą samą drogą.

Mineła dopiero dziewiąta.

Pozostały jeszcze dwie godziny.

Parę dni temu jeden z policjantów z Jayapury, Gorion Sen, pokazał mu całkiem przyjemny lokal, „Bar u Albyssona”, którego właściciel, wesoły, okrągły Australijczyk z gęstymi rudymi wąsami, był z niego bardzo

dumny. To było niedaleko od portu. Postanowił tam wstąpić i wypić parę piw. Domyślił się, że przychodzili tam zazwyczaj pracownicy fabryki oleju palmowego i tartaku. Kiedy tylko wszedł do środka, zauważył, że coś jest nie tak.

Nie grała muzyka.

Właściciel, Albysson, stał i wpatrywał się w ladę.

Obojętnie wycierał pusty kufel.

W rogu siedziało w ciszy sześciu*ośmiu pracowników.

Mężczyźni w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat.

Dwóch*trzech innych paliło w drzwiach.

Albysson ledwie zerknął, gdy Ungbeldt chrząknął. Podeszedł do dystrybutora i napełnił kufel piwem. Postawił go na stole i kiwnął głową do nowego gościa. Śledczy usiadł i wypił parę łyków pianistego napoju. Co się stało? Czy to dzień żałoby? Coś lub kogoś dziś się wspomina? Cisza w barze była aż nazbyt zauważalna, a mężczyźni w rogu rozmawiali przyciszonymi głosami. Kiedy Ungbeldt wypił już połowę piwa, co zabrało mu kwadrans, ciekawość wzięła górę.

* Przepraszam pana * podeszedł do właściciela baru * czy coś się dziś stało? Tu jest tak... tak przytłaczająco. * On także mówił cicho.

* Nie jest pan stąd. * Albysson spojrział mu w oczy. * Pewnie pan o niczym nie słyszał, ale ci mężczyźni tam * pokazał na ludzi siedzących w rogu lokalu * stracili dziś kolegę z pracy.

Straszny wypadek w tartaku.

* To smutne. * Ungbeldt z powagą skinął głową. * Co się stało?

* Mężczyzna, który pilnował taśmy przy pile numer jeden, zaczepił o bal i wraz z nim dostał się pod ostrze. Jego głowę i połowę ciała rozrzuciło wokół taśmy. * Albysson zaczął wycierać następną szklanicę. * Parę godzin temu był tu zarządca i o tym opowiedział. Tartak został od razu zamknięty, ale do tej chwili nikt nie wiedział dlaczego.

Ungbeldt niewiele mógł powiedzieć. Skinął tylko głową ze współczuciem i wrócił do swego stolika.

* Kombang był dobrym klientem i cały czas się śmiał * wymamrotał sam do siebie Albysson. Za pięć jedenasta Ungbeldt zbliżył się do wąskiego zaułka, w którym umówił się ze swymi pomocnikami z lokalnej policji. Zauważył, że jego puls stał się nieco szybszy niż zwykle. To już ostatni epizod akcji i pozostanie tylko papierkowa robota.

Rozejrzał się dokoła.

Było ciemno.

Nie widział nawet gwieździstego nieba.

Był tu wcześniej dwa razy.

Dokładnie wiedział, co się zdarzy.

Śledczy poruszał się ostrożnie wzdłuż ścian domostw. Poczł smród gnijącej ryby, oleju i moczu. Parę razy poślizgnął się na błocie, ale utrzymał równowagę. Gdzie podziła się ta dwójka? Znowu spojrział na zegarek. Anna Bolipom i Gorion Sen powinni już tutaj być.

Wskazówki nie kłamały. Minęła 23:02. Wyteżał wzrok, by dojrzeć coś w ciemności. Nic jednak nie widział. Nagle ogarnął go niepokój. Zaczął nasłuchiwać.

Żadnych odgłosów.

Nic, tylko słaby plusk fal uderzających o nabrzeże.

Rechotanie żab.

Cofnął się parę kroków.

Przez chwilę stał, niepewny, co powinien zrobić. Sam nie da rady. Musi mieć kogoś przy sobie. Ale gdzie, do cholery, oni się podzieli? Znowu poczuł niepokój, tym razem silniejszy. Pewnie zupełnie nieuzasadniony. Pół minuty później zrozumiał, że jego strach był jednak zasadny, kiedy natrafił butem na coś miękkiego. Ostrożnie pochylił się, by sprawdzić, co to takiego, i właśnie wtedy światło latarni na kutrze płynącym w oddali na chwilę wkradło się w ciemny zaułek. Zauważył ciało jednego z policjantów.

Było pozbawione głowy.

Cofnął się.

Coś w nim krzyczało: uciekaj, uciekaj!

W ułamku sekundy, gdy zrobił pierwszy krok, by umknąć z zaułka, śledczy pojął, że zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego i że coś poszło absolutnie nie tak.

Było jednak za późno.

Peder Ungbeldt poczuł straszny ból w karku.

Wszystko stało się oślepiająco białe, potem czerwone, aż wreszcie zupełnie czarne.

Fredric Drum bez większego powodzenia
częstuje dojrziałym serem stilton, tajemnicze
znaki znikają bez śladu, a palec wskazujący
Skarphedina Olsena wędruje po mapie

Nucąc pod nosem, Fredric Drum krążył po kuchni. Był w „Kasserol*len” sam. Jego współnik Tob, Torbjorn Tinderdal, i uczniowie pojawiają się dopiero za godzinę. Od samego rana miał wyśmienity humor. Mógł on wynikać z tego, iż pomimo że był dopiero koniec marca, panowała już piękna wiosenna pogoda. W Oslo zagościła łagodna i nieco wilgotna aura, z lekkimi chmurkami i przebłyskami słońca. Kiedy patrzyło się po południu na wschód, można było dostrzec piękny, niemal purpurowy woal zawieszony nad Ekebergasen. Parki i zieleńce pachniały świeżością.

Dzień był ładny i Fredric Drum rozkoszował się wolną godziną przed nadejściem innych. „Kasserollen”.

Położona na ulicy Frognerveien.

Uznana za najlepszą restaurację w Oslo.

Z gwiazdkami w przewodniku Michelina.

Fredric Drum miał wszelkie powody do dumy.

Na ławach w kuchni stały tace z otwartymi ostrygami, nie więcej niż dwie*trzy sztuki na każdej. Była taca z ostrea edulis, rzadkimi europejskimi ostrygami, a także z crassostrea angulata lub huitres creuses, jak Francuzi nazywali te portugalskie ostrygi. Poza tym przekąski z ostryg z różnych obszarów Oceanu Atlantyckiego.

Dodatkowym powodem tego, by się świetnie czuć, był fakt, że poprzedniego wieczoru uczestniczył w konkursie dla kiperów. Tym razem chodziło o rozpoznanie wielu włościach win. Udział wzięło wielu znanych i uznanych znawców win, między innymi Freddie Nielsen, Stig Lundberg, Toraif Bolgen, Svein Hellerud, Klaus Hagerup czy Arne Ronald. Fredric zwyciężył i w nagrodę zabrał do swej prywatnej winiarni karton dobrego rocznika Bussola Amarobe Classico.

Teraz znajdował się w towarzystwie mięczaków zamkniętych w lśniących muszlach pokrytych macią perłową, które przez swe, dwudziestoletnie życie przefiltrowały miliony milionów litrów morskiej wody, zatrzymując te minerały, które były im potrzebne.

Obok tac stała świeżo otwarta butelka wina z regionu Chablis i kieliszek. Bardzo popularny rocznik Gerard Duplessis, Les Cios. Fredric wiedział, że do ostryg nic nie pasuje lepiej niż dobre chablis. Mogło to mieć związek ze specjalnym rodzajem gleby w rejonie Chablis, gruz i stare solanki w połączeniu ze skamieniałymi muszlami mięczaków.

Fredric był purystą. Purystą w tym znaczeniu, że uważał, iż dobrych składników nie należy łączyć ze wzmacniaczami smaku.

Dotyczyło to zwłaszcza ostryg.

Powinno się je jeść na surowo.

W naturalnej formie.

Z całym smakiem, jakie dało im morze.

Właśnie teraz zajmował się wyborem najlepszego importera ostryg. Chrząknął i zjadł parę Imitres creuses. Zamknął oczy i pozwolił, aby smak połączył się z chablis pana Duplessis.

Nagle usłyszał, że trzasnęły drzwi wejściowe do restauracji. Spojrzał na zegarek. Spodziewał się Tobą dopiero za ponad godzinę. Tylko on i Tob mieli klucze do restauracji. No i jeszcze jedna osoba.

To właśnie ta osoba weszła teraz pośpiesznie do restauracyjnej kuchni. Jej niebieski płaszcz powiewał.

Detektyw Skarphedin Olsen.

Wujek Fredrica Drum.

Fredric spojrział na niego znad talerzy z ostrygami i odstawił kieliszek z chablis. Wujek nie wyglądał dobrze. Jego porwana zmarszczkami twarz była blada i wykrzywiona. W spojrzeniu, które posłał Fredricowi, był jakiś niezdrowy błysk. W głowie Fredrica znów pojawiło się podejrzenie, które coraz częściej dawało o sobie znać. Skarphedin się wypalił. Nie jest już tym wspaniałym, pełnym entuzjazmu i zaangażowania detektywem KRIPOS, którym był przez długie lata. Wiele razy wspominał o porzuceniu pracy w policji. Skarphedin Olsen skończył sześćdziesiąt lat.

* Cześć. Czy to ty, wujku? * Fredric powitał go wesoło.

* Wujku i wujku * prychnął detektyw i spojrział nieufnie na jedną z tac z ostrygami. * Teraz to już koniec, Fredricu, definitywny koniec.

* Co się stało?

Detektyw nie odpowiedział, tylko ciężko opadł na krzesło i energicznie zaczął bębnić palcami w lśniący blat ławy, jednocześnie kręcąc głową. Fredric zauważył, że jego głębokie zmarszczki jeszcze bardziej się pogłębiły i stały się bardziej niż zwykle widoczne. Ostatnimi czasy wujek coraz częściej szukał ucieczki w jego restauracji. Nie tylko po zakończeniu pracy, ale także w przerwach na lunch, które mogły w jego przypadku trwać nawet kilka godzin. Wprawdzie z kwatery Centrali Policji Kryminalnej na Helsfyr do Frognerparku był kawał drogi, ale może w świecie przestępców panuje teraz spokój? Poza tym wuj nie mówił już o sprawach, które prowadził, jeśli takowe w ogóle były.

Fredric poklepał go po ramieniu.

Wydawało mu się, iż Skarphedin właśnie tego teraz potrzebował.

Bez słowa wyjął kawałek sera.

Dojrzałego stiltona.

Położył przysmak przed detektywem.

W ciągu paru następnych sekund Fredric zrozumiał, że dzieje się coś naprawdę złego. Wuj nie spojrział nawet na ser i wino. Siedział bez słowa, gapiąc się przed siebie. Wreszcie zupełnie mechanicznie wziął kawałek sera, włożył do ust i bez oznak jakiegokolwiek przyjemności przeżuł go i połknął. Potem wstał sztywno i popatrzył na Fredrica. Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i rzucił na stół parę wygniecionych kartek.

* To Peder, Fredricu, Peder Ungbeldt.

Fredric zamrugał zmieszany. Wziął kartki do ręki i spojrział na nie. To były zdjęcia. Z tego, co widział, przesłane faksem. Jedno przedstawiało ciało, które w pozycji półsiedzącej opierało się o jakąś kamienną kolumnę czy blok. Mężczyzna. Mężczyzna pozbawiony głowy. Poczł nieprzyjemne ssanie w żołądku. Drugie zdjęcie było zbliżeniem. Przedstawiało tylko jedną część ciała. Rękę trzymającą plastikową kartę, legitymację, którą od razu rozpoznał.

Legitymację policyjną z nazwiskiem Pedera Ungbeldta, pieczętą i logo KRIPOS.

* Wiesz, kto to? Wiesz, kto to?! To mój partner, Fredricu. To Peder Ungbeldt. Nie żyje!

W kuchni „Kasserollen” zapadła na chwilę brutalna cisza. Wreszcie Fredric chrząknął i spytał nieco zachrypłym głosem:

* Jak to się stało?

Skarphedin znów opadł na krzesło. Długo siedział z zamkniętymi oczyma.

* Nieco ponad tydzień temu został wysłany do piekła na ziemi * powiedział. * Do Nowej Gwinei. Do cholernej dziury należącej do Indonezji. Nie chciał pojechać, ale to był rozkaz Krondala. Zamordowano tam obywatela Norwegii.

* Został tam wysłany, by przeprowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa Norwega? * Fredric także usiadł. Zaczynał rozumieć.

* Tak. Norwega. Młodego mężczyzny. On także został znaleziony bez głowy. Skarphedin włożył nagle do ust trzy większe kawałki sera i popił je szybko winem sauterne.

Po chwili Fredric poznał główne wątki historii. Jakiś czas temu trójka aktywistów z Funduszu na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych wyjechała do indonezyjskiej części Nowej Gwinei, aby zebrać dowody w sprawie nielegalnej wycinki i eksportu drewna z lasów będących pod ochroną. Aktywiści najwyraźniej wykryli wiele nieprawidłowości, o czym donieśli władzom. Wtedy jeden z nich został zamordowany, a jego ciało odnaleziono bez głowy. Ministerstwo Spraw Zagranicznych skontaktowało się z policją w sprawie wysłania tam człowieka, który mógłby wesprzeć lokalne władze w śledztwie. Do tego zlecenia wybrany został Peder Ungbeldt.

* Peder był członkiem mojego teamu. * Skarphedin mówił cicho. * Był jednym z najlepszych. Po raz pierwszy Fredric zobaczył coś, co do tej pory uważał za niemożliwe. W oku twardego policjanta zakreśliła się łśnia ła.

* A teraz, do jasnej cholery, moja kolej! Krondal chce mnie tam wysłać.

Fredric nie odpowiedział. Siedział tylko, patrząc na wuja, który najwyraźniej daleki był od równowagi. Nie był sobą. Spróbował wyobrazić sobie Skarphedina w tak niegościnnym otoczeniu, w obcym kraju i nieprzyjaznym klimacie.

* Nie może tak być * kontynuował Skarphedin ledwie słyszalnym głosem. * Ty musisz pojechać tam ze mną, Fredricu. Nie jestem w stanie pojechać sam. Inaczej złożę wypowiedzenie! * Detektyw nagle wstał i zaczął wędrować po kuchni.

* Ja? Do Nowej Gwinei? Nigdy, wujku. To niemożliwe. Powinieneś porozmawiać ze swoim szefem, Krondalem. Powiedz mu, iż nie jesteś w stanie przyjąć tego zadania. * Fredric był zdecydowany. * Są chyba jacyś inni policjanci w KRIPOS...

Skarphedin podszedł nagle bardzo blisko. Wziął jedno ze zdjęć i wskazał na kamień, o który opierało się bezgłowe ciało.

* Widzisz te znaki, Fredricu? Jak myślisz, co to może być? * W jego głosie zabrzmiał jakiś weselszy ton.

Fredric znowu spojrział na fotografię. Starał się nie zwracać uwagi na martwe ciało. Skupił się na kamieniu. Wydawał się stary. Teraz on też dojrzał jakieś znaki, które zostały na nim wyrze. Dziwne symbole. Czy mogły przypominać polinezyjskie glify, które badał jakiś czas temu?

Coś zaczęło tykać w głowie Fredrica Drum. Ten pasjonat języków pierwotnych kultur i nieodszyfrowanych pism poczuł ogarniające go podekscytowanie.

Pojedzie do Nowej Gwinei?

Skarphedin Olsen patrzył stanowczo na swego dobrego przyjaciela i przełożonego w Centrali Policji Kryminalnej, Arthura Krondala.

* Zgodzę się pod jednym warunkiem, Arthurze * powiedział * a mianowicie, że mogę ze sobą zabrać Fredrica Drum. Bez niego nigdzie nie jadę.

* Wiesz, jak wiele ryzykuję? Wciągając cywila w tę tajną i bardzo poważną misję zleconą nam przez ministerstwo, mogę mieć poważne problemy, jeśli ktoś się o tym dowie. * Krondal otarł dłonią czoło.

* OK. No to wysyłaj sobie kogoś innego! * Detektyw gwałtownie wstał z krzesła. * Mój czas w KRIPOS dobiegł końca. I tak trwał zbyt długo!

* Siadaj, Skarphedinie. * Głos Krondala był łagodny. * Mogę wysłać kogoś innego, ale wiesz, dlaczego wybrałem ciebie. Po pierwsze, Ungbeldt pracował w twoim teamie i znał go na wylot. Znasz jego metody działania od podszewki i dlatego byłbyś w stanie podążać jego tokiem rozumowania.

Po drugie, to ty masz największe doświadczenie w takich jak ta delikatnych sprawach. Nie muszę chyba wspominać, że ta sprawa ma także oblicze polityczne? Wiesz, jak w takich

sytuacjach zachować się wobec osób, które są nad nami. A po trzecie, możesz zabrać Fredrica. Wiem, że jest bardzo inteligentnym i sprytnym człowiekiem. * Szef KRIPOS odchylił się na krześle.

Olsen usiadł. Nieco choleryczny grymas, który przed momentem pojawił się na jego twarzy, zniknął.

* Hmmm * zamruczał tylko. * Hmmm * powtórzył.

* Zarezerwuję bilety lotnicze tak szybko, jak to możliwe * kontynuował Krondal. *

Powinniście być na miejscu za parę dni.

Cisza.

Tylko tykanie starego zegara ściennego, który Krondal powiesił przy oknie.

* Delikatne sprawy, powiedziałaś? * Skarphedin uniósł brwi.

* Cóż, nasi aktywiści nie próżnowali. Odkryli naprawdę brudne interesy, a raporty, które wysyłali do Ministerstwa Ochrony Środowiska i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, są pełne poważnych oskarżeń o brak działań ze strony Norwegii. Przykładowo indonezyjska organizacja Tela*pak we współpracy ze swym brytyjskim partnerem EIA ujawniła niedawno szmuglowanie na wielką skalę zagrożonego wyginięciem drzewa merbau z Indonezji do Chin i USA. W grę wchodzi miliony dolarów. Ci, którzy stoją za przemysłem, muszą posiadać tak zwaną CL, clear licence, wydawaną przez firmy mające dobre kontakty w branży przewozowej i logistycznej. W związku z tym wymienia się parę norweskich spółek zarejestrowanych za granicą i wiele nazwisk. Rozumiesz?

Olsen przytaknął.

* Ten przemysł na gigantyczną skalę * kontynuował Krondal * odbywa się mimo tego, że indonezyjskie władze zakazały eksportu okrągłych bali, by w ten sposób rozprawić się z nielegalnym wyrębem. Aktywiści pracowali nad odkryciem, kto stoi za tymi przestępstwami, kto zapewnia certyfikaty CL i w jaki sposób obywatela się przemysł z indonezyjskiej prowincji Zachodnia Papua. Z pewnością znaleźli grupę ludzi skupionych w syndykatach, do których należeli także przedstawiciele lokalnej armii. Całość to zorganizowana siatka pośredników i negocjatorów. W grę wchodzi wielkie pieniądze, Skarphedinie, naprawdę wielkie. Za transport drewna szmuglerzy dają łapówki w wysokości pięciocyfrowych kwot w dolarach, aby nie dopuścić do zatrzymania towaru na indonezyjskich wodach przybrzeżnych.

* A to daje nam motyw brutalnego morderstwa. * Detektyw zmrużył oczy. * A niech mnie, Peder nie miał najmniejszych szans * dodał po cichu.

Cisza.

* A teraz * Skarphedin chrząknął * ja mam z tym zrobić porządek. Ile osób z batalionu Telemark dostanę w ramach wsparcia?

Po twarzy szefa KRIPOS przemknął cień uśmiechu.

* Będzie was bardzo niewiele, Skarphedinie, bardzo niewiele. Znów cisza.

* Ten faks * powiedział wreszcie Skarphedin, wskazując kartki na biurku Krondala * te zdjęcia... eee... Pedera zostały wysłane z urzędu lokalnej poczty, tak? Dostałeś je wczoraj przed południem?

* Tak. * Krondal skinął głową. * Przesłało nam je Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Poinformowali mnie, że przesyłka nadeszła anonimowo z poczty w Tanjung, miejscowości, w której przebywał Ungbeldt. Dziś późno w nocy dostałem to. * Pokazał palcem wskazującym kilka kartek. * Potwierdzenie. Raport tamtejszej policji. Piszą, gdzie i jak odnaleziono Ungbeldta i jakie podjęto działania. Wspominają o odszczepieńcach z prymitywnych autochtonicznych plemion, którzy sporadycznie schodzą z gór i atakują turystów. Niewiele. Są też przeprosiny.

* Przeprosiny. * Skarphedin wypluł to słowo. * A rodzina? Jak to przyjęli? Powiedziałaś chyba... * Skarphedin przerwał.

* Tak, poinformowałem rodzinę. * Krondal chrząknął i zajął się porządkowaniem papierów na biurku. * Załatwione. Sprowadzenie tutaj ciała Ungbeldta może jednak zabrać trochę czasu.

Znów milczenie. Tylko tykanie zegara ściennego.

* Proszę, Skarphedinie. * Krondal szybko wstał. * Tutaj masz kopie materiału zgromadzonego dotychczas w tej sprawie. Także w kwestii tych delikatnych spraw, o których poinformowało nas Ministerstwo Spraw Zagranicznych. * Pchnął ku śledczemu parę teczek. * Proponuję, byś dokładnie się z tym wszystkim zapoznał.

Skarphedin wziął teczki, wstał i ruszył ku drzwiom.

* A teraz zupełnie z innej beczki. * Krondal wyjął z kieszeni pudełeczko. * Wiesz, Skarphedinie...

Krótką pauza.

* Przez lata wiele razy byliśmy razem na rybach, a zaraz znów zacznie się sezon. Co myślisz o tych muchach do połowu łososi?

Olsen zajął do pudełka, całkowicie świadom tego, że ten gest był próbą rozluźnienia przytłaczającej atmosfery, która przez całą ostatnią dobę panowała w tym gabinecie.

* Wyglądają na bardzo dobre, Arthurze * powiedział. * Zwłaszcza ta. Fantastyczna. „Red Cock Flyer”. * Wyjął muchę z pudełka i spojrzał na nią pod światło.

* Zarezerwowałem miejsce na świetnym łowisku na Vestlandet pod koniec lata. * Chrząknął.

* Czternaście dni. Pomyślałem, że dam ci wtedy płatne wolne, więc w czasie wakacji...

Niektóre ze zmarszczek na twarzy Skarphedina wygładziły się.

* Dziękuję, Arthurze. Bardzo się cieszę. * Otworzył drzwi i opuścił gabinet szefa.

W swoim gabinecie położył teczki z materiałami dotyczącymi sprawy

na biurku, które do tej chwili było niemal higienicznie czyste i wolne od papierów i innych przedmiotów. Przez chwilę stał, spoglądając na teczki, jakby były wyjątkowo niepożądanymi tworam. Potem podszedł do okna i długo przyglądał się miastu. Wreszcie zbliżył się do szafki z materiałami archiwalnymi. Otworzył dolną szufladę i wyjął zużytą, lecz dość ciekawą brązową teczkę, która leżała na samym dole. Potem usadowił się przy biurku.

Powoli otworzył teczkę.

Brązowe pomięte kartki.

Ręczne notatki.

Parę wycinków z gazet.

To były papiery, które pozostawiła mu jego zmarła przed laty matka, Lara Drum Olsen.

Dawno już do nich nie zaglądał. Spojrzenie detektywa stało się matowe i pełne skupienia.

Jego ręka lekko drżała, kiedy zaczął je czytać.

Fredric Drum nie był zmęczony, mimo że dochodziła już pierwsza w nocy. Ostatni gość opuścił restaurację ponad godzinę temu. Kuchnia została wysprzątana i wszystko było już gotowe na kolejny dzień. Tob i uczennica, Maya Manuella, właśnie zamknęli za sobą drzwi.

Fredric pozostał sam.

Podszedł do szafki z winami.

Znalazł butelkę dobrego wina.

Burgundzkie Volnay Chateaux des Ducs.

Kieliszek i karafkę z wodą.

Potem usiadł przy swym małym prywatnym stoliku w głębi lokalu. Leżała tam opieczętowana paczka, którą wcześniej tego wieczoru przyniósł do restauracji kurier wysłany przez policję kryminalną z Helsfyr. Fredric przypuszczał, co mogła zawierać. Okazało się, że miał rację, gdy ją otworzył i wyjął kilka teczek z materiałem dowodowym.

Morderstwa na Nowej Gwinei.

Działacza na rzecz ochrony lasów deszczowych i policjanta.

Kopie raportów.

Kopie listów z norweskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.
Różne dokumenty przesłane faksem przez indonezyjskie władze.
I inne zgromadzone przez policję materiały.

Przez chwilę siedział, spoglądając na stos dokumentów i jednocześnie chłonąc zapach i smakując dobrego wina. Jaki w tym wszystkim, do licha, jest sens? Po co Skarphedin przysłał mu te papiery? Dlaczego on, Fredric Drum, w ogóle ma się w to mieszać? Nie jest śledczym. To praca wujka. Fakt faktem, że zgodził się na wyprawę na Nową Gwineę, ale chciał mieć możliwie jak najmniej do czynienia z tą sprawą.

Możliwie jak najmniej.

Najlepiej nic.

Albo?

Znów poczuł rosnącą ciekawość. Zaczął przeglądać dokumenty, ale po chwili odepchnął od siebie papiery i spakował je z powrotem. Musi być jakiś umiar. Ma inne rzeczy na głowie niż angażowanie się w śledztwo dotyczące morderstwa.

Zamiast tego zdjął parę książek z półki wiszącej nad stołem. Wybrał jedną i zaczął ją przeglądać, delektując się wspaniałym winem burgundz*kim. Naprawdę pojedzie na Nową Gwineę? Ustąpił prośbom wujka, ale dlaczego? Czy to z powodu dziwnych znaków, symboli wyrytych na kamiennym bloku, który znalazł się na groteskowym zdjęciu zamordowanego śledczego? Znaków, które mogły trochę przypominać te, których badaniem już kiedyś się zajmował. Nietypowych dla południowopolinezyjskiej kultury, jak pierwotnie sądził, ale charakterystycznych dla tajemniczej kultury, która wykształciła się na Wyspie Wielkanocnej, kultury długich uszu, po której pozostały dziwne zapisy. Symbole i znaki wyryte w drewnie i kamieniu. Do dziś nieodszyfrowane pismo rongo*rongo. Nikomu nie udało się odczytać tych symboli.

Czy to było powodem, iż wyraził zgodę? To, że nagle stanął przed szansą zbadania nowych, nieznanych kultur, które znały pismo? To byłaby sensacja, ale jak te znaki na zdjęciu w zasadzie wyglądały?

Przez chwilę żałował, iż nie poprosił wuja o kopię zdjęcia, najchętniej odpowiednio obciętego, żeby uniknąć groteskowego widoku bezgłowego śledczego. Spojrzał do książki, którą otworzył. Przyjrzał się ilustracji przedstawiającej przykład pisma rongo*rongo, ale nie był stanie stwierdzić, czy istniały podobieństwa między nim a pismem, które zobaczył na zdjęciu. Zaczął rozmyślać. Niejasne myśli krążyły mu w głowie. Miał problemy z koncentracją.

Zamknął książkę.

Nalał sobie więcej wina.

Pojedzie na Nową Gwineę tylko dlatego, że zobaczył jakieś dziwne znaki? Nie, pewnie, że nie dlatego. Fredric nagle zrozumiał. To stan wuja go martwił. Stan, w jakim trwał już od wielu tygodni. Jego niemal apatyczny i całkowicie obojętny stosunek do pracy, do prowadzenia śledztw, a tymczasem teraz zostaje wysłany do odległego miejsca z tak poważnym i odpowiedzialnym zadaniem. Czy ten szef KRIPPOS, Krondal, zwariował? Czy on i Skarphedin nie byli dobrymi przyjaciółmi poza pracą? Czy nie jeździli razem na ryby? Fredric nabrał podejrzeń. Czy to możliwe, by wujek tylko w jego obecności przejawiał obojętność, znużenie i zupełny brak zainteresowania pracą, a w kontaktach z kolegami zachowywał się całkiem normalnie? Na to pytanie nie znał odpowiedzi tu i teraz. Może uda mu się ją uzyskać podczas planowanej podróży. Będzie miał szansę zobaczyć Skarp*hedina w akcji, jako detektywa badającego okoliczności morderstwa. Przekona się, czy jest tak świetny, za jakiego uchodzi.

Mineła pierwsza.

Wypił pół butelki wina.

Jego myśli znów wróciły do zdjęcia.

Znaki na kamiennym bloku.

Czy mogły być stare?

Nagle wstał, przeciągnął się i chwycił teczkę z dokumentami policyjnymi. Oczywiście! Na pewno są wśród nich kopie przesłanych faksem zdjęć. Z zapalem zabrał się do grzebania w teczkach i znalazł to, czego szukał. Dwa zdjęcia, które przedstawiały zamordowanego śledczego. Zdawało mu się, że to przefaksowane oryginały.

Wziął jedną z kartek, wstał od stołu i podszedł do lampy. Zmrużył oczy i skupił się na kamiennym bloku za zamordowanym.

Nie było tam żadnych znaków!

Długo stał w ostrym świetle.

Żadnych śladów znaków na kamieniu.

Zwrócił jednak uwagę na coś innego.

To, że Finn Edwin Lindbom poza pracą sekretarza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych musiał także występować jako rzecznik prasowy, na ogół nie stanowiło dla niego większego problemu, ale właśnie teraz oparzył się kawą, rozlewając ją na rękę i blat biurka. Jasna cholera, pomyślał, próbując wytrzeć biurko. Był zestresowany, a nawet bardzo zestresowany, a do spotkania z prasą pozostało zaledwie pół godziny. Miał udzielić informacji na temat zabójstwa dwóch Norwegów za granicą. Sprawa została już rozdmuchana w największych gazetach. Urzędników ministerstwa zupełnie zaskoczył fakt, iż dziennikarze dotarli do informacji, które mogłyby wyjaśniać ewentualny motyw morderstw. Finn Edwin Lindbom nie miał ani przez chwilę wątpliwości, kto był sprawcą tego przecieku do prasy. Już wcześniej to przewidział.

Fundusz na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych.

Mają biuro w Oslo.

Idealiści cieszący się wsparciem wielu ludzi.

Przez ostatnie tygodnie bardzo naciskali zarówno na Ministerstwo Spraw Zagranicznych, jak i Ministerstwo Środowiska w kwestii podjęcia działań w związku z raportami nadesłanymi przez trójkę ich aktywistów wysłanych na Nową Gwineę, gdzie najwyraźniej prowadzono nielegalny wyrąb i eksport drewna. Raporty zawierały nazwy firm i nazwiska osób pochodzenia norweskiego, które zdaniem aktywistów w ten czy inny sposób mogły być zaangażowane w ten nielegalny proceder.

Ani Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ani cały rząd nie mogli nic zrobić.

To sprawa leżąca w kompetencjach władz indonezyjskich.

Czy ci aktywiści nie mogą tego pojąć?

Działacze tego nie rozumieli, a może raczej nie chcieli zrozumieć. Tak

po prostu było. To także Lindbom potrafił przewidzieć. Pewne sprawy były tak skomplikowane, że przekraczały możliwości pojmowania niektórych ludzi. Teraz jednak ta sprawa dostała się do prasy. Lindbom z irytacją spojrzął na swą zaczerwienioną rękę. Teraz, kiedy doszło do zabójstw, wymiar sprawy stał się zupełnie inny. Prasa zaangażuje się w poszukiwanie powodów i opinia publiczna może łatwo dać się zwieść i uwierzyć, że to opieszałość norweskiego rządu w ważnych międzynarodowych sprawach z zakresu ochrony środowiska była bezpośrednią przyczyną morderstw. Bardzo nieprzyjemna konkluzja. Bardzo drażliwa sprawa dla niektórych polityków.

Odbył długie spotkania z pierwszym sekretarzem.

Oraz z dwoma doradcami ministra spraw zagranicznych.

Sam minister był obecnie w podróży zagranicznej.

Skinęli głową, wysłuchawszy analiz Lindboma.

Przez rok pracy w ministerstwie Finn Edwin Lindbom niemal do perfekcji opanował sztukę niejasnych oraz niejednoznacznych wypowiedzi dla prasy oraz pokrętnego tłumaczenia. Teraz jednak zapomni o tych umiejętnościach. Będzie mówił bez owijania w bawełnę. Dosłownie,

wielkimi literami. Spojrzał na zegarek i usiadł przy biurku. Mocno trzymał kubek z kawą, przeglądając wewnętrzne dokumenty ministerstwa w tej sprawie.

Śledczy Centrali Policji Kryminalnej został zamordowany.

Teraz do Papui zostanie wysłany nowy, bardzo doświadczony policjant.

Do czego to doprowadzi?

Jest jednak jeszcze jeden mężczyzna.

Człowiek, z którym na co dzień ma kontakt.

Lindbom zamknął oczy i skinął głową.

Tym razem aktywiści zwyciężą.

Przeglądał wewnętrzne dokumenty, z których większość była opatrzona czerwoną pieczęcią POUFNE, aż znalazł to, czego szukał. Raport poświęcony firmom, które zajmowały się importem drewna. Po raz n*ry przeczytał dokument i z wolna kiwnął głową.

Ten raport nie został opracowany przez Fundusz na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych czy jego aktywistów.

Finn Edwin Lindbom wstał, poprawił krawat przed lustrem i udał się na spotkanie z prasą.

Lot był długi i nudny. Fredric siedział przy przejściu, a wuj przy oknie. Skarphedin Olsen

zasnął od razu po międzylądowaniu w Dubaju, po tym, jak Fredric odmówił posiłku

podawanego w samolocie i zamiast tego wyjął ich własny, specjalnie przygotowany prowiant

z kuchni „Kasserollen”, składający się z wędzonej piersi gołębia siniaka, gęsich wątróbek,

kawioru z łososia i innych przysmaków. Poza rym zabrał parę butelek wina ze swych

zapasów. Teraz zbliżali się do lądowania w Dżakarcie, gdzie będą musieli przez cztery

godziny czekać na samolot do Jayapury w zachodniej części Gwinei. W przeciwieństwie do

wuja, Fredric przez całą drogę nie spał i wykorzystywał czas na myślenie o czymś innym niż

ich misja, która po tym, jak zapoznał się z materiałami dotyczącymi sprawy, wcale nie

wydawała się najprzyjemniejsza. Odłożył książki o polinezyjskich mitach o stworzeniu

świata.

Złożył plansze rongo*rongo.

Znaki wydawały się trudne do odszyfrowania.

Nie miał jednak zamiaru poddać się.

Jeśli ma tę podróż wykorzystać na coś sensownego, to musi to być zagłębienie się w kulturę,

o której bardzo niewiele wiedział. Może uda mu się odnaleźć jakiś wspólny punkt wyjścia dla

kultur, które rozwinęły się na wschodzie Nowej Gwinei, na Wyspie Wielkanocnej na

zachodzie i na leżących na południu w stronę Pitcairn Island wyspach polinezyjskich. Czy

rozwinęli język pisany? Czy istniały jakieś znaki lub symbole? Przez chwilę spoglądał na

śpiącego Skarphedina. Stary i siwy, lecz wciąż przenikliwie logiczny. W obliczu wyzwania

prawdziwy choleryk. Zrozumiał to parę dni przed wyjazdem. Wuj, stary spryciarz, posunął się

do nieco nieczystej zagrywki, by zachęcić Fredrica do wyjazdu, a to musiało oznaczać, że

jego towarzystwo w tej podróży miało dla Skarphedina ogromne znaczenie. Ale dlaczego?

Teraz tego nie wiedział, ale na pewno pozna odpowiedź.

Szturchnął wuja.

Krótko przed lądowaniem w Dżakarcie.

To dobry moment.

Musi powiedzieć Skarphedinowi, że wie.

Śledczy zaczął się wiercić, ziewnął i przeciągnął się. Wymasował stopy i spojrzął na zegarek,

a potem nacisnął przycisk przywołujący obsługę samolotu i poprosił o szklankę wody.

* Z tego, co widzę, zaraz wylądujemy. * Spojrzał przez okno.

* Wujku * Fredric starał się brzmieć stanowczo * ile w ogóle jest kopii tych zdjęć, które przesłano do was anonimowo faksem, a które przedstawiają Ungbeldta przy tej kolumnie czy kamiennym bloku?

* O co ci chodzi? * Skarphedin spojrzął na niego surowo.

* O nic, tylko że w teczce, którą mi przesłałeś, są zupełnie inne kopie niż te, które pokazałeś mi za pierwszym razem.

* Możliwe, możliwe. * Wzrok detektywa stał się trochę rozbiegany. * I co z tego? Muszę iść do toalety, nim wylądujemy. Przesuń trochę swe chude nogi, chłopcze!

* OK. Zaczekaj trochę. * Fredric nie poruszył się, a tylko chrząknął, próbując zmusić wuja do spojrzenia na niego. * Tych znaków na kamieniu za Ungbeltem o dziwo nie ma na kopii w teczce.

Skarphedin nagle spojrzał na niego ostro.

* No dobra, nie było tam żadnych znaków. Teraz jednak jesteśmy razem w drodze na tę przeklętą wyspę i to się liczy. Zresztą tam może być wiele głazów i nikt nie wie, czym mogą cię zaskoczyć, mój chłopcze! * Napiął mięśnie karku, zdecydowanie podniósł brodę i zrobił minę, która jednoznacznie wskazywała na to, że ma zamiar podnieść się z fotela. Fredric z trudem zdławił uśmiech.

* Dobrze, wujku. Zrobiłeś kopię przesłanej faksem fotografii i narysowałeś na kamieniu jakieś fantastyczne symbole. Muszę przyznać, że nieźle ci poszło. A potem zrobiłeś kopię tej kopii i pokazałeś ją mnie, prawda? * Uniósł się trochę, by wuj mógł przejść. * Uważałeś, że to mnie tak zainteresuje, iż zgodzę się na przyjazd tutaj. Mogę cię jednak uspokoić * i tak bym pojechał, wujku.

* Wujku i wujku * parsknął Skarphedin Olsen i zniknął w przejściu. Minął prawie kwadrans, nim wrócił na miejsce.

* Przepraszam. To nie było fair z mojej strony * mruknął.

* Było, minęło * powiedział Fredric zdecydowanym głosem. * Poza tym odkryłem na zdjęciu coś innego. Coś bardzo dziwnego. Porozmawiamy jednak o tym, gdy już będziemy na miejscu.

O dziwo, ta tajemnicza informacja nie wzbudziła ciekawości wuja. Zamiast tego Skarphedin oparł się wygodnie, zapiął pas i zamknął oczy. Samolot zszedł do lądowania w stolicy Indonezji, Dżakarcie.

Kiedy Fredric obudził się prawie dziewięć godzin później * zasnął niemal natychmiast po tym, jak o wiele mniejszy i mniej luksusowy samolot opuścił Dżakartę i wziął kurs na archipelag dalej na wschód * wuj siedział z rozłożoną na kolanach wielką mapą. Mapą Irian Jaya; tak brzmiała pierwotna nazwa Nowej Gwinei. Fredric przeszedł się do toalety i parę razy obmył twarz wodą, nim poczuł się jako tako rozbudzony. Było około godziny piątej po południu lokalnego czasu, kiedy trzydziestego marca wylądowali w Jayapurze. Ich podróż jednak nie dobiegła jeszcze końca. Pojadą dalej na samą północ wyspy, do małej miejscowości o nazwie Tanjung.

* Widzę, że przyglądasz się krajobrazom. * Fredric usiadł. Wuj nie odpowiedział.

Jego palec wskazujący wędrował po mapie. Wreszcie zatrzymał się.

* Mniej więcej tutaj * powiedział. * Tutaj zniknął.

* Kto zniknął? * Fredric wpatrywał się w punkt, który wskazywał palec wuja. Daleko od wybrzeża. W głębi lądu. * Kto zniknął? * powtórzył.

* Mój dziadek. Twój pradziadek. Fredric Drum. * Złożył mapę i nagle ze schowka na siedzeniu wyjął brązową podniszczoną teczkę. * Przeczytaj to.

Wziął teczkę, spoglądając pytająco na detektywa. Ujrzał dziwny zapach w jego oczach. Fredric otworzył teczkę i zaczął czytać.

Szefowi policji dokucza bolący ząb,

dzika świnia traci prawe oko, a Fredrica Drum zdumiewa zapięcie pewnej koszuli

Najwyższy zwierzchnik policji na Irian Jaya, majori polki Gumali Al* bapung Fy, stał oparty o kolumnę przy śluzie bezpieczeństwa na lotnisku w Jayapurze i przeklinał bolący ząb, który zaczął mu dokuczać jakąś godzinę temu. Próbował złagodzić ból, żując w połowie wypalonego papierosa, co jednak nie przyniosło mu znaczącej ulgi. Zastanawiał się, czy ból

będzie widoczny na jego twarzy. W obliczu spotkania z norweskim policjantem nie może stracić nic ze swej godności. Spotkanie to miało zaś nastąpić lada moment. Jeśli było coś, w co Gumali Albapung Fy wkładał wiele wysiłku i o co bardzo się starał, to właśnie o to, aby cały czas emanować godnością, autorytetem i dumą. Znajdowało to także wyraz w jego zachowaniu i ubraniach. W trzydziestym piątym roku życia ważył dobrze sto czterdzieści kilogramów i był prawie tak szeroki jak wysoki. Mimo to mundur policyjny leżał na jego puszystym, okrągłym ciele nadspodziewanie dobrze. Zawsze świeżo wyprasowany i czysty, wolny od jakichkolwiek zabrudzeń czy plam. Wokół talii mężczyzna nosił lśniący pas, przy którym zamocowana była służbowa broń * pistolet w skórzanej pochwie.

Musi się postarać, by ukryć ból zęba.

Samolot z Dżakarty właśnie wylądował.

To na jego pokładzie miał przylecieć norweski policjant.

Krótkie wprowadzenie, pomyślał, parę fraz grzecznościowych i będzie mógł pozostawić mu tę sprawę, którą sam miał niewielką ochotę się zająć, ale którą chętnie widziałby rozwiązana, gdyż dotknęła tragicznie także dwojga jego podwładnych, z których jednego uznano za zaginionego, a drugiego zamordowano. Europejczycy. Norwegowie. Dwóch zamordowanych Norwegów. O co tutaj chodzi? Pokonanie tak dalekiej drogi z odległego kraju na północy Europy tylko po to, aby się dowiedzieć, dlaczego ktoś został zamordowany, przechodziło jego pojęcie. Dlaczego życie mieszkańców zachodu jest o tyle więcej warte niż życie innych? Tutaj nagła śmierć, morderstwa były chlebem powszednim. Wcale nie budziły sensacji. Sprawiedliwości musiało jednak stać się zadość. Sprawcy, mordercy i włamywacze, winni być pojmani, osądzeni i uwięzieni, ale istniały jeszcze inne zasady, które indonezyjscy pryncypałowicie musieli cenić. Niemal dziecinnie, okrągła twarz Gumaliego Albapunga Fy przybrała wyraz niebiańskiego spokoju, kiedy mężczyzna dotknął palcami plakietki, którą cały czas nosił na lewej kieszeni. Przedstawiała symbole Pancasila, pięć zasad:

Gwiazda, która oznacza pierwiastek boski.

Łańcuch oznaczający wspólnotę.

Drzewo banian będące symbolem nacjonalizmu.

Głowa bawołu symbolizująca wolność i demokrację.

Kłos ryżu i gałązka bawełny * symbol sprawiedliwości społecznej.

Szef policji wiedział, że niewielu nosi teraz ten znak. Pancasila była nauką poprzedniego prezydenta, Suharto. Dlaczego ten wielki mąż stanu w swoim czasie popadł w niełaskę? To także przekraczało jego pojęcie. Swoją plakietkę otrzymał właśnie z rąk prezydenta Suharto, gdy zdał egzamin policyjny najwyższego stopnia, majori polisi, i wiedział, że już zawsze będzie nosił te symbole na piersi. Kiedy wreszcie otworzyły się drzwi hali przylotów, z wielką uwagą przyglądał się wychodzącym, a jednocześnie z całych sił starał się ukryć ból zęba.

Starszy, szczupły mężczyzna o ostrych rysach twarzy zatrzymał się w połowie hali przylotów, pośpiesznie rozejrzał się dokoła, postawił bagaż, wyjął chusteczkę i osuszył sobie czoło.

Towarzyszył mu o wiele młodszy jasnowłosy mężczyzna. Czy to ta dwójka? Nim zdążył się nad tym zastanowić, mężczyźni dziarskim krokiem ruszyli w jego kierunku. Akurat w chwili, kiedy miał uścisnąć rękę starszego policjanta, ból zęba z wielką mocą zaczął promieniować mu do czoła i w tył głowy. Gumali Albapung Fy wykrzywił twarz w grymasie, a na czole poczuł krople potu. W tej samej chwili pojął, iż jego powaga i dostojeństwo przestały być widoczne, a jego twarz wręcz utraciła ten wyraz na zawsze, czego wtedy jeszcze nie wiedział, ale co potem zrozumie.

* Szef policji Albapung Fy, jak sądzę? Tu jest cholernie gorąco i wilgotno! Ma pan klimatyzację w samochodzie i coś zimnego do picia? * Skarphedin rzucił parę krótkich zdań biegłą angielszczyzną.

* Eee... Samochód jest... * Szef policji zaciął się.

Nie tak miało być. Spojrzał na dłoń, która właśnie została uwolniona z mocnego uścisku norweskiego policjanta. Przez parę godzin ćwiczył frazy grzecznościowe z nadzieją, iż ich spotkanie skończy się już na lotnisku. Miał poprosić szofera, aby zawiózł gości do domu w najlepszej dzielnicy miasta, i odejść z godnością, zadowolony, że sprawa zostanie teraz przekazana władzom innego kraju. Ból zęba i głowy były nie do wytrzymania, a jego zadbane twarz stała się mokra od potu. Gorączkowo starał się znaleźć odpowiednie słowa, ale Norweg go uprzedził.

* Nie możemy tu tak stać. Proszę podejść tam do lady z naszymi papierami i dopilnować, byśmy zostali odprawieni tak jak należy. Ze wszystkim niezbędnymi stemplami w paszportach, dobrze? My tu zaczekamy. A tak poza tym to przedstawiam panu mojego współpracownika, Fredrica Drum. * Detektyw KRIPOS pchnął Fredrica w stronę komendanta i jednocześnie wetknął w lewą dłoń tego ostatniego paszporty i papiery.

Fredric z uśmiechem skinął głową. Współpracownik? Nic jednak nie powiedział.

Gumali Albarung Fy zrozumiał, że przegrał coś, czego w zasadzie nie można wygrać czy przegrać. Tępo wlepił wzrok w plik papierów, który nagle wciśnięto mu w dłoń, zawierający między innymi dwa czerwone paszporty. Spojrzał z powątpiewaniem na kolejkę do kontroli przylotów. Czy powinien tam pójść? Ma się ustawić w kolejce? Spojrzenie, które posłał mu norweski policjant, spowodowało, iż już po chwili znalazł się w kolejce, a jego postawa emanowała smutkiem i bólem.

* A to ci klucha! * Skarphedin zmrużył oczy, spoglądając na pocącego się policjanta. * Mogę się założyć, że każdy gram tego ciała wyhodowany jest na łapówkach, korupcji i niecznych transakcjach.

* Nie możesz chyba być aż tak tego pewny? * Fredric z pewnym zdumieniem przyglądał się pełnemu wyższości zachowaniu wuja w stosunku do szefa policji.

* Pewny? Ha! * Skarphedin Olsem spojrzał na sufit hali przylotów, który był aż czarny od owadów. * A jak myślisz, nad czym spędziłem ostatnią dobę w Oslo? Research, mój drogi Fredricu! To, czego jeszcze nie wiem

o indonezyjskiej policji, nie jest warte mojej wiedzy. Mamy moje kontakty i moje metody. * Z dumą uniósł brodę.

W oczekiwaniu na opieczętowno paszportów i papierów Fredric próbował wczuć się w atmosferę tego obcego miejsca i przyrzeć się ludziom. Wuj. Co się dzieje ze Skarphedinem? W ciągu ostatnich dni przed wylotem w wujku zaszła ogromna zmiana. Cała obojętność, apatia i brak zainteresowania pracą policjanta zniknęły. Wróciło jego dawne "ja", i to z wielkim zaangażowaniem oraz energią. Fredric wiedział, że właśnie tak powinien zachowywać się Skarphedin Olsen, ale skąd ta nagła zmiana? Czy to dlatego, iż jeden z jego najbardziej zaufanych kolegów został zamordowany? Możliwe. Tak pewnie było, ale zmiana zaszła w chwili, gdy Fredric wyraził zgodę na przyjazd tutaj. Czyżby wuj chciał mu pokazać, czym się zajmuje? Mimo wszystko Fredric czuł niewypowiedzianą radość, widząc, iż wuj znów przejawia swą bystrość i gotowość do działania, choć chwilami, jak na przykład przed chwilą w konfrontacji z szefem policji, Skarphedin mógł się wydawać trochę zbyt niecierpliwym i aroganckim.

Puszysty policjant wrócił w końcu z paszportami i papierami. Pokazali je przy wyjściu, gdzie na widok komendanta paru odzianych w mundury służbistów stanęło na baczność. Majori polisi Albarung Fy ledwie zaszczycił ich rzuconym z ukosa spojrzeniem. Z radością stwierdził, że ból zęba nieco złagodniał. Teraz chciał wreszcie wymienić grzeczności, by znaleźć się w domu przed kolacją. Zerknął na swój złoty zegarek, który świetnie rzucał się w oczy. Było kwadrans po piątej.

* Mamy tutaj w pobliżu, panie Olsen, pomieszczenie zarezerwowane dla VIP*ów i policji. Tam możemy omówić formalności i...

* Teraz absolutnie nie mamy na to czasu * przerwał mu Skarphedin. *

Może nam pan załatwić coś zimnego do picia? A potem zaprowadzi nas pan do biura i migracyjnego.

* Ale przecież załatwiłem już sprawę z waszymi papierami. * Poczuję, że zaraz coś w nim pęknie.

* Do diabła, człowieku! * Detektyw stanął na wprost policjanta, który był od niego o głowę niższy. * Nie o nasze papiery chodzi. Chyba mają państwo tutaj jakieś protokoły, w których zapisujecie przyjeżdżające osoby? Chcę natychmiast mieć w nie wgląd. Chyba pan wie, gdzie się znajdują? Ale najpierw coś zimnego do picia! * Skarphedin wskazał bar w pobliżu wyjścia z lotniska.

Coś całkowicie zgasło na okrągłej, gładkiej twarzy Gumaliego Alba* punga Fy. To, co zaczynało pękać, pękło, ale nie pociągnęło za sobą wściekłości czy przekleństw, a tylko niepokój i strach. Poczuję coś, czego nigdy nie doświadczył. Porzucił próby wzbudzenia respektu i podziwu. Jego głowa skinęła, a parę sekund później zauważył, że pędzi do baru po coś zimnego do picia. Jego otyłe ciało bardziej się toczyło niż biegło. Pomyślał, że gdyby zasady prezydenta Sukarno przetrwały w nowej Indonezji i Pan* casila cieszyłaby się szacunkiem, żaden obcokrajowiec nie mógłby tak się zachowywać w jego kraju, zwłaszcza w stosunku do wysolonego stopniem urzędnika państwowego.

* Tutejsza ta woda? * Skarphedin patrzył nieufnie na przyniesioną mu butelkę.

* Czysta woda, bardzo czysta. Z gór. * Szef policji przytaknął z zapalem.

* Jak to smakuje, Fredricu?

* Wspaniale, wujku. Jest świeża i smaczna. Może trochę zbyt gazowana. * Fredric pił wielkie łyki ze swej butelki.

Skarphedin napił się, popłukał usta i znów się napił.

* Dobrze * powiedział i przyjaźnie szturchnął szefa policji. * No to teraz możemy pojechać do biura imigracyjnego, co? Ma pan chyba w samochodzie miejsce na nasze bagaże? Znów potakiwanie. Albalung Fy poczuł, że ból zęba powraca. Poza tym czuł w gardle bolesną kluskę. Udało mu się ją przełknąć. Chwycił się myśli, że niedługo pozbędzie się tych kłopotliwych przybyszów. Po wizycie w biurze imigracyjnym, które znajduje się w odległości zaledwie paru kilometrów stąd, Norwegowie zostaną przywiezieni z powrotem na lotnisko i specjalnie zamówiony mały samolot zabierze ich do Tanjung na północnym wybrzeżu, gdzie zostały popełnione morderstwa. Znowu spojrzął na zegarek. Za niecałą godzinę goście, których zaprosił na dzisiejszy wieczór * wicegubernator, dwóch poruczników armii i młode dziewczęta, które wybrał * przybędą do jego willi na wystawną kolację. Przez chwilę na jego ustach zagościł uśmiech.

Wyprzedził w bramie dwóch obcokrajowców i ruszył na parking. Za* trzymał się przy fontannie i wyjął z wewnętrznej kieszonki gwizdek. Jego dźwięk był głośny i przenikliwy. Po chwili ich oczom ukazała się czarna mazda, jeden z największych i najdroższych modeli. Powoli podjechała na miejsce, w którym stali. Wysiadł odziany w mundur szofera. Skłonił się i otworzył wszystkie drzwi oraz bagażnik.

* A niech mnie, fajną ma brykę * powiedział Skarphedin po norwe*sku. * Wyobrażam sobie, że Krondal też chciałby taką mieć.

Fredric nie odpowiedział, tylko rozglądał się po otaczającym go krajobrazie, słuchał dochodzących do niego dźwięków i wdychał zapachy. To Nowa Gwinea, pomyślał, wsiadając do samochodu.

W drodze do biura imigracyjnego nie padło zbyt wiele słów. Skarphedin otworzył swą torbę podróżną i wygrzebał jakieś papiery, które zaczął przeglądać. Szef policji przyciskał jedną dłoń do policzka, który zaczął już puchnąć. Wiedział, że w domu ma jakieś silne tabletki, więc ból nie zburzy pełnego atrakcji programu na wieczór.

Zatrzymali się przed szarym murowanym budynkiem.

Skarphedin wyskoczył z pojazdu.

Szef policji przepuścił ich w drzwiach.

Długi korytarz pachnący kamforą.

Kolejne drzwi.

Trzy młode kobiety wyglądały na zaskoczone, kiedy do ich ciasnego gabinetu wszedł komendant w towarzystwie Skarphedina i Fredrica. Kobiety momentalnie wstały i zastygły w jakiejś sztywnej postawie powitalnej, kiedy rozpoznały majora polisa. On skinął dłonią, by usiadły, i zaczął im coś bardzo szybko tłumaczyć po indonezyjsku, gestykulując przy tym grubymi rękami.

* Jakie protokoły chce pan zobaczyć, panie polisi Olsen? * zapytał z przesadną uprzejmością.

* Dotyczące osób przybyłych do Indonezji w ciągu trzech ostatnich miesięcy * odpowiedział stanowczo Skarphedin.

Po jeszcze paru minutach gestykulowania i rozmów jedna z kobiet przyniosła podniszczony, dość obszerny protokół i położyła go przed Skarphe*dinem. Szef policji wyjaśnił, że protokół zawiera spis wszystkich przyjezdnych niebędących Indonezyjczykami z wszelkimi informacjami. Zielony stempel przy nazwisku oznacza, iż dana osoba opuściła wyspę.

* W porządku * przytaknął Skarphedin. * Mógłby pan poprosić tę panią, aby otworzyła książkę w miejscu, w którym chciałbym zacząć, to jest na dacie pierwszego stycznia bieżącego roku? Mogę dostać długopis i kartkę?

Fredric Drum także nie pozostawał bezczynny. Po tym, jak nawąchał się intensywnego zapachu perfum dwóch młodszych kobiet, które od czasu do czasu zerkały w jego stronę, Skarphedin rozkazał mu sporządzić parę list. Najpierw listę interesujących ich osób, które z jakiegoś powodu przybyły na Irian Jaya i wciąż powinny się tutaj znajdować, a potem listę osób, które już wyjechały. Wpierw mieli skoncentrować się na Skandynawach. Przejrzenie stron od pierwszego stycznia do teraz, to jest do końca marca, zajęło kwadrans. Przez ten czas szef policji niecierpliwie chodził w tę i z powrotem po gabinecie. Fredric zdołał zanotować następujące nazwiska osób, które wciąż jeszcze powinny przebywać w Indonezji:

Carl Christian Ender

RolfHakkeng

Tor Henry Astviner

Johnny Haglund

Hans Mercur Elfhamrnar

Jan Vennali

Sara Enghall

Alban Trossig

Hannę Ambjorg

Preben Ambjorg

Peder Ungbeldt

Lista osób, które przyjechały i opuściły Indonezję, przedstawiała się następująco:

Halle Buttermo

Jens Ivar Draggerdal

Palie Jemen

Lars Oscar Larsson

Stina*Lisa Larsson

Tom Ebert Evertsen

Obok imion i nazwisk zapisał datę przyjazdu i ewentualnego wyjazdu, a także informację, która z osób była w posiadaniu tak zwanego suratja*lan, specjalnego zezwolenia na wjazd do dżungli i górskich terenów w głębi ładu. Fredric zwrócił uwagę na to, że przy nazwiskach Jana Vennaliego i Pedera Ungbeldta znajdował się żółty stempel z indonezyjskim tekstem, którego nie rozumiał. Znaczenia mógł się jednak domyśleć.

Skarphedin Olsen zamknął protokół. Schował notatki do wewnętrznej kieszonki i kiwnął głową kobietom, a Fredric uśmiechnął się do nich i uklonił się nisko. Na korytarzu znaleźli komendanta, który wciąż przyciskał dłoń do lewego policzka.

* Jak widzę, dokucza panu ból zęba. * Skarphedin stanął naprzeciwko niskiego, krępego mężczyzny. * Proszę otworzyć usta i dać mi spojrzeć.

Bez jakiegokolwiek próby protestu czy odzyskania choć krzty utraconej godności, Gumali Albapung Fy rozdziawił usta tak mocno, jak potrafił, spoglądając z niepokojem na norweskiego detektywa.

* O mój Boże! * krzyknął Skarphedin i jeszcze bardziej otworzył usta policjanta. * Musimy się z tym uporać jeszcze tego wieczoru, bo inaczej może pan umrzeć na to, co w Norwegii nazywamy suhtuli yulgaru dento*ris mortis. Bardzo nieprzyjemna i nagła śmierć!

Do tej chwili na policzkach szefa policji były ślady zdrowych rumieńców, ale teraz momentalnie zniknęły. Zrobił krok w tył i zacisnął usta, a na jego czole pojawiły się nowe krople potu.

* Co pan ma na myśli? Umrę? * Jego głos stał się piskliwy.

* Właśnie tak, umrze pan. * Skarphedin ruszył ku wyjściu, gdzie czekał samochód. * Nawet dobrze się składa, bo właśnie teraz pojedziemy do kostnicy, panie szefie policji.

Jeśli myśli Albapunga Fy ogólnie były stosunkowo jasne, pomijając panujące w nich przez ostatnią godzinę lekkie zamieszanie, to teraz w jego głowie zapanował jeden wielki chaos. Kostnica? Umrze? Pojadą do tutejszej kostnicy? Co takiego norweski policjant zobaczył w jego ustach? Skulił się na przednim siedzeniu obok kierowcy i próbował się skoncentrować. Wreszcie odwrócił się do dwójki mężczyzn na tylnych siedzeniach.

* Ale z pana żartowniś, polisi Olsen. Wracamy na lotnisko, prawda? Czekają tam na panów prywatny samolot...

* Powiedziałem, że jedziemy do kostnicy. * Głos Skarphedina był surowy. * Chcę na własne oczy zobaczyć moich zmarłych rodaków. Mam tutaj dokumenty od indonezyjskich służb, z których wynika, iż zwłoki obcokrajowców, którzy poniosą śmierć w Indonezji, są przechowywane w tutejszej kostnicy przez dwadzieścia dni, nim zostaną odesłane do ojczyzny. Tak nawiasem mówiąc, to bardzo dziwny proceder, ale rozumiem, że ma to pewnie związek z chorobami zakaźnymi.

Coś nagle rozluźniło się w piersiach szefa policji. Ogarnęła go jakaś wyzwająca radość, że po raz pierwszy od chwili spotkania z tymi obcokrajowcami może zdobyć nad nimi przewagę.

* Aha. Chciałby pan zobaczyć swoich martwych rodaków. * Alba*pung Fy mówił nienormalnie wolno. * Jednak pana nieżyjący rodacy nie znajdują się tutaj, polisi Olsen. Zostali przewiezieni do Dżakarty, jak wszyscy obcokrajowcy, którzy umierają na wyspach, Irian Jaya na wschodzie i Sumatrze na zachodzie.

* Więc nie ma ich tutaj * powiedział Olsen. * No cóż. * Bębnił mocno palcami w skórzany fotel szofera. * Niech pomyślę * kontynuował. *Zatem proszę poprosić kierowcę, aby nas zawiózł na lotnisko.

Kiedy samochód ruszył, z ust szefa policji dało się słyszeć westchnienie ulgi. W drodze niewiele rozmawiali. Fredric próbował zrelaksować się po tym nieco gwałtownym spotkaniu z obcym krajem i kulturą. Hiperaktyw*ne zachowanie Skarphedina i jego arogancja wciąż go zaskakiwały. Miał parę pytań, z którymi nie mógł czekać. Samochód zajeżdżał pod lotnisko. Kierowca wyskoczył i otworzył drzwi.

* Cóż * powiedział Skarphedin, kiedy powoli wyszedł z pojazdu i zerknął na zegarek. * Jest wpół do siódmej. Tutaj bardzo szybko zapada zmrok. Powiedzmy, że wróci pan w ciągu godziny ze swoim osobistym bagażem, by pojechać z nami do Tanjung, co, panie Fy?

* Ale przecież ja nie... * Szef policji dosłownie wytoczył się z samochodu. * Pan... Pan chyba źle zrozumiał, drugi polisi Olsen. Moje instrukcje... eee... moje przekonanie, że sprawa zostanie powierzona panom... To wielki zaszczyt...

* Wydaje mi się, że opuchlizna na pana policzku szybko się zwiększa! * Skarphedin podszedł do szefa policji i surowo spojrzął mu w twarz. *Może pan znów otworzyć usta? Nim Gumali Albatung Fy zdążył pomyśleć, znów stał z rozdziawionymi ustami przed norweskim detektywem. Przepaść między strachem a buntem stała się zbyt wielka, by mógł ją pokonać. Czuł się bezsilny i bezradny.

* Kiepsko, bardzo źle. * Skarphedin pokiwał głową. * Nie może pan jeść, pić ani oddawać się jakiegokolwiek aktywności seksualnej, zanim ząb nie zostanie usunięty. Rozumie pan? * Zacisnął szczęki mężczyzny.

Szef policji przytaknął energicznie.

* Poradzimy sobie z tym * kontynuował Olsen * ale wpierv przyniesie pan wszystko, czego będzie potrzebował w Tanjung, w tym wszelkie dokumenty dotyczące naszej sprawy. Chcę także dostać oryginalne zdjęcia ofiar. Da pan radę w ciągu godziny, prawda? * Na jego twarzy pojawił się nagle rozbrajający szeroki uśmiech.

* Nie, nie. * Albatung uparł się tak mocno, jak potrafił * Nie. Nie pojedę do Tanjung. To panom należy się ten zaszczyt...

* Będę zatem zmuszony donieść na pana do ministra sprawiedliwości w Dżakarcie. Jak on się nazywa? Gigawatti, jeśli się nie mylę * przerwał mu Skarphedin. * Chyba zna pan to nazwisko?

Coś mrocznego pojawiło się na twarzy szefa policji. Przełykał i przełykał ślinę z taką miną, jakby część mózgu trafiła mu do przełyku. Wreszcie wykrztusił:

* Pan kontaktował się więc z Giga...

* Właśnie. * Skarphedin chwycił walizkę, którą kierowca wyjął z bagażnika. * Mamy kontakt na bieżąco, pan Gigawatti i ja. Oczekuję więc, iż pojawi się pan tutaj w ciągu godziny. Gotowy do podróży. Proszę nie zapomnieć zabrać dokumentów, materiałów dotyczących sprawy i kolorowych fotografii ofiar.

Skarphedin Olsen odwrócił się, puścił oczko do Fredrica i zrobił znak, by udali się do budynku terminalu. Fredric nie dał się prosić dwa razy. Cieszył się, że scenka z szefem policji wreszcie dobiegła końca. Poczul silne pragnienie.

* Wiesz, mój chłopcze * powiedział Skarphedin, kiedy znaleźli wolny stolik w miejscu przeznaczonym na restaurację * Krondal powiedział mi przed wyjazdem, iż nie powinienem za bardzo zagłębiać się w śledztwo prowadzone w związku z tą sprawą. Ale ja zrobię coś zupełnie przeciwnego. Inaczej żaden z nas nie wyjedzie stąd żywy!

Te słowa uderzyły Fredrica i od razu przeszły mu ciarki po plecach. Ale dojrzał geniusz w taktyce wuja i z wolna skinął głową.

Wciągu tych nielicznych chwil, gdy był przytomny, rejestrował w pobliżu czyjąś obecność. Ktoś o coś pytał. Słyszał głos, ale nie mógł odpowiedzieć. Nie miał ust. A może to głosy w jego głowie, wytwory podświadomości, cienie? W ciemności nie było cieni, w tej bolesnej, kłującej ciemności, która go otaczała. Czy były tutaj żywe stworzenia? Czuł, że coś stanęło mu w gardle. Wypluł to. Coś kleistego spłynęło mu po brodzie i od razu potem poczuł na twarzy coś mokrego. Woda! Zlizał jej krople i zakaszłał. Nie widział! Dlaczego nic nie widzi? Nie pamięta? W jego głowie nie było żadnych wspomnień. Tylko pytania, które przenikały do niego. Z zewnątrz? Nie mógł odpowiedzieć. Nicość. Po prostu nicość. Dlaczego nie może naprawdę się obudzić? Przez parę sekund starał się wstać, podnieść głowę, ale nie był w stanie. Dźwięki! Słyszał dźwięki. Kroki, ostrożne, posuwiste kroki, ptaki, wiele ptaków. Były wszędzie wokół niego. Ale gdzie jest jego ciało? Ręce? Nogi? Próbował czuć, ale jego ciała nie było. Żadnego bólu. Tylko ciemność, która wkrótce znów stanie się absolutna. Znów

odpłynie, zniknie. Głosy? Ktoś go woła! Czy to był głos? Przez chwilę przypomniał sobie, co się stanie. Wkrótce ogarnie go ta miękkość. Ogarnie, ogarnie... Miękkość, która przykryje jego twarz tak, by mógł odlecieć, zniknąć, oddalić się od tego snu, tych krzyków, tych pytań, zniknąć na zawsze. Potężnym zrywem spróbował się podnieść, wyrwać się, odnaleźć znów to, co musiało być jego ciałem, poczuć ból tak, by jego myśli znów stały się jasne. Jednak nic nie było jasne. Opadł i poczuł, że coś położyło się na jego twarzy, że się uśmiechnął i zrobił głęboki wdech. Zapadł się głęboko, głęboko, głęboko... Odpłynął.

Carl Christian Ender spoglądał na stos papierów leżących na biurku przy faksie. Tego popołudnia przyszło kilka bardzo pozytywnych informacji. Mógł więc pozwolić sobie na uśmiech. Teraz widział, jakim sprytem wykazał się Rolf. Jak w każde późne popołudnie wspólnik wypoczywał w swym łóżku piętro wyżej, przygotowując się na pełną atrakcji noc. Nie mógł pojąć, jaką radość Hakkeng mógł czerpać z uprawiania seksu z tymi tłustymi, spoconymi i śmierdzącymi dziwkami z ulic, które w Dżakarcie wyszły już z mody i dlatego przyjechały tutaj. O gustach się nie dyskutuje, pomyślał i chwycił butelkę whisky, która miała na jego biurku stałe miejsce. Napił się prosto z butelki. Na nowo zajął się przeglądaniem nadesłanych dziś papierów.

Tego popołudnia był jednak trochę smutny, gdyż dotarła do niego wiadomość, że Holender Jerimiah Verkeuteren, którego nie widziano już od paru dni, prawdopodobnie po pijaku spadł z nabrzeża i utonął. Holender, zepsute indywiduum z niejasną przeszłością, które najwyraźniej przebywało tutaj od lat, żebrak i pijak, którego przedstawił im Tor Henry Astviner, był użyteczny dla Endera i Hakkenga. Dzięki jego pomocy zawarli wiele lukratywnych kontraktów.

Mieli uzgodnione trzy nowe transporty.

Dwa do Chin i jeden do USA.

Kontrakty były potwierdzone.

Nowy tartak znacznie wszystko upraszczał.

Justin i Ferdinand Culpepper, JFC, bracia.

A Rolf Hakkeng miał pełną kontrolę nad współpracownikami.

Poza tym mieli widoki na spore zamówienie z Emiratów Arabskich i Kuwejtu. Astviner mówił o tym od wielu tygodni. A teraz wszystko stało się łatwiejsze. Zaledwie parę miesięcy temu ryzyko było znacznie większe. Wtedy drewno z nielegalnego wyrębu, przywożone na wybrzeże samochodami w asyście skorumpowanych policjantów, musiało być przed wysyłką opatrzone certyfikatem. Certyfikatem CL, clear licence, który był dowodem na to, że drewno wywożone jest zgodnie z prawem. Bez tego certyfikatu niewielu przewoźników oddawało do dyspozycji swoje statki. Pewnie, że były wyjątki. Carl Christian Ender i Rolf Hakkeng oraz ich firma ILE znaleźli lukę. Zdobycie fałszywych certyfikatów było możliwe, ale wymagało szalenie dużych honorariów dla cichych współpracowników. Zwłaszcza wojskowi wykazywali się wielką chciwością, a i Tor Henry Astviner także do najskromniejszych nie należał.

Jednak z otwarciem nowego tartaku wszystko się zmieniło. Prawodawstwo w dziedzinie transportu drewna nakładało surowe restrykcje na wywóz tylko okrągłych bali drewna. W przypadku już pociętego materiału uzyskanie zezwolenia na eksport stawało się o wiele łatwiejsze. Właśnie dlatego pojawienie się braci Culpepper było błogosławieństwem. Ci Amerykanie mieli tartaki w różnych rejonach Azji. Także tutaj na wyspie, bardziej na wschód, w samodzielnym państwie Papua Nowa Gwinea. Dzięki wielkiej sile przekonywania i presji wywieranej na braci Hakkeng sprawił, iż ci założyli tartak właśnie w miejscu, gdzie Ender i Hakkeng mieli swe małe królestwo. Za rok, pomyślał Ender i wypił łyk whisky, będą mogli wycofać się z tego biznesu i już nic nie robić do końca życia. Carl Christian Ender miał jasne plany na przyszłość. Miał jeden cel i nikt, absolutnie nikt, nie przeszkodzi mu w osiągnięciu go po tych wszystkich ciężkich latach.

Wstał od biurka.

Odłożył cygaro.

Wytarł kąciki ust.

Dochodziła ósma. Było już ciemno.

Stał przez chwilę, słuchając chrapania Hakkenga.

Potem odsunął siatkę zasłaniającą drzwi i wyszedł.

Ulice jak zwykle były mokre i błotniste po obfitej popołudniowej ulewie. Wkrótce jednak sezon monsunów dobiegnie końca i wtedy wszystko wyschnie. Przeklinał czarne błoto, które lepilo mu się do butów. Skręcił w ciemny zaułek oświetlony jedną samotną żarówką. Dobrze znał drogę. Ostatnio bardzo często nią chodził. Już po chwili usłyszał głosy podnieconych mężczyzn dochodzące z dużego baraku leżącego na samym skraju miasta. A także przeraźliwy kwik dzikich świń, które wpadły już we wściekłość.

W słabo oświetlonej bramie został zatrzymany przez dwóch mężczyzn.

Rozpoznawszy go, skinęli głowami i przyjęli od niego zwitek rupii.

Smród panujący w środku był nie do opisania, ale Ender już się do niego przyzwyczaił i za bardzo mu nie dokuczał. Właśnie teraz poczuł szybszy puls. Wiele razy zastanawiał się, jak to się stało, iż tak bardzo go to wciągnęło. Było to w każdym razie lepsze niż burdel Mamma Suggosabols.

To Ferdinand Culpepper, jeden z braci będących właścicielami tartaku, stworzył to widowisko parę miesięcy temu, a lokalna ludność dała się skusić zakładom. Niemal każdy mężczyzna w mieście, który miał trochę grosza, znajdował się tutaj w dni, gdy odbywały się walki dzikich świń.

Lokal wypełniał odór parującego potu mężczyzn, którzy stojąc ciasno, wrzeszczeli jeden przez drugiego. Sama arena w środku baraku miała kształt owalu i mierzyła jakieś dziesięć metrów w najszerszym miejscu, a na obu jej końcach stały klatki, w których znajdowały się szczególnie agresywne pa*puañskie dzikie świny, o czym Ender później się przekonał, i knur, który mógł ważyć nawet dwieście kilogramów i miał ostre kły o długości dwudziestu centymetrów. Świny zostały pojmane w głębi wyspy przy znacznej pomocy lokalnej ludności, która dzięki temu mogła zarobić trochę grosza.

Zakłady.

Zakłady na najbardziej prymitywnym poziomie.

Ale niesamowicie fascynujące, pomyślał Ender.

Krwawy sport, którego celem zawsze jest śmierć.

Ferdinand Culpepper o tym wiedział.

Oddychał ciężko w ścisku, zerkając w jeden koniec baraku, gdzie znajdował się podest z widokiem na arenę. Na tym podeście siedział sam właściciel i rozkoszował się widowiskiem, podczas gdy jego strażnicy podawali mu zimne napoje. Ender uniósł rękę i z uśmiechem pozdrowił Culpeppera, a ten podniesionym kciukiem odwzajemnił pozdrowienie. Potem Ender ustawił się w kolejce mężczyzn, którzy powoli poruszali się wokół klatek. Przed postawieniem pieniędzy należało dokładnie przyjrzeć się zwierzętom. Nim zbliżył się do pierwszej klatki, rozpoznał wysokiego szczupłego mężczyznę o jasnych włosach, z aparatem fotograficznym na piersiach,

który opierał się o ogrodzenie po drugiej stronie. Co ten dureń, do cholery, tutaj robi? Alban Trossig, aktywista. Czy tutaj też węszy? Nawet po tym, co stało się z policjantem? Na ustach Endera pojawił się nie najpiękniejszy uśmiech przypominający grymas. Kiedy wreszcie pojmą, że w tej części świata nie ma miejsca na ich idealizm? Czego potrzeba, by wygonić ich stąd raz na zawsze?

Zbliżył się do klatki, wciąż zerkając na Albana Trossiga, ale ten, co dziwne, wydawał się bardzo zainteresowany tym, co działo się za ogrodzeniem, i wcale nie zauważył Endera, który właśnie teraz zajął się oglądaniem świń. . Co on tutaj, do licha, robi? Szpieguje, aby się

dowiedzieć, co En*der i Hakkeng robią w wolnym czasie? A może to Ferdinand Culpepper go interesuje? Robi zdjęcia? Jak bardzo sprytni są ci aktywiści i co przyszło im teraz do głowy?

Ender poczuł niepokój.

Ustawił się przy stoliku bukmachera. Rzucił na stół gruby plik rupii.

* Czerwona * powiedział, gdy bukmacher podliczył pieniądze i zanotował kwotę.

W ostatnim czasie przegrał tutaj dość znaczną sumę pieniędzy, ale zabawa była przednia.

Lubił widok dzikich zwierząt, które rozszarpują się nawzajem. Taki jest świat, myślał. To natura. Stał za jakimiś malajskimi Papuańczykami, którzy mocno śmierdzieli olejem kokosowym. Cały czas czujnie śledził rodaka po drugiej stronie pomieszczenia. Ten odsunął się teraz trochę od ogrodzenia i ukrył za grupką ciemnoskórych mężczyzn.

Walka wkrótce się zacznie.

Ktoś przebiegał po arenie wewnątrz ogrodzenia.

Wylewał jakąś żółtą ciecz.

Mocz samicy dzikiej świni.

Ten zapach wzbudzał w samcach niesamowitą agresję.

Wreszcie otwarły się klatki i świnię wybiegły na arenę. Na grzbiecie jednej widniał czerwony krzyż, a na drugiej * niebieski. Przez następne pół godziny barak wypełniała kakofonia kwiku świń, żywe gesty i krzyki kibiców. Zwierzęta długo walczyły na równym poziomie, aż wreszcie niebieska świnię wbiła kiel w oko czerwonej. Ząb wwiercił się w czaszkę zwierzęcia i po jeszcze paru minutach dzikiej walki czerwona świnię padła na grzbiet. Jej ciało przeszyło parę skurczów i zwierzę skonało.

Ender poczuł, że jest mokry od potu.

Zerknął na drugą stronę.

Albana Trossiga nie było.

Znów poczuł niepokój, ale wzruszył tylko ramionami i przeciskając się przez gromadę przegranych, ruszył ku wyjściu. Reszta widzów, zwycięzcy, zgromadzili się wokół bukmachera, aby odebrać wygraną.

Majori polisi Gumali Alwapung Fy nie odezwał się ani słowem od chwili, kiedy punktualnie stawiał się na lotnisku, a kierowca przeniósł jego bagaż do czekającego tam małego samolotu. Jego twarz wyrażała, co myślał i czuł. Skarphedin Olsen i Fredric Drum także niewiele rozmawiali. Ostatni etap ich podróży, przelot do Tanjung, trwał zaledwie pięćdziesiąt minut, a godzinę po przylocie byli już zakwaterowani w jedynym w miasteczku hotelu, tym samym, w którym mieszkał Peder Ungbeldt. Szef policji wyraził życzenie zamieszkania u swych amerykańskich przyjaciół, ale Skarphedin ostro się temu sprzeciwił. Alwapung Fy miał zająć pokój obok niego i być do jego dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Szef policji musiał się na to zgodzić. Skarphedin powiedział mu także, iż przede wszystkim powinien natychmiast odwiedzić jakiegoś lekarza bądź dentystę, by tym samym zwiększyć swe szansę przeżycia tej nocy. Jeśli ząb nie zostanie wyrwany, to jutro może w ogóle się nie obudzić. Szef policji pojął powagę sytuacji i z wielkim mozołem wniósł swą walizkę do pokoju, który został mu przydzielony.

Fredric Drum zamknął drzwi swego pokoju.

Poczuł zmęczenie.

Było w pół do jedenastej.

To miejsce było o wiele gorsze, niż sobie wyobrażał.

To, co udało mu się zauważyć w ciemności z okien rozpadającej się taksówki, gdy jechali z lokalnego lotniska do tego miasta, wcale go nie zachwyciło. Powietrze było ciężkie i wilgotne, ulice śmierdzące i zabłocone. To miejsce było naznaczone biedą i panowała w nim mało zachęcająca, pełna brutalności atmosfera.

Otworzył okno wychodzące na ulicę i wyjrzał na zewnątrz. Po ulicy wóczyły się grupki złożone głównie z mężczyzn. Bardzo hałasowali. Niektórzy pili piwo i wyraźnie byli pijani. Zamknął okno i spojrzał na jedyne w pokoju krzesło. Bez rewelacji, pomyślał. Otworzył walizkę i zaczął wypakowywać rzeczy. Gdzie może ułożyć książki i plansze, które ze sobą zabrał? O kulturze basenu Oceanu Spokojnego i o piśmie rongo*rongo? Czy da radę tu popracować? Jak spędzi nadchodzące dni? Po chwili zaczął układać książki na podłodze. Póki co nie miał wyjścia. Może potem uda mu się pożyczyć od gospodarza hotelu jakiś stolik. Pomyślał, że to miasto i ta wyspa są mało reprezentatywne dla tego kraju. Wiedział, że wyspa jest porośnięta imponująco bujną roślinnością i zamieszкана przez niespotykane okazy fauny, a osiadłe tutaj prymitywne plemiona od setek lat żyją w tradycyjny sposób. Poza terenem tego miasta tak właśnie musi być. Czy uda mu się tego doświadczyć?

Na chwilę zatopił się w myślach.

Skarphedin Olsen pokazał mu coś w samolocie. Teczkę ze starymi dokumentami i wycinkami z gazet dotyczącymi historii ich dziadka i pradziadka, starego Fredrica Drum. Dokumenty te były mu całkowicie nieznane. Czy jego pradziadek naprawdę założył w Paryżu restaurację o nazwie „La Casserolle”? Fredric ze zdumieniem czytał o przygodach i podróżach, które mężczyzna odbył, i o tym, jak w końcu zaginął właśnie na Nowej Gwinei w tajemniczych okolicznościach.

Skarphedin pokazał mu to miejsce na mapie.

To było w górach.

Na niedostępnym terenie.

Mówiło się, iż Fredric Drum wszedł do groty.

I nigdy już z niej nie wyszedł.

Wuj mówił o tym przez ostatnią część podróży, nim wylądowali w Jaya*purze. Opowiadał z zapalem i niemal gorączkowym błyskiem w oku. Fre*drica zaskoczyło to, że pradziadek tak bardzo intryguje Skarphedina. Obaj nie interesowali się rodziną czy swoim pochodzeniem, bo ani jeden, ani drugi nie mieli żadnych żyjących krewnych, a tymczasem Skarphedin nagle z takim zaangażowaniem o tym mówił, analizował mapę i kiwał sam do siebie głową. W końcu Fredric doszedł do wniosku, że w ten sposób wuj chce odreagować, wyłączyć się, odwrócić myśli od nieprzyjemnej misji, z jaką tu przybył, a mianowicie od śledztwa mającego na celu odnalezienie mordercy aktywisty i norweskiego policjanta, i to nie byle jakiego policjanta, ale kolegi z pracy i przyjaciela.

Znowu spojrzał na zegarek.

Dochodziła jedenasta.

Usłyszał kroki na korytarzu.

Skarphedin zapukał do drzwi. Zastanawiał się, czy Fredric jest gotowy do wyjścia. Uzgodnili, że spróbują znaleźć jakiś lokal, gdzie będą mogli coś zjeść. Pierwszy wieczór po drugiej stronie kuli ziemskiej chcieli zakończyć jakiś lepszym posiłkiem i czymś dobrym do picia, jeśli coś takiego w ogóle tutaj istniało.

* Udało mi się zapędzić go do dentysty. * Detektyw wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

* Całkiem nieźle * odparł Fredric. * Biedak. Nie wydawał się najszcześliwszy z powodu tego, w jaki sposób go potraktowałeś.

* Wierz mi, Fredricu, mam w tym swój cel.

* Postawiłeś mu wspianą diagnozę. Nie przypuszczałem, iż Centrala Policji Kryminalnej opiera swe metody działania na blefowaniu i wymyślaniu nieprawdopodobnych historii. * Fredric żartobliwie spojrzał na wuja, a ten cichutko chrząknął.

* A co z tym ministerstwem w Dżakarcie i tym, jak powiedziałeś, Gi*gawattim? * kontynuował Fredric. * Czy to ktoś, z kim jesteś na bieżąco w kontakcie, czy...

* Uświadom sobie jedną rzecz, chłopcze * przerwał mu detektyw i spojrzał na niego z powagą. * Jeśli jest coś, do czego bardzo, ale to bardzo się przykładam, to jest to wstępne śledztwo i zdobycie pewnych

informacji. Wiem na przykład, że nasz najdroższy szef policji jest do cna zepsuty, skorumpowany i nieuprzejmy. Dowiedziałem się także, iż najbardziej na świecie boi się tego, że zostanie przedstawiony w złym świetle swym przełożonym w Dżakarcie. Poza tym wiem również, iż Gumali Albapung Fy został przydzielony do tego dystryktu w jednym z najmniej popularnych rejonów Indonezji, bo wciąż jest wyznawcą starych ideałów z czasów prezydenta Sukarno. Te ideały wiszą jednak na włosku. Czasy się zmieniają i popularność zyskują nowe poglądy. To polityka, Fredricu, a nią nie będziemy się tutaj wcale zajmować. Nasz drogi Albapung Fy ma swoje problemy, a my postaramy się je wykorzystać. Ot i tyle. Fredric skinął głową i zamknął drzwi do pokoju na klucz.

Po długiej rozmowie z recepcjonistą, młodym chłopcem pełniącym nocny dyżur, który posługiwał się prymitywną angielszczyzną, zrozumieli, iż najlepszą restauracją w mieście jest „Ulabaya Tuak”. Musieli pójść jakieś sto metrów w dół głównej ulicy, a potem skręcić w zaułek na lewo. Skarp*hedin podziękował za informację i wręczył chłopakowi banknot rupii. Na ulicy zostali osaczeni przez handlarzy, którzy usiłowali im wcisnąć różne rzeczy, od japońskich bawełnianych majtek po aromatyczne olejki kokosowe i futerały na penisa. Jakos udało im się od nich opędzić i dotarli do zaułka, gdzie miał znajdować się lokal. Ku wielkiemu zaskoczeniu stanęli przed całkiem zachęcającym wejściem. Oświetlony szyld informował, że to restauracja. Ulica była wolna od błota i wyłożona kamieniami. Skarphedin energicznie strząsnął błoto z butów, a Fredric z uwagą spojrzał na coś, co mogło być menu. Nie rozumiał ani słowa.

Weszli do chłodnego lokalu, w którym panował półmrok.

Stoły z obrusami.

Pod sufitem lampy z papieru ryżowego.

Nie było wiele stolików, ale większość z nich była wolna. W jednym rogu siedziało ciemnoskóre małżeństwo z trójką dzieci, a w innym para dobrze ubranych Indonezyjczyków. Od razu podeszły do nich dwie młode dziewczyny w turkusowych sukienkach i z uśmiechem poprowadziły ich do stolika. Skarphedin grzecznie podziękował po angielsku, ale dziewczyny potrząsnęły głowami i zaćwierkały coś w swym niezrozumiałym języku. Podały im menu i odeszły.

* I bądź tu człowieku mądry * mruknął Skarphedin, spoglądając na menu. * Nie mówią tutaj po angielsku? Rozumiesz coś z tego, Fredricu?

* Nie * odpowiedział. * W takich sytuacjach mam sprawdzone rozwiązanie. Możemy wziąć wszystkiego po trochu.

* Bardzo rozsądnie * przyznał Skarphedin.

Po pewnym czasie udało im się wyjaśnić kelnerkom, czego sobie życzą. Chcieli spróbować wszystkiego, co było w menu, ale w bardzo małych, maleńkich ilościach. Dziewczęta uśmiechnęły się i z zapalem skinęły głowami.

Na stole pojawiły się dwie plastikowe butelki wody i dwa kieliszki wypełnione czymś przezroczystym. Fredric powąchał napój i posmakował go.

* Nie najgorsze * stwierdził. * Słodkie. Pachnie kwiatami. Można powiedzieć, iż przypomina trochę tokaj.

Po wielu uśmiechach, żywej wymianie gestów i próbach porozumienia Fredric dowiedział się, że alkohol nazywa się tuak i jest wytwarzany z soku drzewa palmowego.

* To naprawdę miłe zaskoczenie, mój chłopcze. Tu jest czysto i porządnie, a te zapachy dochodzące z kuchni... * Detektyw wydawał się zadowolony.

Po pewnym czasie na stole pojawiło się wiele maleńkich dań. Wyjaśniono im, że jedno z nich to mie goreng, a pozostałe nazywają się nasi padang, pisang gorang i opór ayam. Smażony,

mocno przyprawiony ryż, fasola w sosie z papai, ryż w liściach bananowca, kurczak w mleczeniu kokosowym i sate, kawałeczki różnych rodzajów grillowanego mięsa podawane z sosem z orzeszków ziemnych.

Na stół trafiła także butelka australijskiego wina marki, o której żaden z nich nie słyszał. Wino było ciemne, o głębokim i przyjemnym smaku, niezbyt kwaśne. Wspaniale sprawdziliby się w każdej lepszej restauracji.

Jedli w milczeniu.

Fredric próbował zapomnieć o przykrym wrażeniu, jakie wywarł na nim ten kraj.

Pierwsza doba zdawała się trwać całą wieczność.

Dziwne, ale nie czuł się zmęczony.

Co stanie się w ciągu następnych dni?

* Peder, Peder Ungbeldt. * Skarphedin odłożył sztućce i wypił łyk wina. Zmrużył oczy i powiedział z powagą: * Myślę, że był bliski rozwiązania sprawy. Rozmawialiśmy trochę przez telefon. Podczas naszej ostatniej rozmowy wydawał się zadowolony i wspomniał, że chyba zna już rozwiązanie. Ale, niech to szlag, oni okazali się szybsi! Kiedy dowiedziałem się, że został zamordowany, Krondal i ja natychmiast skontaktowaliśmy się z hotelem, w którym mieszkał i w którym my teraz mieszkamy, z prośbą o zabezpieczenie jego rzeczy. Peder był bardzo dokładny w kwestii raportów. Pisał ręcznie i wychodził z założenia, że powinien zanotować wszystko, co wie. Poza tym był w posiadaniu sprytnego małego dyktafonu, którego bardzo umiejętnie używał. * I wiesz, co się stało?

* Tak. Przejrzałem przecież materiały dotyczące tej sprawy...

* Cóż * przerwał mu Skarphedin * włamano się do jego pokoju. Wszystkie dokumenty zaginęły. Żadnego dyktafonu. Pozostały tylko ubrania, walizka i przybory toaletowe. Właściciel i obsługa hotelu przysięgają, iż nie mają pojęcia, jak i kiedy do tego doszło, ale to musiało się wydarzyć nocą, gdy został zamordowany. Nawiasem mówiąc, mieszkam teraz w pokoju Ungbeldta. * Skarphedin oderwał kawałek chleba sago, zamoczył go w miseczce z sosem i zjadł.

* To źle. * Fredric wlepił wzrok w obrus.

* Do jasnej cholery, przewrócę tę dziurę do góry nogami i nie poddam się, dopóki nie pojmem morderców Pedera! * warknął Skarphedin. Jedna z dziewcząt, która zbliżała się właśnie do stolika, zawróciła.

Fredric nie odpowiedział, bo cóż mógł rzec?

* Ten kraj to żyła złota, Fredricu. * Skarphedin był już spokojniejszy i pochylił się nad stołem. * Eldorado dla pozbawionych moralności i zasad etycznych, goniących za zyskiem ludzi. złoto to lasy deszczowe, drewno, o czym z pewnością dobrze wiesz. Wielkie pieniądze i niesamowite bogactwo dla tych, którzy mają gdzieś prawo międzynarodowe! Łatwa kasa, a im kieszenie stają się bardziej nabite pieniędzmi, tym mniej miejsca na moralność. W końcu całkowicie zanika. Tak właśnie, krótko mówiąc, mają się sprawy w tym miejscu, Fredricu! Nie musimy szukać motywu zabójstwa Jana Vennaliego i Pedera. Motywy są jasne jak słońce. Naszym zadaniem jest znalezienie tych osób, które pod ciężarem złota zapadły się tak głęboko w błoto, że nie wahają się popełnić morderstwa, a właściwie egzekucji!

* Naszym zadaniem? Chyba twoim? * Fredric poczuł się niekomfortowo.

* OK, OK, mój chłopcze. Możesz robić, co uważasz za najlepsze. Udało mi się w każdym razie ustawić tę skorumpowaną kluczę, szefa policji Fy, na pierwszej linii frontu. Wierz mi, że wykorzystam go jak najlepiej potrafię, i to on znajdzie się tutaj w centrum uwagi! *

Uderzył energicznie w stół.

* Rozumiem * powiedział Fredric cicho * ale Ungbeldt miał dwóch lokalnych policjantów do dyspozycji. I nie na wiele mu się to zdało.

* Właśnie. * Detektyw nagle się uśmiechnął. * Ale skoro nie było tu żadnego szeryfa, oni byli zupełnie bez znaczenia. Nie stanowili żadnego zagrożenia dla sił, które stały za tym wszystkim.

Fredric wyjął z kieszeni przedmiot, który zawsze ze sobą nosił. Piękną pięcioramienną kryształową gwiazdę. Lubił dotykać kryształu, lubił jego perfekcyjny kształt. Przyjemnie było trzymać ten przedmiot, bawić się nim, kiedy koncentrował się na przykład na smakowaniu win czy sosów. Teraz przyglądał się kolorom, które załamywały się w słabym świetle wiszącej nad stołem lampy z papieru ryżowego.

* Wracając do protokołu w biurze imigracyjnym * powiedział ze spokojem i schował gwiazdę do kieszeni * dlaczego sprawdzaliśmy tylko dane Skandynawów?

* Wydaje mi się * odparł detektyw, mrużąc oczy * mam przeczucie, że nasi aktywiści zajęli się czymś, co może mieć wielkie znaczenie dla Norwegii. Umieściłem jednak naszą ojczyznę w jednym szeregu z Danią i Szwecją. Może się mylę, ale gdzieś musimy zacząć. Sprawdzimy te osoby tak szybko, jak się da.

* Czytałeś dokumenty, które przyniósł nam szef policji? Widziałem, że wręczył ci w samolocie jakąś teczkę.

* Zapoznam się z nimi dzisiejszej nocy. Nie czuję się zmęczony. * Skarphedin rozlał resztę wina z butelki. * Mam jednak zdjęcia, które zrobiła lokalna policja. Patrząc z punktu widzenia techników policyjnych, straszne. Są kolorowe. Niezbyt przyjemny widok. * Pogrzebał w wewnętrznej kieszonce i wyjął plik zdjęć.

Fredric wziął je z wahaniem.

* Tak w ogóle to chciałbym, żebyś zastanowił się nad jednym ważnym pytaniem, chłopcze. Dlaczego ktoś wysłał anonimowo faks ze zdjęciem martwego Pedera z tutejszego urzędu pocztowego? Jaki był cel i kto to zrobił?

On powinien się nad tym zastanowić? Fredric przejrzał niezbyt ostre zdjęcia. Pozbawione głów ciała Jana Vennaliego i Pedera Ungbeldta zostały sfotografowane pod różnymi kątami. Nie miał ochoty tego oglądać! A jednak to robił. Zatrzymał się przy jednym zdjęciu, które przedstawiało Ungbeldta. Oczywiście na kamiennym bloku, o który się opierał, nie było nawet śladu jakichkolwiek symboli czy znaków. Było jednak coś innego, co zastanowiło go już wtedy, kiedy pierwszy raz zobaczył to zdjęcie.

* Koszula Ungbeldta * powiedział i spojrzął Skarphedinowi w oczy. * Spójrz, jak dziwnie jest zapięta.

Detektyw nie odpowiedział od razu. Siedział, patrząc Fredricowi w oczy.

* Właśnie, Fredricu, właśnie * rzekł wreszcie.

Jest mowa o możliwości odznaczenia medalem, Fredric Drum wie, że zagadki Wyspy Wielkanocnej nie zostały rozwiązane, import bibelotów to wątpliwy biznes i pojawiają się mało atrakcyjne spodnie

W hotelu, w którym mieszkali, było szesnaście pokoi mieszczących się na trzech piętrach, z czego najwyższe rzadko wykorzystywano. Tego dowiedział się Skarphedin Olsen z rozmowy z pełniącym nocny dyżur chłopcem, który wydawał się co prawda niegłupi, ale za to przesypiał większą część dyżuru. Powiedział, że to dlatego, iż nocą rzadko ktoś wchodzi do hotelu bądź wychodzi. Teraz poza szefem policji Alpapungiem Fy, Fredri*kiem Drum i Skarphedinem Olsenem, w hotelu było tylko dwóch gości. Jednym z nich był Chińczyk o nazwisku Teng Fung Li, a drugim inżynier z Nowej Zelandii zajmujący się tartakami, Greg Buckenwood. Chińczyk mieszkał w hotelu już od trzech tygodni, a Nowozelandczyk przyjechał dwa dni temu. Chłopiec z chęcią opowiadał, widząc banknoty, które Skarphedin położył tego ranka na ladzie. Teraz detektyw siedział w małej jadalni, popijał czarną kawę i przeżuwał chleb sago z zieloną słodką marmoladą.

Mało spał tej nocy.

Ponownie przejrzał akta sprawy.

Także te, które dostarczył mu komendant policji Fy.

Zdjęcia.

Potwornie się wściekł na widok tego, jaką fuszerkę odwaliła lokalna policja. Żadnych przesłuchań, niedokładne przeszukanie miejsca zbrodni. Najwyraźniej mieli gdzieś to, że cztery osoby zostały zamordowane przez tego samego sprawcę. Cztery osoby, włączając w to policjanta Annego Bo*lipoma i jego kolegę Goriona Sena, którego wciąż uznawano za zaginionego. Teraz jednak, do jasnej cholery, troszkę inaczej podejście do sprawy! Detektyw zaklął w duchu i postawił filiżankę z kawą na stół z taką siłą, że aż rozlał trochę napoju. Pośpiesznie zerknął na zegarek; wskazówki pokazywały wpół do siódmej. Żaden z pozostałych gości jeszcze nie wstał.

W nocy długo przyglądał się zdjęciom zamordowanego Ungbeldta, zarówno tym oryginalnym kolorowym, jak i tym przesłanym anonimowo faksem. Badał każdy najdrobniejszy szczegół. Nie odkrył jednak niczego nowego. Niełatwo było zidentyfikować bezgłowe, zakrwawione ciało, ale jednego był pewien * zamordowany miał na sobie ubranie Ungbeldta. Rozpoznał koszulę i spodnie. Nie był jednak pewien co do butów. Były zabłocone. Czerwono*brązowe błoto pokrywało też nogawki ofiary. Poza

tym wszystkie rzeczy, które miał przy sobie Ungbeldt, zostały sfotografowane: portfel z zawartością, odznaka i zegarek. Mimo to w myślach detektywa pojawił się cień wątpliwości, czy osobą na zdjęciu jest śledczy Centrali Policji Kryminalnej Peder Ungbeldt, a nie ktoś zupełnie inny. Opierał swe podejrzenia na fakcie, iż koszula Ungbeldta była niewłaściwie zapięta, jakoś krzywo, a guziki nie znajdowały się we właściwych dziurkach. To bardzo zaskoczyło Skarphedina, gdyż Ungbeldt przywiązywał wielką wagę do swego wyglądu i zawsze chodził porządnie ubrany. Jednak skoro osobą na zdjęciu nie jest norweski śledczy, to kto nią jest? I gdzie się podział Ungbeldt? Jest w miejscu, z którego nie może dać znaku życia? Ciało odnaleziono sześć dni temu. Skarphedin Olsen zmrużył oczy i odegnał jakieś dokuczliwe owady.

Czyżby zdjęli z Ungbeldta koszulę?

Może go torturowali?

I znów ubrali?

Po odcięciu mu głowy?

Na pierwszy rzut oka widać było, że koszula nie była zabrudzona zbyt wielką ilością krwi. A więc nie mógł jej mieć na sobie w chwili zabójstwa. Te pytania krążyły w głowie Skarphedina tego ranka. Odrąbywanie ludziom głów jest spektakularną formą zabójstwa. Kto mógł zdobyć się na takie bestialstwo? Wiedział, że tu i teraz nie pozna odpowiedzi na to pytanie. Znowu spojrzał na zegarek. Zastanawiał się, czy nie pójść na górę i obudzić komendanta, tę kluczę, którego nie widział od chwili, kiedy wczoraj wieczorem posłał go do lekarza lub dentysty. Da mu jeszcze pół godziny. Za to Fredric może spać tak długo, jak zechce. Chłopak potrzebuje wypoczętego umysłu i jasnego spojrzenia. Skarphedin przytaknął sam sobie.

Miejsce zbrodni.

Ungbeldta znaleziono w porcie.

Jana Vennali w zaułku.

Żadnego z ciał nie próbowano ukryć. Wprost przeciwnie. Detektyw znowu zajął się przeglądaniem teczek, które leżały przed nim na stole. Znalazł bardzo ogólnikowe opisy miejsc, w których odkryto ciała. Podsumowując, Jan Vennali został znaleziony pod ścianą domu, był dobrze widoczny dla przechodzących obok osób. Ciało zostało tam umieszczone pod osłoną nocy, ale chłopak zmarł wiele godzin wcześniej. Wynikało to z powierzchownie przeprowadzonej obdukcji. Zwłoki Pedera Ungbeldta znaleziono rano, kilkaset kilometrów od zaułka, w którym parę godzin wcześniej natrafiono na ciało zamordowanego policjanta.

Zwłoki opierały się o jeden z kamiennych bloków będących pozostałością starego portu. Ślady, czyżby nie było żadnych śladów? Śledczy znów poczuł, że zaczyna kipieć gniewem z powodu niedbałej pracy tutejszych policjantów. Ten gniew ogarniał go z coraz większą siłą, kiedy przypominał sobie końcowy wniosek zapisany w raporcie: zabójstwa najprawdopodobniej zostały popełnione przez odszczepieńców z prymitywnych plemion żyjących w głębi lądu. Motywem była zemsta za wkroczenie na ich terytoria. Zbieranie głów jako trofeów nie jest wśród nich rzadkim procederem. Skarphedin ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że to stek bzdur. To była tylko nieudolna próba władz, ze wspaniałym Fy na czele, by zrzucić z siebie odpowiedzialność za trudne i wymagające sporo wysiłku śledztwo, które może tu i tam wprowadzić nieco zamieszania. Ale tutaj potrzebne jest zamieszanie! Skarphedin energicznie bębnił palcami w stół. Motywów było wiele. Mimo to pewne elementy w tej sprawie wydawały się zupełnie niezrozumiałe. Kto na przykład miał jakiś interes w wysłaniu do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Oslo faksu ze zdjęciami zamordowanego Ungbeldta, zanim w sprawę zaangażowała się lokalna policja? Faks nadano rano w czwartek, 26 marca czasu lokalnego.

Usłyszał ciężkie kroki na schodach.

Ktoś z pokojów na górze.

Skarphedin spojrzął na drzwi do recepcji.

Zauważył postać przy ladzie.

To Gumali Albapung Fy.

* Kawa i śniadanie są tutaj! * Skarphedin starał się, by ton jego głosu był wesoły.

Kiedy szef policji ukazał się w wejściu, jego wzrok był rozbiegany. Na okrągłej twarzy malowało się zmieszanie. Jego mundur przykrywało dziwne brązowawe wdżianko, które mogło przypominać połączenie szlafroka i płaszcza, jaki nosili żołnierze Armii Czerwonej. Na nogach miał jasno* czerwone pantofle z niebieskimi pomponami. Sprawia wrażenie, jakby obudził się w zupełnie nieznanym świecie, pomyślał Skarphedin, gdy przyjaznym gestem zaprosił mężczyznę do stolika.

* Jak ząb? * Uśmiechnął się najszerzej jak potrafił.

* Już go nie ma. * Szef policji bez żadnej zachęty otworzył usta. Skarphedin trochę się uniósł i długo i dokładnie patrzył na głęboką dziurę w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się zepsuty ząb. Jednak oddech Fy sprawił, że po chwili musiał się cofnąć. .

* Jest o wiele, wiele lepiej. * Albapung Fy nadal stał. * To zaszczyt... Bardzo, bardzo dziękuję...

* Dobrze, dobrze. Żaden problem. * Detektyw odchylił się na krześle do tyłu, założył ręce za szyję i z ukosa spoglądał na sufit. * W Norwegii szybko działamy w takich sprawach.

Dławimy takie rzeczy w zarodku. Nie chcemy śmierci czy zła. Proszę się poczęstować kawą i chlebem tostowym i usiąść ze mną. Mamy wiele spraw do omówienia.

Szef policji zamrugnął i skinął głową. Podeszedł do stolika z jedzeniem i po chwili wrócił z paroma torebkami zielonej herbaty i dzbankiem gorącej wody. Ciężko opadł na krzesło, najpierw oczyściwszy je dokładnie serwetką.

* Nie takie jedzenie jadam. * Wskazał na tosty z chleba sago na talerzu Skarphedina.

* No cóż, ja też nie. Tutaj jednak musimy jeść to, co dają, nieprawdaż? Zresztą nie musi pan chyba jeść tak... * Nie dokończył zdania.

* Przypadł mi w udziale zaszczyt, z całym szacunkiem, polisi Olsen, udzielenia panu wszelkich pełnomocnictw... * Jego głos odzyskał stanowczość, ale Skarphedin mu przerwał.

* W porządku, drogi szefie policji. Teraz zapomnijmy o pierdołach. Nasza współpraca z całą pewnością okaże się owocna, ale mamy sporo do zrobienia, rozumie pan?

* Tak, ale z całą pokorą, musi pan zrozumieć, że mam ważniejsze spotkania w Jayapurze, gdzie jestem jeszcze dziś oczekiwany, tak więc muszę niestety panów opuścić, ale to wielki zaszczyt... * Słowa uwięzły mu w gardle pod spojrzeniem Skarphedina.

* Jest pan zwolniony ze wszelkich innych zobowiązań na czas trwania tej sprawy. * Skarphedin próbował zachować lekki, lecz zdecydowany ton głosu. * Dziś w nocy przeprowadziłem długą rozmowę telefoniczną z ministrem w Dżakarcie, panem Gigawattim * skłamał. * Wie, że jest pan tutaj, by zająć się śledztwem w sprawie zabójstwa dwóch obcokrajowców i dwóch pana policjantów. Nie możemy więc w żaden sposób mówić o przekazaniu mi odpowiedzialności. OK?

Szef policji Gumali Fy siedział, spoglądając na pompony na pantoflach. Kiedy zanurzał torebkę herbaty w filiżance, jego policzek lekko drgał.

* Rozmawiał pan zatem z naszym czcigodnym Gigawattim. Hmmm... Powiedział coś jeszcze? * Jego głos stał się cienki.

Skarphedin zastanawiał się tylko przez sekundę. * Oczywiście. Powiedział, że biorąc pod uwagę pana umiejętności i doświadczenie, jest przekonany, iż sprawa zostanie rozwiązana możliwie najlepiej dla naszych dwóch narodów.

Patrząc na policjanta kątem oka, oceniał jego reakcję na to szybkie kłamstwo. Następnie chrząknął głośno i zaczął przeglądać teczkę, z której wyjął jedną kartkę.

* Proszę * powiedział zdecydowanym głosem i popchnął kartkę w stronę szefa policji. * Tutaj zanotowałem prostym i w pełni zrozumiałym angielskim zadania, których realizację ma pan natychmiast rozpocząć. Natychmiast oznacza od razu po tym, jak wypije pan herbatę. Krótka przerwa. Szef policji z zaniepokojeniem przyglądał się kartce.

* Najpierw znajdzie pan właściciela hotelu i dopilnuje, aby przy tym stoliku zainstalowano maszynę do pisania oraz faks i telefon stacjonarny. To będzie nasza kwatera główna, rozumie pan, skoro porządku pilnują tutaj wojskowi i brak jest komendy policji. Dzięki temu nikt nie będzie nam przeszkadzał w pracy, jako że w hotelu nie ma prawie żadnych gości.

*Zdecydowanie uderzył w stos teczek. * Następnie zgromadzi pan wszystkie informacje o zamordowanych policjantach. Informacje o wiele pełniejsze i bardziej szczegółowe niż ta odrobina zawarta w raportach. Wszystkie dane osobowe oraz, jeśli to możliwe, także informacje o tym, co robili w ciągu ostatniej doby życia. Potem dowie się pan, czym się zajmuje jeden z dwóch pozostałych gości hotelowych i po co tu przyjechał. Dotyczy to Chińczyka Teng Fung Li. Imię i nazwisko zapisałem na kartce, którą właśnie panu wręczyłem. A na koniec odwiedzi pan lokalny urząd pocztowy i zorganizuje przesłuchanie osób, które były w pracy rano 26 dnia bieżącego miesiąca, aby się dowiedzieć, kto wysłał do Norwegii faks ze zdjęciami zamordowanego śledczego. Wszystko jasne?

Podczas tego stosunkowo długiego monologu Albapung Fy wiele razy ciężko przełknął ślinę, ale potem Skarphedin ku wielkiemu zaskoczeniu zobaczył, iż szef policji wyprostował kark i plecy, a jego nieco służalczy i pompatyczny wyraz twarzy zniknął. Na jego czole pojawiły się małe zmarszczki wskazujące na to, że rozmyśla.

* Wszystko jasne? * powtórzył Skarphedin.

* Tak, zrozumiałem. * Cały czas patrzył na kartkę z zadaniami, którą trzymał w dłoni. Nagle odłożył ją i powiedział:

* Dziś będzie tu bardzo, bardzo ciepło, polisi Olsen!

* Ciepło?! Tak, do licha, to już wiem! Już teraz ulice parują. Proponuję, by pan zdjął z siebie ten płaszcz. Nawiasem mówiąc, ma pan bardzo ładny mundur. * Komplement był szczery. Widać było, iż korpulentny Indonezyjczyk ma ochotę się uśmiechnąć.

* Może pan następnym razem, polisi Olsen, powiedziec szanownemu pani Gigawattiemu, iż zrobię w tej sprawie wszystko, co mogę. * Albapung Fy nagle wstał i zdjął płaszcz. Potem rozprostował parę zagnieceń na mundurze.

* Tak, wspomniał też coś o jakichś wyróżnieniach i medalach, ale nie do końca zrozumiałem... * Urwał i złożył usta jak do gwizdania, patrząc w sufit.

Potem Skarphedin wstał od stołu, zebrał dokumenty i ruszył do recepcji.

* Spotkamy się tu punktualnie o drugiej na briefingu. Oczekuję wtedy pierwszych rezultatów. Faks i telefon mają zostać zainstalowane natychmiast. Wydatki proszę zapisać na mój rachunek, jeśli to pozwoli panu oszczędzić sobie problemów z biurokracją. * Zostawił policjanta samemu sobie.

Minęła ósma, gdy Skarphedin poszedł na górę. Stał przez chwilę przy drzwiach do pokoju Fredrica, ale nie usłyszawszy zza nich żadnych dźwięków, udał się do swego pokoju.

Stanął przy oknie wychodzącym na ulicę.

Patrzył na ludzi, których wciąż tam przybywało.

Nowa Gwinea.

Wzgórza górujące nad dachami domostw.

Las, zielony las ciągnął się tak daleko, jak sięgał wzrok.

Wiedział, że Peder też właśnie tutaj stawał.

O czym myślał?

Jak daleko posunął się w tej sprawie?

Usiadł ciężko na jedynym w pokoju krześle. Długo siedział bez ruchu, patrząc przed siebie. Następnie wstał, podszedł do torby podróżnej i wyjął zniszczoną teczkę. Otworzył ją i wziął do rąk stary wycinek z gazety.

Dziadek skończył dopiero czterdzieści lat, kiedy zaginął.

Było prawie wpół do dziesiątej, kiedy Fredric Drum zastukał do drzwi pokoju Skarphedina. Ubrał się w jasnobrązową koszulę z długim rękawem i zapięciem pod samo gardło, dzinsy i mocne buty. Nikt nie otworzył, a drzwi były zamknięte na klucz. Przez chwilę stał, przyglądając się drzwiom i zamkowi. Wciąż jeszcze widoczne były ślady włamania, ale zamek został wymieniony na nowy. Ziewnął i kichnął trzy razy, a potem zszedł schodami do recepcji, gdzie wrzała praca. Montowano kable, które następnie ciągnięto do małej jadalni. Pracownicy hałasowali, dlatego postanowił zjeść śniadanie poza hotelem, ale gdzie się podział wujek? Zaraz dostał odpowiedź na to pytanie, kiedy stojąca za hotelową ladą puszysta kobieta w średnim wieku wręczyła mu wiadomość od Skarphedina.

Dobrze wykorzystaj przedpołudnie. Myśl tak dużo, aż będziesz miał wrażenie, iż pęknie ci głowa. Ja muszę zbadać parę spraw. Nie wplącz się w nic. Trzymaj się z daleka od pomieszczeń portowych. Mamy brie*fing o 14:00 w hotelowej jadalni.

Pięknie napisane. Niemal kaligraficznie. Jak zwykle, gdy wujek zostawiał mu wiadomości. Fredric podziękował i wyszedł z hotelu. Spojrzał w górę i w dół ulicy. Czy są tu jakieś kafejki otwarte o tej porze? Szedł powoli, przyglądając się ludziom. Wszędzie wokół panował spokój. Sprzedawcy warzyw rozkładali swe stragany. Właściciele sklepów zamiatali najgorszy brud sprzed wejść. Kolorowe autobusy zawoziły do pracy grupy pracowników. Żołnierze stali małymi grupkami w bramach i palili papierosy lub spacerowali. Fredric doszedł do wniosku, iż za dnia to miasto jest całkiem malownicze. Kiedy już coś zje, uda się na spacer w stronę przystani.

Znalazł otwartą jadłodajnię.

Przewiewny, zadaszony taras.

Właściciel skłonił się przed nim z uśmiechem i niemal perfekcyjnym angielskim zapytał, czy jest turystą. Skąd pochodzi? Z Norwegii? Ostatnio miał kilku klientów z tego kraju. Jeden z nich, miły, spokojny mężczyzna miał swój stały stolik w kącie, ale tydzień temu musiał wyjechać. Fredric poprosił o kawę oraz świeży chleb i jajko, jeśli to możliwe. To było możliwe.

A więc miły, spokojny Norweg siadał często przy stoliku w kącie. Fre*dric spojrział w tamtym kierunku. To musiał być Peder Ungbeldt. Powie o tym Skarphedinowi. Może

właściciel lokalu mógłby im powiedzieć coś więcej? Kiedy jadł, próbował skierować myśli na coś zupełnie innego niż zadanie wujka. Czy uda mu się czegoś dowiedzieć o tutejszych starych kulturach? Mało prawdopodobne, ale mimo to chciał dobrze wykorzystać tę podróż, tę przerwę od pracy w Oslo. Nie zrezygnował z prób znalezienia metody, która pozwoliłaby odszyfrować pismo rongo*rongo, znaki i symbole, które od wielu, wielu lat zdumiewały archeologów, etnologów i badaczy pisma. Nikomu jednak nie udało się znaleźć żadnego systemu w tych dziwnych symbolach, jakie zostały odnalezione na samotnej wyspie na Oceanie Spokojnym. Zagadka Wyspy Wielkanocnej wciąż była nierozwiązana.

Zapłacił i grzecznie skłonił się przed właścicielem.

Poszedł w dół ulicą, by zobaczyć ocean.

Skręcił w jedną z bocznych uliczek.

Szybko pokonał kilka ciasnych zaułków.

Cały czas z zainteresowaniem rozglądał się dokoła. Większość ludzi, których mijał, uśmiechała się i pozdrawiała go. Domy w przypominających labirynt zaułkach w pobliżu portu wydawały się nowe i zadbane. Zapach smoły i farby mieszał się z zapachem odświeżającej bryzy. Przeczytał szyldy na fasadach. Biura firm załadunkowych, przewoźnicy, importerzy wszystkiego, od buldożerów począwszy, a na japońskich ozdóbkach i ubraniach z Tajwanu skończywszy. Na jednym z domów rozpoznał logo firmy braci Culpepper, JFC. To małe miasto na północnym wschodzie Nowej Gwinei stało na progu szybkiego rozwoju. Dowiedział się, że najważniejszą gałęzią gospodarki jest tutaj produkcja oleju palmowego i kopry oraz rybołówstwo, a teraz także eksport drewna. Nielegalny wyrąb drzew z objętych ochroną lasów deszczowych.

Poczuł ciężar w piersiach.

Skarphedin nazwał to miejsce żyłą złota.

Niektórzy zarabiali tu wielkie pieniądze. Zawiła sieć korupcji.

Pozbawieni zasad moralnych, goniący za zyskiem ludzie.

Nie wahający się nawet zabić.

Fredric Drum odpędził od siebie te myśli. Doszedł do przystani, która była przystosowana do przyjmowania większych statków. Przez chwilę stał na samym końcu molo, spoglądając na ocean. Potem odwrócił głowę i popatrzył na północ. Białe piaszczyste plaże i gdzieś tam kępa drzew, szeregi domków na palach zbudowanych na zboczach nad oceanem. Tam mieszka pewnie przeważająca część lokalnej społeczności. W kierunku południowym, w stronę najbliższego wzgórza, krajobraz był zupełnie inny. Grupa większych domów, wspaniałe wille zamieszkiwane przez klasę średnią i najbogatszych. Ruszył na północ. Nagle stanął. Spojrzał na kilka ustawionych w równym rzędzie kamiennych bloków. Stały wśród resztek zgniłych desek i gałęzi. Domyślił się, że to pozostałości starej przystani. Ale te bloki? Przypominały menhiry. Doliczył się ponad piętnastu. Czy to tutaj... Oczywiście, to musiało być tutaj. Fredric zapoznał się z raportami. Przeczytał opis miejsca, w którym znaleziono zwłoki norweskiego śledczego. Poczuł szybsze bicie serca, gdy zbliżył się do pierwszego bloku. Następnie, wcale tego nie chcąc, zamknął oczy i przywołał szczegóły fotografii.

Kamienny blok.

Na samej górze było jakieś wycięcie.

Lewa strona była trochę skośna.

Powoli podszedł do kamieni i zatrzymał się przy jednym z nich. To tutaj. Nadal, wciąż tego nie chcąc, zaczął dokładnie przyglądać się blokowi. Na wysokości mniej więcej pół metra widział na kamieniu rdzawo*brązowe plamy. Na pozostałych nie było takich plam. Rozejrzał się dokoła. Jakies sto metrów stąd znajdował się zaułek, w którym znaleziono ciało zamordowanego policjanta. Dlaczego tutaj przyszedłem?, zastanawiał się. Jest tyle innych miejsc, które mógł odwiedzić tego ranka, a jednak trafił tutaj. Teraz przyglądał się miejscu

zbrodni jak prawdziwy śledczy. Obejrzał kamień i ziemię dokoła. Na czarnej ziemi, która po wczorajszym deszczu wciąż była mokra, było wiele śladów. Nagle coś zaświtało w głowie Fredri*ca. Coś tu nie pasowało. Chwycił się za głowę, ale stracił wątek i ten nie chciał już powrócić. Powoli udał się z powrotem do hotelu.

Nie spał i próbował otworzyć oczy, ale nie udawało się. Czyjego oczy już były otwarte? Czy ta ciemność była wokół niego? Starał się myśleć, ale w jego głowie niczego nie było. To ten słodkawy, przyjemny zapach sprawiał, że nie miał żadnych myśli, ta dobra słodycz, która kładła się na jego twarzy i wysyłała go w nicość. Był pogrążony w nicości. Wokół niego niczego nie było. Żadnego światła, żadnych dźwięków. Choć nie * masa dźwięków. Coś kwiczało i piszczalo, wrzeszczało i wyło. Wokół niego było milion ptaków. Teraz to wiedział, ale czy wiedział coś poza tym? Nie, przecież nic nie wiedział! Teraz coś pojawiło się w jego ustach. Coś miękkiego i słodkiego. Przeżuł to i przełknął. Zakaszał. Próbował przewrócić się na bok, ale ciało go nie słuchało. Nie miał ciała. Coś miękkiego. Przełykał i przełykał krople, które spływały mu do ust. To było niesamowicie przyjemne, takie przyjemne! Nagle drgnął. Coś go trzymało, i to mocno. Czy ktoś go przytrzymał? Ktoś go wołał? O coś pytał? Teraz wyraźnie słyszał głos. W jego głowie pojawił się jakiś przebłysk. Przez parę sekund pomyślał o dyktafonie. Czy ktoś go pytał o dyktafon? Dyktafon, który ukrył? Gdzie? Kiedy? Mógł opowiedzieć. Mógł powiedzieć! Tak, by to już się skończyło i znów mógł odpłynąć. W zupełnie inny czas,

nie, czasu nie było. Nikt go nie trzymał. Nie było niczego poza nicością. Jego usta miały pozostać zamknięte przez całą wieczność. Teraz ten słodki, przyjemny zapach stał się silniejszy. Zbliżył się i wreszcie położył się na jego twarzy. Znow niczego nie było.

Niczego...

Carl Christian Ender wypił za dużo poprzedniego wieczoru. Zdał sobie z tego sprawę, gdy tego ranka próbował dokończyć umowę, którą wczoraj przygotowywał. Spotkanie z braćmi Culpepper, Justinem i Ferdinandem, trwało pół nocy. Dobrego alkoholu było pod dostatkiem, i gdyby nie nieprzyzwoite żarty Hakkenga, jego współnika, mógłby zaliczyć ten wieczór do całkiem udanych. Rolf Hakkeng, pomyślał Ender, zapalając cygaro, ma niestety ogładę na poziomie krokodyla, ale ich przyjaźń, jeśli mógł nazwać łączące ich stosunki przyjaźnią, trwała już ponad rok, a ich wspólny projekt bardzo dobrze razem realizowali.

Siedział, myśląc o Hakkengu.

O ich pierwszym spotkaniu w późny styczniowy wieczór ponad rok temu.

W urzędowej w tonacji brązu kawiarni „Lompa” w dzielnicy Granland w Oslo.

Zupełnie przypadkowo usiedli przy jednym stoliku, a gdy opróżnili kufle z piwem, zebrało im się na zwierzenia. Rolf Hakkeng zajmował się importem bibelotów ze wschodu. Śmiał się, że to wyjątkowy syf, który jest potem prezentowany w barwnych katalogach i sprzedawany wysyłkowo. Hakkeng dobrze na tym zarabiał, nawet bardzo dobrze, aż do chwili, gdy do akcji wkroczył rzecznik praw konsumenta i policja do spraw ścigania przestępstw finansowych i musiał zamknąć interes. Teraz był zadłużony po uszy i groziło mu sporo procesów, ale Hakkeng szepnął nowo poznanemu koledze, iż ma kontakty na wschodzie, które zapewnią mu nawet bardziej lukratywny biznes. Jednak by wcielić swój pomysł w życie, potrzebuje współnika, który miałby odpowiednie umiejętności i mógłby wyjechać z tego pieprzonego kraju na dłuższy czas, może nawet na wiele lat.

Ender nie widział żadnych przeszkód, by wyjechać z Norwegii.

Miał też umiejętności, o jakie chodziło.

Projekt Hakkenga wydawał się dobrze przemyślany.

To było do zrobienia.

Zawarli umowę.

Teraz nie żałował. Carl Christian Ender wiedział, iż zmierza ku realizacji ważnego celu.

Ciemna chmura, która wisiała nad nim przez ostatnie lata, wreszcie zniknie, ale najpierw musi

wytrzymać jeszcze trochę czasu tutaj. Pogrzebał w szufladzie i wyjął opakowanie tabletek od bólu głowy. Ból głowy to pestka, ale ataki malarii to coś zupełnie innego. Przez chwilę siedział, licząc dni. Kiedy znów będzie miał gorączkę? Pewnie za trochę ponad tydzień. Zwykła trwać zaledwie parę dni. Wiedział, że przy odpowiednim leczeniu można sobie z malarią poradzić. Hakkeng wydawał się gorzej znosić chorobę. Przez pewien czas Ender martwił się o niego. Przed pojawieniem się gorączki jego współlnik bywał nad wyraz aktywny i zupełnie nieobliczalny. Jego język był wtedy poniżej wszelkiej krytyki, także nie raz musiał przywoływać go do porządku, gdy prowadzili ważne rozmowy ze współpracownikami. Hakkeng musi się nauczyć panować nad sobą! Ender miał wrażenie, że kolega zrobił już pewien postęp, ale naturalnie nie miał żadnej kontroli nad tym, jak się zachowywał, gdy był sam. Teraz jak zwykle spał do późna. Po spotkaniu z braćmi Culpepper nie wrócił z Ende*rem do domu; wyraził chęć spędzenia paru godzin w burdelu, czego Ender oczywiście nie mógł mu zabronić.

Wreszcie skończył spisywać umowę.

Ma zostać sygnowana przez ważne osoby.

Czysta formalność.

Wiedział, że nikt nie będzie miał żadnych "ale".

Podniósł się zza biurka, przeżuł kawałek cygara, otworzył siatkę zasłaniającą wejście i wyszedł na taras. Wtedy jego wzrok przykuły buty Hak*kenga stojące przy schodach prowadzących do sypialni.

Były zabłocone.

Brazowe, lepkie błoto.

Carl Christian Ender zastanawiał się przez chwilę, a potem wruszył ramionami i wyszedł.

Usiadł w cieniu pod ścianą i zamknął oczy.

Biuro aktywistów trudno było znaleźć. Skarphedin Olsen był zmuszony wiele razy pytać o drogę. Poza tym niełatwo było się rozeznać w ciasnych portowych zaułkach. Wreszcie znalazł czerwony dom z szyldem FLORAZOOL. Tam mieli siedzibę. Przyspieszył kroku, kiedy przeczytał nazwisko na drzwiach wejściowych: Hans Mercur Eljhammar. To jedno z nazwisk, które wynotowali z protokołu imigracyjnego w Jayapurze. Niewiele wiedział o tym Szwedzie, gdyż Ungbeldt nigdy o nim nie wspomniał, a w dokumentacji sprawy niewiele o nim napisano. Postanowił szybko nadrobić braki, ale najpierw musi odbyć poważną, bardzo poważną rozmowę z dwójką norweskich aktywistów.

Sara Enghall była jasnowłosą dwudziestoletnią kobietą.

Była ładna.

Tak ładna, że starszy detektyw poczuł się nieswojo, kiedy zapukawszy do różnych drzwi, znalazł ją samą w pokoju z niezaścielonym łóżkiem. Siedziała przy stole i przeglądała jakieś papiery. Na czubku nosa miała okulary.

* Skarphedin Olsen, Centrala Policji Kryminalnej * powiedział krótko, pokazując odznakę. Zdjęła okulary. Wyraz zdziwienia bardzo szybko zniknął z jej twarzy. Podbiegła do niego i mocno uściśnęła jego dłoń.

* Bogu niech będą dzięki, że tak łatwo się nie poddajecie! * powiedziała cicho. * Nie wiemy już, co robić. Jest tak trudno po tym tragicznym wydarzeniu, po tym, co stało się z Janem, a teraz z tym przyjaznym, miłym śledczym, którego tutaj wysłaliście...

Skarphedin nic nie odpowiedział. Rozejrzał się dookoła z rękami głęboko w kieszeniach niebieskiego gabardynowego płaszcza, który prawie zawsze nosił. Na ścianach nie było niczego. Stół, przy którym siedziała młoda dziewczyna, był zavalony papierami. Poza tym telefon, popielniczka pełna petów i migoczący faks. Przy wychodzącym na ocean oknie stało parę doniczek z kwiatami, ciasno, jedna przy drugiej, ale nie służyły bynajmniej ozdobie, bo obok nich leżały kawałki desek i drewna, a także kilka zwiędłych gałęzi. Las deszczowy?

Śledczy zmarszczył brwi. Gdy usiadł na krześle, które dziewczyna mu podsunęła, jego oczy

przypominały wąskie szparki. Zrobił wdech. W pokoju unosił się słodkawy, ciężki zapach. Czyżby paliła marihuanę?

* Jest pani tutaj sama? * zapytał.

* Akurat teraz tak. Alban pojechał z Hasse do jednej ze stacji badawczych. Wróci pewnie za parę godzin. Hasse zostanie tam do jutra. Mamy wielkie szczęście, że możemy korzystać z jego samochodu, gdy on prowadzi swoje obserwacje. Wie pan, kim jest Hasse? Hans Mercur. Dostał pan chyba raporty od swego kolegi, nim został... * Urwała i wyjęła papierosa. Zapaliła.

* Tak, samochód Hassego. * Śledczy udał, że o tym wszystkim wie. * To ten sam samochód, którego używał Jan Vennali, prawda? Ten, który został znaleziony w rowie?

Nie odpowiedziała, ale słabo skinęła głową.

* Panno Enghall, popełniono tu cztery morderstwa. * Wpatrzony w kobietę, mówił powoli i wyraźnie.

* Cztery morderstwa? * Zeskoczyła z krzesła i stanęła przy oknie. Ręka, w której trzymała papierosa, drżała. * Cztery morderstwa? O nie, tu nie chodzi tylko o cztery morderstwa! W lasach, w których trudniący się wyrębem drzew posuwają się coraz głębiej, każdego tygodnia giną dziesiątki, może setki osób należących do rdzennej ludności. Są mordowani! Zabijani przez mafię drzewną i skorumpowanych wojskowych! Czy nie macie zamiaru tego zatrzymać?! Gdzie, do cholery, jest norweski rząd? I prawo międzynarodowe? Czy jest pan świadom ciężaru odpowiedzialności? Tego, że norweskie firmy i Norwegowie są zamieszani w zabijanie lasów deszczowych i ludzi?! Co pan zamierza zrobić, nim odetną panu głowę? Skarphedin uniósł brwi. Przyglądał się młodej kobiecie, która w mgnieniu oka ze spokojnej i opanowanej intelektualistki zmieniła się we wściekłą furiatkę, która, opętana strachem czy gniewem, wymachiwała rękami.

* Odetną głowę * powiedział spokojnie i skinął głową. * Kto pani zdaniem, panno Enghall, mógłby uważać za konieczne odcinanie głów?

Nic nie odpowiedziała. Jej usta były teraz wąskimi białymi kreskami. Zgasiła dopiero co zapalonego papierosa w doniczce i znów usiadła. Zaczęła grzebać w stosie kartek, wyjęła jedną i podała ją detektywowi.

* To te gatunki drzew robią z ludzi morderców * powiedziała; teraz była już nieco bardziej opanowana. * Widzi pan, o co chodzi? To ceny za kubik merbau, kauri pine, santal rouge i kliniki pine na tak zwanym legalnym rynku. Norwegia także kupuje te rodzaje drewna, gdy bogacze stawiają swe domostwa. Niech pan coś z tym zrobi i wsadzi te świny za kratki! Jana już nie ma. Poświęcił się. Był odważny, ale my się nie poddamy, dopóki nie powstrzymamy zabijania lasów deszczowych i ludzi.

* Dobrze. * Skarphedin chrząknął i schował kartkę do kieszeni, nie przeczytawszy jej. * Moja panno, nie mam tak wielkiej władzy na ziemi i niebie. Jesteśmy tutaj, aby dowiedzieć się, kto zamordował dwoje naszych rodaków i dlaczego. Jeśli nam się to uda, nie będę zaskoczony, jeśli to wpłynie na sprawy, które tak was interesują. Zasada powiązania. Dlatego proszę cię, byś odpowiadała na pytania, które ci zadam, z największą uwagą i szczerością, mimo twego nieco zachwianego stanu emocjonalnego, co w sumie ma uzasadnienie. Zapaliła następnego papierosa. Skinęła głową i jakby nieobecna wyjrzała przez okno.

* Kto mieszka w tym domu? * Spojrzał na nią surowo.

* Oczywiście Hasse. Jest właścicielem domu. Poza tym ten pokój należy do mnie, a Jan i Alban dzielili inne pomieszczenie. Jest jeszcze Holender alkoholik, nad którym Hasse się zlitował. Wydaje mi się, iż nazywa się Verkeuteren. Ma maleńki pokoik na samym dole. To już prawie pomieszczenie piwniczne.

* Dobrze. * Detektyw skinął głową. * Zatem samochód Hassego odnaleziono w rowie. Ciało Jana znaleziono dopiero dzień później. Co Jan miał robić w dniu, gdy zaginął?

* Miał zarejestrować transporty drewna.

* Kto znalazł samochód?

* Alban i Hasse. Udało im się pożyczyć jeepa od jakiegoś znajomego Hassego.
* W porządku. Kto twoim zdaniem zabił Jana Vennaliego?
* Mafia drzewna. * Wzruszyła ramionami.
* Nazwiska?
* Jest tu paru Norwegów, którzy robią fortunę na drewnie.
* Na przykład Carl Christian Ender, Rolf Hakkeng i ich firma. Są w moich papierach *
potwierdził Skarphedin. * Jeszcze ktoś?
* Bracia Culpepper. Amerykanie. Dwie prawdziwe świny. Są właścicielami nowego tartaku.
* Wciąż wyglądała przez okno.
* Ktoś poza nimi?
* Niech pan się rozejrzy! Spójrzy na biura firm załadunkowych. Wszystkie te firmy bogacą
się na wyrębie drzew. Wielu, naprawdę wielu robi na tym olbrzymie pieniądze!
* A co z odszczepieńcami z prymitywnych plemion z głębi kraju?
* To idiotyzm! * prychnęła Sara. * Oni nie zbliżają się w rejony nabrzeża. Czasem pojną
jakiegoś misjonarza, ale takie incydenty mają miejsce w głębi łądu, na ich terytorium.
* Dobrze. * Skarphedin skinął głową. * Dlaczego mój kolega Peder Ungbeldt musiał zginąć?
* Prawdopodobnie dlatego, że trafił na ślad.
* Na ślad czego?
* Nie mam pojęcia! * Jej oczy zalsniły. * Rozmawiał z nami wiele razy, ale nie potrafiliśmy
udzielić mu odpowiedzi na pytanie, dlaczego Jan. Jan był taki..
* Jaki? * Żadnych przerw. Pytanie za pytaniem.
* Zaangażowany, optymistycznie nastawiony, miły i odważny. * Parę łez spłynęło po jej
policzkach.
* A Alban Trossig, ostatni z waszej trójki, który, miejmy nadzieję, wciąż ma głowę na karku
i wróci za parę godzin, jaki on jest?
* Silny i co najmniej równie odważny. Nigdy się nie poddamy, wie pan?! * Osuszyła łzy.
* Często opuszczasz teraz to pomieszczenie?
* Piszę raporty i robię swoje.
* Więc odpowiedź na moje ostatnie pytanie brzmi..
* O co, kurde, panu chodzi? Nie mam akurat teraz nic do roboty w terenie. Mam dość pracy
tutaj. * Widać było, że zaraz znów wybuchnie.
* OK. Rozumiem. * Detektyw uniósł rękę uspokajającym gestem. * Wcześniej, gdy
wychodziłaś, nim Vennali został zamordowany, bywało, że żołnierze, których mijalaś,
uśmiechali się do ciebie?
* Uśmiechali się? Do mnie? * Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.
* Nieważne. Czy twoi rodzice żyją?
* Tak. Mieszkają w Nittedal. Ale po jakie licha..
* Czy widziałaś zwłoki Jana Vennaliego? * przerwał jej szybko Skarphedin.
* Tak, widziałam je. W szpitalnej kostnicy. * Jej wzrok stał się matowy.
* Dużo krwi? Zabrudzone ubranie?
* Nie. Nie żył już przecież jakiś czas, gdy go znaleziono..
* Wiem * znów przerwał jej Skarphedin. * Zatem na ubraniach było niewiele krwi.
Potwierdziła.
Skarphedin Olsen korzystał teraz z własnej techniki prowadzenia przesłuchania, z której
słynął i którą udoskonalił przez lata pracy w KRIPOS. Szybkie, częściowo nieistotne pytania
przeplatał rzeczowymi i dosadnymi. W ten sposób mógł, jeśli miał dość szczęścia i
umiejętności, a na ogół miał, zauważyć coś ważnego, czego mógł się uczyć.
* Często chodzisz tutaj na pocztę?
* Na pocztę? Tak, od czasu do czasu, ale ostatnio nie..
* Rozumiem. * Skinął głową. * Poza tym macie własny faks. Działa?

* Oczywiście, że działa. Właśnie dostałam informację z naszego biura w Oslo. * Zaczęła grzebać w stosie papierów na biurku.

* Dobrze. Nie musisz mi tego pokazywać, ale faks na pocztę pewnie często jest wykorzystywany przez innych, co?

* Nic mi o tym nie wiadomo. * Wzruszyła ramionami.

* Można tutaj wypożyczyć samochód? Są jakieś agencje w stylu AVIS czy Hertz?

* Tak mi się zdaje, ale nie sprawdzaliśmy tego, skoro możemy korzystać z samochodu Hassego.

* OK. Jesteś pewna, że to ciało Jana Vennaliego widziałas w szpitalnej kostnicy?

* Co pan ma na myśli? * Szybko zamrugła.

* Był nagi?

* Nie. Miał coś na sobie. Cholera jasna, muszę mówić o tym, co tam widziałam?

* Tak, musisz * powiedział detektyw surowo. * Rozpoznałaś jakieś części jego ciała?

* Części ciała? * Sara Enghall zacisnęła wargi. Papieros żarzył się niebezpiecznie blisko czubka jej prawego palca wskazującego. * To były ręce. Niebiesko*białe ręce Jana i plecy. Leżał na brzuchu. Mogłam zobaczyć pasy. Wciąż były ślady... * Nagle spojrzała na swoje dłonie. Na paznokcie. Zgasła papierosa i zagryzła wargi.

* Dobrze * powiedział Skarphedin spokojnie * a więc to był Jan. Nie ma co do tego wątpliwości. Można tu gdzieś kupić dojrzałe orzechy kokosowe?

* Orzechy kokosowe? Tak... * Jej spojrzenie było nieobecne.

* Chyba są tanie? * Skarphedin nagle szeroko się uśmiechnął.

* O co znów panu chodzi? Co mają orzechy kokosowe do...

* Była zazdrość? Czy Alban Trossig był zazdrosny o to, że ty i Jan Ven*nali mieliście romans? * Znów nagle jej przerwał.

* Chyba nie wiedział o tym, ale, do cholery, czego pan właściwie szuka? Jest pan śledczym czy dziennikarzem brukowca?

* Myślę, że na tym zakończymy, ale możesz być pewna, że jeszcze tu wrócę. * Skarphedin wstał z krzesła i spojrzał na zegarek. * Zostało jeszcze trochę czasu do powrotu twego kolegi Trossiga, więc tylko krótko: czym zajmuje się ten Hans Mercur Elfhammar? Co znaczy FLORAZOOL?

* A więc jeszcze się tego nie dowiedzieliście? Muszę stwierdzić, że kiepsko wam idzie albo nie najlepszą macie komunikację * prychnęła z pogardą. * Pana kolega dowiedział się wszystkiego. Hasse jest jednym z wiodących w Skandynawii badaczy lasów deszczowych. Ma tytuł doktora w dziedzinie zoologii i botaniki. Jego biuro tutaj ma za zadanie głównie rejestrację nowych gatunków roślin i owadów. Ma kontakty zarówno w norweskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jak i Ministerstwie Ochrony Środowiska. To właśnie dzięki niemu...

* Dwoje Norwegów zostało zamordowanych * przerwał jej brutalnie Skarphedin. * Sara Enghall, masz tak szybko jak to możliwe spakować walizkę i wrócić do Norwegii. Nie ma najmniejszego sensu, abyś siedziała tutaj w czterech ścianach i umierała ze strachu przed tym, co dzieje się dokoła. Rozumiesz? Kiedy po raz ostatni opuściłaś te mury?

* Do cholery, przecież pan wcale mnie nie zna! * powiedziała i powoli wstała z krzesła. * Pozostaniemy tutaj dotąd, dopóki oficjalne władze nie zaprzestaną dopuszczać się tej strasznej zbrodni na naturze i rdzennej ludności Irian Jaya. A Norwegia, moja ojczyzna, nie jest tutaj bez winy, ale ci tchórze z Ministerstwa Ochrony Środowiska i rządu...

* Palisz marihuanę? * znów przerwał jej Skarphedin.

* Marihuanę? Marihuanę? Co pan próbuje insynuować? * Otworzyła szeroko oczy.

* Zapach, który tu panuje. Uważam, że...

* Ach tak! * Tym razem to ona jemu przerwała. Roześmiała się drwiąco. * Niech pan spojrzy. * Wskazała w stronę okna. * To te rośliny na oknie. Są nowo odkryte. Nie mają

jeszcze nazwy. Rosną w lasach deszczowych. Lasy deszczowe tutaj i w innych częściach świata mogą kryć niesamowite bogactwo, z którego ludzie mogliby mieć pożytek, gdyby je odpowiednio wykorzystali.

* Dobrze, dziękuję, wysłuchałem lekcji, panno Enghall. Naprawdę bardzo przepraszam za tę marihuanę. Zapach pochodzi więc od tych roślin. * Ruszył ku drzwiom.

* Ta roślina tutaj * powiedziała, pokazując ją z zapalem * jest niesamowita. To aerofit. Rośnie w symbiozie z drzewami liściastymi, w samych ich koronach. Sok z liści ma znieczulające, niemal euforyczne działanie. Zdaniem Hassego może wywoływać halucynacje. Dokładnie tak jak peyotl czy meskalina.

* Aha * powiedział detektyw bez zainteresowania. * Kiedy, mówiłaś, wraca ten Hasse?

* Prawdopodobnie jutro po południu.

* Możesz pozdrowić Albana Trossiga i przekazać mu, iż chciałbym z nim szybko porozmawiać.

Krótkie skinienie głowy.

Długo za nim patrzyła, gdy on skłoniwszy się grzecznie, wyszedł.

Sara Enghall stała, raz po raz zaciskając dłonie. Potem usiadła przy stole i oparła czoło o stos papierów. Nie mogła pohamować szlochu.

Skarphedin zaczekał chwilę za drzwiami. Słyszając płacz kobiety, skinął głową. Nadzieja, pomyślał, jest jak sól. Sama nie ma żadnej wartości odżywczych, ale nadaje smak. Ta kobieta mogła wierzyć, iż świat stanie się kiedyś bardziej sprawiedliwy, ale on sam wcale nie widział szans na poprawę stanu rzeczy. Wprost przeciwnie. Powoli ruszył ku innym drzwiom. Ostrożnie chwycił klamkę i drzwi otworzyły się. Zjrzał do małego pokoiku. Półmrok. Dwa łóżka. Żadnych mebli. Tylko nocny stolik, a na nim otwarta książka. Ilustrowana książka o kamieniach szlachetnych? Obok stolika walizka z leżącymi w nieładzie ubraniami. Alban Trossig, pomyślał Skarphedin i opuścił pokój. Zszedł schodami w dół i zbliżył się do drzwi, na których była tabliczka z nazwiskiem Hansa Mercura Elfhammara. Biuro? Możliwe. Zmarszczył czoło i przez chwilę wahał się, nim chwycił za klamkę. Te drzwi były jednak zamknięte na klucz.

Wyjął z kieszeni pęk kluczy, a ściślej mówiąc, pęk wytrychów.

Pół minuty później detektyw Skarphedin znalazł się w pomieszczeniu, które musiało być gabinetem Elfhammara, naukowca, doktora, botanika i zoologa. Zamrugał. Pokój był do granic możliwości wypełniony różnymi eksponatami. Na półkach stały wypchane zwierzęta, zwierzęce szkielety, czaszki, pudełka z owadami, barwne ptaki i chrząszcze oraz plansze przedstawiające rośliny i drzewa. Cała jedna ściana pokryta była książkami i czasopismami, a na środku pokoju stało potężne biurko, na którym leżały ułożone w stosy kartki i teczki oraz wielka czarno*biała fotografia przedstawiająca... zamek? Jakiś dwór? Na zdjęciu przed bramą stała grupa osób. Skarphedin musiał przyznać, że zdjęcie mu się spodobało. Poza tym na środku biurka stała miseczka wypełniona małymi zielonkawymi kamyczkami. Skarphedin wziął jeden do ręki, powąchał go i odłożył na miejsce. Jego oczy dojrzały teraz przedmioty na ścianie obok okna. Długie noże, futerały na penisy, bębny i figurki z kości. Wszystko to było porządnie powieszzone, a między przedmiotami widać było fotografie przedstawicieli rdzennej ludności. Podszedł bliżej i spojrzał na zdjęcie przedstawiające nagiego mężczyznę z futerałem na penis, który sięgał mu aż do brody. Szerokie usta i spiłowane zęby. Tatuże na twarzy. Z wykonanego odręcznie podpisu wynikało, iż fotografia przedstawia Oguale, przywódcę Korowajów, którzy przebywają na wschód od gór Bandesi. Góry Bandesi? Coś zaczęło tykać w głowie Skarphedina. Przez chwilę jego spojrzenie stało się nieobecne. Wreszcie gwałtownie pokręcił głową i zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom. Na ulicy zauważył, że jego płaszcz paruje. Spociał się. Spojrzał w górę. Słońce świeciło na błękitnym niebie, ale było wilgotno.

Szybko pokonał parę ciasnych uliczek.

Dotarł do przystani.

Na prawo od niego zacumował wielki statek.

Rosyjski Nicolai Kurskin.

Właśnie trwał załadunek drewna.

Krzyki i hałas powodowany przez zajmujących się tym pracowników był ogłuszający.

W powietrzu unosił się zapach kory, ekskrementów i zepsutej ryby.

Skarphedin Olsen odwrócił się. Ruszył w górę i skręcił w lewo, ku innej części przystani, gdzie cumowano kutry. Uśmiechał się i kiwał przyjaźnie głową do mieszkańców, którzy coś do niego wołali. On jednak nic nie rozumiał. Zdecydowanie kręcił głową, gdy oferowali mu różne morskie delikatesy. Doszedł na sam koniec pomostu i poczuł powiew morskiej bryzy. Wyjął chusteczkę i wytarł twarz. Odwrócił się tak, by mieć widok na miasto.

Stąd mógł zobaczyć dokładnie to samo, co widział Fredric Drum, ale w przeciwieństwie do niego, nie zwrócił uwagi na malowniczość krajobrazu. Ten widok nie dostarczał mu żadnej przyjemności. Widział slumsy, upadek, śmieci i czarne błoto. Czuł smród z rafinerii oleju palmowego, słyszał dochodzący stamtąd hałas, a także odgłosy pracy w tartaku. Mocniej otulił się płaszczem, przeklinając roje much, które wciąż krążyły nad jego głową. Szybkim krokiem ruszył ku starej przystani i wystającym z ziemi kamiennym blokom. Uświadomił sobie, co to za miejsce, gdy tylko zbliżył się do pierwszego bloku. Poczuł bolesne ssanie.

Wyjął zdjęcie z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Zmrużył oczy i zaczął się przyglądać szeregowi kamieni.

Potem skinął głową i podszedł do jednego z nich.

Tutaj, tutaj leżało bezgłowe ciało.

Trzymał zdjęcie przed sobą.

Spoglądał na kamień.

Potem długo na fotografię.

Następnie zaczął energicznie kopać nogą w ziemi, w lepkim czarnym błocie. Kopał tak, że aż grudki ziemi rozbryzgiwały się dokoła. Zmarszczki na jego twarzy stały się jeszcze głębsze.

* A niech cię, Peder! Coś tu się nie zgadza! * warknął.

Dochodziła godzina druga. Fredric Drum z podziwem patrzył na zainstalowane w jadalni telefon, maszynę do pisania i nowiutki telefaks. Najbardziej jednak zdumiało go to, iż szef policji, Gumali Albapung Fy, sam aktywnie uczestniczył w zorganizowaniu tego wszystkiego. Nie tylko był zaangażowany i zdecydowany w działaniu, ale wydawało się także, że jest w dobrym humorze. Stało się to szczególnie widoczne, gdy w recepcji pojawiła się najstarsza córka właściciela hotelu, chyba wdowa, która od czasu do czasu posyłała umundurowanemu policjantowi pełne podziwu spojrzenia. Kobieta mogła być po czterdziestce, a budową ciała przypominała szefa policji.

Skarphedin Olsen zapukał do drzwi Fredrica nieco ponad godzinę temu. Siedział wtedy w pokoju, próbując skoncentrować się na zupełnie innej niż morderstwo sprawie, a mianowicie na odczytywaniu polinezyjskich znaków i symboli, co nie szło mu najlepiej. Skarphedin nalegał, aby poszli na lunch. Fredric wskazał drogę do miejsca, w którym zjadł śniadanie. Detektyw długo rozmawiał z właścicielem o Norwegu, który przez ostatni tydzień wiele wieczorów spędził przy stoliku w kącie. Zdaniem Skarphedina tym mężczyzną bez cienia wątpliwości był Ungbeldt. Właściciel lokalu nie mógł jednak wnieść do śledztwa nowych informacji. Zjedli prosty lunch. Kurczaka w mleczku kokosowym z chlebem sago. Teraz nadszedł czas na briefing. Fredric znalazł sobie bardziej dyskretne miejsce w jadalni, podczas gdy Gumali Albapung Fy z wielkim rozmachem ustawił swoje krzesło w miejscu dobrze widocznym z recepcji, gdzie za ladą pełniła teraz dyżur córka właściciela hotelu. Jego włosy lśniły od pomady.

Skarphedin siedział przy stole, który był teraz niemal higienicznie czysty i wolny od papierów. Podziwiał nowy telefaks i sprawdził sygnał w telefonie. Następnie bębniąc palcami w stół, spojrzał surowo na szefa policji.

* Wszystko wygląda dobrze. Aparaty działają tak, jak powinny, a jeśli ma pan teraz coś do powiedzenia w związku z zadaniami, które panu zleciłem, to słuchamy.

Przez chwilę wydawało się, iż Alpapung Fy waha się, czy powinien wstać, czy też zachować pozycję siedzącą. Wreszcie zerknął w stronę recepcji i odpowiedział, siedząc.

* To sprawa honoru, polisi Olsen, nasze patriotyczne zaangażowanie i nasze wielkie życzenie, by wyjaśnić niesprawiedliwości i zbrodnie, daje nam siłę, a ja, korzystając ze swej władzy i autorytetu * podniósł głos tak, by był słyszalny w recepcji * zdobyłem następujące informacje: jeden z gości hotelowych, Chińczyk o nazwisku Fung Li Teng, jest prawnym reprezentantem firmy z Hong Kongu, która handluje drewnem. Zapewniono mnie, że całkowicie legalnie. Przebywa tutaj od paru tygodni, aby sfinalizować ważne umowy dla dobra indonezyjskiego i chińskiego narodu. *Zrobił przerwę, zamknął oczy i wymownie skinął głową. * Li Fung Teng nie ma nic przeciwko temu, byśmy, ja czy pan, mieli wgląd w jego papiery * kontynuował. * Umówiłem się z nim na popołudnie, na wypicie...

* Jeśli dobrze pamiętam, to on nazywa się Teng Fung Li * przerwał mu Skarphedin * co jest nie byle jaką pomyłką, zważywszy na specyfikę chińskich imion. Chciałbym dostać kopie wszystkich jego papierów, także osobistych, jeszcze dziś wieczorem.

* Tak też będzie. * Szef policji nieco ściszył głos.

* Jeśli chodzi o urząd pocztowy i pana pytanie, czy 26 marca bieżącego miesiąca ktoś korzystał z faksu, polisi Olsen, to muszę pana zmartwić, oznajmiając, iż faks wraz ze wszystkimi kablami, czyli własność prowincji Irian Jaya, został skradziony.

Najprawdopodobniej tej bezczelnej kradzieży

dokonano 23 marca. Pracownicy poczty nie pamiętają dokładnej dary, jednak ostatni wychodzący z poczty faks zarejestrowano 23 marca o godzinie 13:07. Od tej pory urząd pocztowy nie wysyła faksów, ale złożyli podanie o środki na nowy...

Szef policji przerwał, widząc, że Skarphedin gwałtownym ruchem wyjmując ze swej torby teczkę z dokumentami. Znalazł przesłany faks i rzucił Alpapungowi Fy. Zdjęcia Pedera Ungbeldta. Norweskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych otrzymało faks 26 marca o godzinie 18:13. Biorąc pod uwagę dziesięciogodzinną różnicę czasu, musiał zostać nadany tutaj wczesnym rankiem tego samego dnia, o 08:13.

* Zdjęcia zostały wysłane do Oslo tymże skradzionym faksem. Po kradzieży, jak pan widzi.

* A zatem złodzieje, złodziej... * Szef policji ciężko przełknął ślinę.

~ Właśnie! * Skarphedin znów zabębnił palcami w stół. * A teraz, mój komendancie policji, pana zadaniem będzie przeprowadzenie śledztwa w związku z tą kradzieżą. Może pan wykorzystywać wszystkie metody, jakie tylko pan zechce, i niech pan dziś nie kładzie się spać, zanim pan... *Skarphedin urwał.

Coś się działo w recepcji.

Gwałtowne krzyki i wielki hałas.

Horda ludzi próbowała wepchnąć się do środka.

Wiele kobiet, paru dorosłych mężczyzn i dziesięcioro*dwanaścioro dzieci.

Na czele kroczyła potężnej postury kobieta po trzydziestce. Niosła w rękach dziwne zawiniątko. Jakieś ubranie. Zabrudzone, brązowe i sztywne. Zwróciwszy się do szefa policji, który stał teraz w wejściu, zaczęła wykrzykiwać coś, z czego Skarphedin ani Fredric nie zrozumieli nawet słowa. Krzyczała tak przez parę minut, a potem jej słowa przeszły w łkanie i płacz. Cisnęła zawiniątkiem, brudnym kawałkiem materiału, prosto w pierś komendanta.

On cofnął się parę kroków.

Z przerażeniem spojrzał na leżące na podłodze ubranie.

Spodnie.

Poszarpane, poplamione zaschłą krwią spodnie.

Skarphedin Olsen dokonuje podsumowania,

Fredric łapie się na podsłuchiwanie przy drzwiach,

a szef policji udaje się do miejscowej kostnicy

Major polisi Gumali Albapung Fy stał i gapił się na ubranie. Podczas tego zajścia kolor jego twarzy szybko zmienił się z karmazynowej czerwieni w żółtawą szarość. Wreszcie delikatnie odsunął czubkiem buta zakrwawione spodnie. Horda w recepcji ucichła, ale oczy wszystkich wlepione były w szefa policji, który parokrotnie przełknął ślinę, nim wreszcie otworzył usta i odezwał się do kobiety, która przysłała na czele tej potężnej gromady i rzuciła w niego spodniami.

Albapung Fy mówił cicho.

I długo.

Zadał kobiecie parę pytań, na które ona odpowiedziała.

W końcu ostrożnie podniósł spodnie i zaczął im się wnikliwie przyglądać.

Skinął głową i dodał jeszcze kilka zdań.

To, co powiedział, sprawiło, że grupa ludzi okupujących recepcję zaczęła się wycofywać, mamrocząc coś i kiwając głowami. Dzieci i starcy, kobiety i mężczyźni. Powoli rozchodzili się, a Albapung Fy ciężko opadł na krzesło, cały czas trzymając w palcach zabrudzone spodnie i przyglądając się im ze wszystkich stron.

* Co to wszystko miało znaczyć? * Skarphedin Olsen podniósł się z krzesła i zbliżył się do szefa policji.

* Te spodnie, polisi Olsen, to spodnie od munduru. * Albapung Fy upuścił spodnie na podłogę. * To spodnie, których na co dzień używają nasi policjanci.

Po chwili Skarphedin i Fredric Drum, którzy także przyglądali się teraz z bliska ubrani, usłyszeli całą historię. Kobieta, która przyprowadziła za sobą gromadę ludzi i rzuciła spodniami w policjanta, właśnie została wdową. Jej mąż pracował w tartaku w górze rzeki, ale zginął w tragicznych okolicznościach w wypadku. Został pocięty na kawałki przez wielką tartaczną piłę. Tak przynajmniej powiedział jej zarządca tartaku, który osobiście przekazał jej tę straszną wiadomość. Całe zdarzenie miało miejsce w zeszłym tygodniu, dokładnie w środę, dwudziestego piątego dnia miesiąca. Ciało jej męża było tak zmasakrowane, iż wdowa nie była w stanie mu się przyjrzeć, ale wczoraj przysłano z kostnicy ubrania jej męża. Ogarnęło ją wielkie przerażenie, kiedy odkryła, iż te rzeczy wcale nie należały do jej małżonka, ale personel szpitala i administrator kostnicy zaklinali

się, że to właśnie te spodnie zdjęli z rozerwanej na strzępy ofiary. Kobieta opowiedziała to wszystko szefowi policji, chcąc się dowiedzieć, co się stało z jej mężem. A ponieważ sam majori polisi, najwyższa policyjna władza, przyjechał do miasta i zamieszkał w tym hotelu, zabrała ze sobą całą rodzinę swoją i męża, dzieci, wujków i ciotki, aby wspólnie zażądać, by majori polisi dowiedział się, co się stało z jej mężem. Będą tu przychodzić dzień w dzień, aby poznać odpowiedź.

* Te spodnie * zakończył Albapung Fy, starając się odzyskać pewność siebie, z jaką rozpoczął ten briefing, co tylko częściowo mu się powiodło *mogły należeć do zaginionego policjanta, jednego z tych, którzy pomagali pana człowiekowi, polisi Olsen. To mogą być spodnie Goriona Sena.

Skarphedin nic nie odpowiedział. Stał, wyglądając na ulicę. Właśnie zaczęła się potężna ulewa. Ulica spłynęła błotem. Wreszcie odwrócił się gwałtownie.

* Dobrze. A co pan powiedział tej kobiecie?

* Że ja, polisi Olsen, na mój honor, władzę i nasze dumne indonezyjskie tradycje w kwestii sprawiedliwości i prawa * odchylił głowę nieco w tył i delikatnie wysunął podbródek * dopilnuję, aby natychmiast podjęto działania mające na celu zgromadzenie informacji o jej mężu i wyjaśnienie tego, co zdarzyło się w tartaku.

* Powiedział pan natychmiast?

Szef policji Albalung Fy przełknął ślinę i przytaknął.

* Wspaniale, drogi kolego! Widzę, że stał się pan człowiekiem czynu. Może pan na parę godzin zapomnieć o śledztwie w sprawie skradzionej z poczty maszyny faksującej. Od razu zajmie się pan sprawą tartaku i przyprowadzi tutaj tego zarządcę. * Spojrzał na zegarek. * Powiedzmy, że zabierze to panu jakąś godzinę?

* Ale... pada... Ulica... Buty...

* Do cholery, człowieku! Tutaj wszyscy jesteśmy utaplani w błocie, gównie i najprawdopodobniej we krwi, a to dopiero początek! Mogę to panu zagwarantować! Ruszaj pan, i to już. Zarekwiruj samochód, zabierz ze sobą paru włóczących się po ulicach młodych żołnierzyków, jeśli to pomoże.

Albalung Fy zaczął się podnosić powoli i z wahaniem, ale napotkawszy spojrzenie otyłej recepcjonistki, od razu wyprostował się, przesunął czubkiem buta spodnie w kąt, wykonał pożegnalny gest i wyszedł.

Fredric przysunął krzesło do stolika Skarphedina i wymownie skinął głową.

* Udaje ci się porządnie rozruszać naszą kluczę.

Skarphedin nie odpowiedział, tylko siedział, wyglądając przez okno.

* Ten mężczyzna * powiedział wreszcie, odwracając się do Fredrica * jest dla nas teraz niezastąpiony! Jest naszym zabezpieczeniem. W tej śmierdzącej,

*

zadzumionej dziurze na korku świata ludzkie życie najwyraźniej jest tyle warte, ile życie karalucha. Peder Ungbeldt niestety zrozumiał to zbyt późno.

Fredric nic nie odpowiedział.

Teraz on wyglądał przez okno.

Patrzył na deszcz i błoto.

* W tej sprawie są szczegóły * kontynuował Skarphedin * które nie pozwalają mi dostrzec jakiegokolwiek wzoru. Dokonajmy szybkiego podsumowania faktów, Fredricu.

Detektyw znalazł długopis i wyjął z maszyny faksującej parę czystych kartek. Zanotował następujące punkty:

Norweski aktywista działający na rzecz ochrony lasów deszczowych zostaje znaleziony z odciętą głową.

Peder Ungbeldt zostaje uznany za zamordowanego (odcięta głowa) po tym, jak przez kilka dni prowadził śledztwo w sprawie śmierci Vennaliego.

Zwłoki jednego z policjantów asystujących Ungbeldtowi zostają znalezione w zaułku w pobliżu miejsca, w którym odnaleziono ciało Ungbeldta. Prawdopodobnie zostali zamordowani w tym samym czasie.

Do KRIPOS w Oslo dociera faks ze zdjęciem ciała Ungbeldta, zanim tutejsze władze informują nas o zdarzeniu.

Faks zostaje nadany telefaksem, który wcześniej został skradziony z urzędu pocztowego.

Pracownik tartaku, reprezentant lokalnej ludności, zostaje uznany za zaginionego, ale najpierw zarządca tartaku zgłasza jego zgon.

Osobą, która naprawdę zginęła w tartaku, może być drugi z policjantów asystujących Ungbeldtowi.

* To * Skarphedin podsunął kartkę Fredricowi * czyste fakty w tej sprawie. Póki co.

Wypływają z nich trzy ważne pytania. Po pierwsze, dlaczego ktoś miałby anonimowo wysłać do KRIPOS za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych zdjęcia zamordowanego śledczego, zanim oficjalnie dowiedzieliśmy się o sprawie? Jaki mógł być cel takiego działania? Po drugie, jak ktoś mógł skorzystać z faksu na poczcie, skoro został skradziony z urzędu? A po trzecie i ostatnie, komu miałoby posłużyć poszatowanie lokalnego policjanta

w tartaku posiadanym i kierowanym przez osoby, które, jak wiemy, stoją za częścią zorganizowanego nielegalnego eksportu drewna?

* Jest jeszcze czwarte pytanie * powiedział Fredric spokojnie. * Jaki człowiek jest w stanie zdobyć się na takie bestialstwo, jak odcinanie ludziom głów? Nie można tutaj mówić o szybkiej i efektywnej likwidacji kłopotliwych osób, ale wprost przeciwnie, o demonstracyjnym zachowaniu.

* Być może, być może, Fredricu. * Skarphedin zmarszczył czoło i nieco zmrużył oczy. * Metoda prymitywnych ludów. Zdjęcia są bardzo złej jakości, ale zdaje mi się, że możemy mówić o jednym mocnym cięciu. To może być jak podpis mordercy, chyba że chodzi o wprowadzenie nas w błąd. Jednak morderca, z którym mamy tutaj do czynienia, jest właśnie tak głupi, że wyobraża sobie, iż wyszkoleni śledczy wyciągają takie same wnioski, jak zrobiły to lokalne władze.

* Właśnie. * Fredric nie miał nic do dodania.

* A motyw?

* Motywy tych czynów mogą się wydawać nieco niejasne * zgodził się Fredric * bo jeśli stoi za nimi firma eksportująca drewno lub jej współpracownicy, to dlaczego tak bardzo kierują uwagę na proceder, który się tutaj odbywa, zabijając norweskiego policjanta? To niemal jak prośenie się o kłopoty. Musieli chyba zdawać sobie sprawę z tego, iż to pociągnie za sobą gruntowne śledztwo? A to, że lokalny policjant zostaje zaszlachtowany w ich własnym tartaku...

* Właśnie * przytaknął Skarphedin. * Coś tu nie gra.

* A jeśli to naprawdę ten policjant został zamordowany w tartaku, z tego, co pamiętam, nazywał się Gorion Sen, to właściciele tartaku będą mieli poważne problemy.

* Absolutnie się z tobą zgadzam. * Skarphedin wymownie skinął głową. * Stoi za tym wielki mózg, ktoś bardzo zły i chłodno kalkulujący, Fredricu. * Znow zabębnił palcami w stół. * Ktoś, kto chce nas zmylić. Musimy w tym znaleźć jakiś wzór. Teraz go nie widzimy, ale z pewnością można go odkryć. Cztery morderstwa, prawdopodobnie pięć. Zapadła chwila ciszy. Fredric zamknął oczy. Starł się coś pojąć.

* Dziś rano * powiedział wreszcie *przypadkowo trafiłem na miejsce, gdzie.. Ungbeldta. Tak?

* W tym kamiennym bloku było coś, co sprawiło, iż poczułem, że coś jest nie tak. To było takie nagłe przeczucie, które szybko uleciało, ale możliwe, iż znow powróci.

Skarphedin nie odpowiedział od razu, ale podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

* Gwarantuję ci, że znajdziesz wyjaśnienie tego przeczucia dziś wieczorem. Zjemy kolację w tej samej świetnej restauracji, którą odwiedziliśmy wczoraj. Dobre jedzenie i picie. Będą nam potrzebne, gdy będziemy dokonywać podsumowania. * Lekki uśmiech na chwilę wygładził głębokie zmarszczki na twarzy detektywa.

Fredric był ciekaw, ale nie pytał. Na zewnątrz przestało padać. W środku było ciepło i wilgotno.

po tym, jak zjadłem śniadanie, , no wiesz, zrobiono zdjęcia ciała

Skarphedin wyjął z torby kilka teczek i rozłożył je na stole. Następnie jeszcze raz przyjrzał się rozmieszczonym na blacie aparatom i skinął głową.

* W jednym z domów w tym mieście przebywa bardzo przerażona, ale i bardzo ładna młoda dama. * Zartobliwie spojrzął na Fredrica, który wyjął z kieszeni przewodnik Hamlyna pod tytułem A Complete Guide of the Great Wines of New Zealand and Australia. *Ta kobieta może mieć wiele ważnych rzeczy do powiedzenia, więcej niż to, co opowiedziała mi dziś rano.

* A gdzie tak w ogóle przebywają ci aktywiści? * Fredric starał się udawać mało zainteresowanego.

* Szwedzki profesor, który ponoć zajmuje się badaniem lasów deszczowych, dał im pokoje * odparł Skarphedin. * Znajdziesz ich w domu z szyldem FLORAZOOL, blisko przystani. Fredric wzruszył ramionami. Akurat teraz nie miał wielkiej ochoty wychodzić na ulicę. Przez chwilę przyglądał się wujowi, który rozłożył na stole masę papierów, w tym listę nazwisk z biura imigracyjnego. Udawał, że przegląda przewodnik o winach. Bardzo martwił się o wujka przez ostatnie miesiące. Dlatego tale bezwarunkowo zgodził się na tę podróż, że chciał się dowiedzieć, jak naprawdę ma się wujek i czy wciąż jest zdolny do wykonywania pracy detektywa w terenie. Wuj już zdążył udowodnić, że jest w świetnej formie. Od chwili, gdy tu przyjechali, pracował w budzącym respekt tempie i z wielkim entuzjazmem. Sposób, w jaki radził sobie z lokalną policją, był imponujący. Fredric schował przewodnik z powrotem do kieszeni. Do czego doprowadzi to tempo? Czy tę sprawę można rozwiązać? Zaledwie za kilka lat Skarphedin Olsen przejdzie na emeryturę.

* Bracia Culpepper * powiedział nagle. Skarphedin podniósł wzrok znad swoich notatek.

* Ci Amerykanie * kontynuował Fredric. * Jak zapamiętałem z materiałów sprawy, mają w mieście dom?

Detektyw zmarszczył czoło.

* To prawda * powiedział. * Ungbeldt powiedział mi o tym w jednej z rozmów telefonicznych, ale co z tego?

* Dziwne, że osiedlili się akurat tutaj. Z tego, co wiem, są obrzydliwie bogaci i mają tartaki w wielu miejscach na terenie Azji.

* Rzeczywiście jesteście do przodu z pewnymi rzeczami, Fredricu. * Skarphedin oparł się wygodnie. * Właśnie teraz przygotowuję do pewnych władz pytania odnośnie do ich biznesu tutaj, i nie będę zaskoczony, jeśli informacje, jakie uzyskam, będą zawierały odpowiedź na twoje pytanie.

Fredric skinął głową.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się wujkowi.

Nie miał najmniejszej ochoty wychodzić na błotnistą ulicę.

Znów parę godzin nad indonezyjskim pismem?

W momencie, gdy wstał z krzesła, aby pójść na górę, zauważył dwie osoby, które przyszyły do recepcji. Jedną z nich był niski mężczyzna, między czterdziestką a pięćdziesiątką, Chińczyk, a drugi był wysoki, szczupły i o jasnych włosach. Z wyglądu Skandynaw. Fredric zbliżył się do drzwi, skąd mógł zobaczyć plecy tej dwójki udającej się schodami na drugie piętro. Najwyraźniej nie zwrócili uwagi na to, że w jadalni byli jacyś ludzie. Impuls nakazał Fredricowi podążyć za nimi. Szybko wbiegł po schodach i zauważył zamykające się drzwi. To musi być ten Chińczyk, Teng Fung Li, pomyślał. Ostrożnie zbliżył się do drzwi, za którymi zniknęli.

Da radę coś usłyszeć?

Nasłuchiwał.

Przyłożył ucho do drzwi.

Wyraźnie słyszał ich rozmowę.

Co ty, do cholery, robisz, Fredricu?! Myśl o tym, że właśnie podsłuchuje pod drzwiami innych gości hotelowych niczym parodia jakiegoś detektywa, sprawiła, że się cofnął, lecz po chwili znów pochylił się ku drzwiom.

* Panie Ender, wszczęto śledztwo. * Angielski z wyraźnym chińskim akcentem.

* co pan powiedział? * Norweski akcent?

* Że mogą zobaczyć wszystkie papiery.

* Tak?

Cichy śmiech Chińczyka.

* Pewnie, że nie, panie Ender.

* Z tego, co wiem, mieszkają w tym hotelu, tak?

* Tak. Ten szef policji nie wydaje się najmądrzejszy. To służalczy lizus.

* Znam go. Alzapung Fy. Na szczęście trzyma się od nas z daleka. Wie pan...

Znów krótki śmiech.

* Gra toczy się o wysoka stawkę. To może być pierwszy z naprawdę wielkich kontraktów. Justin i Ferdinand zatwierdzili już większą część umowy. * Norweg.

* Nie podobają mi się te metody. Powiedziałem już wcześniej, iż moi przełożeni nie chcą być zamieszani w to, co się tutaj dzieje. Wie pan, do czego piję. * Głos Chińczyka stał się nagle surowy.

* Może pan być zupełnie spokojny.

* OK. Zatem nie wracajmy już do tego. Proszę dać mi teraz trochę czasu, bym mógł się zapoznać z dokumentami. Są pewnie tak dobrze sformułowane jak wcześniejsze, ale nigdy nie sygnuję niczego, dopóki dokładnie nie przeczytam. Rozumie pan, panie Ender.

Cisza. Tylko chrząkanie i odgłos otwierania aktówki. Szelest papierów, a potem szybkie kroki. Fredric cofnął się. Było już jednak za późno. Drzwi, przy których stał, nagle się otwarły.

Alban Trossig był wysokim, szczupłym, ale mimo to silnym dwudzie*stoósmioletnim mężczyzną. Jego jasne włosy były upięte w kok. Miał jasnoniebieskie oczy i nieco zbyt wielki podbródek, który sprawiał, że dół jego twarzy wydawał się za szeroki. Siedział na łóżku Sary Enghall, które wciąż było niezaścielone.

* Wyrąb posuwa się ku dolinie w rejonie Baliem, w której przebywa plemię Danuwashibi. Sprowadzają tam ciężki sprzęt, by dotrzeć do terenów porośniętych czerwonym drzewem sandałowym. * Zgasił papierosa w popielniczce, która stała obok niego na łóżku.

* Narysowałeś dwie nowe drogi na mapie. * Sara Enghall siedziała w okularach przy stole, studiując narysowaną ręcznie mapę. * Da się po nich przejechać jeepem?

* Niezbyt, ale za parę tygodni, gdy skończy się pora monsunowa, wyschną i wtedy zaczną przejeżdżać tamtędy samochody z ładunkiem drewna. * Zrezygnowany wzruszył ramionami.

* Ale skoro nie są przejezdne jeepem, to skąd wiesz...

* Kurde, Saro, nawet przez chwilę tam nie byłaś! * Zapalił kolejnego papierosa. * Teraz możemy wjeżdżać na sam szczyt Wangesa Rai, Miedzianego Wzgórza, a stamtąd mamy dobry widok na okolicę. Można wyraźnie zobaczyć pasy wytyczonych w dżungli dróg. Dzięki lornetce to bardzo łatwe.

* OK. Mówisz "my", czy Hasse był z tobą?

* Tak, też chciał to zobaczyć. Zostawiłem go przy stacji numer trzy. Mam go odebrać jutro po południu. * Alban Trossig wstał, podszedł do okna i zaczął wachać stojące tam rośliny.

* Uważaj, by teraz nie zasnąć, Albanie. Wiesz, co się stanie, jeśli naw*dychasz się tego zbyt dużo. Zaczyniesz gadać od tlzclj. * Zdjęła okulary.

Alban Trossig nic nie odpowiedział.

* Tak w ogóle to w drodze powrotnej spotkałem Ferdinanda Culpeppe*ra. Zrobił gest, jakby mi podrzynał gardło. Pieprzona świnia! Najwyraźniej sprzymierzył się z plemieniem Danuwashibi i teraz wykorzystuje dwóch mężczyzn z tego plemienia jako swych strażników i służących. Najprawdopodobniej przekupił wodza i całe plemię bibelotami i alkoholem, by móc wkroczyć na ich teren. Dwóch z nich siedziało w jego samochodzie.

* Culpepper i dwóch mężczyzn z plemienia Washibi? * Sara spojrzała na niego ze zdumieniem.

* Wyjątkowi brzydale. Długie noże, spiłowane zęby i usta od ucha do ucha. * Zrobił grymas i znów usiadł na łóżku.

* Nie najpiękniej wypowiadasz się o autochtonach. * Sara wydawała się poirytowana.

* Wracając do Culpeppera, to wcale bym się nie zdziwił, gdyby to ci Washibowie... * Urwał nagle, gdy napotkał wzrok Sary.

* I teraz to mówisz? * Zmrużyła oczy i patrzyła na niego gniewnie. *

Wiesz dobrze, bardzo dobrze, Albanie, że to nieprawda! Jednak możesz powtórzyć to policjantowi, który był tutaj dzisiaj przed południem. Chciał z tobą rozmawiać. Pewnie wkrótce wróci.

* Dobrze * westchnął. * To cholerne miejsce zaczyna działać mi na nerwy. Skończy się na tym, że wszystkim nam odetną głowy.

W pokoju Sary Enghall zapanowała cisza.

* Chcesz pojechać do domu * powiedziała wreszcie Sara.

* Mówiąc całkiem szczerze, tak. * Spojrzał jej w oczy.

* Ale ci gnoje z ministerstwa w Norwegii wciąż nie zrobili nic, aby położyć kres niszczeniu dżungli! * Wściekła, wstała gwałtownie z krzesła. * Nie wyjadę stąd, dopóki Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Ministerstwo Ochrony Środowiska nie wezmą się do roboty i nie zwalczą tutaj przestępczości. Rozumiesz?! Istnieje przecież prawo międzynarodowe, które tego zakazuje, ale ci idioci w Norwegii rzucają tylko pustymi frazesami i nie podejmują żadnych konkretnych działań. Zastanawiam się, czy w ogóle przeczytali raporty, które im wysłaliśmy. Co gorsza, wydaje mi się, że nawet nasza organizacja, Fundusz na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych, poddała się i chce nas ściągnąć do domu. Jestem zawiedziona. Sam przecież widziałeś ostatnie fakty, wnioski i uwagi z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

* Chcesz zostać zamordowana, Saro? * Jego głos był surowy. Ciężko opadła na krzesło. Zamknęła oczy.

* Wierzę, że może ten policjant, nazywał się bodajże Olsen... Jest nadzieja, Albanie.

Alban Trossig nie odpowiedział. Wstał i poszedł do swojego pokoju. Położył się na łóżku i zaczął patrzeć w sufit. Nie widział niczego poza tym sufitem.

Skarphedin Olsen osuszył pot z czoła. W pokoju było nieprzyjemnie wilgotno. Siedział z listą nazwisk wypisanych z protokołu imigracyjnego. Bębnił palcem wskazującym w kartkę i nazwiska, które wykreślił:

Carl Christian Ender

Rolf Hakkeng

Tor Henry Astviner

Johnny Haglund

Hans Mercur Elfhammar

Jan Vennali

Sara Enghall

Alban Trossig

Hanne Ambjerg

Preben Ambjerg

Peder Ungbeldt

Helie Buttermo Jens Ivar Draggerdal Palie Jensen Lars Oscar Larsson Stina Lisa Larsson Tom Evert Evertsen

W ciągu ostatnich trzydziestu minut dostał informacje z różnych biur i urzędów, pisemnie za pośrednictwem faksu i telefonicznie, dzięki którym mógł wykreślić z listy dziewięć osób.

Ludzie, o których nazwiska skrócił listę, nie mieli nic wspólnego z drewnem, lasami deszczowymi czy innymi elementami śledztwa, które prowadził. Byli misjonarzami, podróżnikami czy nieszkodliwymi turystami. Poza tym dwoje z nich już nie żyło.

** Ale, Fredricu * powiedział, nie podnosząc głowy znad leżącej na stole kartki * na tej kartce pozostały nazwiska osób, o których chciałbym zgromadzić szczegółowe informacje. Są to: Tor Henry Astviner, czyjs konsultant bądź dysponent, Palie Jensen, duński inżynier, i Tom Evert Evertsen, o którym zupełnie nic nie wiem. Astviner chyba ma biuro w Jayapurze.

Pozostała piątka powinna znajdować się tutaj, a gdy chodzi o Endera i Haklcenga oraz ich firmę Irian Limbrade Eksport, o której wspomniał mi przez telefon Peder Ungbeldt, to ich

siedziba powinna mieścić się na tej ulicy. Fredricu, możesz... * Odwrócił się i spostrzegł, że Fredrica nie ma już w jadalni.

* Dobrze, dobrze * chrząknął.

W momencie, kiedy miał odebrać kolejny telefon, spostrzegł samochód wojskowy, który zatrzymał się przed hotelem. Z pojazdu z trudem wygramolił się komendant Gumali Albapung Fy, a za nim wysoka postać w niebieskim kombinezonie. Weszli do recepcji. Szef policji skłonił się głęboko przed recepcjonistką, która obdarzyła go swym najpiękniejszym uśmiechem, a potem wszedł z towarzyszem do jadalni, a ściślej mówiąc, Albapung Fy dość mocno i zdecydowanie popchnął przed sobą mężczyznę w kombinezonie. Ten wcale nie był zadowolony z takiego traktowania. Jego twarz zdradzała strachu, urazę i zdumienie.

* W duchu naszej narodowej sprawiedliwości mam przyjemność przyprowadzić do pana, polisi Olsen, zarządcę, Johna Tambonga, malajskiego Papuańczyka, odpowiedzialnego za codzienne nadzorowanie pracy w tartaku. * Szef policji spocił się i ciężko usiadł na krześle. Zarządca stał.

Zmieszany rozejrzał się dokoła.

Skarphedin wskazał mu krzesło.

* Mówi pan po angielsku? * zwrócił się do mężczyzny.

* Mówię po angielsku! * Jego głos był wzburzony, a wzrok rozbiegany.

* Co pan mu powiedział?

* Nic, absolutnie nic, polisi Olsen, pozostawiam to panu, ale niełatwo było zmusić go do zatrzymania imponujących maszyn tartacznych i sprowadzić go tutaj...

* Dobrze * rzucił detektyw.

Wstał z krzesła, podszedł do brązowoskórego, niemal czarnego malajskiego Papuańczyka i spojrzał mu w oczy. Nic nie mówiąc, nagle się odwrócił i wziął do ręki poszarpane, poplamione zaschlą krwią spodnie, po czym drugi raz tego dnia spodnie poszybowały, tym razem na kolana Johna Tambonga.

* Rozpoznaje pan to ubranie? * Skarphedin znów usiadł, ale ustawił krzesło naprzeciwko zarządcy.

Brak odpowiedzi.

Mężczyzna patrzył na spodnie, który spadły na podłogę.

Jego oczy były szeroko otwarte.

Na jego twarzy dało się przez chwilę zauważyć delikatne drgania.

* Słyszał pan, o co zapytałem? Rozpoznaje pan to, panie Tambong?

* Nie. Nie! Dlaczegoż miałbym? * Rozbiegany wzrok.

* No cóż... * Skarphedin odchylił się na krześle. * Tydzień temu, a dokładnie 25 marca, w waszym tartaku zdarzyło się coś niezwykłego, prawda?

* To był straszny wypadek. * Mężczyzna zwilżył wargi. Jego twarz jakby poszarzała. * Tragiczny wypadek. Jeden z trzech pracowników zahaczył o bal drewna i został pocięty na kawałki. To było przerażające, ale co... * Znowu spojrzał na spodnie.

* Mówi pan, że to był wypadek. Może mi pan bardziej szczegółowo opowiedzieć, co się zdarzyło?

Zarządca wyjąkał, że podbiegł, kiedy spostrzegł, iż coś się stało przy pile numer jeden, i że musiał zniszczyć kontrolkę, bo przycisk awaryjny nie działał. Było już jednak za późno.

* Czy ktoś jeszcze był świadkiem wypadku? * kontynuował Skarphedin.

* Nie, nikt poza mną. Między stanowiskami jest duża odległość, ale wstrzymałem pracę w tartaku, tak że pozostali pracownicy mogli pójść do domu.

* Zatem nikt inny tego nie widział. No cóż... * Zrobił krótką przerwę, nim zaczął kontynuować. * A jak się nazywała ofiara wypadku?

* To był bardzo dobry pracownik. Nazywał się Kombang Kombangpung Ui. Tak, to był... Nie widziałem... * Wysoki mężczyzna zaczął się jąkać.

* Mogę sobie wyobrazić, że to był straszny widok. * Śledczy spojrzął na sufit. * Jest pan jednak całkowicie pewien, iż to ten pracownik poniósł śmierć? Rozpoznał go pan po tym, jak płała, no wie pan...

* Nie, to nie było możliwe. Była tylko krew. Z głowy i torsu nic nie pozostało. * Skulił się trochę.

* Ubranie, które leży przy pana nogach, to jak pan pewnie zdążył zauważyć, spodnie. Te spodnie zdjęto z ciała mężczyzny, który zginął w tym tragicznym wypadku. Wdowa po zmarłym otrzymała je z kostnicy. * Zrobił krótką przerwę.

John Tambong patrzył na spodnie tak, jakby te w każdej chwili mogły go zaatakować.

* Te spodnie, które są posklejane zaschłą krwią * kontynuował Skarphedin * nie należą do pracownika, o którym pan mówił. To spodnie od munduru noszonego przez policję. Należały do jednego z policjantów ze wspaniałego korpusu komendanta Albapunga Fy, a mianowicie do policjanta, który nazywał się Gorion Sen. Najdziwniejsze jest to, że tego policjanta uznano za zaginionego, i to dokładnie w dniu, w którym doszło do wypadku w waszym tartaku. Jak pan może to wyjaśnić, panie Tambong?

* Ja... Ja nie wiem... * Mężczyzna mówił z trudem.

* Skoro panu mówię, że człowiek, który poniósł śmierć w tartaku, był policjantem, to co się stało z pracownikiem, tym zdolnym... Nie pamiętam nazwiska * drażył Skarphedin.

* Ale... To musiał być... * John Tambong nie potrafił skupić wzroku.

* Wdowa po waszym pracowniku była tu dzisiaj wraz ze swą rodziną, aby zażądać odpowiedzi na to pytanie, odpowiedzi, której musi nam pan teraz udzielić, rozumie pan?! * Skarphedin znacząco podniósł głos.

* Nie mogę... Musi pan zadzwonić... do właścicieli... panów Culpeper... Musi pan spytać...

* Zamknął oczy i zacisnął pięści.

* Oczywiście, że skontaktujemy się z właścicielami tartaku, ale teraz chcemy uzyskać odpowiedź od pana. Co naprawdę stało się tego dnia w tartaku i gdzie teraz jest zaginiony pracownik? * Skarphedin wstał z krzesła i zbliżył się do zarządcy.

Malajski Papuańczyk zacisnął usta i wlepił wzrok w podłogę. Upłynęła minuta, potem jeszcze kilka minut, aż wreszcie śledczy zwrócił się do szefa policji.

* OK. W mieście chyba jest jakieś więzienie? Czy może pan natychmiast zaprowadzić tam tego mężczyznę i dopilnować, aby nikt, absolutnie nikt go nie odwiedzał?

* Dopilnuję tego, polisi Olsen. * Albapung Fy wstał, wygładził parę zagnieceń na mundurze i strzepnął kurz z kabury. * To wojsko administruje tutejszym więzieniem. Zaraz wezwę pełniącego wartość oficera.

Szef policji zniknął w recepcji. Skarphedin słyszał, że krzyczy coś na ulicy do grupki żołnierzy. Parę minut później przed wejście do hotelu zajechał wojskowy jeep i do środka wszedł szef policji w asyście trzech umundurowanych i najwyraźniej gotowych do walki mężczyzn w hełmach i z karabinami, które wpięrowo wycelowali w Skarphedina, a potem w zarządcę, który cały czas siedział bez słowa, wpatrzony w podłogę. Teraz został brutalnie postawiony na nogi i wepchnięty do jeepa, mając wycelowane w plecy karabiny. Szef policji wydał parę szybkich i stanowczych komend, a potem pojazd ruszył w dół ulicy. Albapung Fy na moment został w recepcji, gdzie najwyraźniej po wielu ukłonach i przeproszających gestach wyjaśnił damie za ladą, co się stało. Potem wrócił do jadalni.

Skarphedin znów usiadł.

Wskazał szefowi policji krzesło.

Siedział, kiwając głową i przyglądając się Albapungowi Fy.

Na policzkach szefa policji pojawiły się zdrowe rumieńce.

* Jak pan chce, to pan potrafi * powiedział wreszcie. * Pana autorytet nie ulega żadnej wątpliwości, a teraz będzie pan mógł udowodnić, iż rzeczywiście pan potrafi. Od razu odbędę rozmowę z właścicielami tego tartaku. Teraz korzystając z tego telefonu, zadba pan o to, by

obaj bracia Culpepper pojawili się tu w mgnieniu oka! Nie ma mowy o dalszej działalności tartaku, nim ta sprawa nie zostanie wyjaśniona.

* Ale... to może być trudne, polisi Olsen. * Na jego twarzy pojawiła się troska. * Oni są bardzo bogaci i mają koncesję indonezyjskiego rządu...

* Akurat to mamy gdzieś, prawda? * Skarphedin był stanowczy. *W tym tartaku najprawdopodobniej doszło do szczególnie bestialskiego zabójstwa, a ofiarą padł pana człowiek.

* To prawda. * Szef policji zbliżył się do telefonu.

* Poza tym * kontynuował detektyw * chciałbym pana pochwalić za to, co już pan zrobił.

Nie omieszkać o tym wspomnieć ministrowi Giga*watti, gdy będę z nim rozmawiał.

Zdawało się, że gdy Skarphedin wymawiał te słowa, szefowi policji przybyło kilka centymetrów wzrostu. Przez następne minuty uwijał się jak w ukropie przy telefonie. W pewnej chwili wyglądało na to, że rozmowa toczy się nie po jego myśli, i na czole mężczyzny pojawiły się kropelki potu, ale wreszcie klasnął w dłonie i uśmiechnął się.

* Ferdinand Culpepper jest wściekły w związku z zamknięciem tartaku i zażąda odszkodowania. Mnie pociągnie do odpowiedzialności, ale to dla mnie zaszczyt mieć to gdzieś, by wykorzystać zwrot, którego sam pan użył. Wydaje mi się, że Ferdinand Culpepper pojawi się tutaj lada moment.

* Wspaniale * odparł Skarphedin z lekkim uśmiechem. * Robi się gorąco. Jak dobrze znał pan tego policjanta, Goriona Sena?

* Aha. * Alpapung Fy złapał się za wewnętrzną kieszonkę i wyjął jakąś kartkę. * Prawie zapomniałem. Przed południem prosił mnie pan o zebranie informacji o policjantach, którzy asystowali pana człowiekowi. Zanotowałem na tej kartce parę rzeczy, które nie znalazły się w raporcie. Niewiele tego i raczej się nie przyda.

Skarphedin wziął od niego kartkę, przeczytał ją pośpiesznie, skinął głową i położył ją na stole.

* Obaj pracowali więc na posterunku w Jayapurze * powiedział *

i obaj byli stosunkowo młodzi, bez bliskiej rodziny. Przypuszczam także, że nie mieli większego doświadczenia w prowadzeniu dochodzeń w sprawach o morderstwo. Teraz, drogi kolego, zarządca Tampong i bracia Culpepper będą twierdzić, iż to pracownik tartaku zginął w wypadku. Będą sugerować, że to on zaatakował i zabił policjanta, a potem ukradł jego ubranie i założył spodnie od munduru do pracy. Jak możemy obalić to stwierdzenie?

Szef policji zamknął oczy.

Przez chwilę siedział bez słowa.

Jego gładka, okrągła twarz wydawała się bardzo skupiona.

* Gorion Sen miał na lewej łydce ślad po postrzale * powiedział wreszcie. * Został postrzelony podczas wymiany ognia z gangiem narkotykowym jesienią zeszłego roku, ale...

* Wspaniale! * Skarphedin zeskoczył z krzesła i kilka razy przeszedł się po pomieszczeniu. * Naprawdę wspaniale, bo skoro dół spodni nie wygląda na zniszczony przez piłę, to możemy założyć, iż łydki trupa są raczej w całości. Zgadza się pan ze mną? A zwłoki znajdują się albo w szpitalnej kostnicy, albo parę stóp pod ziemią.

Alpapung z trudem przełknął ślinę. * Ciało nadal znajduje się w kostnicy * powiedział.

* Zatem nie mamy czasu do stracenia! Od razu złoży pan wizytę wdowie i zabierze ją wraz z dwoma innymi wiarygodnymi świadkami do kostnicy, aby dokładnie przyjrzeć się nogom zmarłego.

* Jest bardzo późno. Zbliża się osiemnasta, a trochę jedzenia...

* Później, drogi kolego * przerwał mu Skarphedin. * Później. Wtedy będzie pan mógł uwieńczyć owocny dzień pracy dobrym posiłkiem. Zasłużył pan na to, a gdybym był na pana miejscu, to spytałbym tę ładną recepcjonistkę, czy nie zechciałaby mi towarzyszyć przy kolacji.

Twarz Gumaliego Albapung Fy nagle rozjaśniła się.

* Tak właśnie zrobię, polisi Olsen! To zaszczyt... A pan może porozmawiać z panem Culpepperem. Ja już wychodzę.

Kłaniając się, szef policji opuścił pomieszczenie.

Skarphedin uśmiechnął się.

Przez chwilę siedział bez ruchu.

Zmarszczki na jego twarzy wygładziły się.

Poirytowany, odpędził chmarę komarów, które atakowały jego głowę i kark. Wykonał parę telefonów i zrobił trochę notatek, nim usłyszał wzburzony głos w recepcji. Amerykański akcent. Po chwili w drzwiach stanęła postać, na widok której Skarphedin przycisnął nieco bardziej plecy do oparcia krzesła, a jego oczy stały się wąskimi, bardzo wąskimi szparkami.

Był wczesny ranek. Minęło dopiero wpół do dziewiątej. Zastępca sekretarza w roli rzecznika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Finn Edwin

Lindbom, przeczytał ze zmartwioną miną ostatnie otrzymane faksem informacje. Wcale nie był niezadowolony z tego, iż minister spraw zagranicznych uczynił go za pośrednictwem pierwszego sekretarza odpowiedzialnym za śledzenie postępów w sprawie i podejmowanie koniecznych decyzji. Spodziewał się tego. Jednak to, co działo się po drugiej stronie ziemskiej globu, niepokoiło go. Kim właściwie jest ten Skarphedin Olsen?

Jednym z najlepszych detektywów KRIPOS.

Jak dobrym?

Czy ten mężczyzna będzie w stanie nadać tej sprawie taki obrót, że on sam będzie mógł zaspokoić ciekawość najbardziej natarczywych dziennikarzy i złagodzić presję wywieraną przez aktywnych działaczy na rzecz ochrony środowiska, którzy mają silną reprezentację w opozycyjnych partiach? Czy ten detektyw dojrzy coś w miejscu, gdzie inni widzą tylko mgłę? To, że informacje, które wyjdą na jaw w tej sprawie, będą mogły wywołać polityczną burzę, nie niepokoiło Lindboma. Wprost przeciwnie. Jeśli tylko ten detektyw nie straci głowy, to wszystko będzie dobrze, ale pewnie dostał jakieś wytyczne od swego przełożonego z KRIPOS. Krondal, tak się nazywa. Przez chwilę poczuł nieprzyjemne nerwowe mrowienie w piersiach.

To nie jest tylko polityka.

Nie tylko wiarygodność kraju w kwestiach ochrony środowiska.

Ta sprawa ma także inne aspekty.

Zupełnie inną stronę.

Tylko on o tym wie. Mowa jest o dwóch przerażających zabójstwach, które trzeba wyjaśnić. Finn Edwin Lindbom stanął przed bardzo trudnym zadaniem. Musi znaleźć jakąś równowagę. Czy podola?

Znów poczuł niepokój.

Ten Skarphedin Olsen poprosił o szczegółowe informacje o pewnych osobach i firmach i pewnie już je dostał. Do czego to doprowadzi? Sekretarz i rzecznik zaczął powątpiewać we własną zdolność osądu sytuacji. Czy naprawdę ma pełną kontrolę nad sprawą? Prowadzone jest śledztwo w sprawie morderstwa, a takie sprawy w odległej części świata trudno jest wyjaśnić. W grę mogą wchodzić terroryści, fanatycy, prymitywne plemiona i ich rytuały. Bo czyż tak nie było w większości spraw, z którymi się zetknął? Co z Norwegiem, któremu obcięto głowę w Kaszmirze? Czy kiedykolwiek pojmano morderców? Nie. A czy znaleziono zabójców norweskiej rodziny, która wypłynęła na rejs po wschodnioazjatyckich morzach? Nie. A dwie szwedzkie dziewczyny na Bali? Niewyjaśnione zabójstwa.

Spojrzał na leżące na stole papiery.

Poczuł pot pod pachami.

Wydaje się, że ten Olsen draży sprawę naprawdę głęboko.

Prasa musi jednak dostać swoje.

Finn Edwin Lindbom zawahał się przez chwilę, zmarszczył czoło, aż wreszcie chwycił za telefon i wybrał numer do szefa Centrali Policji Kryminalnej, Arthura Krondala.

Mężczyzna, który stanął w wejściu do jadalni, miał na sobie jasny garnitur i panamski kapelusz. Jednak to nie ubiór zrobił na Skarphedinie największe wrażenie, kiedy wstał z krzesła, ale twarz mężczyzny. Była w całości pokryta krostami, pęcherzami i strupami. Oczy, które były niemal zasłonięte naroślami na policzkach, miały zielonkawy kolor i patrzyły na niego z nieukrywaną wrogością.

* Gdzie jest ten pieprzony Indonezyjczyk, z którego ciała mam zamiar wycisnąć cały tłuszcz, holy pig? * wycedził.

* Holy pig * powtórzył Skarphedin. Z takim wyrażeniem jeszcze nigdy się nie spotkał. * Jeśli to o komendanta Albapunga Fy panu chodzi, to wypełnia teraz swe zadania. * Podszedł do mężczyzny. Pokazał mu swą odznakę i wskazał krzesło.

* A co, do cholery, ty tu robisz? * Zerknął na policyjną legitymację i wszedł do pomieszczenia, ale nie usiadł.

* Detektyw Skarphedin Olsen z Oslo. * Poglądził się po brodzie i wlepił wzrok w człowieka, który bez wątpienia musiał być Ferdinandem Cul*pepperem. * Prowadzimy dochodzenie w sprawie czterech, a może nawet pięciu brutalnych zabójstw, do jakich doszło w tym mieście. Dwa z nich można powiązać z panami i waszym tartakiem.

Przez chwilę wydawało się, że kilka pęcherzy na twarzy Amerykanina zaraz pęknie, gdy jego oblicze i kark oblały się niemal graniczącą z fioletem czerwienią.

* Co to za cholerne bzdury, holypigl *Jego pełen wzburzenia głos stał się nieco zachrypły. * Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że znajduje się na indonezyjskim, a nie norweskim terytorium? Wytłumaczyłem to chyba wystarczająco dobrze pana rodakowi, nim na własnej skórze poznał tutejsze lekarstwo na wszystko, holy...

* ..pig. Tak, tak * przerwał mu Skarphedin. * Jeśli będzie pan uprzejmy usiąść ze swymi świętymi świniami, to pomówimy o szczegółach. Mogę jednak od razu pana poinformować, iż pana zarządca, nijaki John Tampong, został zamknięty w areszcie, a pana tartak pod żadnym pozorem nie zacznie znów pracować, dopóki się nie dowiemy, czy to policjant został zamordowany i co się stało z pana pracownikiem. Rozumie pan? * Głos detektywa był surowy i stanowczy.

Usta Ferdinanda Culpeppera otwierały się i zamykały wiele razy, nim syknął:

* Już pan nie żyjesz, panie Olsen! Jesteś trup!

Znaki rongo mogą znaczyć brat lub wróg, pojawia się podkładka pod piwo, a Fredric Drum i Skarphedin Olsen słyszą nagle głos Pavarottiego

Biorąc pod uwagę okoliczności, Fredric Drum całkiem wygodnie rozlokował się w pokoju hotelowym. Udało mu się zdobyć stół i dodatkowe krzesło, które stanęło pod oknem. Na stoliku leżały plansze i publikacje dotyczące pisma rongo*rongo odkrytego na Wyspie Wielkanocnej. Trochę czasu zabrało mu uspokojenie się po niefortunnym spotkaniu z Chińczykiem, spotkaniu, za które sam ponosił winę, podsłuchując pod drzwiami do pokój u Azjaty. Usłyszał zbliżające się kroki, ale nie zdążył się cofnąć, nim drzwi zostały otwarte. Miał szczęście, że nie dostał nimi w głowę. Chińczyk spojrzał na niego, ale nim zdołał coś powiedzieć, Fredric go uprzedził.

* Przepraszam, czy znajdę tam prysznic? * spytał, wskazując w głąb korytarza.

Chińczyk nic nie odpowiedział, tylko spojrzał na niego podejrzliwie.

* Tu jest bardzo ciepło i wilgotno * kontynuował Fredric, ruszając korytarzem w tę stronę, gdzie, jak wiedział, znajdował się wspólny prysznic.

* Mieszka pan w tym hotelu? * spytał Chińczyk.

* Mam pokój dokładnie pod pana pokojem, numer 21 * odpowiedział Fredric z uśmiechem i wyciągnął do Chińczyka rękę.

Mężczyzna z wahaniem uściśnął mu dłoń. Fredric celowo nie wymienił swojej narodowości. Nie miał najmniejszej ochoty być przedstawionym temu Enderowi akurat tu i teraz. Na szczęście Norweg nie pojawił się w drzwiach. Fredric skłonił się głęboko, odwrócił się i zdecydowanym krokiem pomaszerował ku pomieszczeniu z prysznicami. Mógł odetchnąć. Co za idiota ze mnie, pomyślał, gdy znalazł ręcznik i naprawdę znalazł się pod prysznicem. Pozwolił, by ciepła woda spływała po jego ciele, podczas gdy on próbował zapomnieć o tym epizodzie, co nie było łatwe, zważywszy na to, co przed chwilę usłyszał.

A usłyszał, że nie wszystkie papiery muszą zostać pokazane.

Jakie papiery?

Usłyszał, że Teng Fung Li nie podobały się metody.

Jakie metody?

Te pytania wciąż go nurtowały, gdy zasiadł do rozgryzania jednej z największych zagadek Oceanu Spokojnego, a mianowicie języka rongo*rongo, odkrytego na czterdziestu trzech kawałkach drewna i kamieniach na Wyspie Wielkanocnej. Z pewnością był to jakiś rodzaj pisma, ale póki co nieodczy*tany. Z jakiego klucza powinien skorzystać, aby znaleźć w tych znakach jakiś logiczny system? Fredric Drum opracował szereg metod i systemów odczytywania języków prymitywnych kultur, czym zyskał międzynarodowe uznanie. Który jednak sposób mógłby się okazać użyteczny w tym wypadku? Czym w ogóle są te znaki? Czy to prosty piktograficzny system? Tak sądziło wielu badaczy, ale inni uważali, że sprawa może być o wiele bardziej skomplikowana. Mogły to być ideograficzne bądź fonetyczne symbole, a może połączenie jednych i drugich. Fredric wstał z krzesła i przez parę minut wyglądał przez okno. Spoglądał ponad dachami domów na soczyście zielone lasy deszczowe, dżunglę. Nowa Gwinea, pomyślał, jedna z wielu wysp, gdzie mogą się kryć ślady kultury przeszłości. Czy zagadka wysp Oceanu Spokojnego i ich autochtonicznej ludności zostanie kiedyś rozwiązana? Czy to możliwe, by wszelkie kultury miały swój początek właśnie tutaj, na tej pokrytej bujną roślinnością wyspie, najbardziej wysuniętej na zachód wyspie Oceanu Spokojnego? Marne szansę, że uda mu się poznać odpowiedź na to pytanie. Zdawał sobie z tego sprawę, ale gdyby mógł udowodnić, że istnieje pismo, język stworzony przez kulturę stojącą wyżej niż te znane nam obecnie i że ta kultura nie umarła, a wciąż istnieje, rozprzestrzeniwszy się na wschód aż do Wyspy Wielkanocnej, wzbudziłby sensację.

Znów usiadł przy stoliku.

Czy to mogą być ślady jakiejś kultury?

Pismo rongo*rongo?

Pismo Kon Tiki?

Przez kilka minut siedział głęboko skoncentrowany nad paroma planszami, które sam opracował. Stworzył metodę wyodrębniania pewnych znaków i łączenia ich w związki. W ten sposób będzie mu łatwiej sprawdzić, czy to naprawdę symbole fonetyczne, jak twierdził jeden z najwybitniejszych badaczy pisma, Thomas Bartel. Przygotowanym przez siebie planszom nadał numery. Akurat teraz pracował nad planszami oznaczonymi T*7 i T*8. Uważał, iż trzymając się tego, co udało mu się już wcześniej usystematyzować, jest w stanie wyróżnić parę spokrewnionych słów, brat lub bliźniak, a także wróg i przyjaciel. Jak jednak wykorzystać je do stworzenia pełnego zdania? Wydawało się to trudne. Co tak naprawdę stało się tutaj, w tym leżącym na uboczu, na samym skraju dżungli miejscu? Fredric przestał myśleć o piśmie. Zamordowano ludzi, dwóch Norwegów, a może jeszcze wielu innych. Nielegalny handel drewnem z lasów deszczowych. Wciąż tkwiła mu w głowie wypowiedź Chińczyka: "Nie podobają mi się te metody". Dlaczego Teng Fung Li tak nagle otworzył drzwi? Może aby wpuścić do pokoju trochę powietrza, robiąc przeciąg? W jego własnym pokoju było strasznie duszno, a okna nie dawało się otworzyć. Policjant poszatowany piłą.

Okrutnie zamordowany. Zastraszenie? Demonstracja? Do kogo skierowana? Coś się nie zgadzało. Oczywiście można było sobie wyobrazić, że mafia drzewna, która zbijała na drewnie wielkie pieniądze, była w stanie zamordować osoby, które chciały ujawnić ten nieczyny proceder, na przykład aktywistów czy śledczego, ale zabicie policjanta w tartaku, który musiał mieć kluczowe znaczenie dla

ich działalności? Ten element nie pasował do całej układanki. Ktoś próbuje ich zwieść. Tak stwierdził Skarphedin. Zwieść? Ale w jaki sposób?

* Przestań, Fredricu * powiedział głośno sam do siebie. * To nie twoja sprawa. Skoncentruj się na tym, co masz do roboty!

* W porządku * odpowiedział sobie i znów zerknął na plansze.

Czy może tu być mowa o czysto mnemoniczych znakach, prostych symbolach, które wyrażają całą historię czy opowieść? Gdyby narysował małą dziewczynkę i wilka, a więc dwa proste symbole, to one mogłyby wyobrażać całą historię, a mianowicie tę o Czerwonym Kapturku i wilku. Czy tak jednak jest w tej sytuacji? Fredric miał wątpliwości. Czy w ogóle mógł sformułować jakieś logiczne zdanie z materiału, który usystematyzował? Zapisał propozycję:

Brat (bliźniak) jest (był) przyjacielem/wrogiem.

To zdanie wydawało się logiczne przynajmniej w kontekście symboli, wśród których się znajdowało, ale czy można posunąć się dalej? Był w stanie skoncentrować się jeszcze przez pół godziny, ale potem poczuł, że staje się niespokojny. Na zewnątrz zapadł mrok. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się siódma. Wstał i stanął przed lustrem zawieszonym nad umywalką. Przyglądał się swemu odbiciu.

Myślał.

Ten przebłysk, który miał przy pozostałościach starej przystani.

Dziś przed południem przy kamieniu.

Tam, gdzie znaleziono ciało Ungbeldta.

Co to było?

Skarphedin Olsen spojrzął na maszynę faksującą, która właśnie przesyłała jakieś wiadomości. Chrząknął z zadowoleniem i wypił parę łyków wody z butelki, którą przyniesiono mu z recepcji. "Jesteś pan martwy, panie Olsen. Jesteś trup". Z tymi słowami na ustach Ferdinand Culpepper odwrócił się na pięcie i wymaszerował z jadalni. Akurat teraz detektyw nie czuł się martwy, ale wprost przeciwnie, był bardziej żywy niż kiedykolwiek wcześniej. Po tym, jak Culpepper opuścił hotel, przez parę minut siedział nad informacjami o Skandynawach, którzy albo już opuścili wyspę, albo wciąż na niej przebywali. Mógł wykreślić z listy jeszcze dwa nazwiska. Palie Jensen, duński fotograf ptaków, który przebywał na wyspie parę tygodni temu, ale wrócił już do domu, i Tom Evert Evertsen, lekarz, który zajmował się badaniem chorób tropikalnych i który był tutaj od połowy stycznia do początku marca. Tor Henry Aswiner, w przeciwieństwie do wyżej wymienionych osób, wciąż figurował na liście. Mężczyzna miał trzydzieści siedem lat i był dysponentem bądź konsultantem do spraw rozwoju gospodarczego. Miał biuro na ulicy Hausmanns gate w Oslo. Żadnych pracowników. Jaką działalność prowadził obecnie? Co robił tutaj? Na to pytanie Skarphedin pewnie już wkrótce pozna odpowiedź. Przerwał mu w końcu szef policji, Albapunk

Fy, który mocno spocony i nie mniej poruszony powrócił z oględzin zwłok. Po tym, jak grzecznie pokłonił się damie w recepcji i powiedział do niej coś po indonezyjsku, zajął miejsce przy stole, naprzeciwko Skarphedina.

* Otóż, polisi Olsen * zaczął i pomachał przed śledczym kartką, którą wyjął z wewnętrznej kieszonki * nogi, które mogliśmy obejrzeć w trumnie w kostnicy, rzeczywiście należały do polisi Goriona Sena. Blizna po postrzale na lewej łydce, tuż pod kolaniem, była wyraźnie widoczna, co wyklucza pomyłkę. Poza tym wdowa zapewniła, iż palce stóp jej męża wyglądały zupełnie inaczej niż palce trupa.

* Wspaniale * powiedział Skarphedin i wziął kartkę, którą wręczył mu szef policji. Spojrzał na nią pośpiesznie. Informacja po indonezyjsku i angielsku o tym, że pozostałości zwłok w trumnie, sprowadzone z tartaku po południu 25 marca, nie należały do osoby o nazwisku Kombang Kombang* pung Ui, a do policjanta z Jayapury, Goriona Sena. Tekst był potwierdzony sześcioma podpisami, wśród których detektyw rozpoznał nazwisko Fy.

* No to sprawa jest jasna * powiedział Skarphedin. * Teraz dopilnuje pan, aby wokół tartaku natychmiast rozmieszczono straż z rozkazem, by nie wpuszczano tam nikogo, w tym również samych właścicieli. Teren tartaku ma zostać ogrodzony, a wszelkie prace wstrzymane do chwili rozwiązania sprawy, jasne?

* Z całym szacunkiem, polisi Olsen, to niemożliwe. * Szef policji zaczął się bawić plakietką na mundurze. * Muszę przeprosić, ale pragnę zachować wierność zasadom. Amerykańskie firmy mają koncesje i pełnomocnictwa...

* OK. Tutaj się zatrzymamy* przerwał mu ostro Skarphedin. * Możemy zapomnieć o starych umowach, wie pan? Może pan to przeczytać? * Chwycił kartkę, która niedawno przyszła faksem, i wręczył ją Albapungowi Fy.

Szef policji czytał, ocierając pot z czoła i odpędzając muchy. Czytał, a Skarphedin mógł zauważyć, iż jego twarz najpierw stała się lekko różowa, potem lekko purpurowa, aż wreszcie brązowo*czerwona. Ta ostatnia barwa pozostała na twarzy Albapunga Fy długo po tym, jak skończył lekturę dokumentu.

* A więc możemy, z całym szacunkiem, mieć gdzieś wszystkie koncesje i umowy z Amerykanami. Teraz to rozumiem, polisi Olsen. * Komendant wyprostował się na krześle i zerknął w stronę recepcji.

Dokument, z którym właśnie zapoznał się Albapung Fy, był opieczętowany stemplem samego indonezyjskiego Ministerstwa Sprawiedliwości i wynikało z niego, iż firma JFC i jej właściciele Justin i Ferdinand Cul*pepper tracą tymczasowo wszystkie koncesje i prawa do wyrębu i obróbki drewna wynikające z wcześniejszych kontraktów, do chwili, aż poważne zbrodnie, których ofiarą padli zagraniczni i indonezyjscy obywatele, zostaną wyjaśnione. Zadanie przeprowadzenia dochodzenia i wyjaśnienia tychże zbrodni ministerstwo powierza, z wielkim szacunkiem i pełnym zaufaniem, majoripolisi Gumaliemu Albapunowi Fy we współpracy z zagraniczną policją, w tym przypadku z majori polisi Skarphedinem Olsenem z Norwegii. Dokument był podpisany przez Urbawiego Veloboma Gigawattiego.

* Możemy * przytaknął Skarphedin * ale proszę mi najpierw odpowiedzieć na jedno pytanie. Ci bracia Culpepper mają koncesję na wyrąb, obróbkę i sprzedaż drewna z tego regionu, ale jak ją otrzymali i jakie prawa daje taka koncesja?

* Więc tak, polisi Olsen. * Albapung Fy powiercił się trochę na krześle. * Była mowa * z całym szacunkiem * o zagwarantowaniu, że pewne gatunki drewna... i o sadzeniu nowych drzew... i że nasze indonezyjskie państwo...

* Dobrze. Chcę wiedzieć, co się wiąże z uzyskaniem takich koncesji * przerwał mu Skarphedin. Zrozumiał, że niektóre szczegóły udzielania koncesji i podpisywania kontraktów na handel drewnem są dla szefa policji bardzo drażliwą sprawą.

* Te kontrakty, do zawarcia których się przyczyniłem, oznaczają, że mają oni prawo wykorzystywać dowolne bogactwa naturalne zgodnie z postanowieniami i prawem międzynarodowym, w granicach określonego obszaru, który w tym wypadku sięga aż do gór. Kontrakty i koncesje wygasają po dziesięciu latach, ale mogą zostać wypowiedziane z zachowaniem sześciomiesięcznego okresu wypowiedzenia. * Albapung Fy zaczął się niecierpliwić.

* Innymi słowy, oznacza to także, że mogą kopać na tym terenie w poszukiwaniu złota czy wiercić w poszukiwaniu ropy naftowej, jeśli zechcą? * Skarphedin wstał z krzesła i spojrzał na zegarek.

* Właśnie, polisi Olsen, ale teraz.... * On także wstał.

* A jeśli ja jutro rano wezmę łopatę i zacznę przekopywać wzgórze w poszukiwaniu złota, co się stanie? * Detektyw jeszcze nie skończył.

* Z całym szacunkiem, zostanie pan zatrzymany przez wojskowych. To oni chronią i kontrolują firmy, które otrzymały koncesje w tej prowincji. * Zaczął nerwowo ścierać z kabury jakieś wymaginowane płamy.

* W porządku. * Skarphedin nagle uśmiechnął się szeroko. * Teraz dopilnuje pan, by wojskowi otrzymali rozkazy, które panu naszkicowałem w związku z tartakiem, a potem może pan zaprosić tę piękną damę z recepcji na dobrą kolację.

* Tak będzie, polisi Olsen. * Skłonił się i odwzajemnił uśmiech.

* Jeszcze jedno. * Detektyw zatrzymał go w drodze do wyjścia. * Ma pan budzik?

* Budzik? * Zakłopotany, spojrzał na swój złoty zegarek.

* Tak, taki zegarek, który będzie mógł pana zbudzić rano lub w środku nocy, co może być konieczne w tym śledztwie.

* Nie, ale zazwyczaj budzę się...

* No to niech pan poprosi w recepcji, aby obudzono pana jutro o piątej rano. Dokładnie o piątej! Wtedy uda się pan prosto do więzienia i spyta tego zarządcę, bodajże Tamponga, kto naprawdę został zamordowany w tartaku. Może go pan naciskać tak mocno, jak pan będzie chciał, aż wyzna prawdę. Nie stosując oczywiście tortur fizycznych, zrozumiano?

Szef policji Alapung Fy z trudem przełknął ślinę.

* A potem spotkamy się tutaj o godzinie ósmej rano.

Indonezyjczyk słabo skinął głową i opuścił pomieszczenie.

Skarphedin poczuł, że zaczyna być głodny, ale nie nadszedł jeszcze czas na posiłek.

Energicznie przegonił rój much, posortował papiery, notatki i faksy, przejrzał kilka z nich i zdławił ziewnięcie.

Irian Limbtrade Export.

Carl Christian Ender i Rolf Hakkeng.

Peder Ungbeldt niewiele powiedział mu przez telefon.

Wiedział jednak, że mają biuro na głównej ulicy.

I że współpracują z kimś z Jayapury.

Z Torem Henrym Asndnerem?

Skarphedin zamknął oczy i pozostał tak przez chwilę. Zmarszczki na jego twarzy wygładziły się. Osobom postronnym mogłoby się zdawać, że zasnął, ale śledczy nie spał. Siedział i myślał o lasach deszczowych, o nietkniętych ludzką ręką terenach, które trwały w takim stanie od tysięcy lat, i o zamieszkujących je autochtonach, którzy żyli tak, jak ich przodkowie. Dlaczego jego dziadek tutaj przyjechał? Dlaczego ten niesamowity podróżnik udał się do tych najmniej dostępnych obszarów. Co miał tutaj do roboty? Chciał zniknąć, zaginać w takiej dziurze? Nazywał się Fredric Drum. Jego prawnuk, który nosi to samo imię, jest wręcz niesamowicie do niego podobny, ale czy Skarphedin także nie jest podobny do Fredrica? Może nie z wyglądu, ale pod względem zgodności myśli? Czasami czuł, iż między nimi było coś więcej niż tylko pokrewieństwo. Łączyło ich coś silnego i niemającego wytłumaczenia. Mocno potrząsnął głową i znów spojrzał na papiery. Ci dwaj Norwegowie, Ender i Hakkeng, muszą zaczekać do jutra. Znów chciał przejść się do portu, gdzie aktywiści mieli swą kwaterę. Chciał porozmawiać z Albanem Trossigem, ale gdzie się podział Fredric? Prawdopodobnie siedzi w pokoju nad swym skomplikowanym hobby, czyli odczytywaniem prymitywnych języków.

Wziął czystą kartkę.

Pośpiesznie zapisał wiadomość.

Zaniósł ją do recepcji.

Potem sprzątnął ze stołu. Spakował wszystkie papiery i teczki do torby, którą bezpiecznie umieścił w hotelowym sejfie. Kupił nową butelkę wody, wypił ją, beknął, założył swój niebieski płaszcz i opuścił hotel.

Zawieszony pod sufitem wentylator już nie działał, choć był dopiero co zamontowany.

Zatrzymał się po paru dniach pracy. Carl Christian Ender przeklinał w duchu, gdy zszedł z krzesła po bezowocnej próbie ponownego

uruchomienia go. Powietrze było gęste i ciężkie, a z ulicy dolatywał paskudny zapach palonego oleju rybnego z beczek po parafinie, które lokalna ludność przerobiła na grille, na których przygotowywali kolacje. Ryby, głównie ryby. Ender oddychał z trudem, próbując zapalić w połowie wypalone cygaro, które wisiało mu w kąciku ust. Jednocześnie spoglądał na dwóch mężczyzn, którzy też siedzieli tego wieczoru w biurze. Atmosfera była przyciężkawa.

* Myśleliśmy o tym, by znacznie podnieść twój procentowy udział, Torze Henry* powiedział Ender, przysuwając krzesło z powrotem do biurka i siadając. * Jeśli uda ci się podpisać kontrakt z Emiratami.

* Jesteś świadom ryzyka, jakie podejmuję? Powtarzam po raz trzeci, odpowiedź brzmi nie. * Mężczyzna demonstracyjnie obrócił się ku otwartym drzwiom z siatki wychodzącym na ulicę. Tor Henry Astviner był nie najszcuplejszym, muskularnym mężczyzną o szerokiej twarzy, którą porastał ciemny zarost. Miał krótkie włosy, a kark i szyja niemal zlewały się z torsem. Brązowe oczy były głęboko osadzone. Przypominały ślepkę wiewiórki. Mimo to jego ciało nosiło znamiona wielkiej o nie dbałości. Zapach dezodorantu był obecny wszędzie tam, gdzie pojawiał się Astviner.

* Stałeś się cholernym pieprzonym tchórzem, tylko przez to, że...

* Zamknij się, Rolfie! * przerwał mu Ender. * Kłótnie i wyzwiska nikomu nie wyjdą teraz na dobre.

Rolf Hakkeng z oburzeniem spojrzał na partnera, ale zacisnął zęby.

* Proponujemy ci trzydzieści procent, to cholernie dużo * kontynuował Ender.

* Nie rozumiesz, co powiedziałem, Carlu Christianie? To zbyt niebezpieczne i ryzykowne. A jaką mamy gwarancję, że wszystko pójdzie tak, jak powinno, jeśli plotki o zamknięciu tartaku na czas nieokreślony okażą się prawdziwe? * Astviner wlepił wzrok w Endera.

* Myślisz, że Culpepperowie nie są w stanie sobie z tym poradzić? * Hakkeng chrząknął i splunął. * Dobrze wiesz, że trzymają wojsko w szachu.

* Nie stawia się zamków na piasku, moi drodzy. * Astviner wstał z krzesła. * Trzeba wiedzieć, kiedy zejść ze sceny. Zapamiętajcie moje słowa.

* Jesteś naprawdę przerażony. * Ender mówił spokojnie.

* Zabójstwo dwóch Norwegów, w tym policjanta, nie przejdzie niezauważone. Dobrze o tym wiesz. Nawet tutaj, w tej zapadłej dziurze. Musisz to, do cholery, wreszcie pojąć! * Wzruszył ramionami.

* Wyjaśnijmy sobie coś. * Ender także wstał. * Chodzi o dwie kwestie. Czy chcesz zakończyć z nami współpracę ze strachu przed tym, iż firmie JFC zakaże się obróbki drewna, przede wszystkim merbau i klinki pine? Czy też dlatego, że obawiasz się, iż dochodzenie w sprawie zabójstwa dwóch Norwegów sprawi, że nasza działalność zostanie wzięta pod lupę? Astviner nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami i spojrzał na ulicę.

* Niech mnie szlag, ale mamy przecież coś poza tartakiem! Wiesz, co robiliśmy przed otwarciem tartaku? * Rolf Hakkeng wypił resztę piwa chininowego z butelki.

* Byłeś dziś w hotelu. * Astviner znów odwrócił się do Endera, nie zwracając uwagi na wybuch Hakkenga. * Podpisałeś kontrakt z Tengiem. Dobrze, ale wiesz może, kto mieszka

teraz w tym samym hotelu i kieruje naszym przyjacielem Fy? Dwóch nowych Norwegów z KRIPOS, Carlu Christianie. Z tego, co słyszałem, jeden z nich to sprytny stary lis.

Ender przeżuł resztę cygara.

* Jakie masz kontakty, dzięki którym to wiesz? I czego, do cholery, mamy się z ich strony obawiać? * Po raz pierwszy podczas tej rozmowy Ender podniósł głos.

* Sam wiesz najlepiej * odpowiedział mu sucho Astviner. Hakkeng roześmiał się nagle głośno i nieprzyjemnie. Śmiech przeszedł po chwili w atak kaszlu. Wyszedł na balkon, gdzie charczał i spluwał, a na jego czoło wystąpiły krople potu.

* A więc to koniec naszej współpracy. * Ender był poważny.

* Definitywnie.

* Co więc będziesz tutaj robił? Przecież dopiero co znalazłeś sobie w porcie biuro.

* Tak... Trudno powiedzieć. To miejsce rozwija się bardzo dynamicznie. Może wkręcę się do branży zajmującej się koprą? A może zajmę się produkcją oleju palmowego? Możliwości jest wiele. Pojawia się tu coraz więcej gałęzi przemysłu, które wymagają ekspertyz i doradztwa. * Astviner uśmiechnął się i oczom Endera ukazał się rząd nienagannie białych zębów.

* I mamy w to uwierzyć po tym, czym się zajmowałeś...

* Przestań, Carlu Christianie! * Astviner zmrużył oczy. * Czasy się zmieniają, ludzie także. Mogę wam dać dobrą radę? Zamknijcie od razu ILE, podliczcie pieniądze na waszych kontach * wydaje mi się, że jest ich tam niemało * spakujcie walizki i wracajcie do domu! Inaczej możecie źle, ale to bardzo źle skończyć! * Z tymi słowami Astviner odwrócił się i opuścił biuro.

Fredric Drum poczuł powiew łagodnej nadmorskiej bryzy. Szedł w ciemności po plaży. Zupełnie sam. Boso. Pozwolił, aby woda muskała jego stopy. Był daleko od zabudowań portowych. Niebo było usiane gwiazdami. Czuł się dobrze. Wokół niego panował spokój. Kilkaset metrów przed sobą widział domy, które wybudowała miejscowa ludność.

Prawdopodobnie na długo przed powstaniem samego miasta. Były to domy na palach, stojące na wzgórzu ciągnącym się od plaży aż do dżungli. Widział dzieci, które bawiły się nad wodą, i płonące ogniska. Kiedy Fredric zszedł do recepcji na krótko przed ósmą, jadalnia była pusta. Skarphedina nie było. Spojrzał pytająco na kobietę w recepcji, a ta z uśmiechem wręczyła mu kartkę. Wuj zostawił mu krótką wiadomość. Napisał, że pracuje w terenie. W terenie? Wróci jednak przed dziesiątą, by mogli zjeść razem kolację. Fredric postać chwilę niezdecydowany. Na co powinien poświęcić kilka następnych godzin? Na dworze było ciemno. Ulice były bardzo słabo oświetlone i dochodziły stamtąd pijackie wrzaski. Może powinien przespacerować się na plażę? Tak właśnie zrobił. Zatrzymał się, nasłuchując słabego szumu fal.

Minęła doba.

Doba na Nowej Gwinei, na Irian Jaya.

Poczuł wielką ciekawość.

Cheć, by dowiedzieć się więcej o tym miejscu.

O autochtonach.

O tym, co znajduje się w głębi lądu, w dżungli i górach.

Niewiele osób, z którymi rozmawiał, mówiło po angielsku, co utrudniało komunikację. Dużo jednak było uśmiechów i przyjaznych gestów. Póki co Fredric nie spotkał się tutaj z niechęcią czy wrogością, ale jego zadaniem nie było przecież poszukiwanie sprawców występków.

Nieco wyżej na plaży mógł dojrzeć coś, co przypominało restaurację, kawiarnię lub bar.

Włożył buty i powoli udał się do krytego skośnym dachem budynku zbudowanego z bambusa i cienkich drewnianych pali. Po chwili mógł już zobaczyć świecący szyld informujący o tym, iż przybytek nosi nazwę „Bar u Albyssona”. Powinien zajrzeć do środka? Na zewnątrz, w świetle dwóch nagich żarówek stała grupa młodych ciemnoskórych kobiet i mężczyzn.

Uśmiechali się, gdy przechodził obok. Odwzajemnił uśmiech. Miejsce wyglądało zachęcająco. Otworzył drzwi przypominające drzwi do saloonu i wszedł do środka. Lokal był jasny i czysty.

Przy stolikach siedziało dziesięciu*dwunastu mężczyzn.

Pili piwo.

Za barem stał grubawy mężczyzna z ogromnymi wąsami i wycierał kufle. Uśmiechnął się szeroko, gdy Fredric wszedł do środka, i wskazał na wolny stół. Szmer głosów ucichł. Dostrzegł pełne zaciekawienia spojrzenia. Usiadł i skinął głową, gdy barman zrobił gest, który mógł oznaczać piwo. Chwilę później, gdy rozmowy w lokalu zostały wznowione, przed Fredrikiem stanął kufel pianistego napoju.

* Obcokrajowiec? * spytał wesoły właściciel.

* Tak. Z Norwegii.

* Z Norwegii? * Oczy barmana zaśniły, a na jego twarzy pojawiła się troska. * Nazywam się Albysson. Witam pana bardzo serdecznie w moich skromnych progach. Przykro mi to mówić, ale wszystko wskazuje na to, iż nie jest to najszcześniejsze miejsce dla Norwegów.

Fredric nie odpowiedział. Doskonale wiedział, co Albysson ma na myśli. Co mógł powiedzieć? Napił się trochę piwa.

* Przykre sprawy * kontynuował mężczyzna. * Policja oczywiście nic nie robi, żeby się dowiedzieć, kto stoi za tymi zabójstwami.

* Nie * odparł Fredric, starając się spojrzeć w inną stronę.

* Znał pan... * Albysson chrząknął.

* Nie, nikogo nie znałem. * Fredric zaczął nagle mówić bardzo szybko. * Ale my, norweska policja kryminalna, jesteśmy tutaj po to, by się dowiedzieć, co się stało.

Gadatliwy i wesoły właściciel lokalu uniósł brwi i pochylił się nad stołem.

* A więc pan jest śledczym? Zatem mogę panu coś powiedzieć * szepnął. * Wieczór przed tym, nim ten norweski śledczy został zamordowany, tak, dokładnie poprzedniego wieczoru, doskonale to pamiętam, bo wtedy oplakiwaliśmy inne tragiczne zdarzenie * jeden z pracowników tartaku zginął w strasznym wypadku przy pracy, ale teraz słyszałem, że to ponoć nie on był ofiarą, takie chodzą plotki * ale wracając do sprawy, ten śledczy przyszedł tutaj i usiadł akurat w miejscu, na którym pan teraz siedzi, i wypił piwo.

* Tak? * Teraz to Fredric uniósł brwi.

* Siedział właśnie tutaj, tak, cichy i spokojny. Wydawał się zadowolony. Zapisywał coś na podkładce pod piwo. Kiedy wyszedł, wyrzuciłem oczywiście podkładkę do śmieci.

* Do śmieci? * Ciekawość Fredrica została rozbudzona na dobre.

* Tak, właśnie. Do śmieci. Myśli pan, że kolekcjonuję stare, używane podkładki? * Albysson cofnął się nieco i wymownie skinął głową. Wydawał się tajemniczy.

* Szkoda. Chętnie byśmy na nią zerknęli.

* To nie będzie takie trudne. * Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. * Stary Albysson wygrzebał podkładkę ze śmieci następnego dnia, kiedy usłyszał w lokalnym radiu, co się stało z policjantem.

* Więc ma pan podkładkę? * Fredric wypił kilka wielkich łyków piwa.

* Oczywiście. Chwileczkę, szefie!

Zniknął za barem, poszperał tu i ówdzie, po czym wrócił z ośmiokątną podkładką będącą reklamą piwa Goldbrown, zabazgraną jasnoniebieskim piórem kulkowym. Fredric pomyślał, że bazgroły przypominają błyskawice.

* Proszę ją odwrócić. * Albysson był podekscytowany. Fredric zrobił to, o co prosił mężczyzna.

Z tyłu widniał napis:

Ty zielone migoczące * diabelstwo.

Skarphedin Olsen usiadł na wciąż niezaścielonym łóżku. Alban Trossig stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz i bawiąc się jedną ze stojących na parapecie roślin. Sara Enghall siedziała przy biurku i właśnie zapalała trzeciego papierosa. Rozmowa trwała już pół godziny. Detektyw próbował stworzyć sobie obraz Albana Trossiga, młodego aktywisty działającego na rzecz ochrony lasów deszczowych. Wydawał się uparty, małomówny i póki co na pytania Skarphedina odpowiadał głównie półsłówkami.

* Tak więc to ten Hasse, Elfhammar, znalazł pustego jeepa w rowie?

Trossig słabo skinął głową.

* Żadnych śladów walki, żadnej krwi?

* Nie, nic.

* Jak wam się udało wyciągnąć samochód?

* Pomógł nam kierowca samochodu przewożącego drewno. Samochodu przewożącego drewno? No, no... Zatem wyciągnęliście jeepa z pomocą takiego samochodu?

* Tak. * Alban Trossig wciąż bawił się roślinami.

* Wie pan * wtrąciła się Sara Enghall * prawdę mówiąc, poznaliśmy wielu kierowców pracujących dla braci Culpepper. To jedno z ogniw naszej strategii. Naszym celem jest opowiedzenie jak największej liczbie osób o konsekwencjach ich działalności. O tym, że największe bogactwo tego kraju, a mianowicie lasy deszczowe, zostaną zniszczone dla potomności, jeśli nie przestaną ich wycinać. Próbujemy ich uświadomić i w kilku przypadkach odnieśliśmy sukces. Paru kierowców pochodzących z Nowej Zelandii jest po naszej stronie i dzielą nasz punkt widzenia.

* A więc to może właśnie jeden z tych uświadomionych kierowców pomógł wam z samochodem, Trossig? Nie znasz przypadkiem nazwiska tego faceta? * Detektyw uniósł brwi.

* Nie, do cholery! * Alban gwałtownie odwrócił się do Skarphedina. *Nigdy z nim nie rozmawiałem, ale był pomocny.

* OK. Spróbuję jakoś do niego dotrzeć. Może Elmammar będzie wiedział...

* Hasse nic o tym nie wie. Nie było go przy wyciąganiu samochodu z rowu! * Jakiś cień desperacji wkraść się w głos Trossiga.

Sara Enghall otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego.

* Ale powiedziałeś przecież, że...

* Źle mnie zrozumiałaś, Saro! * Alban Trossig podniósł głos.

* Źle zrozumiałam? Jak mogłam źle zrozumieć? Powiedziałeś przecież, iż Hasse... * Patrzyli na siebie.

* Nie. To nie tak. * Alban znów obrócił się do okna. Przez chwilę panowała cisza.

Skarphedin zmrużył oczy.

* Możesz nam więc opowiedzieć * rzekł wreszcie * co się dokładnie stało? Bądź tak miły i zacznij od początku, Trossig.

* Dobrze. * Mężczyzna odzyskał kontrolę nad głosem i mówił teraz bardzo szybko. * Jana nie było już ponad dobę. Pożyczył samochód Hasse*go, aby odbyć przejażdżkę za Wangesa Rai, Miedziane Wzgórza. Wszyscy troje, Hasse, Sara i ja, martwiliśmy się o niego. Dlatego Hasse pożyczył jeepa Tora Henryego Astvinera, Norwega, który przyjechał tutaj parę tygodni temu. Ma tu małe biuro i najprawdopodobniej pomaga tym gnojkom Enderowi i Hakkengowi. Było to przed południem, w dzień po zniknięciu Jana. Po drodze Hasse chciał sprawdzić pułapki na zwierzęta, które zastawił przy jednej ze swych stacji badawczych, tak więc ja jechałem sam przez

kilkaset metrów, może jakieś pół kilometra. Wracając, miałem go odebrać. Wtedy zobaczyłem w rowie samochód Jana. Po chwili nadjechał ten samochód transportujący drewno i wyciągnęliśmy jeepa. Hasse pojawił się krótko po odjeździe samochodu. Sprowadziliśmy jeepa z powrotem tutaj. Tak to się wszystko odbyło i dokładnie to

powiedziałem pana poprzednikowi. Rozumiecie teraz?! * Znow podniósł głos. Skarphedin przez chwilę siedział bez słowa.

* Tak więc to ty sam znalazłeś pusty samochód. * Detektyw przeszedł się parę razy wokół pokoju. * Jak powiedziałaś, kiedy wróci Hasse, Elfhammar?

* Jutro po południu. Umówiliśmy się, że go odbiorę o drugiej.

* Chętnie będę ci towarzyszyć, w porządku? Alban skinął głową.

* Proszę bardzo. Zrobimy wszystko, co możemy, aby jakoś pomóc.

* Mam taką nadzieję.

* I co pan o tym wszystkim myśli? Ma pan jakieś teorie? * spytała cicho Sara Enghall.

Skarphedin odwrócił ku niej głowę, zmrużył oczy i przez chwilę milczał, a potem wzruszył ramionami i wyrżał przez okno.

* Do jasnej cholery! Przecież to jasne jak słońce. To te świny Culpeper. Z oczu Ferdinanda Culpeppera z daleka można wyczytać zbrodnię! *wybuchnął Alban.

* OK. Teraz musimy się trochę uspokoić * powiedział Skarphedin. *Pamiętacie, co robiliście i gdzie byliście wieczorem 25 marca i tejsze nocy?

* Byliśmy tutaj! * Oboje odpowiedzieli szybko. Prawie jednocześnie.

* Tutaj przez cały wieczór?

* Tak. Ja jak zwykle pisałam raporty prawie do północy. A Alban... *Pośpiesznie zerknęła na kolegę.

* Ja leżałem w pokoju i czytałem książkę. Zazwyczaj wieczorami właśnie to robię. * Wydawał się poirytowany.

* I koniec końców spokojnie zasnęliście, każde w swoim łóżku? Żadne z was nigdzie nie wychodziło? * kontynuował Skarphedin.

* Oczywiście, że nie. * Policzki Sary oblały się słabym pąsem. Zapadła chwila ciszy.

* Czy któreś z was ma aparat fotograficzny?

* Tak * odparła Sara. * Sprzętu fotograficznego mamy tutaj pod dostatkiem. Niektóre rzeczy musimy gruntownie udokumentować.

* Rozumiem. * Detektyw zerknął na zegarek. * A jak dobrze znacie tego Tora Henry'ego Astvinera?

Żadne z nich nie odpowiedziało. Wzruszyli tylko ramionami. Twarz Sary Enghall wykrzywiła się w grymasie.

* Dziwne, że tak wielu Norwegów przypadkowo znalazło się w tym zapomnianym przez Boga miejscu! Jak to gdzieś napisano: Ludy nordyckie

mają podróżować i przynosić siłę... * Skarphedin przerwał i ruszył w stronę drzwi, ale nagle odwrócił się i wskazał palcem na Albana. * Kiedy dokładnie widziałeś po raz ostatni Pedera Ungbeldta, mojego kolegę?

Alban Trossig otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale znow je zamknął i wrócił do zabawy roślinami. Nie patrzył Skarphedinowi w oczy.

* Rozmawiałam z nim wieczorem 24 marca. Pamiętam dokładnie, bo chwilę po tym dostałam wiadomość od... * Sara mówiła szybko.

* To nie ciebie pytałem, moja panno. * Skarphedin uśmiechnął się, ale wciąż patrzył na Albana.

* Ja... To musiało być wcześniej tego samego dnia, a więc 24 marca. Spotkałem go na ulicy w drodze na pocztę. Tylko się pozdrowiliśmy. *Jego wzrok był skupiony na jednym punkcie na parapecie.

* W porządku. * Skarphedin złapał za klamkę. * Można się tu z wami skontaktować telefonicznie?

Sara wzięła długopis, zapisała numer na karteczce i podała ją Skarphedinowi.

* A dla ciebie, panno Enghall * powiedział * mam wspaniałą propozycję. Skoro nadal odmawia pani spakowania walizki i wyjazdu, to proszę jutro przed południem

przespacerować się do hotelu i zapukać do pokoju numer 21. Mieszka tam bardzo interesujący młodzieniec.

Sara Enghall ze zdumieniem uniosła brwi, ale zanim zdążyła o cokolwiek spytać, Skarphedin Olsen zamknął za sobą drzwi.

Dochodziła dziesiąta wieczorem, gdy Skarphedin Olsen i Fredric Drum opuścili hotel, kierując się ku restauracji „Ulabaya Tuak”, gdzie mieli uwieńczyć dzień wykwintnym posiłkiem. Tego wieczoru na głównej ulicy panowała niespotykana cisza. Były ku temu powody, o których wtedy ani Skarphedin, ani Fredric nie mieli pojęcia, ale które wkrótce mieli poznać. Detektyw na chwilę zatrzymał się przy straganie, na którym sprzedawano bibeloty i pamiątki, rękodzieło autochtonów. Spojrzał na szeroki asortyment noży. Był tak zainteresowany kształtem ostrzy i ich długością, iż właściciel był pewien, że znalazł kupca. Jednak Skarphedin koniec końców pokłonił się grzecznie i odszedł.

Fredric Drum dość długo zasiedział się w „Barze u Albyssona” i teraz nie mógł się już doczekać spokojnej rozmowy z wujkiem. Miał wiele pytań i zastanawiał się, czy detektyw będzie w stanie udzielić mu jakichś odpowiedzi. Gdy Fredric wrócił do hotelu pół godziny wcześniej, Skarphedin siedział przy stole w jadalni pochylony nad teczkami z notatkami i raportami, z irytacją odpędzając od twarzy muchy. Teraz mieli zakończyć pierwszą dobę pobytu w Tanjung w tej wspaniałej restauracji, którą odkryli poprzedniego wieczoru. Mniej więcej w tej samej chwili, gdy Skarphedin Olsen i Fredric Drum stanęli przed wejściem do restauracji, skąd dochodziła dość głośna muzyka, Carl Christian Ender przeciskał się przez tłum śmierzących potem

ludzi, którzy tłoczyli się wokół areny walki świń w baraku na obrzeżach miasta. Po mieście rozeszła się plotka, że mające walczyć tego wieczoru świny są wyjątkowo agresywne. Kto mógł, udał się więc do baraku, aby być świadkiem makabrycznego widowiska, które lada moment miało się rozpocząć. Ender widział Ferdinanda Culpeppera siedzącego na samym brzegu podium, skąd miał dobry widok na arenę. W ręku trzymał szklanę, najprawdopodobniej amerykańskiej whiskey, bourbonu. W drugiej ręce miał ręcznik, którym cały czas obcierał twarz..

Kiedy jak zwykle postawił dość znaczną kwotę na czerwoną świnię, Ender zbliżył się do areny, gdzie oczekiwał na to, by klatki się otwały i zwierzęta przeszły do natarcia, podniecone zapachem moczu samicy. To, co w ciągu najbliższych minut miało się stać na arenie walki dzikich świń i w zupełnie innym miejscu, a mianowicie w restauracji, do której właśnie mieli wejść Skarphedin Olsen i Fredric Drum, byłoby dla postronnego obserwatora, gdyby mógł spojrzeć na oba te miejsca jednocześnie, co oczywiście nie było możliwe, makabrycznym i powalającym spektaklem, w którym dwóch braci, każdy na swój sposób, odgrywało główne role.

Fredric i Skarphedin zatrzymali się ze zdziwieniem. Słuchali.

W restauracji grała głośno muzyka.

Muzyka klasyczna.

Muzyka, której nie spodziewali się usłyszeć w tej części świata, a zwłaszcza w tym miejscu.

* A niech mnie, co to? Pavarotti? * Skarphedin spojrział na Fredrica.

* Tak, Pavarotti * potwierdził Fredric. * Panis angelicus.

Otwarli drzwi i weszli do środka. Czysty i mocny tenor dobiegał z wielu ustawionych pod ścianą głośników. Na środku pomieszczenia stał z twarzą zwróconą ku głośnikom niski i szczupły mężczyzna. Miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę z muszką. Włosy zwisały mu pasmami na czoło. Usta otwierały się, jakby śpiewał, a ręce poruszały niewidzialną batutą. Wokół niego stało kilku gości, kelnerzy, paru kucharzy, i wszyscy urzeczeni patrzyli na mężczyznę, który udawał, iż wyśpiewuje słowa Pavarottiego:

* Panis angelicus fitpanis hominum * chleb aniołów stanie się chlebem ludzi.

Nikt nie zauważył Skarphedina i Fredrica, którzy stanęli przy drzwiach.

Wściekłość zwierząt była ogromna. Rzuciły się na siebie, próbując przebić kłami skórę przeciwnika. Żarłoczne, ociekające śliną ryje, ludzie wrzeszczący w oczekiwaniu na pierwsze krople krwi na ciele świni, której grzbiet oznaczono niebieskim krzyżem.

* O res mirabilis! * cudowne stworzenie.

Stali, przyglądając się dziwnemu widowisku. Ciało drobnego mężczyzny drżało, próbując dotrzymać tempa tenorowi. Wymachiwał rękami, akcentując najmocniejsze punkty. Wtedy to się stało. Parę osób zaczęło krzyczeć i wskazywać podium. Ender oderwał wzrok od dzikich świń i spojrzał w stronę Ferdinanda Cul*peppera. Kilka bambusowych pali wspierających podium zaczynało się łamać. Cała konstrukcja waliła się do przodu. Najpierw powoli, potem szybciej, aż wreszcie całe podium zapadło się, a wrzaski kibiców nagle ucichły. Amerykanin spadł z krzesła. Rozpaczliwie usiłował czegoś się złapać, ale nie mógł powstrzymać upadku z podium. Najpierw leżał bez ruchu, a potem spróbował się podnieść, ale nagle coś poszybowało w powietrzu i rozpadło się, gdy trafiło w Culpeppera. Pęcherz świni.

** Manducat Dominum pauper, pauper... * ubogim dane jest zasmakować ciała Boga.

Głos Pavarottiego dudnił w małym lokalu. Fredric musiał ziewnąć, aby odetkać uszy. Muzyka była monumentalna, a widok, który przedstawiał się ich oczom, nierzeczywisty, ale jednocześnie poruszający.

Jeśli świni już wcześniej były wściekłe, to teraz, mając wspólny cel, z jeszcze większą siłą rzuciły się na człowieka, który nagle znalazł się na ziemi. W ciągu paru sekund ciało Culpeppera zostało rozorane kłami dzikich świń. Podrzucały go niczym lalkę z materiału, a krew tryskała na arenę i widzów, którzy stali najbliżej.

* .. pauper, pauper, servus et humilis, pauper...

Pieśń zbliżała się do końca. Malutki mężczyzna stanął na palcach i uniósł wymyśloną batutę w ostatnim akordzie, po czym muzyka, Panis angelicus Pavarottiego, zaczęła cichnąć. Ender patrzył z przerażeniem. Zmasakrowane ciało Ferdinanda Culpeppera było już nie do poznania. Tłum stał najpierw niczym sparaliżowany, a potem wszyscy zaczęli wrzeszczeć i rzucać na arenę czym popadnie, aby odpędzić dzikie świni. Poleciały więc ubrania, kije, noże, ale było już za późno.

* Pauper, pauper, Manducat dominem.

Zapanowała cisza. Mały mężczyzna otarł pot z czoła i zaczął po kolei odwracać się do wszystkich stojących wokół osób. Kłaniał się i uśmiechał. Potem podszedł do stolika bogato udekorowanego kwiatami i zastawionego butelkami wina oraz wieloma daniami. Kelnerki pośpieszyły ku niemu. Dwoje widzów usiadło przy tym samym stoliku, podczas gdy trzecia osoba, także ubrana w ciemny garnitur, z uśmiechem podeszła do Skarphedi*na i Fredrica, którzy wciąż stali w drzwiach.

Zrobiło mu się niedobrze. Pot spływał mu na czoło, gdy przepychał się ku wyjściu. Na zewnątrz! Na zewnątrz! Dotarł do bramy i wybiegł do ciemnego zaułka. Carl Christian Ender pochylił się i zwymiotował.

* Witam drogich panów! * Mężczyzna w garniturze perfekcyjnie posługiwał się językiem angielskim. Wyciągnął rękę do Norwegów. *Jestem tutaj kierownikiem i przepraszam panów za to... hmmm... nieco niezwykle widowisko, ale szanowny pan Justin Culpepper zażyczył sobie takiej właśnie oprawy wieczoru.

Zastanawiają się, dlaczego to coś zielonego migocze, pani ambasador zostaje zbudzona, Fredric Drum odrzuca dobrą myśl, a detektyw wątpi, czy sny mogą mieć zapachy

Tym razem zamówienie jedzenia i picia okazało się o wiele prostsze. Kierownik restauracji wyjaśnił, co znajduje się w menu i jakimi specjalnościami może się poszczycić jego lokal. Mężczyzna przedstawił się jako mister Tom. Skarphedin i Fredric nie wiedzieli, czy to jego imię, czy nazwisko, ale zrozumieli, że założycielem i właścicielem tej restauracji, która

istniała zaledwie od paru miesięcy, był nie kto inny, jak sam Justin Culpepper, mały mężczyzna, który właśnie zakończył swój występ polegający na idealnym wczuciu się w wykonywaną przez Pavarottiego wersję Panis angelicus, a teraz siedział przy sąsiednim stoliku, ocierając pot z czoła, popijając różne wina i rozmawiając z dwoma młodymi Indonezyjczykami. Zdaniem Skarphedi*na, Justin Culpepper nie był podobny do brata, ani pod względem budowy ciała, ani rysów twarzy. Jego twarz była delikatna, niemal kobieca, pomijając cienki wąsik, który dodawał mu pewnej elegancji. Od momentu ich wejścia do restauracji Culpepper nie zaszczylił ich ani jednym spojrzeniem.

Fredric spojrzął na wina, które polecił im mister Tom.
Z Nowej Zelandii.

Czerwone Te Matas Colemine 1982

oraz chardonnay, Mates Vineyard Chardonnay 1984.

Fredric rozkoszował się zapachem i smakiem trunków. Ani on, ani Skarphedin nic nie mówili przez kilka pierwszych minut, ale gdy na stole zaczęły się pojawiać różne potrawy, słowa zaczęły płynąć. Fredric chciał zadać wujowi parę pytań, ale Skarphedin go uprzedził.

* Chętnie podszedłbym do tego operowego fantoma i wydobył z niego informacje, których potrzebuję, ale na dziś roboty już wystarczy. * Detektyw powąchał maleńkie krewetki w sosie chili z dodatkiem siekanego imbiru. * Dzień nie okazał się taki najgorszy* kontynuował. * Udało nam się zamknąć tartak, a to musiało uszczęśliwić naszych aktywistów.

* Popelniono tam więc dwa morderstwa. * Fredric skinął głową. * Zabito policjanta i pracownika, ale gdzie podziało się jego ciało?

* Obawiam się, iż w tym rejonie znajduje się wiele nieodkrytych zwłok, nie mówiąc o trupach, które spacerują obok nas. * Skarphedin zamknął oczy i wypił łyk wina. * Możesz tu usłyszeć odgłosy z zaświatów, Fredricu. To miejsce to jeden wielki grób. Ci ludzie już nie żyją. To, co widzimy, to tylko złudzenie. Nie należymy do tego świata. Jego istnienie przechodzi nasze zdolności pojmowania.

* To była bardzo ponura przemowa, wujku. Moim zdaniem nie jest aż tak źle.

Skarphedin pochylił się nad stołem, zmrużył oczy i spojrzął na Fredrica.

* Przebłysk * powiedział cicho. * Stwierdziłeś, iż miałeś jakiś przebłysk przy pozostałościach starej przystani, przy kamieniu. Czy teraz widzisz kolory?

* Kolory? * Fredric nie rozumiał.

* Właśnie. Kolory. Pomyśl o zdjęciach ciała Pedera, które policja zrobiła przy kamieniu. Pomyśl, chłopcze!

Fredric chwycił kieliszek z czerwonym winem, powąchał napój i wypił kilka małych łyków. Przebłysk, kolory? Co takiego uświadomił sobie wtedy przed południem i co mu tak nagle uciekło, a czego nie mógł znów przywołać? Widok kamienia, rdzawo*brązowe plamy, ziemia, czarne błoto. Zdjęcia wykonane przez lokalną policję, bezgłowe ciało, źle zapięta koszula, spodnie, zabrudzone buty...

Nagle wyprostował się.

Spojrzął detektywowi w oczy.

Potem z wolna skinął głową.

* Teraz to widzę * powiedział * a ty od razu to dostrzegłeś. Ziemia i błoto w mieście są czarne i takie też były wokół kamienia, przy którym leżał trup, ale podeszwy butów i dolna część spodni na zdjęciu była uma*zana brązowym błotem, niemal czerwonym!

* Właśnie. Właśnie, Fredricu. I skąd, do cholery, wzięło się to brązowe błoto? Gdzie przebywał Peder, nim został zamordowany?

* Jeśli został zamordowany * powiedział Fredric spokojnie. * Jeśli to Ungbeltd został znaleziony przy tym kamieniu.

Skarphedin nie odpowiedział, a tylko patrzył przed siebie, aż wreszcie zaczął energicznie bębnić palcami w stół. Jego zmarszczki stały się wyraźniejsze.

* Nie wiem * rzekł wreszcie. * Mam jednak nieodparte przeczucie, że to nie Ungbeldta widzieliśmy na tych zdjęciach. Sylwetka może i pasuje, ale trudno jednoznacznie stwierdzić. Koszula jest źle zapięta, a buty były w miejscu, gdzie jest brązowe błoto. Gdzie, do diabła, miałby się zatem podziąć Peder?

* Te zabójstwa * powiedział Fredric * coraz bardziej wydają mi się demonstracją, jakiś sposobem zwrócenia uwagi na to, co się tutaj dzieje. Sprawcy chcą, byśmy to dostrzegli. Jeśli to nie Ungbeldt został znaleziony przy kamieniu, to kto?

* Kto to wie. * Śledczy opróżnił kieliszek i zamówił nową butelkę. * Akurat teraz dobrze nam zrobi większa porcja wina. Przyśpieszy myślenie i usprawni szare komórki. Prawda? Fredric skinął głową.

* To, co powiedziałaś o demonstracji... Rozmawialiśmy o tym już wcześniej * kontynuował Skarphedin. * To może być prawda. To wyjaśniałoby przesłane faksem zdjęcia, które otrzymało Ministerstwo Spraw Zagranicznych, z których jedno było wykonane z tak niewielkiej odległości, iż widoczne były portfel i legitymacja Pedera. Dla mordercy ważne było, byśmy jak najszybciej się dowiedzieli, że policjant został tutaj zamordowany. Spójrzcie, norweski policjant nie żyje! Sprawca nie wierzył, że lokalna policja tak szybko poinformuje nas o sprawie i wyśle do Norwegii zdjęcia, które będą dowodem na to, że ktoś naprawdę dopuścił się tak strasznego czynu.

* Ale * Fredric zauważył, iż jego zaangażowanie w sprawę stało się o wiele większe * dziwi fakt, że faks, którym nadano fotografie, został skradziony i w momencie, kiedy wysłano wiadomość, nie było go już na poczcie. Jak to możliwe?

* Nie wiem. To zagadka, Fredricu * zgodził się śledczy. * Faks nadano, korzystając z linii telefonicznej poczty. Gdyby morderca ukradł maszynę faksującą z całym okablowaniem i podłączył ją gdzie indziej, to numer nadawcy byłby zupełnie inny niż numer poczty. Tyle wiedzy technicznej to i ja mam.

* Może to któryś z pracowników poczty za tym stoi? * zastanawiał się Fredric. Skarphedin nie odpowiedział, ale słabo pokręcił głową.

* Bez względu na wszystko * kontynuował Fredric * jeśli to nie Ungbeldt został sfotografowany przy kamieniu, to sprawca musiał go w jakiś sposób unieszkodliwić. Zdobył jego rzeczy, włamał się do hotelu i zabrał stamtąd raporty Ungbeldta. Nie wspomniałeś o dyktafonie?

* Tak. Jeśli jest tak, jak mówisz, Fredricu * Skarphedin nieco uniósł się z krzesła i pomachał palcem wskazującym * jeśli to nie Ungbeldt, to ten popapraniec musi mieć jakiś powód, aby trzymać go w ukryciu. Żywego lub martwego! Akurat teraz sędzę, iż Peder żyje! Jak go jednak, do licha, znaleźć? * Znow opadł na krzesło.

* Tak, musi mieć jakiś powód, by utrzymywać go przy życiu * powiedział Fredric cicho. * A jednocześnie morderca chce, byśmy uważali go za zmarłego. Brązowe błoto, wujku.

* Brązowe błoto * potwierdził Skarphedin, zmrużył oczy i wypił kolejny kieliszek wina. Przez chwilę żaden z nich nic nie mówił. Skarphedin dłużył w słodkim cieście, które postawiono na stole. Nagle wstał. Szybko przeszedł się po lokalu. Kelnerzy od razu podbiegli, ale ich odpędził i znow usiadł.

* Brązowe błoto * powiedział. * Alban Trossig wspomniał mi dziś wieczorem o miejscu, które nazywa się Miedziane Wzgórze, z tego, co pamiętam, w tutejszym języku Wangesa Rai. Czy ta nazwa może mieć coś wspólnego z kolorem gleby w tym miejscu?

* Zapytaj. * Fredric wskazał na ludzi dokoła. * Zapytaj kogoś stąd. Może wiedzą?

Detektyw nie dał się prosić dwa razy. Przywołał kierownika lokalu i zadał mu to pytanie, ale mister Tom pokręcił tylko głową. Porozmawiał z kelnerkami, które spytały kucharzy, ale bez

skutku. Nikt nie wiedział o istnieniu miejsca zwanego Wangesa Rai i nikt nie znał miejsca, gdzie gleba mogłaby być bardziej czerwona niż czarna. Mister Tom wyjaśnił im z powagą, że ziemia w tej części świata, po tej stronie globu jest czarna, zupełnie czarna, i tak było od początku świata.

* Dobrze. Porozmawiam więc jutro rano z aktywistami. Może oni wiedzą więcej. Ten Trossig i Elfhammar dużo jeżdżą po okolicy.

Siedzący przy stoliku Justina Culpeppera wstali i skierowali się w stronę drzwi. Mister Tom i kelnerki kłaniali się z uśmiechem. Przez chwilę malutki Amerykanin spoglądał na stolik Skarphedina i Fredrica, a potem spojrzał detektywowi w oczy i leciutko skinął głową. Wydawało się, iż chce się uśmiechnąć. Wreszcie zniknął wraz ze swymi dwoma towarzyszami.

* Bracia * wymamrotał Skarphedin pod nosem.

* A tak w ogóle to Krondal zadzwonił do mnie ponownie parę minut po naszej rozmowie tego wieczoru * kontynuował po chwili. * Wygląda na to, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest zainteresowane otwartym prowadzeniem tej sprawy i nie chce traktować jej jako delikatnej. Wszystko wskazuje na to, że działacze na rzecz ochrony środowiska mają coraz większe wsparcie.

Zbliżała się jedenasta. Byli w restauracji zaledwie od godziny. Lokal był pusty, ale troskliwy mister Tom zapewnił ich, iż mogą tutaj siedzieć tak długo, jak tylko zapragną. Tutaj to goście decydują o godzinach zamknięcia. Może mieliby ochotę na kolejną butelkę wina? Obaj skinęli głowami. Fredric wcale nie czuł zmęczenia, poza tym nie mógł się doczekać chwili, gdy przedstawi wujowi pewną sprawę. Kiedy na stół trafiła nowa butelka wspaniałego wina z Nowej Zelandii, Te Mantas Coleraine 1982 * caber*net samdgnon, winogrona, ale także lekki posmak merlota? * Fredric wyjął coś z wewnętrznej kieszonki. Podkładkę pod kufel, którą położył na stole przed Skarphedinem.

* Co to? * spytał wuj. Wziął podkładkę do ręki i odwrócił ją. * Co, do cholery... * urwał. Pokręcił głową i spojrzał na Fredrica. * A niech mnie, przecież to charakter pisma Pедера! On to napisał!

Fredric nie odpowiedział od razu.

* Ty zielone migoczące * diabelstwo. Skąd, do licha, to...

* Przypadkowo wstąpiłem dziś po południu do baru, całkiem przyjemnego i spokojnego miejsca przy plaży * zaczął Fredric. * Rozmawiałem z właścicielem.

Opowiedział wujowi, skąd wziął tę podkładkę. Powiedział, iż Ungbeldt siedział w barze parę godzin przed tym, nim został zamordowany, ale nie

tylko. Fredric długo rozmawiał z właścicielem baru, który poinformował go, iż jeden z policjantów, sądząc z opisu, musiał to być Gorion Sen, odwiedził bar poprzedniego wieczoru i upił się porządnie z pewnym Holendrem, bezrobotnym i dość zapuszczonym typem.

Zdaniem barmana, Holender nazywa się Verkeuteren. Najdziwniejsze jest jednak to, że od tego wieczoru Holendra uznaje się za zaginionego. Nie pokazał się w barze, mimo że zwykł tam przesiadywać w nadziei, że wyłudzi parę piw.

Detektyw słuchał.

Jego oczy stały się wąskimi szparkami.

Obracał w palcach podkładkę.

Wreszcie ją odłożył.

Zamknął oczy.

* Peder * powiedział cicho. * Co, do cholery, wiedziałeś, a czego my nie wiemy?

* Może sam powinieneś porozmawiać z właścicielem baru. Nazywa się Albysson i jest Australijczykiem. * Fredric poczuł, że jego głowa robi się ciężka od wina.

* Ty zielone migoczące * diabelstwo. Co on, do cholery, miał na myśli? Gdyby napisał tylko "ty zielone diabelstwo", mógłbym to zrozumieć. Pederowi wcale się tutaj nie podobało. Nie

sądę, aby był w świątecznym nastroju. Migoczące? Przecież drzewa tutaj nie migoczą. * Skarphedin znów zaczął bębnić palcami w stół.

* Czego się dowiedziałeś o tych Amerykanach, braciach Culpepper? * Fredric zmienił temat.

* Zgromadziłem całkiem sporo informacji, ale niewiele związanych z tą sprawą * odparł Skarphedin. * Przede wszystkim ten Ferdinand powiedział mi dziś po południu, że już nie żyje, kiedy dowiedział się, iż tartak został zamknięty. Nieprzyjemny typ. Bardzo mało przypomina swego chudego braciszka, który przed chwilą próbował udawać Payarottiego. Zajmę się nimi dokładnie, ale przeczytaj to, Fredricu. * Wyjął kartkę z wewnętrznej kieszonki.

Fredric wziął kartkę i zapoznał się z jej treścią.

Dotyczyła firmy JFC.

Tego, gdzie prowadziła działalność przez ostatnie lata.

I obecnego statusu firmy.

Informacje pochodziły z rejestrów w USA i wielu azjatyckich krajach. Fredric ze zdumieniem zapoznał się z wnioskami. Działalność braci Culpepper polegająca na budowie tartaków do obróbki drewna z lasów deszczowych nie była wielkim sukcesem. Przez ostatnie lata stracili koncesje w Malezji, na Borneo i w Wietnamie. W Birmie władze wywłaszczyły ich trzy tartaki, a tutaj, na Nowej Gwinei, parę lat temu założyli dwa nowe zakłady, ale teraz trwali w sporze z rządem w kwestii dalszej działalności. Eksport drewna z tamtych krajów został wstrzymany. Umowa i koncesja

z rządem Indonezji na obróbkę i eksport surowców naturalnych z prowincji Irian Jaya była jedyną, jaka im pozostała. Fredric skinął głową.

* Nic dziwnego, że Ferdinand Culpepper uznał cię za trupa * powiedział. * Myślę, że określenie tej sprawy delikatną winno ci towarzyszyć, gdy będziesz się zbliżał do tych braci, wujku.

Skarphedin parsknął.

* Niech mnie, zostaną stąd wykurzeni! * powiedział i przywołał mister Toma. * Rząd.

* Teraz mówisz bardziej jak aktywista na rzecz ochrony lasów deszczowych niż detektyw badający sprawę zabójstwa. * Fredric wypił ostatni łyk wina.

* Czy właściwie jest jakaś różnica? * Skarphedin spojrzał z ukosa na Fredrica, gdy przyjął rachunek. Wstał i rzucił na stół zwitek rupii.

Szef lokalu grzecznie odprowadził ich do drzwi. Podziękował, uklonił się i zaprosił ich ponownie. Fredric zapewnił go, że z pewnością jeszcze się tu pojawią. I to wkrótce.

Na zewnątrz panowała cisza.

Dziwna cisza.

Nie minęła jeszcze północ, a przecież wczoraj o tej porze na ulicy toczyło się życie. Panował hałas. Teraz jednak główna ulica świeciła pustkami. Może to jakieś święto? * zastanawiał się Fredric, gdy zbliżali się do hotelu.

* Tak więc dlatego ci bracia Culpepper osiedlili się tutaj * powiedział, gdy weszli do recepcji. * Zbudowali wielki dom na wzgórzu. Może to ich ostatni szaniec.

* Są obrzydliwie bogaci * syknął Skarphedin, kiedy odebrali klucze od młodego chłopaka, który pełnił tej nocy dyżur.

* Justin Culpepper budzi jednak trochę sympatii * powiedział Fredric. * Lubi muzykę klasyczną i ma dość rozsądku, aby otworzyć dobrą restaurację.

Skarphedin wzruszył ramionami.

* A ty * zwrócił się do chłopaka za ladą * wciąż nic nie pamiętasz z tej nocy, gdy doszło do włamania?

Chłopiec zdecydowanie pokręcił głową.

Teraz nie spał. Zauważył, że może myśleć. Spał? Długi sen? Czy teraz jest dzień? Próbował wstać, ale ciało nie słuchało. Miał w ogóle ciało? Gdzie się znalazł? Starł się szeroko

otworzyć oczy, ale były jakby zarośnięte, sklezione. Długo leżał, próbując je otworzyć. Wreszcie jedna powieka ustąpiła. Mógł zobaczyć otoczenie. Przez szpary w ścianie wpadało parę promieni światła. Ściana? Była pełna szpar. Czy to pokój? Leżał? Gdzie on jest? Myśli próbowały się wyzwolić z marazmu, w jakim się znalazł. Nic nie było uchwytnie. Ależ nie, przecież były dźwięki! Nie pochodziły z jego głowy. Słyszał ptaki. Ćwierkały i popiskiwały wokół niego. Jeszcze inne cienkie dźwięki. Żaby? Są tutaj żaby? Udało mu się unieść nieco głowę. Spojrzał na swe ciało. Brud, strupy, wiele strupów i pęcherzy, muchy, owady, mrówki, które po nim chodziły, ale on nic nie czuł. To nie mogło być jego ciało, ale głowa... Miał głowę. Czuł wargi. Suche i nabrzmiałe. W ustach nie było śliny. Może przełykać? Spróbował, ale jego język był przyklejony do podniebienia. Przez chwilę leżał nieruchomo. Znow zamknął oko. Nasłuchiwał. Wszystkie dźwięki pochodziły z zewnątrz. Nagle w jego głowie pojawiła się klarowna myśl. Spróbował się poruszyć, ale coś go powstrzymało. Leżał spokojnie, a ta klarowna, wyraźna myśl powoli odpływała. Zniknęła, utonęła w strumieniu niewyraźnych elementów bytu, którego nie był w stanie pojąć, a który sprawiał mu ból, tylko ból...

Skarphedin Olsen zamknął drzwi do pokoju. Starannie przekręcił klucz w zamku i usiadł na łóżku. Wino nie uczyniło go sennym. Jego myśli były jasne. Czy będzie w stanie teraz zasnąć? Nie, nie da rady. Kiedy zakończy to śledztwo, będzie mógł spać do końca życia, ale dopiero wtedy.

Znow wstał. Zdjął koszulę i podszedł do umywalki. Umył twarz i tors. Przez chwilę przyglądał się swym bladym piersiom i trzem małym przypominającym blizny plamkom w miejscu, gdzie musiało się kryć serce. To mogły być blizny po ranach postrzałowych, ale to chyba egzema, pomyślał. Nigdy nie został postrzelony. Nigdy nikt nie wycelował do Skarphedina Olsena. Wyszczrzył zęby do swego lustrzanego odbicia i usiadł na łóżku. Przez chwilę siedział beczynnym, a potem chwycił poźółkłą teczkę, która leżała obok poduszki. Otworzył ją i zaczął przeglądać jej zawartość, kiwając głową.

Zdjęcie dziadka.

Bardzo podobny do swego prawnuka.

Stare listy od matki, Lary Drum Olsen.

Nowa Gwinea, pomyślał.

Góry Bandesi, gdzie przebywają plemiona Korowajów i Sengaupenów.

Jaskinia?

Odłożył teczkę i zamknął oczy. W gabinecie badacza Elfhammara widział zdjęcia z tych terenów. Zatem wszystko wygląda tak, jak sześćdziesiąt lat temu? Jak dziadek się tam dostał? Odpowiedzi na to pytanie nigdy nie pozna.

Otworzył jedną z butelek wody, które przyniósł do pokoju. Wypił parę łyków i zaczął nasłuchiwać. Czyżby słyszał chrapanie? Tak, to pewnie śpiący za ścianą szef policji. Na twarzy śledczego znow pojawił się uśmiech. Spojrzał na zegarek. Za nieco ponad cztery godziny szef policji zostanie

obudzony przez recepcjonistę. Wtedy złoży krótką wizytę w więzieniu. Jaką taktyką się posłuży, aby skłonić zarządcę tartaku do mówienia? Pomyślał, że Fy na pewno ma swoje metody, ale co z tego wyniknie? Co naprawdę stało się wtedy w tartaku?

Gorion Sen pracował razem z Ungbeldtem.

I został zamordowany w tartaku. Pocięty na kawałki.

Po tym, jak poprzedniego dnia rozmawiał z Holendrem.

Wypili sporo piwa.

Gdzie podziewa się teraz ten Holender, Verkeuteren?

Ty migoczące zielone * diabelstwo.

Skarphedin znow wstał i zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Jest wiele wątków, wiele nitek, ale czy wszystkie prowadzą do tego samego kłębka?

Skradziona maszyna faksująca.

A mimo to użyta po kradzieży.

Alban Trossig był sam, gdy znalazł Jana Vennaliego.

Kim jest ten badacz, Hans Mercur Elfhammar?

Arthur Krondal znów do niego zadzwonił.

Powiedział, że ta sprawa przestała już należeć do delikatnych.

Delikatnych dla kogo? Dla polityków?

* Spędziliśmy tutaj jedną dobę * powiedział sam do siebie i znów usiadł, opierając głowę na dłoniach. Potarł czoło. * Doba to dużo czasu, bardzo dużo, jeśli wciąż się żyje. Peder. Twoja koszula była źle zapięta i miałeś brązowe błoto na butach.

Nagle detektyw stał się czujny. Uniósł głowę i zaczął przeszukiwać pokój. Spojrzał na torbę podróżną Ungbeldta, która wciąż tu stała; nie zawierała niczego poza przyborami toaletowymi i ubraniami. Peder tu mieszkał. Jak spędzał czas? Popołudnie ostatniego dnia? Po raz trzeci podniósł się z łóżka i zabrał się do systematycznego przeszukiwania ścian i kątów. Zajrzał za lampy. Schylił się i zerknął pod łóżko. Zrzucił pościel i materac. Dokładnie przyjrzał się stelażowi. Jeśli Peder Ungbeldt wciąż żyje, to te poszukiwania mają głębokie uzasadnienie, pomyślał. Uważnie zbadał materac. Guma, ale żadnych dziur. Uklęknął przed umywalką i włożył rękę za rury, które wchodziły w ścianę. Nagle coś znalazł.

Szybko wstał.

W jego dłoni było małe pudełko.

Otworzył je.

Kaseta?

Długo stał, trzymając taśmę w dłoni i kiwając głową. Nagle szybko otworzył drzwi i zbiegł schodami do recepcji. Nie zwróciwszy uwagi na pełniącego nocny dyżur chłopca, który spał na ławie za ladą, pomknął do jadalni i chwycił za telefon. Była prawie pierwsza w nocy, ale w Norwegii było wczesne przedpołudnie. Minutę później miał na linii szefa KRIPOS, Krondala.

* Tu Skarphedin * powiedział, próbując zachować spokój. * Czy możesz od razu skontaktować się z konkubiną Ungbeldta i poprosić ją o dokładny opis jego ciała? Blizny, znamiona, inne znaki szczególne?

* Po co? * Krondal wydawał się zmieszany. * Chcesz powiedzieć, że dowiedziałeś się, iż...

* Nie wiem, Arthurze * przerwał mu Skarphedin. * Muszę odwiedzić kostnicę w Dżakarcie, by się przekonać, czy to rzeczywiście Peder.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

* I na Boga, człowieku, nie rób jej nadziei, że on żyje. Wciąż cisza, a potem chrząknięcie.

* Naprawdę uważasz, że Peder może żyć? * Krondal mówił przesadnie powoli.

* Akurat teraz nic nie uważam, ale zrób to, o co poprosiłem, i to w te pędy! * Skarphedin energicznie uderzył się w ramię, mierząc w wielkiego owada.

* Możesz powiedzieć coś więcej?

* Nie! Jak się uporasz z tym, o co prosiłem, zadzwoń do mnie. Powiedzmy za pół godziny, dobrze? * Odłożył słuchawkę.

Siedział wpatrzony w telefon. Miał na ręce żółto*zieloną plamę po zabitym owadzie. Nie wytarł jej. Wyjął notatnik z kieszonki na piersi i przeglądał go do chwili, aż znalazł numer telefonu, którego szukał. Znów spojrzał na zegarek. W Dżakarcie była oczywiście ta sama godzina, co tutaj, ale miał to gdzieś. Wykręcił numer i czekał.

Upłynęło parę minut.

Brak odpowiedzi. Wyłączył się nawet sygnał w telefonie.

Znów wybrał numer.

Czekał.

Wreszcie usłyszał nieco zachrypły głos, który powiedział coś po indo*nezyjsku. Skarphedin starał się mówić bardzo spokojnie, po norwesku. Wiedział, że po drugiej stronie słuchawki

jest ambasador Norwegii. Kiedyś już z nią rozmawiał. Opowiedział jej dokładnie, o co chodzi, i że ma uzasadnione podejrzenie, iż ciało, które zostało poddane kwarantannie w którejś z kostnic w mieście, być może nie jest ciałem norweskiego policjanta. Nie jest pewny, ale to bardzo ważne, aby mógł to jak najszybciej wyjaśnić, to jest w ciągu paru godzin. Najchętniej przed godziną ósmą czasu lokalnego. Czy to możliwe? Czy uda się uzyskać szczegółowy opis leżącego tam bezgłowego ciała noszącego nazwisko Ungbeldt, śledczego z norweskiego KRIPOS? Ambasador najpierw się wahała, ale gdy pojęła powagę sytuacji, kiedy Skarphedin udzielił jej najważniejszych informacji, obiecała, że pierwszy sekretarz wraz z lekarzem i majori polisi skoro świt dokładnie przyjrzą się ciału. Czy są jakieś znaki szczególne, których powinni szukać? Śledczy odparł, że dowie się tego w ciągu najbliższej godziny. Obiecał, że do niej zadzwoni, gdy tylko otrzyma szczegóły z Norwegii. Znowu siedział, przyglądając się telefonowi. Cisza.

Żadnych ludzi na ulicy.

Powinieneś to zrobić już dawno temu, Skarphedinie, pomyślał. Jeśli Peder żyje, to zmarnowałeś cenne godziny. Czekał na telefon od Krondala. Włożył rękę do kieszeni. Wyjął pudełko z kasetą. Ty zielone migoczące * diabelstwo.

W barze w burdelu Mamma Suggosabols nie było prawie żadnych klientów. Było już grubo po północy. Carl Christian Ender siedział z niedopałkiem cygara w kąciku ust. Opróżnił szóstką szklaneczkę whisky. Na końcu lady siedział pijany kierowca samochodu transportującego drewno z Nowej Zelandii z wciąż rozpiętym rozporkiem po właśnie odbytym stosunku. Poza tym po lokalu włączyło się parę znudzonych prostytutek. Nie było nawet Hakkenga, współnika Endera.

Endet siedział tu od paru godzin.

Przyszedł tutaj po nieprzyjemnym wydarzeniu, do którego doszło na arenie walki świń.

Ciało Ferdinanda Culpeppera zostało rozerwane na kawałki.

* Holy pig * wymamrotał pod nosem, kiedy wypił pierwszą szklanę. Powtarzał to przekleństwo po opróżnieniu każdej następnej szklanki, jakby chciał uczcić pamięć Ferdinanda Culpeppera lub dać wyraz swemu makabrycznemu poczuciu humoru. Nie wiedział, co właściwie było tego powodem, ale nie był w stanie nad tym się zastanawiać. Dlaczego nie ma tutaj Hakkenga? Ender poczuł silną potrzebę, by z kimś porozmawiać o tym, czego przed chwilą był świadkiem. Dlatego przyszedł do tego baru. Tutaj było jednak tak samo pusto jak wszędzie. Kto mógł, zgromadził się dzisiejszej nocy wokół areny w baraku, gdzie później przywołano wojsko. Ciekawość, potrzeba zobaczenia katastrofy i śmierci jest w tej części świata przytłaczająca, pomyślał Ender. Prawdopodobnie nie jest to tylko lokalny fenomen. Pewnie wszędzie jest tak samo. Patrz długo w przepaść, to wkrótce ona spojrzy na ciebie, pomyślał gorzko. W jaką przepaść teraz spoglądał? Żadną. Już dawno opadł na dno, a teraz wspinał się w górę. W górę, coraz wyżej! Nikt go teraz nie powstrzyma!

Co tak naprawdę się stało?

Rusztowanie podium nie wytrzymało.

Filary, które je podtrzymywały, zawiodły.

Kiepska konstrukcja?

Jednak Ender coś jeszcze widział.

Na arenę wrzucono pęcherz świni.

Z pewnością wypełniony moczem samicy.

Czy to było dokładnie zaplanowane morderstwo? Ender nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Ostatnio wokół braci Culpepper działo się wiele ntczy, które mogłyby wskazywać na to, że ktoś na nich czyhał. Co tak naprawdę stało się w tartaku? Po mieście krążyły plotki i większość z nich dotarła także do Endera i Hakkenga. Mówiono, że to wcale nie był wypadek i że to nie pracownik tartaku poniósł śmierć, ale policjant. Jeden z tych, którzy pomagali norweskiemu śledczemu Ungbeldtowi. Teraz tartak był zamknięty i

strzeżony przez wojskowych. Zarządca ponoć trafił do więzienia. Co to wszystko, do jasnej cholery, ma znaczyć?

Carl Christian Ender poczuł, że marznie.

W tym dusznym, wilgotnym i śmierdzącym perfumami przybytku, jakim był bar Mamma Suggosabols, było przynajmniej trzydzieści stopni, a on marzył. Pieprzona gorączka nie ustępowała. Ataki bywały coraz częstsze. Zakaszał i znów zachciało mu się wymiotować, ale wyprostował się i zapalił kolejne cygaro. Mimo stanu upojenia i gorączki starał się jasno myśleć.

Kontrakt z Chińczykiem może spełznąć na niczym.

Jeśli tartak nie będzie w stanie dostarczać materiałów.

Są zależni od jego działalności.

Eksport bali drewna do Chin może być trudny.

I Tor Henry Astviner wycofał się.

Długo kręcił głową. Dlaczego Astviner dał sobie spokój? Przecież przeniósł tutaj biuro z Jayapury? Nawiazali wspólną współpracę i teraz ich celem stały się Emiraty. Pieprzony snob! Tchórz! Czy to zabójstwa dwóch rodaków tak go przeraziły? Możliwe, ale ci idioci prosili się przecież o to, by wysłać ich do piekła, biorąc pod uwagę, jak grzebali i węszyli w tym biznesie! Chyba nie wiedzieli, w jakiej części świata się znaleźli. To nie Norwegia. A teraz znów przyjechała dwójka detektywów. Biedni wariaci!

Opróżnił szklankę z whisky i zamówił nową. Nie zauważył śliny, która ciekła mu z kącika ust po brodzie i na spodnie. Jego myśli stały się niejasne, ale nie miał ochoty spędzić pod wilgotnym prześcieradłem więcej godzin niż to konieczne, mając przed oczami widok wnętrza Ferdinanda Cul*peppera. CL, pomyślał, clear licence, potrzebujemy fałszywych papierów, aby znów móc eksportować drewno. A teraz jeszcze tek zakichany pijak Holender gdzieś zniknął. Verkeuteren był świetny w zdobywaniu pewnych dokumentów i zawieraniu nowych umów. Potrzeba nam nowych kontraktów, bo to dopiero początek! Do cholery, nie poddamy się! Rolf i ja będziemy nieprzyzwoicie bogaci, nim opuścimy tę przeklętą norę! Ale gdzie, do diabła, podział się Rolf Hakkeng? Większość nocy spędzał przecież w tym domu, jak twierdził. Ender podniósł rękę i przywołał barmana.

* Mister Hakkeng * powiedział, próbując mówić wyraźnie po angielsku. * Nie było go tutaj dziś w nocy, dziś wieczorem?

* Mister Hakkeng? * Gruby barman uniósł brwi. * Nie widziałem go już od bardzo dawna.

Ender poczuł, że zaczyna mu się mocno przewracać w jelitach. Ledwie zdążył do toalety.

Fredric także nie poszedł spać po powrocie z restauracji. Przez parę godzin próbował skoncentrować się na piśmie rongo*rongo. Udało mu się to tylko częściowo, gdyż w jego myśli cały czas wkradła się sprawa śledztwa i problemy, przed jakimi stali. Mimo to zdołał opracować próbkę tekstu na podstawie plansz T*7 i T*8 i hipotez lansowanych przez badacza pisma Thomasa Bartela. Jeśli tok rozumowania, którego się trzymał, był logiczny, tekst mógł brzmieć następująco:

Jest wielu w (dolinie?), w której walczy wielki (król)
i gdzie brat (bliźniak) jest (był?) przyjacielem/wrogiem
walka (nadejdzie) i zwycięzca powstanie
żaden brat (bliźniak) nie ujrzy słońca (światła?).

Fredric był całkowicie świadom, że kryptolog*analityk łatwo może wpaść w wiele pułapek będących skutkiem zgadywania, wielkiej chęci, by nadać tekstowi jakieś znaczenie. Czy tak właśnie było w przypadku tego tekstu? Możliwe. Pozostało mu tylko wykorzystać go jako wzór do odczytywania innych fragmentów. Pułapki. W śledztwie także było wiele pułapek. Fałszywe, prowadzące donikąd ślady, umiejętne zwodzenie ich przez sprawcę czy przypadkowe zbiegi okoliczności, które mogą budzić skojarzenia. Pomyślał o Ungbeldtce i o tym, co napisał na podkładce pod piwo. Słowo migoczące mogło się wydawać zupełnie

bezsensowne w sytuacji, w jakiej znajdował się Ungbeldt. O czym śledczy myślał, gdy je zapisywał?

Uporządkował papiery.

Rozebrał się i wślizgnął pod prześcieradło.

Zgasił światło.

Ciemność wokół niego była wilgotna i nieprzenikniona.

Jeśli to nie ciało Pedera Ungbeldta zostało sfotografowane przy tym kamieniu, to co się z nim stało? Jeśli został pojmany i jest utrzymywany przy życiu, to musi być jakiś ważny powód, na co już wuj zwrócił uwagę. Co to może być za powód? Fredric miał problemy z zaśnięciem.

Rzucił się z boku na bok.

Maszyna faksująca.

Morderca wysłał faks, korzystając ze skradzionej maszyny, a mimo to numer nadawcy był numerem urzędu pocztowego. To nie byłoby możliwe, gdyby skorzystano z faksu poza budynkiem poczty. To była największa tajemnica. Próbował przypomnieć sobie teczkę z dokumentami sprawy, z którymi się zapoznał. Czy na kopii faksu nadanego przez sprawcę był podpis nadawcy, numer poczty? Nie przypominał sobie, by zwrócił na to uwagę, oglądając przesyłkę. Wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w mrok. W głowie Fredrica Drum kształtowała się pewna niesamowita myśl. Szybko ją jednak odpędził. To było zbyt nieprawdopodobne.

Zamknął oczy i przewrócił się na brzuch.

Panis angelicus Pavarottiego.

Justin Culpepper.

Niski, wąty mężczyzna z zamiłowaniem do muzyki klasycznej.

Brat.

Na Wyspie Wielkanocnej trwała wojna.

Wycinano las.

Długie Uszy walczyły z Krótkimi Uszami.

A kamienne figury, kolosy zostały wzniesione z należnymi honorami.

W zielonych lasach migotało.

Skarphedin wciąż jeszcze siedział w jadalni, gdy wskazówka zegara zbliżyła się już do godziny piątej. Przed sobą miał sporo notatek i faksów, które nadeszły. Poza tym trzy puste butelki po wodzie. Tej nocy zatroszczył się

o to, by chłopiec w recepcji nie zaznał za wiele snu. Wykorzystując swą pozycję i legitymację policyjną, uzyskał dostęp do dokumentów Chińczyka, Teng Fung Li, dokumentów, które były przechowywane w jedynym w hotelu sejfie, w tym samym, w którym trzymano jego własne papiery. Przez ponad godzinę badał kontrakty, koncesje, zezwolenia na eksport i logistyczne analizy dotyczące zakupów, przewozu i eksportu/importu drewna z lasów deszczowych. Długo kiwał głową nad sumami i kalkulacjami, procentami i zyskami. Firma ILE odgrywała w tym ważną rolę. Nazwiska Carla Christiana Endera i Rolfa Hakkenga często się tam przewijały. To samo dotyczyło braci Culpepper. Takie dokumenty z przyjemnością przejęłaby policja do spraw przestępczości gospodarczej, ale tutaj takowa nie istniała. Były to sprawy, które postawiłyby nie tylko indonezyjskie, ale i norweskie władze w nie najlepszym świetle w obliczu międzynarodowych konwencji dotyczących ochrony środowiska naturalnego. Skarphedin długo kręcił głową. Ale on nie zajmował się tymi sprawami, prowadził śledztwo w sprawie morderstwa.

Zabójstwa.

W gruncie rzeczy ilu morderstw dotyczyło jego dochodzenie?

Nie wiedział.

Bardzo wielu, pomyślał, patrząc przez pryzmat Sary Enghall, gdyż obejmowało także tępienie prymitywnych plemion autochtonów żyjących w lasach, przez które z brutalną chciwością

przedzierała się teraz mafia drzewna. Skarphedin Olsen przetarł piekące oczy, spojrzął na zegarek i krzyknął do chłopca w recepcji, aby obudził komendanta policji.

Wiele razy rozmawiał z Krondalem.

Zgromadził ważne informacje o znakach szczególnych Ungbeldta.

Przesłał je do ambasady w Dżakarcie.

Mógł się spodziewać odpowiedzi przed ósmą.

Ciężkie kroki na schodach sygnalizowały zbliżanie się majori polisi Gumaliego Albapunga Fy. Tym razem nie miał na sobie przypominającego płaszcz szlafroka, ale ubrany był w swój nienagannie czysty mundur. Otworzył oczy ze zdumienia, kiedy zobaczył, iż kolega z Norwegii też już nie śpi.

* Mam wielką nadzieję, majori polisi Olsen, że to będzie naprawdę bardzo owocny dzień dla naszej pracy na rzecz sprawiedliwości i prawa! * Wydawał się wyspany i zadowolony.

Te niespodziewane pozytywne słowa z ust szefa policji sprawiły, iż Skarphedin uniósł brwi. Na jego twarzy na chwilę zagościł uśmiech. Zaprosił mężczyznę do stolika.

* Wyspał się pan? * zapytał.

* Godziny, które wczoraj wieczorem z wielką radością spędziłem w towarzystwie pięknej gospodyni tego hotelu, miss Duany Gomsom, córki Gilbona Gomsoma, sprawiły, że mój sen był spokojny i pełen zapachów * odparł z patosem.

* Zapachów? * zdziwił się Skarphedin. * Czuje pan we śnie zapachy?

* A pan nie czuje w chwilach szczęścia?

* Nic takiego nie pamiętam * wymamrotał Skarphedin i niespokojnie poruszył się na krześle.

* Jest pan gotów na wycieczkę do więzienia? Wie pan pewnie z doświadczenia, że przesłuchiwanie świadków na parę godzin przed wschodem słońca często daje dobre rezultaty. Wtedy ich myślenie jest osłabione, tak samo jak zdolność osądu sytuacji. Proszę mocno przycisnąć tego zarządcę. Musi opowiedzieć nam o tym, co się zdarzyło w tartaku. Mamy przecież solidne dowody na to, iż to nie jego pracownik, a ktoś zupełnie inny padł ofiarą piły, prawda?

* Właśnie, polisi Olsen. Mam swoje metody. Temu zarządcy nie będzie lekko. * Albapung Fy wstał i krzyknął do chłopca w recepcji, by możliwie najszybciej zorganizował transport wojskowym samochodem.

* Chwileczkę. * Skarphedin podniósł się i wyjął coś z kieszeni. * Widzi pan to? * Otworzył małe pudełko, które trzymał w dłoni. * To kasetka. Należała do norweskiego śledczego.

Znalazłem ją ukrytą w pokoju, w którym mieszkał.

Albapung Fy spojrzął z zaciekawieniem.

* Z całym szacunkiem, to bardzo mała kasetka. Istnieją takie?

* Tak, istnieją. Nie wiemy jednak, co na niej jest i nie dowiemy się tego, dopóki nie zorganizujemy odtwarzacza, do którego będzie pasowała.

Szef policji nie odpowiedział. Wziął kasetę do ręki i przyjrzał się jej z powątpiewaniem.

* Po powrocie z więzienia znajdzie pan odtwarzacz, na którym będziemy mogli odsłuchać tę taśmę, rozumie pan? To najwyższy priorytet! * Detektyw zupełnie niepotrzebnie podniósł głos.

* Ale... Rozumiem, ale nie wiem... Nigdy nie słyszałem ani nie widziałem...

* Niech pan się skontaktuje ze wszystkimi sklepami tutaj i w Jayapurze, które sprzedają taki sprzęt * przerwał mu Skarphedin. * Niech mnie szlag, ale gdzie muszą być takie odtwarzacze!

Światła samochodu, który zajechał przed wejście do hotelu, momentalnie rozświetliły tonącą w mroku jadalnię.

* Zrobię co będę mógł polisi Olsen. * Szef policji skłonił się i wybiegł na ciemną ulicę, do czekającego pojazdu wojskowego.

Detektyw opadł na krzesło. Zgarbił się.

* Niech to ciężki szlag! * krzyknął z wściekłością.

Co za pożytek z tej kasety, skoro nie da się jej odsłuchać? Gdzie Un*gbeldt kupił ten swój mały sprzączek? Co to za typ? Poczłł dudniący ból głłwy. Wstał i poklepał się w głłwę zaciśniętymi pięściami. Nie pomogłł. Usiadł i zaczął wpatrywać się w pudełko i kasetę. Po chwili, nie znajdując żadnego innego sensownego zajęcia, usiadł przy maszynie do pisania i zabrał się do sporządzania długiego i dość treściwego raportu opartego na dokumentach znalezionych w portfolio Chińczyka. Dodał do raportu własne spostrzeżenia w kwestii przestępczości na szkodę środowiska naturalnego i autochtonów, na którą indonezyjskie władze patrzą przez palce. Jednak i norwescy obywatele są w to w dużym stopniu uwikłani. Wysłał raport faksem bezpośrednio do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a nie za pośrednictwem KRIPOS, jak zazwyczaj nakazywał Krondal. W tym wypadku nie okazał ani krzty wrażliwości, pomyślał. Gdyby aktywiści przeczytali ten raport, z pewnością długo i przyjaźnie klepałiby go po ramieniu.

Skarphedin przetarł oczy.

Otworzył butelkę z wodą i napił się.

Dochodziło wpół do ósmej.

Szybko zrobiło się jasno.

Spoglądał na maszynę faksującą.

Właśnie w momencie, gdy przed wejściem do hotelu zatrzymał się wojskowy pojazd i wybiegł z niego pędem wyraźnie czerwony na twarzy szef policji Albapung Fy, telefaks zaczął migotać i powoli wysunęła się z niego kartka. Skarphedin zmrużył oczy i szybko zerknął na logo na górze dokumentu: Royal Norwegian Embassy, Dżakarta.

8

Człłowiek lasów deszczowych może mieć przed sobą przyszłość, pewnej osobie wydaje się, że rozwiązała sprawę, a Fredricowi ledwie udaje się uniknąć kolizji w drodze z poczty

Tej wiosny ptaki wędrowne wcześnie powróciły do Oslo. O wiele wcześniej niż zwykle. Na południowym niebie nad Bygdoy unosiła się letnia mgiełka. Jednak to nie pogoda czy temperatura zajmowały Finna Edwina Lindboma przez ostatnie marcowe dni. Oglądał ciepły wiosenny wieczór przez wielkie panoramiczne okno biura, w którym siedział. Jego myśli były zupełnie gdzie indziej. Nie mógł być niezadowolony z obrotu sprawy.

Raz jeszcze przejrzał gazety.

Dziś sprawa trafiła na pierwsze strony.

Wielkie nagłłwki.

Uwaga skupiona głłównie na przyczynach zabójstw.

Dokładnie tak, jak być powinno.

Z zadowoleniem mógł stwierdzić, iż jego wypowiedzi zostały przytoczone w miarę poprawnie. Nie było żadnych wątpliwości co do zdania ministerstwa w tej kwestii. Sprawa miała najwyższy priorytet. Nie dotyczyło to wyłącznie zabójstwa dwóch Norwegów, ale także przestępczości w zakresie niszczenia środowiska naturalnego, i to tej najgorszego rodzaju, w której także Norwegowie odgrywali znaczącą rolę. Łamano konwencje i prawa międzynarodowe z zakresu ochrony środowiska. Norweska opinia publiczna musi wiedzieć, że rząd nie pozostawi tak tej sprawy, nawet jak sprawcy zabójstw zostaną pojmani. Jego wypowiedzi były ostre, bardzo ostre. Wypowiadał się tak otwarcie, że pierwszy sekretarz i jeden z doradców stwierdzili, że posunął się za daleko i że jego postępowanie może dodać skrzydeł różnym grupom pozaparlamentarnym i ustanowić precedens dla akcji wymierzonych przeciwko działaniom rządu na różnych polach. Aktywiści działający na rzecz ochrony lasów

deszczowych to jedno, ale co będzie później? Lindbom pokręcił tylko zdecydowanie głową na te oskarżenia. Muszą to znieść, jeśli mają kiedykolwiek położyć kres niszczeniu lasów deszczowych na ziemi. Teraz albo nigdy. Irian Jaya stało się próbą, a sposób, w jaki przez nią przejdą, udowodni, jak przestrzegają międzynarodowych umów. Norwegia zobowiązała się do ich poszanowania, a tymczasem jej obywatele nie mają najmniejszych skrupułów, by je łamać.

Uśmiechnął się.

Wiedział, że do tej pory perfekcyjnie lawirował.

Minister spraw zagranicznych był nieobecny.

To wszystko ułatwiało.

Miał pełnomocnictwo do działania w tej sprawie.

Minęła dziewiętnasta, ale on wciąż był w biurze. Nie chciał zejść z posterunku, dopóki ta sprawa nie zostanie zakończona, i to dokładnie w przewidziany przez niego sposób. Nawet najmniejszy szczegół nie może ujść jego uwagi. Gra toczy się o wysoką stawkę. Bardzo wysoką.

Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju weszła sekretarka.

* Właśnie przyszedł faks i powinien chyba trafić do pana. * Wręczyła mu kartkę i wyszła.

Przeczytał.

Potem uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Policjant z Centrali Policji Kryminalnej wiedział, gdzie szukać. Grzebał dokładnie tam, gdzie powinien, a teraz, omijając procedury, wysyłał swe raporty prosto do ministerstwa, prosto do niego. W tym raporcie były jeszcze mocniejsze oskarżenia. Wkrótce wszystkie przeszkody znikną z drogi. To, że jego polityczne wystąpienia przed prasą mogą go kosztować pracę, nie miało dla niego najmniejszego znaczenia.

Zaledwie miesiąc temu bardzo by się tym przejął.

Ale nie teraz.

Teraz był człowiekiem lasów deszczowych.

Finn Edwin Lindbom miał przed sobą przyszłość.

Skarphedin Olsen zdecydowanym ruchem podniósł rękę, gdy Alba* pung Fy, najwyraźniej poruszony, wpadł do jadalni, próbując coś powiedzieć. Oczy detektywa przypominały wąskie szparki, gdy czytał kartkę, którą właśnie otrzymał faksem.

Ambasada Królestwa Norwegii, Indonezja Detektyw Skarphedin Olsen, Tanjung, Irianjaya Możemy potwierdzić, że ciało, które obecnie znajduje się w kostnicy Międzynarodowego Szpitala Guwali, nie posiada znaków szczególnych zgodnych z informacjami nadesłanymi przez Pana w związku z zaginięciem śledczego Pedera Ungbeldta.

Doktor Aliwan Ansgali wraz z inspektorem policji Tungwanem An*giem Ulabomem i pierwszym sekretarzem ambasady, Jensem Mostran*dem, przyjrzeni się ciału i mogą stwierdzić, iż nie ma na nim śladów po operacji usunięcia wyrostka robaczkowego ani znamion na lewej łopatce. Wiek zamordowanego także nie zgadza się z wiekiem zaginionego śledczego, który, jak wynika z dokumentacji, miał 39 lat.

Ciało w kostnicy należy do mężczyzny po pięćdziesiątce i nosi ślady dłuższego przebywania w tropikach. Ofiara ma wiele blizn na piersiach i lewym udzie. Na prawym ramieniu widoczny jest stary tatuaż przedstawiający symbol statku, kotwicę z oznaczeniem M/T "Beerenbrouck".

Skoro opisane wyżej znaki szczególne nie są zgodne z udzielonymi przez Pana informacjami odnośnie do zaginionego policjanta Pedera Ungbeldta, wnioskujemy, że zbadane ciało nie należy do niego.

Ambasada Królestwa Norwegii i indonezyjska policja będą wdzięczne za informacje mogące pomóc w identyfikacji ciała.

Anne*Lise Abrahamsen Ambasador

Skarphedin odłożył kartkę. Potem zamknął oczy i usiadł wygodnie, pozwalając Albalungowi Fy mówić.

* Zdoylem wszystkie informacje * zaczął zdyszany * ale jest coś jeszcze, polisi Olsen. Wczoraj późnym wieczorem stało się coś tragicznego. Szanowny mister Ferdinand Culpepper został pożarty przez dzikie świnie. Dowiedziałem się o tym w więzieniu. Strażnicy mi powiedzieli, a pan Tambong mówił o wszystkim...

Detektyw podskoczył na krześle.

* Że co? Pożarty przez świnie?

Poruszony szef policji miał problemy z wyrażaniem się po angielsku, gdy przyszło mu opowiedzieć o tym, co przeżył przez ostatnie godziny. Skarphedinowi udało się jednak wydobyć z niego najważniejsze fakty. Do wypadku doszło podczas walki świń, strasznego przedstawienia, które zorganizował sam Ferdinand Culpepper, a które odbywało się ku uciesze wielu mieszkańców miasta. Podium, na którym zwykł siadać Culpepper i z którego rozciągał się widok na całą arenę walki, zawało się i mężczyzna wylądował na arenie, a świnie z wściekłością rozerwały go na kawałki i częściowo pożarty, nim widzowie zdążyli wkroczyć. Są jednak podejrzenia, że to nie był wypadek, bo wielu przesłuchanych przez wojsko świadków twierdziło, iż w Culpeppera rzucono pęcherzem samicy dzikiej świni. Szef policji zastanawiał się, kto mógł to zrobić. Nikt nie wiedział. W baraku panował całkowity chaos, gdy to się stało. Poza tym dochodzenie ujawniło, iż pale, na których wspierało się podium, zostało podpiłowane, i dlatego tak łatwo zawało się pod naporem widzów zgromadzonych wokół areny.

* To bardzo smutne, polisi Olsen * zakończył policjant i osuszył pot z czoła * co się teraz dzieje w tym mieście, a mister John Tambong...

* Niech pan zaczeka. * Skarphedin zauważył, iż całe jego zmęczenie minęło, a myśli stały się jasne jak słońce. * Na arenie Ferdinanda Culpeppera doszło więc do walki świń. Wczoraj wieczorem. Kiedy dokładnie to się stało?

* Kapitan, bardzo utytułowany człowiek, powiedział mi w więzieniu, że około dziesiątej. Skarphedin zmarszczył czoło.

Wczoraj wieczorem o dziesiątej.

Była prawie dokładnie dziesiąta, kiedy on i Fredric przyszedli do restauracji i byli świadkami pompatycznego udawania Pavarottiego w Panis an*gelicus przez Justina Culpeppera. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że gdy jeden brat śpiewał o chlebie aniołów, drugi był właśnie pożerany przez dzikie świnie. Ta myśl uderzyła Skarphedina, ale miał wrażenie, że to wszystko zdarzyło się wieki temu. Powoli skinął głową. Tak więc Ferdinand Culpepper został zamordowany, pomyślał.

* Tak, to prawda * powiedział wolno * wiele smutnych rzeczy dzieje się w tym mieście, a jeszcze więcej się wydarzy, jeśli, niech mnie, nie zakaszemy rękawów i nie weźmiemy się do roboty! * Zauważył, że głos mu drży i zaczyna chrypieć.

Zakaszemy rękawy? * Szef policji nie znał tego wyrażenia. * Mam także zaszczyt poinformować, że zarządca, mister John Tambong * nawiasem mówiąc, nie musieliśmy go polewać lodowatą wodą, bo nie spał * opowiedział, co się zdarzyło w tartaku.

* No to dawaj pan! * Zniecierpliwiony detektyw wciąż zerkał na kartkę przesłaną mu faksem z ambasady.

* John Tambong powiedział z płaczem, co zupełnie nie przystoi osobie na jego stanowisku * na twarzy Fy pojawił się wyraz wyższości, nim zamknął oczy i kontynuował * że piła zabiła nieznanego mu człowieka i że to pracownik tartaku, Kombang Kombangpung Ui, próbował zatrzymać maszynę, niszcząc kontrolkę, ale nie powiodło mu się. * Szef policji przerwał.

* Niech pan kontynuuje * powiedział Skarphedin z irytacją.

* Zarządca zabrał pracownika do baraku, z którego kierował tartakiem, i przywołał Ferdinanda Culpeppera, co miał czynić w przypadku, gdyby w tartaku zdarzyło się coś

nieprzewidzianego. Culpepper przybył wraz z dwoma pomocnikami, członkami plemienia z głębi łądu, których zarządca nigdy wcześniej nie widział. Mężczyźni uzbrojeni w długie noże zabrali pracownika na statek i wypłynęli w górę rzeki. Mister Tambong nie wie, co się stało z tym człowiekiem. Cały czas płakał, gdy to opowiadał. Nie zachowywał się jak prawdziwy mężczyzna.

* Pieprzony dupek! * wybuchnął Skarphedin po norwesku. * A temu Tambongowi Culpepper pewnie założył na usta kaganiec? Powiedział mu, co ma mówić?

* Właśnie, polisi Olsen. Tak właśnie zeznał. A teraz, gdy Culpepper już nie żyje, on nie ma czego się obawiać. * Alapung Fy spojrzał na zegarek i zerknął ku recepcji.

* Zatajenie zbrodni, której było się świadkiem, jest przestępstwem także w Indonezji, prawda? * Głos Skarphedina był coraz bardziej zachrypły.

* Oczywiście, polisi Olsen. * Fy zdecydowanie skinął głową.

* Zalecam więc, byśmy trzymali tego mężczyznę za kratkami, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, zgadza się pan?

* Absolutnie, polisi Olsen. * Znowu zerknął na zegarek i spojrzał ku recepcji. Wiercił się niecierpliwie.

* No i widzi pan * Skarphedin chrząknął, by oczyścić głos * teraz ta sprawa przyjęła niespodziewany obrót, a czas, jaki mamy do dyspozycji, jest nad wyraz cenny. Właśnie dostałem z Dżakarty potwierdzenie, że osoba, której bezgłowe ciało znaleziono przy kamieniu, to nie norweski policjant, mój kolega Peder Ungbeldt. Rozumie pan, co to oznacza? Alapung Fy zamrugał.

* Co... Ale to przecież był...

* Właśnie * przerwał mu zniecierpliwiony Skarphedin. * To były jego papiery, jego portfel i legitymacja, a dzięki fatalnej pracy waszej policji, która nie zbadała miejsca zbrodni, nie przyjrzała się dokładnie ciału ani nie zdjęła odcisków palców z jego rzeczy, zmarnowaliśmy cholernie dużo czasu, bo wciąż wierzę, że mój kolega może być przetrzymywany gdzieś w okolicy!

* Bardzo, bardzo przepraszam, ale wydawało nam się... * Policjant znów zaczął się wiercić na krześle. * Ale, polisi Olsen, jest więc nadzieja i, z całym szacunkiem, będziemy...

* Tak, będziemy. I to szybko! * Skarphedin wstał i przeszedł się kilka razy po pomieszczeniu.

* Ale kim może być ofiara. Ten bezgłowy? * Szef policji potarł czoło.

* Nie wiemy, ale pana zadaniem będzie teraz poruszyć niebo i ziemię, aby znaleźć odtwarzacz, na którym da się to odsłuchać. * Wyjął z kieszeni pudełko z kasetą. * Odwiedzi pan także wszystkie firmy zajmujące się wynajmem samochodów i zanotuje nazwiska osób, które przez ostatnie dni wypożyczały pojazdy. Rozumie pan?

Alapung Fy skinął głową, a potem szybko wstał i uśmiechnął się szeroko, gdy zerknął ku recepcji. Właśnie przysłała córka właściciela hotelu. Kobieta przyniosła wielki kosz, który postawiła na stole w jadalni. Skarphedin zerknął nań podejrzliwie. Poczł zapach świeżo parzonej kawy i świeżego chleba. Poza tym parę różnych innych zapachów, które wydawały się całkiem przyjemne. Poczł głód.

* To wielka radość, polisi Olsen. * Fy podszedł do otyłej kobiety i głęboko się uklonił. * Piękna miss Duana przynosi nam to, bo wie, że w naszej ważnej pracy przyda nam się każda pomoc. Przygotowała dla nas pyszne śniadanie, abyśmy zaczęli dzień z pełnym żołądkiem!

* Dziękuję * bąknął detektyw i posłał kobiecie grymas, który miał być uśmiechem.

Jedli w milczeniu.

Skarphedin Olsen wypił trzy filiżanki bardzo mocnej kawy.

Potem zaczął grzebać w papierach.

Albapung Fy jadł powoli. Skarphedin wykonał parę gestów demonstrujących jego zniecierpliwienie. Gdy szef policji wreszcie skończył, dokładnie osuszył usta serwetką, wstał i sztywno się uklonił.

* Teraz wykorzystując cały mój autorytet, zgromadzę informacje, o które pan prosił, ale jak pan sądzi, drogi kolego, gdzie się podział Ungbeldt?

* Skąd, do cholery, mam wiedzieć?! * Jego głos był zachrypły. * Tego właśnie mamy się dowiedzieć i ta sprawa ma teraz priorytet! Pośpiesz się, człowieku! * Ze zniecierpliwieniem pomachał rękoma.

Albapung Fy zaczął wychodzić z pokoju.

* Chwileczkę! * zawołał za nim Skarphedin. * Coś jeszcze. Chodzi o Holendra, pijaka i żebraka, który zaginął tydzień temu. Nazywa się Ver*keuteren. Czy może pan dowiedzieć się także czegoś o tym mężczyźnie? *Zapisał nazwisko Holendra na kartce i wręczył ją Fy. * Teraz jest już prawie wpół do dziewiątej. Musi pan być z powrotem dokładnie o dziesiątej

i wtedy chcę znać rezultaty, w porządku?

Szef policji schował kartkę do kieszonki na piersi i skinął głową. Zawahał się trochę, chrząknął i powiedział:

* Ma pan przecież pomocnika, tego młodego policjanta, on także mógłby...

* On ma swoją robotę! Myśli, rozumie pan? Jeśli jest coś, czego wymaga ta sprawa, to kogoś, kto potrafi myśleć. Jeśli pan wykona swoje zadania, to my wykonamy nasze! * Spojrzeniem popychał szefa policji ku drzwiom.

Fredric Drum, pomyślał Skarphedin, i jego twarz złagodniała. Fredric Drum z pewnością dobrze spał tej nocy, ale czego dotyczą jego myśli, wie tylko on sam.

Nasłuchiwał. Nie spał. Ogarnął go strach. Strach, że znów usłyszy kroki. Ciężkie kroki i zobaczy brązowe brudne buty, które zatrzymywały się przy jego głowie i kopały. Usłyszy Głos, który cały czas cedził to samo pytanie i który sprawiał, iż miał wrażenie, że jego głowa eksploduje. Mógł odpowiedzieć, ale coś w środku go blokowało. Ta blokada jednak stopniowo zniknęła, gdy na jego głowę kładło się to miękkie, zielone coś i sprawiał, iż jego myśli stawały się jednym wielkim mętlikiem, w którym krążyło coś, czego nie potrafił pojąć. Ale wtedy, gdy na jego twarzy, ustach i nosie kładło się to przyjemne, miękkie coś, chętnie odpowiedziałby na pytanie, które zadawał mu Głos. Nie potrafił jednak. Gardło nie słuchało, mimo że spływała w nie woda. Czuł to. Głos dawał mu wodę i prosił, aby przełykał, ale nie potrafił odpowiedzieć. Dlaczego nie odpowiadał? Dlaczego gardło nie chciało go posłuchać tak, by mógł mieć

to już za sobą i odzyskać spokój? Nasłuchiwał. Znów powróciły wszystkie dźwięki. Teraz z większą mocą. Ptaki, miliony ptaków. Przyjemne dźwięki. Słyszał też żaby. Podniósł głowę. Jedno oko miał otwarte. Widział. Widział światło słoneczne, które przenikało przez szpary w ścianie. Dostrzegł coś zielonego na zewnątrz. Liście, gałęzie, drzewa? Spojrzał na podłogę, na której leżał. Brązowe brudne deski, dziury. Patrzył przez szpary i widział coś niebieskiego. Niebieskiego? Czy pod nim była woda? Znów opuścił głowę i spojrzał w górę. Udało mu się podnieść także drugą powiekę. Mógł zobaczyć sufit. Liście, grube gałęzie, brązowe i zwiędłe. Nagle znów podniósł głowę. Strach stał się silniejszy. Spojrzał na swoje rozłożone na podłodze ciało, ale nie potrafił go unieść! Było nagie i zakrwawione, pokryte bąblami i ranami. Chodziło po nim robactwo. Dlaczego nie czuł bólu? Dlaczego nie mógł się poruszać? Gdzie podziały się jego ręce? Żadnego bólu, tylko myśli, strach, że znów usłyszy ciężkie kroki i Głos, który będzie pytał, a on wiedział, iż jeśli odpowie, także jego myśli przestaną istnieć. Znikną na zawsze.

Była prawie dziewiąta. Skarphedin Olsen wciąż siedział przy stoliku w jadalni. Przez ostatnie minuty rozmawiał z Krondalem i paroma innymi śledczymi z KRIPOS w Oslo, ale żaden z nich nie wiedział, jakiego sprzętu Ungbeldt używał do nagrywania. Poza tym miał przed sobą

najnowsze informacje o osobach, które go interesowały, a były teraz w Tan*jung: Sara Enghall, Alban Trossig, Hans Mercur Elfhammar, Tor Henry Astviner, Rolf Hakkeng i Carl Christian Ender. Dokładnie przejrzał te informacje. Było parę rzeczy, nad którymi się zastanawiał i które jak najprędzej chciał wyjaśnić. Ktoś musiał mieć motyw! Skarphedin miał silne przeczucie, iż klucz do znalezienia sprawcy leży wśród tych nazwisk. A może jest zupełnie ślepy? Poza tym niedawno zakończył rozmowę telefoniczną z panną Enghall, która udzieliła mu deprymujących informacji o glebie w tym rejonie. Wcale nie było tak, jak powiedział mister Tom, kierownik restauracji.

Na pagórkowatym terenie wokół miasta ziemia była brązowa.

Wangesa Rai, Miedziane Wzgórze, nie było tutaj jedynym takim miejscem.

W ziemi była miedź i to ona nadawała błotowi brązowy kolor.

Jednak na wybrzeżu ziemia była zupełnie czarna.

Buty, które były na nogach trupa, musiały być używane gdzieś poza miastem.

Czy to były buty Ungbeldta?

A może należały do ofiary?

Zapytał ją także o tego Holendra, Jerimiaha Verkeutereana, ale ani ona, ani Alban Trossig nie wiedzieli za wiele. Jak już wcześniej mówili, mieszkał w małym piwnicznym pokoiku u Elfhammara. Nigdy z nim nie rozmawiali, ale widzieli go parę razy. Na ogół był pijany. Poza tym nic o nim nie wiedziała. Skarphedin potarł czoło. Jego zmarszczki stały się ostre i głębokie. Spojrzał w stronę Fredrica schodzącego schodami w dół do jadalni.

* Cześć, wujku. Widzę, że już na dobre zabrałeś się do roboty. * Głos Fredrica był jasny i wesoły.

Skarphedin przytaknął i bąknął coś niezrozumiałego. Odzyskał jednak kontrolę nad głosem i szybko opowiedział Fredricowi o tym, co nowego wydarzyło się w ich sprawie, o groteskowym końcu Ferdinanda Culpeppe*ra, wyznaniu zarządcy, odnalezieniu kasety i, co najważniejsze, o tym, że znalezione przy kamieniu ciało nie jest ciałem Pedera Ungbeldta. Fredric milczał.

Przyjrzał się maleńkiej kasecie, którą detektyw mu wręczył.

* Może tutaj znajduje się odpowiedź * powiedział.

* Ale, do jasnej cholery, nie da się jej odtworzyć, dopóki nie znajdziemy odpowiedniego sprzętu, a jeden diabeł wie, czy taki istnieje w tej zapadłej dziurze! * Jego głos był zachrypiały i piskliwy.

* Nie spałeś dziś w nocy. * Fredric przyjrzał mu się.

* Tutaj nie potrzeba snu. Peder pewnie też nie śpi tam, gdzie się znajduje!

Fredric nie odpowiedział od razu. Spojrzał na kosz ze śniadaniem, który stał obok. Chwycił kawałek chleba psennego i zaczął przeżuwać.

* Nie ma żadnych wątpliwości * powiedział wreszcie * że morderca wiedział o kasecie.

Włamał się do pokoju hotelowego, ale nic nie znalazł. Dlatego...

* Właśnie dlatego * przerwał mu Skarphedin * nie zabił Ungbeldta, ale chciał, abyśmy myśleli, że to zrobił. Nie mógł go zamordować, nie wiedząc, gdzie ukrył kasetę. A znając Pedera... * urwał.

* Może żyć * przytaknął Fredric * ale osoba, która go przetrzymuje, raczej nie będzie czekać zbyt długo. A teraz także Ferdinand Culpepper prawdopodobnie został zamordowany. Jan Vennali, dwaj policjanci, ciało przy kamieniu, Culpepper. Wiesz, co myślę? Że morderca śledzi każdy nasz krok i dokładnie wie, jak daleko posunęło się śledztwo.

Skarphedin nie odpowiedział, ale spojrzał na niego z zainteresowaniem.

* Myślałem trochę o tym w nocy * kontynuował Fredric z wahaniem. * Mam ochotę przeprowadzić małe prywatne dochodzenie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. To może być coś związanego z urzędem pocztowym i zaginionym faksem. Chciałbym przejść się na pocztę

i porozmawiać z pracownikami. Nie powinno się to wiązać z jakimś ryzykiem teraz, w świetle dnia.

* Wspaniale, Fredricu! * powiedział Skarphedin. * Zrób to, chłopcze.

Z tego, co pamiętam ze szczytkowych informacji, jakich udzielił mi Peder przez telefon, nigdy nie wspomniał o poczcie. Popytaj, Fredricu, może któryś z pracowników jest w to zamieszany albo będzie wiedział coś ważnego. Dla naszego drogiego szefa policji mam na dziś inne zadania. Tak nawiasem mówiąc, bardzo się poprawił.

* Dobrze. * Fredric wstał. * Potrzebuję jednak jakiegoś upoważnienia. Dowodu na to, że mogę...

* Weź to, do cholery. * Skarphedin wyjął z kieszeni własną legitymację. * Raczej nie spojrzaj dokładnie na zdjęcie, jeśli przytrzymasz tutaj kciukiem... * Na twarzy detektywa pojawił się szeroki uśmiech.

Fredric skinął głową i wziął legitymację, po czym udał się w stronę drzwi.

* Myślę, że sprawa zaczyna nabierać tempa, wujku * powiedział i zniknął na ulicy.

Wujku i wujku, powtórzył detektyw w myślach. Zebrał papiery, schował je z powrotem do teczki, opieczętował i poprosił miss Duane, otyłą wdowę, która uraczyła ich wspaniałym śniadaniem, a teraz pełniła dyżur w recepcji, aby schowała ją do sejfu. Potem opuścił hotel. Oślepiło go ostre światło słoneczne.

Jego oczy zaczęły łzawić.

Szybkim krokiem ruszył w dół ulicy.

W stronę portu.

Kiedy skręcił w pierwszą wąską uliczkę, zobaczył zmierzającą w jego kierunku znajomą postać. Sara Enghall. Zatrzymała się przed nim. Jej oczy patrzyły na niego stanowczo, a twarz była poważna.

* Poranny spacer? * przywitał ją. * Z daleka od pokoju cieni?

* Niech pan nie będzie taki sarkastyczny * odpowiedziała z niechęcią. * Muszę wysłać kilka listów.

* A twój przyjaciel Alban?

* Śpi, jak zwykle.

* Jeszcze jedno, panno Enghall. * Parę razy chrząknął, aby oczyścić głos z chrypki. * Jaki był stosunek Elfhammara do tego Holendra, Verkeu*terena? Dlaczego mógł mieszkać w jego domu, w piwnicy?

* Nie mam pojęcia, ale Hasse jest miły i pewnie żał mu było tego faceta. * Wzruszyła ramionami.

Już miała pójść dalej, ale zawahała się, spojrzała na detektywa z ukosa i uśmiechnęła się.

* Nikomu już tutaj nie ufam. Po tym wszystkim... * urwała. Detektyw zbliżył się do niej, położył dłoń na jej ramieniu i skinął głową.

* Saro * powiedział. * Odwaliliście tutaj kawał dobrej i ważnej roboty. Musisz mieć tego świadomość, ale jeśli jest coś, o czym zapomniałaś mi powiedzieć, coś, co może ci się wydawać nieistotne, to... teraz wszystkie informacje są ważne. Chodzi być może o życie policjanta. Ciało, które odnaleziono przy kamieniu, nie jest ciałem mojego kolegi Pedera Ungbeldta.

* Chce pan powiedzieć, że...

* Tak, i mamy cholernie mało czasu! * Spojrzał jej stanowczo w oczy.

* Ale kto...

* Tego jeszcze nie wiemy.

Sara wydawała się zaniepokojona. Rozejrzała się dokoła.

* Nie wiem, czy to, co teraz powiem, będzie na miejscu * zawahała się * ale coś się stało z Albanem. Czasem sama nie wiem, co myśleć. No i sądziłam, że był razem z Hasse, kiedy znaleźli Jana. * Zamilkła.

Skarphedin nic nie odpowiedział. Czekał.

* Alban jest świetny w tym, co robi! * zaczęła mówić szybko. * Jest pełen poświęcenia dla naszej sprawy i ma ogromną wiedzę. Posługuje się na przykład jednym z tutejszych języków plemiennych, przez co zyskał wielkie zaufanie autochtonów. Nie boi się niczego, ale Jan także się nie bał. Jednak teraz... Mamy konto, które służy do pokrycia kosztów naszego pobytu tutaj. Fundusz na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych w Norwegii okazał się bardzo szczodry, ale odkryłam, że z konta wybrano całkiem spore kwoty. To Alban. Parę tysięcy koron to tutaj naprawdę dużo pieniędzy. * Znów zamilkła.

* Tak? * Detektyw ponownie przyciągnął jej spojrzenie.

* Zapytałam go, na co mu te pieniądze, na co je wydał, ale on powiedział tylko, że wkrótce się dowiem i że to ważna sprawa, ale mam się tym nie martwić. A teraz chce wracać do domu.

* Że wkrótce się dowiesz, że to ważne i że chce wracać do domu? *powtórzył Skarphedin.

* Tak. To, że chce wrócić do domu, to nic nowego. Tęskni za Norwegią, odkąd Jan...

* Wybrał zatem spore sumy pieniędzy i wydał je na coś, o czym nie masz pojęcia. * Detektyw włożył ręce głęboko do kieszeni płaszcza. * Czy ostatnio dużo przebywał poza domem?

* Nieee * znów się zawahała. * Wczoraj wieczorem nie było go przez kilka godzin, ale wrócił około jedenastej.

* No, no. * Skarphedin zamyślił się. * Porozmawiam z nim dzisiaj. Jak już uzgodnimy, o drugiej pojedziemy po tego Hasse.

* Dobrze * odparła Sara. * Pójdę teraz szybko na pocztę z tymi listami. * Wyglądało na to, iż powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia.

Poszła.

Skarphedin przez chwilę patrzył za nią.

Potem ruszył w dalszą drogę.

Smród panujący tutaj był dokuczliwy.

Odsunął się, przepuszczając grupkę rybaków.

Skrzynie pełne świeżych ryb.

Rozejrzał się dokoła.

Wkrótce dostrzegł dom z szyldem FLORAZOOL.

Obejrzał dom ze wszystkich stron. Główne wejście znajdowało się z tyłu, ale na jednej z bocznych ścian, zwróconej ku portowi, zauważył wąskie drzwiczki. Pomyślał, że to musi być wejście do pokoju w piwnicy. Drzwi były zamknięte na bardzo prymitywny zamek. Znów się rozejrzał. Nikt go nie widział. Szybko wyjął wytrychy i po paru sekundach wszedł do środka. Było ciemno.

Smród, który go uderzył, był jeszcze gorszy niż ten panujący na zewnątrz. W środku panowała wilgoć. Śledczy poczuł krople potu na czole, gdy błądził po omacku w poszukiwaniu włącznika światła. Potknął się o jakiś przedmiot. Zaklął w duchu, ale w końcu znalazł włącznik i nagle w pokoju zrobiło się jasno od powieszonych pod sufitem wielkiej żarówki.

Pomieszczenie było małe i ciasne.

Po podłodze wałały się puszkę po hermetycznie pakowanej żywności.

I butelki.

Przy jednej ścianie wisiała koja.

Mały stolik i krzesło.

Podszedł do stołu. Wiele puszek w połowie wypełnionych spleśniałym pożywieniem. Parę zamkniętych puszek z piwem. Papierowy talerzyk pełen niedopałków papierosów. Kilka gazet. Spojrzał na daty. Były sprzed ponad tygodnia. Obok łóżka stała szafka z drzwiczkami zawieszonymi tylko na jednym zawiasie, bo drugi był zniszczony. W szafce ubrania, kilka rzuconych w nieładzie koszul i spodni. Skarphedin otarł czoło i przeklął pot, który ściekał mu do oczu, drażniąc je. Obejrzał ściany. Ta nad łóżkiem była pokryta wycinkami z gazet i zdjęciami. Starymi fotografiami statków. Udało mu się odczytać nazwę na jednej z nich: Beerenbrouck. Właśnie, pomyślał. Inne zdjęcia przedstawiały zadowolonych pijanych marynarzy w pubie i przed nocnym klubem. Przyjrzał się zdjęciom. Jedna osoba pojawiała się na nich najczęściej. Domyślił się, że to właśnie Jerimiah Ver*keuteren. Był dość szczupłym, przystojnym mężczyzną o szerokiej twarzy i kręconych włosach. Detektyw kopnął kilka puszek na bok i w rogu pomieszczenia znalazł parę wyższych butów. Podniósł jeden z nich i obejrzał go dokładnie.

Czarna zaschnięta ziemia.

Spojrzał na podłogę.

Pochylił się.

Brud, czarne grudy ziemi.

Żadnych śladów brązowego błota. Wstał i pociągnął nosem. Pieprzona szcurza nora, powiedział sam do siebie. Jeszcze przez chwilę rozglądał się po małym pokoiku, ale nie znalazł nic godnego uwagi. Tylko jedno wydawało się pewne. Nikogo nie było tutaj od wielu dni. Kiedy miał już wychodzić, pośpiesznie spojrzał na łóżko. Brudne prześcieradło na żółtym materacu. Ostrożnie podniósł prześcieradło dwoma palcami. Ujrzał podkładkę pod kufel. Skarphedin zamrugał, aby usunąć pot, i otworzył szeroko oczy. Goldbrown. To samo logo co na podkładce, którą pokazał mu Fredric i na której Ungbeldt zrobił dwie zakodowane notatki. Chwycił podkładkę. Tutaj także było coś napisane kanciastym, nieporządnym pismem: Polisi. Ik perdien 5000 rupiah, jahh!

Schował podkładkę do kieszeni płaszcza.

Zgasił światło i już miał wychodzić, gdy zauważył stojącą na zewnątrz osobę. Detektyw zmrużył oczy i zatrzymał się.

* Halo, jesteś tam, Jerimiahu? * Angielski z wyraźnie norweskim akcentem.

* Nie jestem Jerimiahem. * Głos Skarphedina był zachrypły i szorstki.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Przed nim stał potężnie zbudowany, lecz niski mężczyzna. Elegancko ubrany w niebieskie spodnie i jasnoniebieski sweterek polo. Miał krótko obcięte włosy, brązowe, głęboko osadzone oczy i wypięlgnowany zarost.

* Kim pan jest? * spytał mężczyzna, unosząc brwi.

* Skarphedin Olsen, KRIPOS, Norwegia * odparł po norwesku i sięgnął do kieszonki, aby pokazać legitymację, ale przypomniał sobie, że oddał ją Fredricowi.

Mężczyzna uśmiechnął się i nagle wyciągnął do niego rękę.

* Miło mi * powiedział i mocno uściśnął dłoń detektywa. * Nazywam się Tor Henry

Astviner, wolny strzelec, doradca w dziedzinie transportu wodnego, logistyki i importu.

Skarphedin poczuł przyjemny zapach wody po goleniu. W jego głowie ukształtowało się parę szybkich myśli. Poklepał mężczyznę przyjaźnie po plecach, dając mu do zrozumienia, że powinni pójść w górę uliczki. Ruszyli.

* Widzi pan... * powiedział po chwili. * Doradca do sprawa transportu itp. itd. Norweg, poszukiwacz szczęścia, zaangażowany w nielegalny eksport drewna. Wie pan, po co tutaj jestem? * Akurat teraz jego zachrypły głos pozwalał mu zrobić na Astvinerze odpowiednie wrażenie.

* Może pan chyba zaczekać z insynuacjami do chwili, aż nie zostanie pan lepiej poinformowany? * Znow uśmiech.

Skarphedin zatrzymał się.

* A czego, do diabła, szukał pan u tego Holendra?

* Chciałem sprawdzić, czy wrócił. Zaginął jakiś czas temu. To biedak, który może potrzebuje pomocy, by znów stanąć na nogi. * Na jego twarzy pojawił się wyraz troski. * Ale czemu taki pan od razu natarczywy? Może napije się pan kawy? Mam biuro niedaleko stąd. Wiem, że ma pan trudne zadanie.

* Z pewnością. Mam też parę pytań do pana. * Skarphedin pośpiesznie spojrział na zegarek. Za kwadrans dziesiąta.

* Wspaniale. Proszę tutaj, w lewo. * Astviner pokazał drogę. Weszli w kolejną uliczkę.

Minęli siedzibę japońskiej firmy, dostawcy

sprzętu niezbędnego do ekspedycji w dżungli, i zatrzymali się przed niskim, małym murowanym budynkiem, w którym eksporter kopry miał biuro. Skarphedin przeczytał szyldy i spojrzął na białego jeepa, który stał pod ścianą.

* Tak, to mój jeep. * Astviner znów się uśmiechnął. * Praktyczny pojazd w tych warunkach. Pora monsunowa jest straszna. Wszystko tonie w błocie. No ale na szczęście zbliża się już ku końcowi i wszystko wyschnie. Moje biuro jest w środku.

Większa część budynku należała do firmy zajmującej się koprą, ale Astviner miał własne wejście do małego, lecz praktycznie urządzonego biura na dole budynku. Wydawało się czyste i uporządkowane. Para krzeseł, biurko z faksem i telefonem, półki z teczkami i segregatorami, a pod sufitem wentylator, który bezgłośnie wirował, dając przyjemny powiew. Umywalka i ekspres do kawy. Skarphedin skinął głową, rozejrzał się dokoła i usiadł, a tymczasem Astviner wlał wodę do ekspresu.

* Prawdziwa kawa * powiedział. * Ta lura, którą tutaj podają, prawie nie nadaje się do picia. Ciężki orzech do zgryzienia, zdolny aktor albo sprytny i doświadczony stary lis w biznesie, pomyślał Skarphedin, pewnie to i to po trochu. Nic jednak nie powiedział, oddając głos rodakowi.

* To straszne, co się tutaj wydarzyło * kontynuował Astviner. * Mogę jednak panu powiedzieć, że są ku temu powody. * Wręczył śledczemu papierowy kubek z kawą.

* Może pan... * powiedział wreszcie Skarphedin. * Z zainteresowaniem poznam te powody.

* Wypił parę łyków kawy.

Astviner usiadł za biurkiem, trzymając kubek w obu dłoniach. Spojrzął detektywowi w oczy, skinął głową i powiedział:

* To dość proste. Dwóch braci. Zagorzali wrogowie, a mimo to powiązani skomplikowaną siatką zależności biznesowych dotyczących drewna. Są obrzydliwie bogaci. Pierwszy chce kontrolować drugiego, a drugi pierwszego. Podejrzliwość. Jeden chce wyjechać, cieszyć się życiem w innej części świata, korzystać z bogactwa, a drugi chce więcej zarobić, opętany żądzą powiększenia majątku, bez względu na wszystko. Bracia, którzy są wrogami, ale jednocześnie nie mogą się bez siebie obejść. Bracia nie powinni być wrogami, rozumie pan, Olsen?

Detektyw nie odpowiedział. Jego twarz niczego nie zdradzała. Cały czas patrzył Astvinerowi prosto w oczy.

* Justin Culpepper ciągał brata z miejsca na miejsce. Sabotował biznes w różnych azjatyckich krajach, nie budząc podejrzeń brata. Chciał wciąż zaczynać od nowa. W innych miejscach. Nie chciał się poddać. Wyrąb i eksport drewna to niesamowicie lukratywny biznes, jak pan pewnie zdążył zauważyć. Zaczęli działalność w Papui, ale pojawiły się problemy, więc przybyli tutaj, do samego eldorado nielegalnego handlu drewnem. Ferdi*nand jest mistrzem w zdobywaniu koncesji i zawierania kontraktów przy pomocy łapówek i obietnic o wielkich zyskach dla wszystkich zaangażowanych. * Astviner zamknął oczy i napił się kawy.

* Chce pan usłyszeć więcej czy to panu wystarczy do wyciągnięcia własnych wniosków?

* Proszę kontynuować * powiedział Skarphedin, wciąż patrząc Astvi*nerowi w oczy.

* Jak Justin Culpepper miał położyć temu kres? Justin to prawdziwy spryciarz i tak samo jak brat nie ma skrupułów. Justin pomyślał: Zwrócę wreszcie uwagę na tę działalność. Ta myśl pewnie przyszła mu do głowy w związku z pojawieniem się aktywistów. Bardzo mu to pasowało. Nie wahał się ani chwili. Wynajął dwóch ludzi z jakiegoś prymitywnego plemienia, by odrąbali głowę jednemu z aktywistów. Jednak świat nie zareagował. Tak samo potraktował pana kolegę i dwóch tutejszych policjantów, mordując jednego z nich w swym własnym tartaku. Plotki szybko się tutaj rozchodzą. Dowiedziałem się o tym wczoraj. Wszystko miało się skończyć wraz z zamordowaniem norweskiego policjanta. Cała drzewna epopeja miała zostać zamknięta. Nikt nie podejrzewałby Justina Culpeppera. Bracia nie powinni być wrogami, Olsen.

* Jest pan dobrze poinformowany * powiedział wreszcie Skarphedin.

* To ważne tutaj, aby móc przeżyć. * Na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech.

* A mimo wszystko to nie wystarczyło? * Detektyw uniósł brwi.

* Wiem, do czego pan pije. * Astviner zlizął z ust parę kropli kawy. *Do tego, co się stało wczoraj wieczorem z Ferdinandem Culpepperem. To musiało być przerażające widowisko. Nie rozumiem, dlaczego Justin aż do tego się posunął. Ostatnimi czasy jego nienawiść do brata musiała urosnąć do niebotycznych rozmiarów.

Skarphedin nie odpowiedział.

* Mówiąc zupełnie szczerze * kontynuował Astviner * mam ogromny szacunek dla pracy, jaką pan i pana kolega, bodajże Ungbeldt, tutaj wykonaliście. Nigdy nie uda wam się jednak zgromadzić przytłaczających dowodów winy Justina Culpeppera. Musielibyście sprowadzić posiłki i poświęcić miesiące, może nawet lata na dochodzenie. A w tym czasie Culpepper znajdzie schronienie w innej części świata, gdzie będzie znacznie lepiej się czuł.

* Zatem znał pan Jerimiaha Verkeutera? * Skarphedin celowo nie podązał śladem wywodów Astvinera.

Norweg szybko zamrugął.

* Znał jak znał. Jak już mówiłem, to lump, którego wszyscy znali.

* A przed chwilą chciał pan sprawdzić, czy jest w domu?

* Przypadkiem przechodziłem obok...

* Czym się pan tutaj zajmuje? Przeniósł pan swoje biuro z Jayapury. Z tego, co wiem, jest pan powiązany z firmą Hakkenga i Endera?

* Byłem. * Pokręcił wymownie głową. * Posunęli się jednak za daleko. Wycofałem się. Wszystko, co śmierdzi nielegalnym eksportem drewna, mam już za sobą. Jak pan pewnie zauważył, w tym miejscu jest mnóstwo różnych możliwości.

* Na przykład?

* Powiedziałem przecież, że transport morski, logistyka...

* OK * przerwał mu Skarphedin. * Opowiedział pan Ungbeldtowi o swych podejrzeniach co do Justina Culpeppera?

* Cóż... *Jego wzrok stał się nieco rozbiegany. * Odbyłem z nim kilka rozmów, ale dopiero co się wtedy tutaj sprowadziłem, a po tym tragicznym zdarzeniu wiele się wydarzyło. Wspomniałem mu tylko o nie najlepszych stosunkach panujących między braćmi.

* Często używa pan jeepa?

* Co? * Astviner zdawał się zmieszany. * Jeepa? Tak, oczywiście. Nie przepadam za brodzeniem w błocie.

* Jeździ pan może w stronę wzgórz w głębi łądu? Szlakami przewozu drewna?

* Szlakami przewozu drewna? * Opróżnił kubek z kawą. * Tak. Zdarza się. Natura jest ekscytująca.

* Widział pan małpy?

* Małpy?! Nie, nie wiem, czy tutaj są, ale...

* Hans Mercur Elfhammar. * Detektyw starał się cały czas patrzeć Astvinerowi w oczy.

* Znam go. Tak. Bardzo miły człowiek. Wiele wie o tutejszej naturze. Kilka razy zjedliśmy razem kolację. My, Skandynawowie, chętnie trzymamy się razem. * Wzruszył ramionami.

* A Sara Enghall i Albin Trossig?

Astviner wykonał pełen zniecierpliwienia gest. * Są wrogo nastawieni, ponieważ ja...

* ... zajmowałem się nielegalnym handlem drewnem * dokończył za niego Skarphedin. *

Rozumiem. Nie mieliście zbyt wielu miłych tematów do rozmowy.

Astviner znów wzruszył ramionami. Skarphedin nagle wstał z krzesła. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Wyciągnął rękę.

* Bardzo dziękuję za informacje. Póki co. Z pewnością jeszcze do

pana wrócę. Chodzi między innymi o pańską rolę w kontraktach pewnego Chińczyka, Teng Fung Li. No ale wygląda na to, że wyjaśnił pan całą sprawę. Zobaczymy, jak to się potoczy.

Astviner stał przy stole.

* Zobaczymy, a jeśli jest jeszcze coś...

* Ależ tak. * Skarphedin spojrzał na niego surowo. * Jest o wiele więcej. To mogę panu, do cholery, zagwarantować! * Detektyw ruszył w stronę drzwi, ale znowu odwrócił się do Astvinera.

* Z jakiego rejonu Norwegii pan w ogóle pochodzi? Astviner to nietypowe nazwisko. Gdzieś z Ostlandet? Dialekt...

* Ja? Nazwisko? * Uśmiechnął się niepewnie. * Z Drammen. Skarphedin lekko skinął głową. Znów się uśmiechnął i zamknął za

sobą drzwi. Na ulicy podszedł prosto do białego jeepa. Obejrzał koła. Pochylił się i zajrzał pod błotniki. Włożył tam rękę i wyjął grudkę zaschniętej brązowej ziemi.

Wyprostował się.

Zaczął iść w stronę głównej ulicy.

Minęła dziesiąta.

Przed oczyma zatańczyły mu białe plamki.

Poczuł, że mu słabo.

Długo stał bez ruchu, opierając się o ścianę budynku.

Fredric Drum rozejrzał się po lokalu, który służył jako poczta. Dość mały murowany budynek w górze głównej ulicy, przypominający większość urzędów pocztowych na świecie. Na ścianach plakaty. Dwie lady. Za nimi dwie młode urzędniczki. W tle półki z paczkami i listami. Poza tym trzy małe stoliki, przy których klienci mogli wypełniać formularze i blankiety. Z boku stolik, przy którym siedział funkcjonariusz, a pod nim wiele kabli i kontaktów. Pochylił się. Kiwnął głową. Tutaj musiała chyba stać maszyna faksująca. Szybko udało mu się to potwierdzić.

* Przepraszam * zwrócił się do kobiety za ladą. * Telefaks? * Wskazał na stół.

* Nie ma telefaksu * odpowiedziała. * Telefaksu nie. Może dostaniemy nowy, ale nie w tym tygodniu. * Kiepsko mówiła po angielsku.

Na poczcie nie było prawie żadnych klientów. Przy stole siedział starszy mężczyzna i naklejał znaczki na stos listów. Jakaś kobieta właśnie otrzymała paczkę.

Podszedł do lady.

Wyjął legitymację Skarphedina.

Powiedział, że chciałby porozmawiać z kierownikiem. Szefem tego urzędu. Kobieta spojrzała na legitymację i na Fredrica, a potem wstała i zniknęła w drzwiach za ladą. Po kilku minutach wróciła w towarzystwie

starszego, szczupłego mężczyzny o bardzo ciemnej skórze. Miał na sobie garnitur, a na nosie okulary w grubych oprawkach. Podszedł do Fredrica i spojrzał na niego pytająco. Fredric powiedział mu, że norweska policja chciałaby zebrać informacje w związku ze śledztwem w sprawie o morderstwo. Mężczyzna skinął głową i grzecznie zaprosił go do swojego biura.

* Chodzi o maszynę faksującą, która należała do poczty * zaczął Fredric. * Władze w Norwegii otrzymały faks nadany z tejże maszyny 26 marca, nieco przed ósmą.

* Mój panie ** odparł kierownik * to zupełnie niemożliwe. Nasza maszyna została skradziona 23 marca, i mogę panu powiedzieć, że to już trzecia maszyna, którą nam ukradziono. W chwili nieuwagi, w tłumie, chuligani mogą bez trudu wynieść stąd sprzęt. Mamy nadzieję, że dostaniemy nową maszynę, ale tym razem umieścimy ją za ladą. *

Posługiwał się perfekcyjnym angielskim.

Fredric skinął głową. Potem spytał, jak wiele osób było wtedy w pracy, a kierownik odpowiedział, że urząd pocztowy jest otwierany punkt ósma i on jako jedyny ma klucze do lokalu. Inni pracownicy przyszli o tej samej godzinie. Poczta zatrudnia cztery osoby, a tego dnia o tej godzinie w urzędzie był on i dwie kobiety.

* Żadnych śladów włamania?

* Absolutnie żadnych * odpowiedział mężczyzna zdecydowanie. * Ten budynek jest dobrze zabezpieczony przed włamaniami, a poza tym mamy zamontowany alarm.

Fredric stwierdził, iż mężczyzna wydaje się wiarygodny. Jak to możliwe, by tego ranka nadano z poczty faks?

* To niemożliwe * odpowiedział stanowczo kierownik. * Gdzieś musiał się pojawić jakiś błąd. Jakieś nieporozumienie.

* A czy któraś z kobiet, które dziś siedzą za ladą, była wtedy w pracy?

* Panna Alani była wtedy tutaj. Pamiętam. Zawsze ma ranny dyżur. Mogę ją poprosić, jeśli pan sobie życzył * Wstał i poszedł do drzwi.

* Dziękuję * odparł Fredric.

Do gabinetu weszła kobieta. Fredric zadał jej te same pytania, ale ona potwierdziła tylko słowa kierownika. W tym czasie na poczcie nie było nikogo poza nimi. Nie było też maszyny faksującej.

* Powiedzieli państwo, iż bywało, że przy faksie panował duży ruch * kontynuował Fredric, zwracając się do kierownika. * Kiedy jest tutaj najwięcej osób?

* Rano * odparł mężczyzna. * Rano stoi tu zazwyczaj kolejka ludzi. Rozumie pan, nie wszyscy mają dostęp do telefonu. Połowa nowo zabudowanych obszarów w porcie, w tym biura i firmy, nie mają jeszcze telefonów. Dlatego korzystają z naszych usług.

* Rozumiem. Tak więc gdyby faks był dostępny tego ranka, 26 marca, to mieliby państwo wielu klientów do obsłużenia?

* Tak * odparł kierownik.

* Powiedzmy, że * Fredric starał się sformułować jasno pytanie * maszyna faksująca stałaby tutaj tego ranka i wielu ludzi by z niej skorzystało. Byliby państwo w stanie powiedzieć mi, kto jej używał? Są jakieś rachunki, pokwitowania?

Kierownik poczty zmarszczył czoło. Zdjął okulary i dokładnie je wyczyścił.

* Nie ma żadnych kwitów. Ludzie płacą i wychodzą.

Fredric podziękował za informacje. Już miał wychodzić, kiedy coś przyszło mu do głowy i zapytał:

* Poczta ma tylko jeden numer telefonu, tak?

* Nie. Mamy oczywiście dwa numery. Jeden dla faksu i jeden dla normalnego telefonu.

Zapisać je panu?

* Proszę. * Fredric nie przypominał sobie, by w dokumentacji sprawy widział jakieś numery telefonu.

Kierownik zapisał coś na kartce.

Wręczył ją Fredricowi.

006224 81300

0062 24 81301, faks.

Fredric znów podziękował i opuścił gabinet.

Raz jeszcze rozejrzał się po lokalu. Długo patrzył na stół, na którym umieszczony był skradziony faks. To nie była pierwsza kradzież. Skradziono stąd trzy maszyny. Zatem kradzież faksów to popularne wykroczenie w tym kraju, ale zdjęcia przesłane faksem z numeru telefonu poczty? Jak to możliwe? W jego głowie znów pojawiła się ta sama groteskowa myśl.

Ruszył ku wyjściu.

Tutaj niewiele mógł się dowiedzieć.

Wychodząc na ulicę, niemal wpadł na młodą kobietę z długimi blond włosami, która wchodziła do budynku poczty.

* Cześć * wymknęło mu się po norwesku.

* Cześć * odparła kobieta.

Zniszczonego lasu deszczowego nigdy nie da się odtworzyć. Olsen myśli o drapieżnych ptakach z rodziny jastrzębiowatych, a Fredric zabiera mały kamyczek

Zrzucił z siebie przemoczone, śmierdzące potem prześcieradło. Chwycił stojące na stoliku opakowanie i wysypał na dłoń garść tabletek. Połknął i popił resztką letniej wody z butelki.

Powoli usiadł na łóżku. Było mu zimno, mimo że temperatura w pokoju znacznie przekraczała trzydzieści stopni. Carl Christian Ender czuł się chory. Bardzo chory.

Próbował myśleć. Skoro świt dobrnął jakoś do domu. Z tego, co pamiętał, była prawie piąta. Był zdecydowany obudzić swego wspólnika Hakkenga, aby zadać mu kilka pytań. Rolf Hakkeng był już w domu. Kiedy Ender otworzył kopniakiem drzwi do jego pokoju, zobaczył, iż mężczyzna leży na plecach i śpi. Jego chrapanie było bardzo donośne. Przez chwilę stał, przyglądając się śpiącemu, a w jego głowie krążyły niejasne myśli. Wreszcie poszedł do swego pokoju i położył się.

Sen w gorączce nie należał do przyjemnych.

Połączenie malarii i kaca nie było niczym dobrym.

Znalazł miskę i zanurzył w niej głowę oraz dokładnie zmoczył tors, starając się nie wymiotować. Potem zajął do pokoju Hakkenga, ale łóżko było puste. Co, do cholery, ten człowiek kombinuje? Zszedł do biura. Nikogo tam nie było. Spojrzał na zegarek. Było wpół do jedenastej. Otworzył drzwi lodówki i znalazł parę butelek piwa. Opróżnił jedną i usiadł przy biurku.

Wentylator pod sufitem wciąż nie działał.

Przez chwilę siedział, kryjąc twarz w dłoniach.

Następnie otworzył szufladę. Czegoś szukał.

Znalazł trzy zdjęcia.

Aktywiści.

Uśmiechnął się lekko, nim powoli i spokojnie podarł je na strzępy. Kawalek po kawałku. Wyrzucił je do worka na śmieci. Potem opróżnił szufladę z papierów. Wszystko zostało podarte. Następnie wygrzebał z kieszeni niedopałek cygara i zapalił. Zrobiło mu się niedobrze, kiedy się zaciągnął. Potem kontynuował. Szuflada za szufladą zostały opróżnione, a papiery podarte na kawałki. Pracował powoli, metodycznie i bez emocji. Potem nadeszła kolej na półki pełne teczek i segregatorów. Wszystko trafiło do worków na śmieci. Pot spływał mu z czoła do oczu. Bzyczenie much wwiercało mu się w uszy, ale nie zwracał na to uwagi. Kiedy w biurze nie było już prawie żadnych papierów, wyniósł worki tylnymi drzwiami do pustego pojemnika z parafiną. Upchnął wszystko i wyjął zapalniczkę.

Dobrze się paliło.

Uśmiechnął się, przeżuwając wolno cygaro.

Splunął i głośno chrząknął.

Znów wszedł do środka. Zamknął drzwi i wrócił schodami do swojego pokoju. Ukłękął i wyjął spod łóżka skrzynkę. Otworzył ją i spojrział na paszport i papiery, które w niej leżały.

Ostatnie wyciągi z jego prywatnego konta. Wysypał zawartość na nocny stolik i położył się na łóżku. Przez chwilę leżał, patrząc w sufit. A potem znalazł ołówek, wygrzebał wyciągi z konta i zaczął liczyć. Dokładnie notował liczby, dodawał i odejmował. Szło mu wolno.

Liczby latały mu przed oczami, ale wreszcie skończył.

Schował wszystkie papiery pod koszulę.

Zamknął oczy.

To była znaczna kwota.

Mogło wystarczyć.

Wiedział jednak, że operacja będzie droga. Bardzo droga.

* Chodzi o największą katastrofę ekologiczną na świecie, rozumiesz? Naszą technologię da się rozwinąć tak, byśmy potrafili zlikwidować dziurę ozonową. Możemy walczyć z zanieczyszczeniem CO2. Tak, jeśli zechcemy, możemy obsadzić Europę nowymi roślinami, krzewami i drzewami tak, jak było ponad tysiąc lat temu. Nic nie jest stracone, ale zniszczonego lasu deszczowego nigdy nie uda się odtworzyć. To coś wyjątkowego. Powstanie takiego bogactwa gatunków, jakie znajduje się w lesie deszczowym, trwało miliony lat.

Rozumiesz?

Fredric skinął głową. Zdawało mu się, iż rozumie. Sara Enghall zmierzała do końca swego długiego wykładu na temat lasów deszczowych. Po nagłym spotkaniu przed budynkiem poczty Sara zapytała Fredrica, czy ma czas na rozmowę. Miał. Usiedli w zadaszonym, przypominającym kawiarnię miejscu. Fredric słuchał, z pewną nieśmiałością zerkając na swą piękną rozmówczynię. Mogła być parę lat młodsza od niego. Fredric zamówił ciasto, które Sara mu poleciła.

* Nie jesteś więc policjantem? * spytała. Fredric zdecydowanie pokręcił głową.

* Nie * odparł. * Detektyw, Skarphedin Olsen, to mój wujek. Jestem tutaj chyba głównie po to, aby dotrzymać mu towarzystwa.

* Wyobrażam sobie, że to bardzo przyjemny wyjazd. * Uśmiechnęła się smutno. * Tak więc masz teraz wakacje?

* Wakacje jak wakacje. * Fredric wzruszył ramionami.

* To szalone miejsce. * Sara Enghall od razu spoważniała i pochyliła się ku niemu nad stołem. * Rozejrzyj się. Spójrz na ludzi. Dziesięć lat temu to było szczęśliwe miasteczko. Lokalna ludność mieszkała w małych domkach na wzgórzach i uprawiała ziemię. Potem pojawiła się fa

bryka oleju palmowego. Stary las został wycięty i zastąpiony palmami. Ludzie przeprowadzili się na wybrzeże i zamieszkali na niewielkiej powierzchni. Niewielu dostało pracę. Rozkwitła bieda i choroby. Kopra i olej palmowy. Klondike dla pozbawionych skrupułów biznesmenów z Hongkongu i Japonii. Następnie pojawiła się mafia drzewna, która jeszcze bardziej zniszczyła las. Wkraczając coraz głębiej na obszary zamieszkiwane od tysięcy lat przez różne plemiona, zabijają, rozsiewają choroby i szerzą zło. Kilka osób dorabia się bogactw kosztem lokalnej ludności i jej przyszłości. To, co się tu odbywa, to brutalna grabież bogactw naturalnych, jakiej świat jeszcze nie widział. Przypomina to, co się dzieje w dżungli amazońskiej!

Fredric musiał przytaknąć.

Sara Enghall była bardzo zaangażowana.

I przestraszona. Jej wzrok był rozbiegany. Wciąż rozglądała się dokoła. Przez parę sekund pomyślał, iż chętnie by ją spotkał w innych okolicznościach. Może to niewykluczone?

Później? Teraz jednak ma inne rzeczy do roboty. Policjant Peder Ungbeldt być może jest gdzieś przetrzymywany. Nie może sobie odpuścić, dopóki ta sprawa nie zostanie rozwiązana. Musi postawić właściwe pytania, znaleźć nić, która zaprowadzi ich o krok bliżej celu. Bawił się filiżanką herbaty. Zjadł jeszcze kawałek ciasta. Dlaczego chciała z nim porozmawiać?

* Jak dobrze znasz tych Amerykanów, braci Culpepper? * zapytał wreszcie.

* Nigdy z nimi nie rozmawiałam * prychnęła Sara.

* A Jan albo Alban?

* Jan został wyrzucony z ich willi, gdy próbował dostarczyć im treść konwencji o ochronie środowiska i raport, który opracowaliśmy. Alban omal nie wdał się w bójkę z Ferdinandem, największym dupkiem. Próbowałeś kiedyś rozmawiać z krokodylami? * Sara znów rozejrzała się dokoła.

~ Słyszałaś pewnie, że Ferdinand Culpepper nie żyje? Prawdopodobnie został zamordowany.

* Fredric próbował ze spokojem patrzeć jej w oczy. Zadrzała.

* Co? Culpepper zamordowany?

Fredric opowiedział jej krótko, co się zdarzyło. Filiżanka z herbatą drżała w jej rękach. Ta wiadomość wywarła na niej wrażenie.

* Wydaje mi się, że póki co jesteś blisko wygrania walki o ten las deszczowy * powiedział.

* Ale kto... Dlaczego? Kiedy to się stało? To przecież...

* Wczoraj wieczorem, około dziesiątej. Tak przynajmniej słyszałem. * Fredric poruszył się niespokojnie na krześle. Miała mu coś do powiedzenia?

Przez chwilę milczała, a potem powiedziała ledwie słyszalnym głosem:

* Myślę, że Alban ma rację. Czas wracać do domu. Nie możemy już nic więcej tutaj zrobić. Zrobiliśmy wszystko, co miało być zrobione.

* Zrobione?

* Tak. Zrobione * powiedziała i pośpiesznie dodała: * Tartak jest zamknięty. Największa świnia trafiła do piekła, a Jan został pomszczony.

* Pomszczony? * Fredric próbował wyczytać z jej słów to, czego nie powiedziała wprost.

* Nie wiesz, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie?! * Była podekscytowana. * Nie rozumiesz, że zamordowanie Jana było początkiem? Żądza krwi jest zaraźliwa. Walczą, zabijają się nawzajem, ale to już nas nie dotyczy. Tutaj skończyliśmy, a świat wreszcie się dowiedział, co się dzieje na Irian Jaya. Co jeszcze możemy zrobić, co? Odpowiedz mi na to pytanie ty, który spędzasz tutaj wakacje! * Wyjęła kilka rupii i położyła na stole, wstając. Fredric chwycił ją za rękę. Trzymał ją mocno. Miała łzy w oczach. Znow usiadła.

* Są rzeczy, o których nie wiesz. * Fredric mówił wolno. * Jak pamiętasz, zamordowano tutaj norweskiego policjanta. Został znaleziony bez głowy, tak samo jak Jan. Teraz okazało się, że to nie było ciało tego policjanta. Zniknął gdzieś i może wciąż żyje. Musimy go znaleźć.

* My? * Sara Enghall roześmiała się drwiąco. * To wy go sobie szukajcie. Poza tym już o tym słyszałam. Spotkałam tego twojego detektywa w drodze na pocztę. Udanych wakacji! * Wstała.

Tym razem Fredric nie próbował jej zatrzymać. Spojrzał za nią, jak małymi kroczkami biegła ulicą. Co takiego powiedziała mu Sara Enghall? Nic.

Ależ nie, pomyślał, gdy przywołał właściciela i zamówił zimne piwo, bardzo wiele mu powiedziała i bardzo się bała.

Było kwadrans po dziesiątej, kiedy Skarphedin Olsen wrócił do jadalni. Siedział tam już szef policji Alwapung Fy i wyglądał na niesamowicie zadowolonego. Jego okrągła twarz całkowicie pozbawiona zmarszczek lśniła niczym wypolerowana kula bilardowa. Wynikało to pewnie z faktu, że wdowa, miss Duana Gomsom, dotrzymywała mu towarzystwa podczas oczekiwania na detektywa.

* Wykonałem * powiedział uniżonym tonem * zadania, które mi pan zlecił na dzisiejszy poranek.

* To dobrze. Proszę mi zdać relację.

* Odtwarzacza o takich wymiarach, polisi Olsen, nie ma na całej Irian

Jaya. Skontaktowałem się jednak ze sklepami w stolicy, Dżakarcie, i to z pozytywnym skutkiem. Zarekwirowałem pięć odtwarzaczy różnych marek, bardzo niewielkich, które pasują do kaset takich rozmiarów. Zostaną tutaj przywiezione jutro przed południem...

* Ale, do jasnej cholery, człowieku! * Skarphedin przerwał mu brutalnie. *To za dwadzieścia cztery godziny. Nie mamy tyle czasu.

Zdjął płaszcz i rzucił go na wolne krzesło. Potem chwycił butelkę z wodą i zaczął pić. Twarz policjanta zdradzała zawód, kiedy zaczął mówić.

* Tuban*allah, nie jestem cudotwórcą.

* OK, OK. * Detektyw opadł ciężko na krzesło. Spojrzał na telefaks, który podczas jego nieobecności wypuła parę kartek.

* Mam jednak listę, którą otrzymałem od jedynej firmy wynajmującej tutaj samochody. Oto nazwiska osób, które przez ostatnie tygodnie wypożyczały samochody. * Szef policji wyjął kartkę z kieszonki na piersi i podał ją Skarphedinowi.

Ten pośpiesznie spojrział na nazwiska. Osiem. Wszystkie zupełnie mu nieznane.

Indonezyjczycy. Poza jednym. Rolf Hakkeng. Hakkeng wypożyczył jeepa w zeszłym tygodniu, 24 marca, i wciąż jeszcze był w posiadaniu samochodu. Skarphedin skinął głową. Nic nie powiedział, gdyż starał się nie nadwyręzać głosu.

* Dowiedziałem się także * kontynuował Fy * że ten mężczyzna, Holender o nazwisku Jerimiah Verkeuteren, którego życie nie jest niestety zbyt wiele warte * to były marynarz * jeszcze się nie pojawił, ale z pomocą komendanta wojska Uliwonga Haksa...

Skarphedin przerwał mu, unosząc rękę.

* Niech pan o tym zapomni * pisnął. * To Verkeuteren został znaleziony przy kamieniu. To jego ciało. Rozumie pan? * Jego głos nieco się poprawił.

Szef policji Albapung Fy długo patrzył na Norwega.

Na jego czole pojawiły się zmarszczki wskazujące na to, że nad czymś się zastanawia.

Potem wyjął z kieszeni pudełko.

Podał je Skarphedinowi.

* Widzę, polisi Olsen, że ciężka i bardzo dobra praca w zupełnie dla pana obcych warunkach klimatycznych spowodowała problemy z gardłem. Dlatego kupiłem to dla pana. Był pan tak miły, by mi pomóc z tym strasznym zębem. * Szef policji wiercił się trochę na krześle, patrząc w ziemię.

Skarphedin spojrział na pudełko. Otworzył je. Były w nim małe zielone pastylki. Wziął jedną, włożył do ust i zaczął ssać. Była mocna. Długo patrzył na Indonezyjczyka, aż jego spojrzenie stało się łagodne. Niezwykle łagodne.

* Dziękuję. Bardzo dziękuję za troskę. * Potem chwycił faksy, które nadeszły, i zaczął czytać.

Kilka informacji bez większego znaczenia.

Kopie pierwszych stron paru gazet.

Otworzył szeroko oczy, patrząc na nagłówki.

Niezwykle ostro, pomyślał.

Gwałtowne ataki na rząd. Oskarżenia za opieszałość i brak kontroli nad działalnością norweskich firm przeciwko środowisku naturalnemu za granicą. W tym przypadku brak reakcji na niszczenie lasu deszczowego w Indonezji, gdzie w walce o jego ochronę zostali zamordowani norweski aktywista i norweski policjant. To musi być naprawdę radosna wiadomość dla Enghall i Trossiga. Wziął jeszcze parę pastylek z pudełka. Chrząknął i powiedział:

* Dzień dopiero się zaczął, komendancie. Musimy zrobić wszystko, aby odszukać naszego kolegę, śledczego Ungbeltda. Wiem, że nie jest pan obeznany z tym miastem, ale ma pan jakiś pomysł, gdzie on może być przetrzymywany?

* Z całym szacunkiem i z wielkim smutkiem muszę stwierdzić, że trudno to stwierdzić, polisi Olsen. * Wydawał się skoncentrowany. * Pewnie jest tu sporo kryjówek. Na przykład na wzgórzach za miastem. Tam jest wiele opuszczonych domów, prymitywnych chat, w których kiedyś mieszkali tubylcy, nim fabryka zaczęła działać. Musi pan jednak wiedzieć, że to wielki obszar, zarośnięty. Myślę, że prawie nie do przebycia.

* Jak pan sądzi, czy jest jakaś mapa tych terenów, na której są te domy? * Pastylki bardzo mu pomogły.

* Z przykrością mogę panu powiedzieć, iż z pewnością nie ma. To miejsce...

* Dobrze * przerwał mu Skarphedin. Pośpiesznie spojrzął na zegarek. * Chcę, aby pan teraz wraz z wojskowym patrolem odwiedził biuro firmy Irian Limbtrade Export. Mają siedzibę na tej ulicy. Proszę aresztować Norwegów, którzy prowadzą tę firmę, i dopilnować, aby wszystkie papiery, które pan tam znajdzie, zostały tutaj przyniesione. Potem zatroszczy się pan o papiery ekstradycyjne, aby ci panowie zostali wysłani do Norwegii w eskorcie policji opłaconej przez państwo norweskie. Rozumie pan?

* Rozumiem, polisi Olsen. * Zaskakująco lekko zeskoczył z krzesła.

* Potem * kontynuował detektyw * ponownie przesłucha pan zarządcę tartaku i da mu pan nadzieję na wolność, jeśli opowie wszystko, co wie o braciach Justinie i Ferdinandzie Culpepperach.

* Tak zrobię. * Szef policji stanowczo kiwnął głową. * Zapomniałem powiedzieć panu o jednej rzeczy. Komendant wojska, który bada okoliczności śmierci Ferdinanda Culpeppera, twierdzi z całą stanowczością, że tego wieczoru w baraku było dwóch członków plemienia z głębi łądu i że to jeden z nich cisnął na arenę pęcherz pełen moczu.

Skarphedin spojrzął na niego surowo.

* A gdzie oni teraz są?

* Nikt nie wie. Nikt ich od tego czasu nie widział.

* Niech to szlag! * Skarphedin pokazał, by szef policji już sobie poszedł.

Dwóch członków plemienia.

Dwóch członków plemienia zabrało także pracownika tartaku.

Na łódź.

Otrzymali rozkaz od Ferdinanda Culpeppera.

Jaki może być tutaj związek?

Przez parę minut Skarphedin siedział i nic nie robił. Potarł czoło, potem przetarł oczy i zrobiło mu się niedobrze. Zdawało mu się, iż pomieszczenie się kurczy. Ściany były coraz bliżej niego, a dach zginał go od góry. Ciepło utrudniało mu oddychanie. Wziął się jednak w garść i poprosił kobietę z recepcji o parę butelek zimnej wody.

Był tutaj od trzydziestu siedmiu godzin.

Nieco ponad trzy godziny temu dowiedział się na pewno, że ciało znalezione przy kamieniu nie należało do Pedera Ungbeldta.

Wyjął pudełko z kasetą i położył je na stole.

* Gdzie, do cholery, jesteś, Peder?

Carl Christian Ender opuścił biuro. Nie był w stanie zamknąć drzwi na klucz. Ból głowy był straszny. Pot lał się z niego strumieniami. Ciężko oddychał. Zszedł z głównej ulicy i skręcił w uliczkę między dwoma domami. Skrót prowadził na plażę. W jego głowie wirowały nieco niejasne myśli. Rolf Hakkeng, czym, do cholery, zajmował się jego partner przez ostatnie noce? Jasne było tylko to, iż nie chciał, by Ender o tym wiedział. W jego świadomości pojawiło się mgliste wspomnienie.

Buty Hakkenga.

Późno w nocy widział wysokie buty Hakkenga.

Były ubłocone.

Pokryte brązowym błotem.

Ender wiedział, iż ziemia tutaj, w mieście, nie była brązowa, taki kolor miała w głębi łądu, na wzgórzach wokół miasta. Ale co Hakkeng robił w buszu? Pewnie dowie się w swoim czasie, ale akurat teraz miał to gdzieś. Tu i teraz potrzebne mu było otoczenie, które sprawi, iż jego myśli staną się jaśniejsze, a gorączka spadnie. Jak bardzo jest chory? Zdechnie z powodu tej malarii? To zresztą bez znaczenia. Jego życie jest niewiele warte, ale jest jeszcze inne życie. O wiele więcej warte. Młode życie, które może mieć zupełnie inną przyszłość, jeśli będzie się toczyło w przyzwoitych warunkach.

Dotarł na plażę.

Przez chwilę stał, patrząc na fale.

Czuł na twarzy morską bryzę.

Poczuł się trochę lepiej, ale nie dość dobrze.

Szybkim krokiem ruszył w stronę baru Australijczyka, Albyssona, spokojnego miejsca, gdzie może uda mu się odzyskać kontrolę nad myślami. Po wypiciu trzeciego piwa w prawie pustym lokalu i daniu gadatliwemu właścicielowi gestami do zrozumienia, by zamilknął, ogarnęła go nostalgia. Coś w nim pękło i pozwolił emocjom płynąć.

Córka miała osiem lat.

Przeżyła.

Jej kręgosłup uległ jednak skomplikowanemu złamaniu.

Nie mogła się poruszać od szyi w dół.

Norwescy lekarze niewiele mogli zrobić.

Teraz siedziała na wózku inwalidzkim w domu dla niepełnosprawnych.

Pogrążony we własnej depresji, zawiódł ją.

Nie, nie zawiódł. Myślał o niej w każdej godzinie dnia i nocy. Kiedy zaczął wypływać na powierzchnię, znalazł informacje o prywatnej klinice w Szwajcarii specjalizującej się w operacjach kręgosłupa. Tamtejsi lekarze potrafią zszywać mikroskopijne komórki nerwowe, które zostały poszarpane na kawałki, i są w stanie znów przywrócić ciału jego dziecka sprawność.

Pobyty i operacja będą kosztować ponad milion.

Rok temu nie miał ani grosza.

Teraz miał dość. Dokładnie tyle, ile trzeba.

Po piątym piwie poczuł się trzeźwy, a gorączka ustąpiła. Był gotów do podjęcia właściwej decyzji.

Skarphedin zamrugał, aby odpędzić mgłę, która coraz częściej kładła się na jego oczach. Po raz n*ty spojrział na informacje o przebywających tutaj Norwegach i Szwedzie. Raz jeszcze wszystko przeczytał. Nie mógł jednak znaleźć nic, co mogłoby posłużyć mu za wskazówkę. Wciąż brakowało mu informacji na temat jednej z osób, ale najprawdopodobniej wynikało to z kiepskiej komunikacji pomiędzy urzędami, do których się zwrócił. Carl Christian Ender i Rolf Hakkeng nie mogli się pochwalić najlepszą przeszłością. Ender piastował dość wysokie stanowisko w dobrze znanej norweskiej firmie zajmującej się transportem morskim, ale po poważnym wypadku drogowym, w którym zginęła jego żona, a córka poważnie ucierpiała, musiał zrezygnować z pracy z powodu nadużywania alkoholu. Jego dom został sprzedany na aukcji, by mógł spłacić długi, a on sam ostatnie dwa lata przed przybyciem tutaj przeżył na zasiłku. Hakkeng w zasadzie nie miał żadnego wykształcenia. Miał za to na koncie wiele wyroków za przestępstwa gospodarcze, w tym oszustwa w zakresie sprzedaży wysyłkowej. Skarphedin odsunął notatki. Odpędził komary, które próbowały zadomowić się na jego karku, i zamknął oczy.

Myślał o krótkich rozmowach telefonicznych, które przeprowadził z Ungbeldtem.

Peder niewiele wtedy mówił.

Nie dzielił się podejrzeniami.

Wspomnił o Enderze i Hakkengu, ale dał do zrozumienia, iż ta dwójka jest poza kręgiem podejrzanych w sprawie zabójstwa Vennaliego. Dlatego Skarphedin póki co nie śpieszył się z ich przesłuchaniem. A jeśli się pomylił? Ta myśl teraz go uderzyła. Było coś jeszcze. Ostatnia rozmowa telefoniczna z Ungbeldelem.

Uważał, iż rozwiązał sprawę.

Stało się coś nieoczekiwanego.

Robił wrażenie, jakby to nie było nic dramatycznego.

Czy pojmanie mordercy mogło nie być dramatyczne?

Człowieka, który obcinał ludziom głowy?

Ungbelde wydawał się jednak niemal wyluzowany.

Skarphedinowi coś tutaj nie pasowało. Dobrze znał Pедера i wiedział, że w konfrontacji z zabójcami nigdy nie pozwalał sobie na rozluźnienie. Był ostrożny, skoncentrowany i podejrzliwy, dopóki wszystkie fakty nie wyszły na jaw. Skarphedin pamiętał, iż kilka razy kolega był aż za bardzo podekscytowany, kiedy zbliżał się do wyjaśnienia sprawy. Czy to panujący tutaj klimat sprawił, iż stał się taki ospały? Raczej nie. Jest coś, czego nie dostrzegam, pomyślał detektyw.

Przed nim na stole leżały dwie podkładki pod piwo.

Z tego samego lokalu.

Ty zielone migoczące * diabelstwo. Ungbelde.

Polisi. Ik verdien 5000 rupiah. Jach! Verkeuteren.

Ik verdien. Holenderski. Domyślił się, że to musiało znaczyć zarabiam.

O co tutaj chodzi?

Odpowiedź leży tutaj! Postukał energicznie palcem wskazującym w pudełko z kasetą, ale nie pozna odpowiedzi wcześniej niż jutro przed południem. A wtedy może już być za późno.

* Pomyśl jeszcze raz, Skarphedinie * powiedział sam do siebie. *Spójrz na to z innej strony.

Znajdź inny punkt widzenia. * Wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

Tor Henry Astviner.

On także budzi wątpliwości, ale zawodowo wydaje się czysty. Wycofał się ze współpracy z Enderem i Hakkengiem i miał jasne zdanie na temat tego, kto stoi za panującym tutaj złem. Bracia Culpepper, wrogowie. Próbował podążyć tokiem myślenia Astvinera. Czy to możliwe, aby Justin Culpepper zainscenizował to wszystko, bo chciał zakończyć cały ten biznes i wykorzystać miliony, których się dorobił, w innych, bardziej cywilizowanych częściach świata? Możliwe, możliwe, stwierdził Skarphedin, ale czy posunąłby się aż tak daleko i zabił własnego brata w tak okrutny sposób? Nie znał Justina Culpeppera, ale co takiego miałby osiągnąć, zabijając żuła, byłego marynarza, odcinając mu głowę i próbując wszystkich oszukać, iż to ciało norweskiego śledczego, a potem wysyłając faks ze zdjęciem do Norwegii? A jednocześnie miałby więzić śledczego? To także nie do końca się zgadzało. Zamknął oczy i przypomniał sobie maleńkiego mężczyznę i jego mimikę podczas udawanego śpiewu Panis angelicus Pavarottiego.

Członkowie plemienia.

Autochtoni z gór.

W służbie Culpeppera.

Jaką oni odgrywali tutaj rolę? Jeśli zarządca tartaku mówił prawdę, to faktem było, iż na rozkaz Ferdinanda Culpeppera zamordowali jednego z pracowników. Motyw był jasny. Ferdinand Culpepper nie chciał, aby ktokolwiek zaczął się interesować tartakiem. Nic nie mogło zatrzymać produkcji. Trup miał być wynikiem strasznego wypadku przy pracy, i gdyby nie zakrwawione spodnie, które trafiły w ręce wdowy, to oszustwo pewnie by się udało. Dwóch dzikusów w służbie Culpeppera. Czy to ich widziano przy arenie walki świń? Możliwe. Chcieli odebrać życie swemu szefowi? Mogły tu istnieć motywy, o których Skarphedin nie wiedział. Czy Tor Astviner także się nie zawahał, obwiniając Justina

Culpepera o bestialskie zabójstwo brata? To nie takie pewne, że to wszystko ma sens. Skarphedin znów mówił do siebie. Jastrząb goni jastrzębia. Nie można przewidzieć, kto następnym razem będzie jastrzębiem, a kto ofiarą.

Nowy punkt widzenia.

Alban Trossig.

Wypłacił spore kwoty z konta Funduszu na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych.

Na łapówki?

Łapówki dla kogo?

Mówił jednym z plemiennych języków.

Wyszedł gdzieś tego wieczoru, gdy Culpepper został zamordowany.

Trossig był fanatykiem.

Skarphedin Olsen ciężko usiadł na krześle. Spojrzał na zegarek. Godziny mijały, a on nic nie zrobił. Za dwie godziny pojedzie z Albanem Tros*sigiem po Elfhammara, który przebywa obecnie w swojej stacji badawczej w dżungli. Czy Elfhammar będzie mógł mu pomóc? Jakie są stosunki między Elfhammarem a Trossigiem? Pozostaje mu poczekać i przekonać się.

Włożył do ust kolejne trzy*cztery pastylki, które mu dał szef policji. Przyjazny gest. Przez chwilę myślał o tym człowieku, o tym, jak Gumali Al Budapung się zmienił w ciągu paru dni. Stwierdził, że drzemie w nim dobry policjant. Potem spojrzął na telefon. Bał się tej rozmowy, ale musiał ją odbyć. Przez następne minuty składał krótki raport norweskiej ambasadzie w Dżakarcie na temat ciała w kostnicy. Poza tym zadzwonił do Krondala,

by opowiedzieć mu o zastoju w sprawie. Zapewnił go także, że robi wszystko, aby odnaleźć Ungbeldta. Nowy punkt widzenia! Sekundę po tym, jak odłożył słuchawkę po ostatniej rozmowie, dostrzegł inny punkt widzenia. Zeskoczył z krzesła, pobiegł do recepcji i poprosił pannę Gomsom o kilka butelek lodowatego piwa. Jastrząb goni jastrzębia.

Czekał i nasłuchiwał. Nie mógł się poruszyć, ale wiedział, iż wkrótce znów usłyszy kroki, zobaczy buty i usłyszy Głos. Głos, który stał nad nim i mówił. Marudził i marudził. Kopał jego ciało, ale on nie czuł bólu. Czy to jego ciało? Czy ból naprawdę istnieje? Zauważył, że jego myśli były teraz całkiem jasne. Może odpowiedzieć Głosowi? Nie, nie może. Coś mu mówiło, że jeśli odpowie Głosowi, to na zawsze ogarnie go mrok, bo Głos ma moc nad jego ciałem i mógłby go wysłać tam, gdzie panuje wieczna ciemność zwana Śmiercią, ale czy istnieje życie? Spróbował wstać, unieść się, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Kim był? Czym był? jego oczy były teraz otwarte. Mógł widzieć. Pomyśleć tylko! Był gdzieś daleko od domu. Dom? Gdzie jest jego dom? Wiedział, że to nie jest dom. To złe miejsce, w którym pełno jest robactwa. Wielu obcych i krew, krew i bezgłowe ciała. Czy Głos chce jego głowy? Nagle chwycił go wielki strach. Przez chwilę zobaczył wszystko wyraźnie.

Przypomniał sobie, kim jest i co się stało. Kiedy ten przebłysk świadomości minął, otworzył usta i zaczął krzyczeć. Krzyczał głośno. Echo jego własnego krzyku wwierciło się w jego głowę i zabiło jasność myśli.

Fredric Drum próbował spędzić przedpołudnie jak najbardziej pożytecznie. Nie było sensu przeszkadzać teraz Skarphedinowi w pracy. Poza tym niewiele miał mu do powiedzenia w związku z wizytą na pocztce, poza tą dziwną myślą, która narodziła się w jego głowie i z której wyrażeniem tak bardzo mu się jednak nie śpieszyło. Po wyjściu Sary Enghall wypił parę piw, ze spokojem przyglądając się życiu toczącemu się poza lokalem. Na głównej ulicy było wielu ludzi. Najprawdopodobniej ci, którzy do tej pory byli zatrudnieni przy handlu drewnem, a teraz nagle stali się bezrobotni. Tartak został zamknięty, a jeden z jego właścicieli zamordowany. Jego myśli cały czas krążyły wokół szansy odnalezienia kolegi Skarphedina żywego.

Dwóch braci.

Justin i Ferdinand Culpepper.

Bracia, przyjaciele i wrogowie.

Wyjął notatnik z kieszeni.

Próby przetłumaczenia rongo*rongo.

Przeczytał swoją ostatnią propozycję:

Jest wielu w (dolinie?), w której walczy wielki (król) i gdzie brat (bliźniak) jest (był?) przyjacielem/wrogiem walka (nadejdzie) i zwycięzca powstanie żaden brat (bliźniak) nie ujrzy słońca (światła?).

Zmieszany spojrział na to, co napisał. Pokręcił głową i znów schował notatnik do kieszeni. Stwierdził, że w ten czy inny sposób jego koncentracja bardzo się poprawiała, gdy stawał przed zadaniem odszyfrowania kodów lub prymitywnych języków. Ileż to razy siedział w „Kasserollen” w chwilach spokoju przed otwarciem lokalu i nagle przychodziła inspiracja, a on odkrywał zupełnie nowe związki? Z tego, co pamiętał, zdarzało się to często. Ale czy sprawdzi się także w przypadku śledztwa w sprawie o morderstwo? Mało prawdopodobne.

Dopił piwo, zapłacił i wstał od stołu. Wciąż nie miał ochoty na powrót do hotelu. Był środek dnia, a on nie czuł najmniejszego lęku przed wędrówką po okolicy. Dokąd mógłby pójść? Może pospaceruje uliczkami w pobliżu portu? Gdzie mieszkają Sara Enghall i Alban Trossig? W domu szwedzkiego badacza oznaczonego szyldem FLORAZOOL. Tak powiedział mu Skarphedin. Przez chwilę chodził wkoło, próbując się rozeznać w wąskich uliczkach. Miał wrażenie, iż domy budowano tutaj zupełnie przypadkowo. Bez ładu i składu. Pod ścianami stały zaparkowane porządnie samochody dostawcze. Często musiał się między nimi przeciskać. Smród był obrzydliwy. Zrobił parę głębokich wdechów i wreszcie znalazł się przed domem z szyldem FLORAZOOL.

Po co tutaj przyszedł?

Przeszedł obok. Minął drzwi wejściowe. Nie miał ochoty rozmawiać z Sarą Enghall.

Nie teraz.

Z boku domu były jeszcze jedne drzwi. Pewnie do piwnicy, domyślił się. Przez chwilę postać przy nich, a potem precyzyjnie się między skrzyniami po rybach i beczkami z parafiną na tył domu. Był tutaj trochę większy otwarty plac, na którym stał zaparkowany brązowy jeep. Spojrzął na dom. Kilka okien. Opuszczone bambusowe rolety. Nikt nie może go zobaczyć? Dlaczego, do cholery, tędy się przekrada? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Czuł tylko wielką ciekawość. Sara Enghall wiedziała o czymś, czego nie umiała wyrazić. Podeszedł do jeepa.

Był otwarty. Miał cztery miejsca.

I bagażnik.

Na tablicy rozdzielczej mała nalepka ze szwedzką flagą.

Domyślił się, iż to jeep Elfhammara.

Zajrzał do bagażnika. Leżało tam parę narzędzi. Kopaczka, łopata i dwa wielkie noże. Ostrze jednego z nich miało prawie metr długości. Fre*dric pochylił się i chwycił większy nóż. Był ciężki i bardzo ostry. Przyjrzał się ostrzu i rękojeści. Co, do cholery, kombinujesz?, zapytał sam siebie. Wypuścił nóż z rąk. Odsunął się nieco i spojrzął ku oknom, ale wszędzie panował spokój. Raz jeszcze podeszedł do jeepa. Na tylnym siedzeniu leżała skrzynka. Co w niej jest? Małe okrągłe kamyczki. Szybko chwycił jeden kamyk. Nie większy niż gołębie jajo. Włożył go do kieszeni, w której leżała już kryształowa pięcioramienna gwiazda, i opuścił plac.

Powoli ruszył w górę ulicy i skręcił w inną, szerszą. Tutaj domy wydawały się bardziej zadbane, a zapach był nieco przyjemniejszy. Biura, agentury, hurtownicy, importerzy, jak mógł wyczytać z szyldów. Ludzie, których spotykał, byli głównie Indonezyjczykami, ale było też kilku Europejczyków, Japończyków lub Chińczyków. To miejsce to nie tylko handel drewnem, pomyślał. I dobrze. Postanowił wrócić na główną ulicę. Szedł blisko ścian domów, by nie wpaść pod trąbiące samochody. Nagle zatrzymał się przed nim biały jeep.

Człowiek na siedzeniu kierowcy odwrócił się i spojrzał na niego.

Fredric odwzajemnił spojrzenie.

Obcokrajowiec? Europejczyk?

Krótko obcięte ciemne włosy. Brązowe blisko osadzone oczy.

Mężczyzna uśmiechnął się i pomachał do niego.

Fredric także się uśmiechnął i uniósł w odpowiedzi rękę.

Następnie jeep odjechał.

Dziwne, pomyślał Fredric. Jakby mnie znał.

Był spocony i spragniony. Było gorąco i nic nie wskazywało na to, że będzie padać. Doszedł do głównej ulicy i wrócił do kawiarni, w której siedział wcześniej. Zamówił piwo i bawił się małym kamykiem w kieszeni. Obracał go w dłoniach. Wziął serwetkę, przetarł kamyk i obejrzał go pod światło.

W kamieniu były małe lśniące punkciki.

Małe zielone oczka, które migotały.

Skarphedin Olsen właśnie zakończył rozmowę telefoniczną z Albanem Trossigiem, podczas której Trossig nieco niechętnie wyraził zgodę na to, by wyjechali godzinę wcześniej, o pierwszej, gdy do jadalni wpadł szef policji Albalung Fy, podekscytowany i z zaróżowioną twarzą.

* Muszę pana poinformować, polisi Olsen, że biuro tych dwóch Norwegów wygląda na opuszczone. Nikogo tam nie ma!

* Nikogo nie ma? * Skarphedin uniósł brwi.

* Nie. Z całym szacunkiem, dokładnie przeszukaliśmy to miejsce i wygląda na to, że wszystkie dokumenty są tutaj. * Trzymał w ręku stos starych gazet.

* To wszystko?

* Tak, to wszystko. Zarekwirowaliśmy jednak maszynę faksującą.

Znajduje się teraz w wojskowym jeepie. Drzwi do ich biura nie były zamknięte na klucz, a z tyłu domu znaleźliśmy beczkę, w której wciąż żarzył się popiół. * Otarł pot z czoła i usiadł. Skarphedin przespacerował się kilka razy po pomieszczeniu. A więc spalili papiery. Co ma zrobić? Obstać lotnisko? Postarać się, by nie dotarli dalej niż do Jayapury? Przez chwilę ważył wszystkie za i przeciw, ale postanowił "dać ptakom odlecieć". Jeśli to będzie konieczne, zawsze można ich sprowadzić z powrotem.

* Ale, polisi Olsen * kontynuował Fy, patrząc z widocznym zawodem w stronę recepcji, gdzie nie było wdowy. * Popytałem także w firmie, z której mister Hakkeng wypożyczył samochód, i okazało się, iż wciąż jest w jego posiadaniu.

* Pewnie jest zaparkowany na lotnisku * wycedził detektyw wciąż dość zachrypniętym głosem. * Może pan wydać żołnierzom rozkaz, aby to zbadali. Dla pana mam inne priorytetowe zadania. Zanim jednak posuniemy się dalej, muszę wiedzieć, czy aresztowany zarządca miał coś więcej do powiedzenia.

* Nie miał. Wstydzilem się za niego, widząc, jak płacze. Powiedział mi, iż nic nie wie o Justinie Culpepperze, drugim z braci. * Szef policji wyprostował się. * Z całym szacunkiem, polisi Olsen, co zrobić z takimi mężczyznami, którzy beczą jak baby, mimo że ich nikt nie uderzył ani nie kopnął?

* Bywa, że mężczyźni płaczą, szefie policji * detektyw prawie się uśmiechnął * choć nie są narażeni na przemoc czy ból fizyczny. Proszę natychmiast wydać rozkaz, aby wypuszczono go na wolność.

* Ale...

* Słyszał pan, co powiedziałem. Tak, aby go wypuszczono. A teraz zajmijmy się czymś innym. * Zdecydowanie uderzył pięścią w stół.

Albalung Fy nic nie powiedział.

Skarphedin zmrużył oczy.

Jastrząb goni jastrzębia, pomyślał.

Może być coś, co zupełnie przeoczył.

W tej grze główne role mogli odegrać zupełnie inni ludzie.

Którzy do tej pory pozostawali niewidoczni.

Jeśli tak było, ta sprawa bardzo się przeciągnie, a wtedy może być za późno. Miał nadzieję, że tak nie będzie i że jego najgorsze przypuszczenia okażą się fałszywe, ale musiał to sprawdzić, i to jak najszybciej.

* Bracia Culpepper * zaczął, wziął parę pastylek i chrząknął * dostali zatem od indonezyjskiego rządu koncesję na prowadzenie wycinki drzewa i nikt nie skontrolował, czy to legalne, zgodne z międzynarodowymi umowami?

Szef policji skinął głową.

* W sprawie drewna w tej chwili możemy zapomnieć, co jest legalne, a co nie * kontynuował Skarphedin. * Skoncentrujmy się na samym pojęciu koncesji. Bracia Culpepper mają zatem wyłączność na wydobywanie bogactw naturalnych na całkiem dużym obszarze wokół wzgórz i w pobliżu gór.

Znów skinienie głowy ze strony Albapunga Fy.

* Z tego, co zrozumiałem, to już koniec wycinki drzew z lasu deszczowego. Justin Culpepper chce stąd wyjechać i w związku z tym koncesja przepadnie, tak?

* Tak * odparł policjant.

* Zakładam jednak * detektyw zakasłał i głośno chrząknął * zważywszy na dziewiczy charakter tego regionu i obfitość drzew, że to miejsce nie na długo zazna spokoju. Od razu napłyną nowe podania o udzielenie koncesji, jeśli jeszcze takowe nie nadeszły, prawda?

Albapung Fy długo mrugał.

* Oczywiście, Olsen. Jest jak jest. To mi ejsce cieszy się bardzo wielkim zainteresowaniem i ci, którzy mogą najwięcej zapłacić... * Przerwał.

* Tak, rozumiem. Wygrywają ci, którzy dają największe łapówki i podpisują korzystne dla wojska i lokalnych władz umowy. Jednak akurat teraz mam to gdzieś, komendancie.

* Tak, mamy to gdzieś, tak * pośpiesznie potwierdził Fy.

* Teraz wykorzystaj swoje znajomości, powiązania i autorytet * jak pan lubi to określać * i w te pędy dowiedz się pan, kto się teraz ubiega tutaj o koncesje. Jakie firmy i jakie osoby. Zrozumiano?

Albapung Fy odpowiedział z błyskiem w oku.

* Zrobię to...z największym zapałem, polisi Olsen. Muszę jednak, z całym szacunkiem, zasiąść na jakiś czas przy pana stoliku i skorzystać z telefonu oraz telefaksu. * Spojrzał w stronę recepcji, gdzie za ladą znów siedziała miss Duana Gomsom.

* Oczywiście. * Skarphedin wstał z krzesła. * Proszę jednak nie zapominać o tym, o co pana prosiłem, a żeby pan nie był zupełnie bezczynny, może pan zacząć pisać raport o swym udziale w naszej pracy tutaj, raport po angielsku, który chciałbym potem przedstawić pewnym władzom. *Znalazł płaszcz, otrzepał go z much i owadów, po czym założył.

Szef policji spojrział na niego i z wolna skinął głową.

* A jeśli pojawi się mój asystent, ten, który myśli, proszę mu powiedzieć, że wrócę za parę godzin.

Skarphedin Olsen opuścił jadalnię i wszedł schodami na górę. Młoda dziewczyna wносиła pościel z pokoju Chińczyka. Teng Fung Li wyjechał wcześniej rano, a Skarphedin nie widział powodu, aby mu tego zabronić. Teraz on i Fredric byli jedynymi gośćmi. Zamknął się w swoim pokoju. Powietrze było zastale i wilgotne. Zdjął koszulę i zaczął drapać ślady po ukąszeniach owadów i wysypkę. Odkręcił kran, namydlił tors i twarz, a potem splukał je letnią wodą. Oczy, które zobaczył w lustrze, były podrażnione i zaczerwienione. Potem wyjął nową koszulę z walizki, usiadł na łóżku i zamknął oczy.

Zaledwie za pół godziny spotka się z Albanem Trossigiem.

Pojadą po Hansa Mercura Elftiammara.

Badacza.

Szybko przypomniał sobie informacje, które zebrał na temat mężczyzny. Szwed, prawie pięćdziesięcioletni, profesor zoologii i botaniki, uznany naukowiec, uczestniczący zgodnie z zaleceniami ONZ we wspólnym projekcie Rady Nordyckiej, którego celem jest zarejestrowanie i opisanie wrażliwości tropikalnych biotopów na działania człowieka, a jednocześnie stworzenie mapy rozmieszczenia nieznanymi gatunków roślin i zwierząt. Korzystając ze środków rządów nordyckich, Elftiammar przebywał tutaj już od ponad roku. Dziwne, iż Ungbeldt o nim nie wspominał podczas krótkich rozmów telefonicznych z Norwegią. Być może mężczyzna przebywał wtedy w buszu. Przez chwilę detektyw poczuł nieodpartą chęć, aby położyć się na łóżku, ale zamiast tego szybko się poderwał, wygrzebał z kieszeni torby roztopioną, klejącą się czekoladę i włożył ją do ust. Energicznie wypłuł pozłotko na podłogę, chwycił płaszcz i zamknął za sobą pokój.

Nie krzyczał już więcej. Bał się otworzyć usta i usłyszeć krzyk wydobywający się z jego gardła. Mimo wszystko myślał teraz jasno. Co mógł zrobić? Nie potrafił się podnieść. Ciało odmówiło mu posłuszeństwa, a poza tym był związany. Rzemienie na piersiach, udach i kostkach zamocowano do desek podłogi. Nie czuł żadnego bólu. Był nagi. Całkiem nagi. Muszę się stąd wydostać! Uciec! Zanim wróci Głos! Co z jego ciałem? Dlaczego go nie słucha? Nagle usłyszał kroki. Ciężkie kroki, które się zbliżały. Deski podłogi drżały. Zmusił się do otwarcia oczu, do patrzenia. Głos wpuści wodę do jego ust, a potem ogarnie go ta miękkość. Myśli staną się mgliste, spokojne, przyjemne i będzie mógł odpowiedzieć na pytanie, które zada mu Głos, ale on nie chciał, aby jego myśli były przyjemne! Nie chciał odpowiedzieć, a mimo to wiedział, iż będzie musiał, jego siła woli gdzieś zniknęła. Gardło się otworzy i popłyną słowa. Spojrzał w górę. Zobaczył pochyloną nad nim twarz. Złą, przerażającą twarz, która migotała i drżała mu przed oczami. I czerwone usta, które się otwarły:

* Masz ostatnią szansę, bo inaczej wyślę także twoją głowę w wieczny mrok!

Kropki spłynęły do jego gardła. Przełknął. Woda. Przyjemny smak. Gdyby to tak mogło trwać, a potem nastałaby cisza! Jednak kropki wody przestały płynąć, a on znów został oślepiiony. Na jego twarzy znów położyła się zielona miękkość. Wstrzymał oddech. Nie chciał tego wdychać! Zauważył jednak, że jego myśli stały się pełne łagodności, a głowa chętna do współpracy. Odpowie na pytanie Głosu. Chce odpowiedzieć. Nagle zrobił głęboki wdech, a potem więcej takich wdechów i wydechów. Mgła, która go otoczyła, była coraz gęstsza. Oddychał, a wszystko stawało się białe, bielsze i jeszcze bielsze.

* Pytam po raz ostatni, co zrobiłeś z kasetą? Wiem, że gdzieś ją ukryłeś. Nigdy nie udało ci się jej wysłać, śmieciu!

* Ja... ją ukryłem. * Nie słyszał swoich własnych słów. Wszystko stało się białe i przyjemne.

* Gdzie ją ukryłeś?

Głos dochodził teraz do niego z daleka i stał się echem ginącym w oddali.

* Ukryłem... Ukryłem...

* Mówże, człowieku!

* Mówię... Ukryłem... * Nic nie słyszał. Odpłynął.

* Niech cię piekło pochłonie! Zemdlałeś, co? Oddychałeś zbyt szybko, ale ja ci, do cholery, pokażę, gdy się obudzisz! Niech cię szlag! Tak czy siak, niewiele czasu już ci zostało!

Buty kopały jego ciało, głowę, ale on nic nie czuł. Absolutnie nic. Nie widział także oczu, które zagłębiały do pomieszczenia przez szpary w ścianie.

Detektyw rozbiera się do naga,
coś pod ziemią może być naprawdę wiele warte,
a Fredric Drum zadaje nierozsądne pytanie

Wyjechali z miasta w północno*zachodnim kierunku. Alban Trossig powiedział Skarphedinowi, że to jedyna droga prowadząca w głąb łądu. Po zaledwie pięciu minutach otoczył ich gęsty las. Droga była wyjeżdżona i pełna dziur, ale jeep, który aktywista pożyczył od Elfhammara, świetnie się spisywał.

Detektyw spoglądał na drogę.

Na skraj lasu.

Na glebę.

Była brązowa.

Gdy przyszedł do biura aktywistów, Sara Enghall siedziała, pisząc coś na maszynie, a Trossig leżał rozłożony na łóżku i palił. Nie wstał, kiedy Skarphedin wszedł. Od razu zauważył, iż atmosfera panująca w pokoju jest nie taka, jaka być powinna. Podeszedł do stołu, przy którym siedziała Sara, wysunął krzesło, spojrzał to na jedno, to na drugie, i jego wzrok zatrzymał się na Albanie.

* Nim pojedziemy * chrząknął; jego głos wcale nie był lepszy, a już nie miał pastylek * musimy odbyć krótką rozmowę. Chcę mieć pełną jasność w niektórych sprawach.

Sara spojrzała na niego z rezygnacją.

* Nie wiem, o co panu chodzi. Nie możemy powiedzieć nic więcej niż to, co już panu powiedzieliśmy. Nic więcej nie wiemy na temat zabójstwa Jana. Teraz chcemy wrócić do domu!

* Albanie Trossig. * Olsen zignorował wypowiedź Sary i zwrócił się do chłopaka. * Z tego, co wiem, posługujesz się językiem jednego z plemion na wyspie.

* To za dużo powiedziane. Powiedzmy, że jakoś daję radę się dogadać. Nauczyłem się trochę od Hassego. A czemu pan pyta? * Zgasił papierosa. Unikał spojrzenia detektywa.

* O jaki język chodzi? Język którego z plemion?

* Danu*Washibi * odpowiedział i wyjrzał przez okno.

* Właśnie! * Skarphedin jakby coś sobie uświadomił. * No popatrz. Danu*Washibi. Język, którym posługiwali się dwaj pomocnicy Ferdinanda Culpeppera.

Alban Trossig zerwał się z łóżka.

* Do czego pan zmierza?! * Jego spojrzenie było wrogie.

* Nie byli najwierniejszymi sługami, co? * Pierwszy strzał nie trafił do celu. Chybił. * Zatrzaszczyli się o to, by ich pan zginął. Można się zastanawiać, jak to zostało zaplanowane... Trossig zbladł. Otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale zamilkł. Sara odwróciła się od maszyny do pisania i patrzyła to na Skarphedina, to na Albana.

* Na co wydałeś pieniądze, Albanie? * Głos detektywa przeszedł w cichy pisk.

* Co, do cholery, pan insynuuje?! Pieniądze? * Spojrzał ze złością na Sarę, znów opadł na łóżko i zapalił kolejnego papierosa. * Rozumiem *kontynuował nieco spokojniej. * Uważa pan, że przekupiłem tę dwójkę z plemienia Danu*Washibi, by zamordowali Culpeppera. Ha! * Pusty śmiech.

* Alban właśnie mi powiedział... * Sara spojrzała ze strachem na detektywa. * Powiedział mi... Sam mu powiedz, Albanie!

* Pieniądze. * Trossig mówił, starając się zachować spokój. * Pieniądze, panie Olsen, które wybrałem z konta Funduszu na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych, a o których najwyraźniej Sara panu powiedziała, zostały wykorzystane na coś tak niemoralnego, jak zapłacenie czterem kierowcom ciężarówek z Nowej Zelandii za to, że przez cztery miesiące pomagali Janowi i mnie w określeniu rozmiarów wyřębu i transportu drewna z lasu deszczowego. Notowali ilość i rodzaj drewna. Niestety był to rodzaj łapówki.

* I nie mogłaś mi o tym wcześniej powiedzieć, panno Enghall? * Olsen zmrużył oczy.

* Sara... No cóż... * Alban zawahał się. * Ona ma własne zdanie na temat tego, na co powinniśmy wydawać pieniądze funduszu.

Sara zacisnęła usta i nic nie powiedziała.

* A gdzie są teraz ci Nowozelandczycy? Mogę to gdzieś potwierdzić? *Skarphedin wstał z krzesła i podszedł do okna.

* Niestety. Wyjechali do Nowej Zelandii wczoraj późnym wieczorem. Samolotem. Jak pan wie, tartak został zamknięty. * Wypuszczał kłęby dymu z papierosa w stronę sufitu.

* Tak, został zamknięty i w związku z tym chcecie wracać do domu. *Detektyw stał odwrócony do nich plecami. Jego głos był ledwie słyszalny. * Pełen sukces. Gratuluję. Dobra robota.

* Sukces. * Sara mówiła cicho. * Jan nie żyje.

* A sprawa, niech mnie szlag, wciąż nie jest rozwiązana! * Skarphedin nagle odwrócił się.

Jego głos odzyskał normalne brzmienie. * Gdzieś poza miastem jest inny człowiek.

Prawdopodobnie wciąż żyje. Norweski policjant. I nikt stąd nie wyjedzie, dopóki nie zostanie odnaleziony, jasne?!

* Ale co... Co my możemy... Przecież powiedział pan wczoraj... * Sara wydawała się zmieszana.

* To, co wczoraj powiedziałem, jest już bez znaczenia! Zostaniesz tu tutaj, w tym biurze, a Trossig i ja pojedziemy teraz po tego Szweda i zobaczymy, czego się dowiemy w ciągu najbliższych godzin. Pewne rzeczy bardzo naglą, a to, co może zaczekać najdłużej i dotyczy także ciebie, panno Eng*hall, to powrót do domu! * Spojrzał na zegarek. Alban Trossig podniósł się z łóżka. Wzruszył ramionami. Unikał spojrzenia Sary. Chwycił paczkę papierosów, kluczyki i ruszył ku drzwiom.

* Pojedzie pan do lasu w tym stroju? * Wskazał na płaszcz Skarphedina.

Detektyw nie odpowiedział, tylko poszedł za Trossigiem do zaparkowanego za domem jeepa.

Jechali już dziesięć minut. Nagle dotarli do rozdroża. Wiele wąskich dróg prowadziło w różnych kierunkach. Skarphedin poprosił Trossiga, by się zatrzymał i wyłączył silnik.

Wysiadł z samochodu. Pokopał trochę butem w wilgotnej gruzowatej ziemi. Pocił się pod płaszczem.

Mimo to owinął się nim jeszcze ciaśniej, chroniąc się przed owadami. Wielki

żółto*zie*łony motyl usiadł mu na głowie, zanim odleciał gdzieś dalej. Ciepło było

nieznośne, a odgłosy dochodzące z dżungli nie tworzyły bynajmniej harmonii w jego głowie.

Wprost przeciwnie. Stał, rozglądając się dokoła.

* Dokąd prowadzą te drogi?

* Do różnych miejsc wycinki. Kilka miesięcy temu żadna droga nie dochodziła dalej niż tutaj.

* Alban Trossig wydawał się teraz nieco przyjaźniej nastawiony i bardziej otwarty.

* A gdzie jest Miedziane Wzgórze, Wangesa Rai?

* Dotrzemy tam, jeśli pojedziemy drogą na lewo. Straszna droga. Dojazd na szczyt zabiera pół godziny. Stamtąd jest widok na góry.

Detektyw chrząknął i wsiadł do samochodu. Przez chwilę się wahał, ale wreszcie zdjął

płaszcz i rzucił go na tylne siedzenie. * Chciałbym zobaczyć miejsce, w którym znaleźliście samochód Vennaliego * powiedział.

* Dobrze * odparł Alban. Włączył silnik i pojechali dalej. Droga prowadziła w dół zbocza.

Między drzewami można było dostrzec coś szarego.

* Rzeka Mamberamo * wyjaśnił Alban. Dziesięć minut później zatrzymał jeepa. Pokazał palcem.

* To tutaj * powiedział.

Skarphedin od razu zobaczył ślady. Rośliny rosnące przy drodze były powyrywane, a ziemia rozkopana. Wysiadł z samochodu i spojrzał na skraj drogi, a potem pięć*sześć metrów w dół.

* Niełatwo wydobyć stamtąd samochód * stwierdził.

* Z pomocą samochodu ciężarowego nie było tak trudno * odparł Alban. * A jak pan widzi, jeep wyszedł z tego prawie bez szwanku. Tylko kilka wgnieceń i zadrapań. * Wskazał na prawą stronę samochodu.

* Widziałeś jakieś ślady? * Skarphedin znów wsiadł do samochodu.

* Nie. Silne opady deszczu wszystko wypłukały.

* Elftiammar ma gdzieś w pobliżu stację badawczą, tak? Przyszedł tutaj po tym, jak ty sam znalazłeś samochód...

Alban szybko zamrugał. * Tak było.

* Gdzie jest ta stacja?

* Nieco dalej w dół. Prowadzi tam prawie niewidoczna ścieżka. Mogę...

* Nie, nieważne. Teraz musimy się pośpieszyć i odebrać tego Szweda.

Jechali dalej w milczeniu. Skarphedin z niepokojem spoglądał na zegarek. Alban skręcał na rozdrożach. W pewnym momencie samochód zatrzymał się. Utknął. Po wielu próbach uruchomienia go Alban wyłączył silnik i powiedział, wskazując palcem:

* Musimy podejść kilkaset metrów w górę tą ścieżką. Hasse korzysta z jednego z opuszczonych domów na palach, w których kiedyś mieszkała lokalna ludność. Tu jest dość gęsta roślinność.

Ruszyli szybko w górę. Detektyw spociał się i zaczął kasłać. Przystanął na chwilę i oparł się o gładki pień drzewa. Kręciło mu się w głowie, a przed oczami tańczyły jakieś punkciki. Piekło na ziemi! Zaklął w duchu i spojrzał w górę, ku koronom drzew, ale zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze. Szedł dalej. Podłoże było kleiste i śliskie. Parę razy omal nie upadł.

Wreszcie Alban przystanął i pokazał palcem:

* To tam, między drzewami! Zobaczył dom. Brązowo*szara chałupa z desek.

Pale utrzymywały podłogę jakieś dwa metry nad ziemią. W połowie zniszczone schody prowadziły na mały taras. Na szczycie schodów siedział oparty o ścianę mężczyzna. Górną część jego ciała zasłaniał sięgający nisko pochyły dach.

* Cześć, Hasse. Przyjechałem tak, jak uzgodniliśmy! * Alban zaczął wchodzić po schodach, a Skarphedin za nim.

* Hasse? * Trossig zrobił jeszcze parę kroków i nagle się zatrzymał. Skarphedin Olsen odepchnął go i wskoczył na taras. Pochylił się. Mężczyzna był przybity do ściany dwoma zardzewiałymi gwoździami.

Głowy nie było.

Kiedy Fredric wrócił do hotelu, zastał szefa policji Fy w jadalni, pochłoniętego rozmową telefoniczną. Zaczekał, aż Indonezyjczyk wreszcie skończy, i dowiedział się, że Skarphedin pojechał po szwedzkiego badacza i wróci za kilka godzin.

* Teraz, polisi Drum * powiedział z ważną winą * chodzi o koncesje.

Fredric nie bardzo czuł się w tym temacie.

* Pan jest myślicielem? * Szef policji spojrzał na niego pytająco.

* Myślicielem jak myślicielem. * Fredric wciąż nie wiedział, o co chodzi.

* Z całym szacunkiem, polisi Drum * kontynuował Fy * aby ta sprawa mogła zostać rozwiązana, potrzeba nam kogoś, kto myśli. Co pan akurat teraz myśli?

* Myślę, że to może być sprawa koncesji, tak jak pan powiedział. *Przypuszczał, iż Fy pije do czegoś, co Skarphedin mu powiedział.

* Właśnie. * Szef policji powoli skinął głową. *Teraz próbuję się dowiedzieć wszystkiego o koncesjach. Myślę, że pan polisi Olsen będziecie bardzo zadowoleni. * Znów pochylił się nad telefonem.

Fredric skinął głową, machnął mu na pożegnanie i wyszedł z jadalni. Co powinien teraz zrobić? Udał się do swojego pokoju. Spojrzał na papiery z tłumaczeniem rongo*rongo, odsunął je na bok i usiadł na łóżku. Wyjął z kieszeni kamień i zaczął mu się przyglądać. Potem podszedł do umywalki i dokładnie go umył oraz osuszył ręcznikiem.

To był kryształ.

Małe zielone, migoczące oczka.

W skale, której nigdy wcześniej nie widział.

Niewiele wiedział o skałach i kamieniach, ale akurat teraz czuł, iż ten kamyk, który wyjął ze skrzyni w samochodzie Elfhammara, może mieć spore znaczenie. W jego głowie rodziła się jednak jeszcze jedna myśl. Coraz silniejsza.

Zagadka skradzionego faksu.

Przypuszczalnie niewyjaśniona tajemnica.

Której rozwiązanie mogło być bardzo proste.

I bardzo nieprzyjemne.

Alban Trossig zasłonił rękami twarz i potknąwszy się, spadł ze schodów. Skarphedin stał i mrużąc oczy, spoglądał na przybite do ściany zmasakrowane ciało. Krew, masa krwi zaschniętej i pokrytej muchami. Zrobił kilka kroków w tył. Stał przez chwilę, a potem ruszył ku drzwiom. Otworzył je i zajrzał do pokoju.

Duży stół i krzesło.

Wiele przedmiotów. Specjalistyczny sprzęt.

Małe noże, skalpele, szczypce.

Pióra, skóry, kostki.

Papiery, w połowie opróżnione butelki z wodą.

Rośliny, liście, korzenie.

Aparat fotograficzny, dwie pary lornetek.

Detektyw wszedł do pokoju i przyjrzał się tym przedmiotom. Potem wziął aparat fotograficzny. Minolta. Lustrzanka. Na liczniku osiem zdjęć.

Przez chwilę stał z aparatem w dłoniach, a potem ruszył ku drzwiom. Odwrócił się, podniósł aparat do oka i sfotografował pokój, stół, podłogę i ściany. Następnie wyszedł i zrobił zdjęcia ciała z różnych ujęć i z różnej odległości. Wreszcie film się skończył. Potem zszedł po schodach na dół i położył rękę na ramieniu Albana Trossiga, który wciąż siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

* Niewiele możemy tutaj zrobić, Albanie. Zbadanie miejsca zbrodni pozostawimy lokalnym władzom * powiedział cicho. * Chciałbym, żebyś tylko spojrział na trupa, jego ręce, i powiedział mi, czy go rozpoznajesz.

* To Hasse! * Wstał jakby w geście buntu. * Niech piekło pochłonie to pieprzone miejsce! * Z wahaniem wszedł na werandę, ale szybko zszedł z powrotem. *Tak, to Hasse. Rozpoznaję jego palce. Długie, szczupłe i ten siny paznokieć kciuka. Skaleczył się w zeszłym tygodniu. On... *Jego głos zamarł.

Skarphedin ostrożnie rozejrzał się dokoła. Dżungla sięgała do samego domu. Spojrzał w górę i zobaczył, że niebo pociemniało. Wkrótce zaczęło padać. Wpierw pojedyncze duże, ciężkie krople, a potem lunęło na dobre. Olsen poczuł, iż jest przemoczony. Wepchnął Trossiga przed sobą pod wspartą na palach podłogę domu. Obaj poślizgnęli się i upadli. Bez słowa leżeli jakieś dziesięć minut. Deszcz przestał padać tak samo gwałtownie, jak zaczął.

* Do samochodu, ile sił w nogach! * Skarphedin pchnął Albana przed sobą.

Biegli, ślizgając się na drodze, która tymczasem zamieniła się w strumyk. Skarphedin przeklinał w duchu. Wszystkie ślady zostały wypłukane. Czy dostrzegł jakieś ślady w drodze na górę? Nie pamiętał, ale akurat teraz nie miało to znaczenia. Siedzenia w niezadaszonym jeepie były oczywiście zupełnie mokre. Żaden z nich nie zwracał jednak na to uwagi.

Albanowi udało się wreszcie uruchomić samochód i powoli ruszyli zabloconymi drogami w stronę miasta. Z powrotem do domu opatrzonego szyldem FLO*RAZOOŁ, gdzie mieszkał badacz i naukowiec Hans Mercur Elfhammar, który dawał schronienie trzem aktywistom z Norwegii.

Czy Głos sobie poszedł? Odwrócił głowę na bok. Widział deski na podłodze, ale nie widział żadnych butów. Nasłuchiwał. Były tylko te same co zawsze dźwięki. Ptaki, żaby. Gdzie on jest? Przez chwilę leżał z zamkniętymi oczyma. Próbował się skoncentrować. Zauważył, iż jego myśli stawały się coraz jaśniejsze. Mocno potrząsnął głową, by jeszcze bardziej je rozjaśnić. Przez chwilę zobaczył obrazy. Czego? Wszystko było obce. Co się stało z czasem? Czy istniał w czasie? Czy istniało coś poza tym? Powoli zaczął czuć ból. Nie fizyczny ból ciała, ale ból pochodzący głęboko z jego wnętrza. Ból stał się silniejszy. Coś rozjaśniło się w jego głowie. Kasetka! Głos cały czas pytał o kasetę i teraz wiedział, że ukrył kasetę i że to ważne. Ból był wielki, ale on zmuszał się do myślenia o kasecie. Myśl! Gdyby tylko przypomniał sobie, co to było, dowiedziałby się, dlaczego się tutaj znalazł i kim był.

* Myśl!* rozkazał sam sobie. * Myśl! Słuchaj!

Słuchał. Czy słyszy głosy? Tak. Słyszał głosy. Ktoś mówił. To kasetka mówiła.

* Znalazłem go. Zjechał z drogi. Jeep leżał w rowie. Idiota zjechał z drogi.

Kasetka mówiła. Zmrużył oczy i słuchał tego, co mówiła w jego głowie. Zobaczył obraz.

Uliczka. Stał przed drzwiami i nasłuchiwał. Słuchał siedzących tam i rozmawiających osób.

Drzwi były otwarte. Wyraźnie słyszał głosy.

* Głupiec zjechał z drogi. Jan Vennali, wiesz, o kim mówię? Leżał tam, a ja przechodziłem tamtędy zupełnie przypadkiem.

Stał w uliczce i nasłuchiwał. Trzymał mikrofon przy otwartych drzwiach, ale oni nie mogli go widzieć. Stał w ukryciu i uśmiechał się.

* I wtedy w mojej głowie pojawił się plan, plan, dzięki któremu obaj staniemy się bogaci.

Dostaniesz swoją część, wierz mi, będzie spora.

Zrobił jeszcze parę kroków w stronę drzwi. Taśma kręciła się cicho

i spokojnie. Wszystko zostało na niej zapisane. Sprawa była jasna. Rozpoznał głosy.

Wiedział, kto rozmawia w tej piwnicy. Wiedział, że sprawa jest już prawie wyjaśniona. To zbieg okoliczności, że akurat poszedł na spacer, zauważył otwarte drzwi i usłyszał, że rozmawiają. To pozwoli doprowadzić tę sprawę do końca, a on będzie mógł wrócić do domu.

Do domu! Na myśl o słowie "dom" poczuł w głowie silny ból. Kasetka znik*nęła. Teraz widział swój dom. Drzwi wejściowe z tabliczką z napisem: Tutaj mieszkają Mona Lind i Peder Ungbeldt. Poczuł, że coś mokrego

plynie mu po policzkach. Jego głowa, dlaczego tylko jego głowa żyje? I myśli. Dlaczego nie potrafi wyzwolić się z więzów? Gdzie się podziały jego ręce? Dlaczego nie może ich podnieść? Nasłuchiwał. Wkrótce znów usłyszy kroki i zobaczy buty. Usłyszy Głos. Jego usta znów się otworzyły, by krzyknąć, ale gardło było nieme. Jego usta były całkiem suche.

Skarphedin Olsen siedział na krześle. Był przemoczony do suchej nitki. Cisnął swój płaszcz, także mokrusieńki, w kąt. Sara Enghall patrzyła na niego. Z jej drżących, pozbawionych koloru ust nie padło ani jedno słowo od chwili, gdy Alban i detektyw wpadli do domu i opowiedzieli jej, co się stało. Skarphedin chwycił telefon i zadzwonił do hotelowej jadalni, gdzie wyjaśnił szefowi policji Gumaliemu Alpapungowi Fy, co się zdarzyło. Jego głos brzmiał całkiem dobrze. Teraz siedział, przyglądając się powiększającej się na podłodze kałuży.

* Może pan... Mam szorty, które mogą pasować... * Sara wstała i zaczęła grzebać w szafie.

* Świetnie, wspaniale * powiedział Skarphedin i wstał.

Bez wstydu zdjął z siebie ubranie. Jego chude, blade ciało było tu i ówdzie usiane czerwonymi śladami po ukąszeniach insektów. Wziął od Sary szorty i założył je. W drzwiach stanął Alban. Wrócił ze swojego pokoju, gdzie także przebrał się w suche ubranie.

* Wy dwoje * powiedział Olsen * pozostaniecie w tym pokoju! * Spojrzał na zegarek. Było kwadrans po trzeciej. * Zostaniecie tutaj, a ja spędzę teraz jakieś pół godziny w gabinecie Elfhammara. Sam. Zrozumiano?

Oboje skinęli głowami.

Wyjął z kieszeni płaszczą pęk wytrychów i z nieprzeniknioną miną opuścił pokój. Chwilę potem był już w gabinecie Elfhammara. Czego ma tu, do cholery, szukać? Akurat teraz miał potrzebę być sam. Zupełnie sam. W ciszy. Usiadł na wygodnym krześle przy biurku Elfhammara, podrapał się po nagim udzie i spojrzął na stojące na blacie zdjęcie.

Gospodarstwo. Szwedzkie: Grupa osób przed wejściem, dorośli i dzieci. Patrzył na to zdjęcie zupełnie pustym wzrokiem.

Inny punkt widzenia.

To możliwe, że coś zignorował.

Czyżby od początku źle pokierował tą sprawą?

Jastrząb goni jastrzębia.

Zajął się motywem, a mordercy/morderców szukał wśród przebywających tutaj Skandynawów, ale musiał przyznać, że mógł się całkowicie mylić. Być może za tym wszystkim stał ktoś inny. Zabójstwo naukowca, Elfhammara, na to wskazywało. Co takiego Elfhammar wiedział, co czyniło go niebezpiecznym? Rozejrzał się po pokoju. Wyglądał tak samo jak ostatnio. Od czego powinien zacząć? Jeśli Ungbeldt żyje, szansę na odnalezienie go są minimalne, jeśli jest tak, jak się tego obawia. Mechanicznie zaczął przeglądać teczki, które leżały na blacie. Czytał notatki o gatunkach zwierząt i roślin. Odkładał kartkę za kartką, ale na chwilę zatrzymał się nad opisem jednej z roślin:

Aerofit, który nie ma jeszcze nazwy gatunkowej i który występuje obficie w tej okolicy.

Rośnie głównie w gęstych koronach Ficus papua*na. Autochtoni używają go jako halucynogenu, aby odpędzać złe moce. Po ściśnięciu liście wydzielają substancję i zapach, które wdychane wywołują stan podobny do upojenia alkoholowego lub po zażyciu narkotyków. Na podstawie badań próbek, które wysłałem do laboratorium, można stwierdzić, iż substancja jest czymś między skopolaminą, meskaliną a psylocybiną. Pochłonięcie dużej dawki prowadzi do paraliżu mięśni oraz utraty kontroli nad świadomością. Człowiek zachowuje się tak samo, jak w przypadku podania skopolaminy, wykorzystywanej jako serum prawdomówności.

Skarphedin odłożył opis. Pewnie to tę roślinę Sara Enghall miała na parapecie i to przez nią podejrzewał dziewczynę o palenie marihuany. Wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. Jego myśli nie kleiły się. Przez chwilę przyglądał się zdjęciom autochtonów. Pokręcił jednak energicznie głową i wrócił do biurka. Alban Trossig, pomyślał, nie mogą dotrzeć do tego chłopaka. Zaczął się bawić dziwnymi kamykami, które leżały w misce na stole. Były zielonkawe. Wziął jeden z nich i przyjrzał mu się z bliska. Kryształ? Gdy spojrzął na kamień pod światło, ujrzał migoczące zielone oczka. Zważył go w dłoni. Wzruszył ramionami i już miał go odłożyć do miski, kiedy zauważył karteczkę wystającą spod innych kamyków. Wyjął ją i przeczytał:

Używając dolara jako prymitywnej miary, to, co leży pod ziemią, jest tysiąc razy bardziej wartościowe niż to, co na niej rośnie.

Skarphedin uniósł brwi. Przypomniał sobie książkę, która leżała na nocnym stoliku Trossiga. Wybiegł na korytarz, otworzył drzwi do pokoju Sary i krzyknął:

* Chodźcie tutaj! Natychmiast!

Wrócił do gabinetu Elfhammara, a za nim dwójka aktywistów. Podeszedł do biurka i podniósł miskę z kamieniami.

* Czy któreś z was może mi powiedzieć, co to jest? * zapytał. Jego chrypka zupełnie zniknęła.

Sara zmieszana zamrugła i pokręciła głową.

Alban był błydy. Ostrożnie wyjął jeden kamień z miski.

Obracał go w palcach.

* To korund * powiedział. * Te zielone plamki to szmaragdy.

* I to zostało wykopane tutaj z ziemi? * Detektyw poczuł, że jego tętno mocno przyspieszyło.

* Tak. Hasse je znalazł. W samochodzie jest tego pełna skrzynia. Rzucił pan na nie płaszcz. Te wzgórza mogą kryć spore pokłady szmaragdów. Tak sądził Hasse.

Sara spojrzała na Albana. Nic nie powiedziała. Detektyw myślał.

Książka na nocnym stoliku Trossiga. Dotyczyła kamieni szlachetnych, gemmologii.

* Kto o tym wiedział? * Skarphedin spojrział surowo na aktywistów.

* Myślę, że nikt * odparł Alban. * Powiedział mi o tym w zeszłym tygodniu i zaznaczył, że to musi pozostać między nami.

Skarphedin wyjął karteczkę, którą znalazł w misce, i głośno odczytał jej treść:

* To, co leży pod ziemią, jest tysiąc razy bardziej wartościowe niż to, co na niej rośnie! Wicie, co to znaczy?!

Żadne z nich nie odpowiedziało.

Była prawie szósta rano. Finn Edwin Lindbom zaparkował samochód na swym stałym miejscu w garażu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Brak snu sprawił, że jego oczy były obolałe. Opuszczał biuro wieczorami jako ostatni i jako pierwszy pojawiał się tam rano. Nic, absolutnie nic nie mogło przejść niezauważone przez niego. Musiał być pierwszą osobą, do której docierają informacje. Poszedł od razu do sekretarki i poprosił o dziennik faksów. Szybko do niego zerknął. Żadnych nowych faksów przychodzących. Nalał sobie kawy z dzbanka, który zawsze stał pełny, i zabrał kubek do biura.

Wszystko szło tak, jak powinno.

Wkrótce człowiek z KRIPOS wróci do Norwegii.

Sprawa pozostanie nierozwiązana.

Ale las deszczowy jest uratowany.

Minister spraw zagranicznych udzielił mu surowej reprimendy wczoraj późnym wieczorem, kiedy wrócił z zagranicy. Stwierdził, że wiele wypowiedzi Lindboma dla prasy przekroczyło wszelkie granice. Kiedy usiadł na krześle i oparł się wygodnie, miał wielką ochotę się uśmiechnąć. Finn Edwin Lindom nie przypuszczał jeszcze, że ostatni raz siedzi na tym krześle w tym biurze. Nie miał pojęcia, że za parę godzin w drzwiach staną bardzo poważni mężczyźni z policji i służb bezpieczeństwa i zabiorą w takie miejsce, w którym nie ma ani krzesła, ani stołu, a są tylko gładkie ściany, prycza i aluminiowa muszla toaletowa. Nie mógł się tego spodziewać, kiedy ziewał, przeciągał się i ze smakiem popijał małymi łydkami gorącą kawę, myśląc, że nic nie może pójść źle. Całkowicie ufał bratu.

Przez całe życie mógł na niego liczyć.

Jego brat nigdy nie zawodził i nigdy nie popełniał błędów.

Skarphedin szedł szybkim krokiem w górę ulicy. Nie zwracał uwagi na mieszkańców, którzy odwracali się za nim i pokazywali go palcami. Wciąż miał na sobie tylko ciasne szorty Sary Enghall. W zawiniątku pod pachą niósł swoje ubranie i płaszcz. Jego blade, chude, prawie nagie ciało budziło powszechną ciekawość, ale detektyw myślał teraz o zupełnie innych rzeczach. Wszedł do hotelu i pośpieszył do jadalni, gdzie szef policji Alba* pung Fy siedział i z kroplami potu na czole pisał raport, a puszysta wdowa Duana Gomsom trzymała dłoń na jego ramieniu.

Oboje spojrzeli na niego z przerażeniem.

Wdowa szybko pobiegła do recepcji.

* Z wielkim zdumieniem, co się stało, jak... * Fy mrugał zdziwiony.

* Niech pan zapomni o tym, jak jestem ubrany! Zrozumiał pan, co panu przed chwilą powiedziałem przez telefon? * Rzucił przemoczone ubrania w kąt.

* Jest więc mowa o jeszcze jednym zamordowanym człowieku?

* Tak. Niewiele możemy jednak teraz w tej sprawie zrobić. Co z zadaniami, których wykonanie panu powierzyłem? * Skarphedin był zniecierpliwiony.

* Zgromadziłem z należytą dokładnością i wnikliwością, co zabrało dość sporo czasu, ważne informacje o koncesjach, tak jak pan prosił, polisi Olsen. * Uderzył grubym palcem wskazującym, o kartkę, która leżała przed nim na stole.

Detektyw przepędził go z krzesła i zajął jego miejsce. Długo i dokładnie pocierał oczy, zanim wreszcie spojrzął na kartkę.

Ponumerowana lista z nazwiskami.

I nazwami firm.

Daty.

Wirowały mu przed oczyma.

Na stole stała w połowie opróżniona butelka wody. Chwycił ją i wypił jednym haustem. Na parę sekund zamknął oczy, próbując się skoncentrować.

* To * powiedział, wskazując na listę * spis osób, które ubiegały się lub aktualnie ubiegają o uzyskanie koncesji na obszarze, na którym bracia Cul*pepper mają teraz wyłączność na wykorzystywanie bogactw naturalnych?

* Właśnie tak, polisi Olsen. * Fy starał się nie patrzeć na niego. Nie był zainteresowany widokiem jego bladego nagiego ciała.

* Wypisał pan wiele nazwisk i nazw firm.

* Zrobiłem to bardzo dokładnie. Jeśli spojrzy pan na pierwszą firmę, to widać, że w zeszłym tygodniu złożyła podanie o przejęcie koncesji, gdyby firma JFC miała się wycofać. *

Akcentował każde słowo. * I, polisi Olsen, ta firma chce zaoferować całkiem sporą sumę za taką koncesję.

Skarphedin skinął głową. * Co z pozostałymi na liście?

* To osoby i firmy, które w swoim czasie konkurowały z JFC o przyznanie koncesji, ale wtedy przegrały. Mimo to pozostawiły swoje podania na wypadek, gdyby JFC miała się wycofać.

* OK, OK. * Skarphedin był zirytowany. * A jak pan myśli, kto z tej listy zostanie wybrany, jeśli koncesja będzie miała zostać przyznana?

* Myślę, że mogę panu dać pewną odpowiedź, polisi Olsen. To firma, które znajduje się na liście pod numerem jeden. Z całym szacunkiem, oferują spore sumy i bardzo dogodne warunki. Indonezyjski rząd i lokalne władze nie zawahają się...

* Dobrze. Jasna odpowiedź. Skoncentrujemy się więc na tej firmie. Ma pan jakieś nazwiska? Tutaj jest tylko nazwa Eastern Syccorian Com*pany, w skrócie Easyco, i data.

* Po drugiej stronie kartki zanotowałem jedno nazwisko i dwa numery telefonu. To nazwisko adwokata firmy w Singapurze. Wykorzystując swój autorytet, dwa razy rozmawiałem z tym adwokatem przez

telefon. Nie chciał mi jednak udzielić informacji o osobach, które zarejestrowały firmę.

* Do cholery, tak być nie może! * Detektyw uderzył pięścią w stół i gwałtownie podniósł się z krzesła. * Proszę, komendancie, znów zająć to miejsce. W tym czasie, gdy ja będę się przebierał, znowu skontaktuje się pan z tym adwokatem i wykorzystując wszelkie możliwe środki, da mu pan do zrozumienia, iż natychmiast musi nam udzielić informacji o właścicielach firmy. Jeśli nie, to w ciągu dwudziestu czterech godzin odwiedzi go dziesięciu*dwunastu norweskich i indonezyjskich policjantów oraz armia prawników, którzy na mocy prawa międzynarodowego od razu pozbawią go możliwości wykonywania zawodu! Szef policji Albapung Fy przełknął ślinę.

Z wahaniem usiadł na krześle.

Z niedowierzaniem spojrzął na telefon.

* Zaczynaj pan! Wracam za kilka minut. * Olsen zabrał mokre ubrania i zniknął.

Chwilę później stanął pod prysznicem. Ciepła woda spływała po jego ciele. Zaskoczony spostrzegł, iż ma gęsią skórę. Spędził w kabinie parę minut.

Fredric Drum siedział nad papierami, kiedy do pokoju wszedł Skarp*hedin. Przez ostatnie pół godziny próbował odszyfrować pismo rongo*ron*go. Ale jego myśli wciąż krążyły wokół sprawy wujka.

* Zakładam, że siedzisz tu i myślisz! * Olsen wciąż miał zachrypnięty głos. Fredric spojrział na wujka. Zamrugał i znów na niego spojrział. Nigdy wcześniej go takim nie widział. Jego spojrzenie było płonące, szare policzki jeszcze bardziej zapadnięte niż zwykle, a zmarszczki głębsze. Jego kark, szyję i czoło pokrywały małe ranki, otarcia i bąble po ukąszeniach owadów. Czyżby wuj zmierzał ku upadkowi?

* Co...

* Właśnie wziąłem prysznic i czuję się tak zdrowy i pełen energii, jak nigdy wcześniej! * przerwał mu Skarphedin. * A Hans Mercur Elfhammar jest w buszu, przybity do ściany i bez głowy!

Fredric Drum otworzył usta.

* Tak, nie żyje. Większość ludzi ma dziwną skłonność do umierania tutaj, w tym piekle na ziemi!

* Co... Co się stało?

Skarphedin usiadł na łóżku i streścił Fredricowi, jak spędził ostatnie kilka godzin. Mówił cicho, piskliwym głosem.

* Ty zielone migoczące * diabelstwo * zakończył. * Ziemia tutaj może być pełna szmaragdów i ktoś się o tym dowiedział.

Fredric podszedł do niego. Położył dłoń na jego ramieniu i powiedział:

* Odpocznij przez jakąś godzinę, wujku. Potrzebujesz tego. Godzina w jedną czy drugą stronę nie może mieć większego znaczenia, a ja mogę...

* Nie, nie możesz! * przerwał mu Skarphedin i gwałtownie zeskoczył z łóżka. * Nie ma mowy o żadnym odpoczynku, zanim nie znajdziemy Pedera! Jak poszło na poczcie?

Dowiedziałeś się czegoś o tym zakichanym fakcie?

* No cóż... * Fredric zrozumiał, że nie ma sensu próbować przekonywać wujka. * Istnieje tylko jedno logiczne wyjaśnienie sprawy z faksem, a nie wiem, czy mam odwagę ci o nim powiedzieć.

* Co masz na myśli? * Olsen od razu stał się czujny.

* Otóż chodzi mi o to, że nie pamiętam, by na fotografiach nadesłanych do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i przesłanych do KRIPOS był numer telefonu nadawcy. Skąd więc wziął się ten numer? Kto powiedział, że faks został wysłany z poczty?

* Urzędnicy z ministerstwa oczywiście. * Skarphedin uniósł teraz bardzo wysoko brwi.

* Właśnie. Czy jest więc możliwe, że ktoś z ministerstwa miał jakiś interes w ukryciu prawdziwego numeru nadawcy i zastąpieniu go tym z poczty?

Krzyki brzmiały w jego głowie. Gardło miał suche. Zrozumiał, że i tak nikt nie mógłby go usłyszeć poza Głosem. Gdzie teraz podział się Głos? Nie słyszał żadnych kroków. Nie widział butów. Co robi Głos, jeśli powie o kasecie? Wyzna, gdzie ją ukrył? Teraz dokładnie to pamiętał. Miał w głowie obraz pokoju, łóżka i umywalki, a pod nią, za rurami...

* Ziemia jest pełna błyszczących zielonych kamieni szlachetnych, jerimiahu! Czekają na nas, niesamowite bogactwo, jeśli to dobrze rozegramy i wykurzymy stąd tych Amerykanów, rozumiesz?

Kaseta mówiła do niego, a obraz w jego głowie był bardzo wyraźny. Stał w ciemnościach, za drzwiami, i nasłuchiwał. Każde słowo, które padło, zostało zapisane na taśmie.

* Norweg z odciętą głową. Ha ha ha! Jak myślisz, kto zostanie obwiniony?

Pamiętał wszystko, co było na kasecie, a nawet więcej. Powoli pojawiało się coraz więcej obrazów. Nagle drgnął. Musi uciec! Musi się stąd wydostać! Ciało jednak nie słuchało. Był związany. Dlaczego nie czuł przytrzymujących go rzemieni?

Usłyszał kroki. Ciężkie, złe, zbliżające się kroki.

Buty zatrzymały się kilka centymetrów od jego głowy.

Zamknął oczy.

* Wkrótce nastąpi koniec * powiedział Głos. * Teraz spróbujemy po raz ostatni, prawda? Kiedy Skarphedin Olsen i Fredric Drum zeszli do jadalni, spotkali tam spoconego, ale szeroko uśmiechniętego szefa policji.

* Okazało się, polisi Olsen * zaczął * iż mocne słowa, które wypowiedziałem do адвоката firmy Easyco, odniosły pożądany skutek. * Pomachał kartką. * Zanotowałem tu nazwisko właściciela firmy.

Skarphedin wyrwał kartkę z jego ręki i przeczytał zapisane tam nazwisko. Potem zmrużył oczy i zdecydowanie pokręcił głową. Jakby czegoś nie rozumiał. To nazwisko? Co to mogło znaczyć? Gorączkowo zaczął grzebać w teczkach, które leżały na stole. Zawierały dokumenty, które przywiózł ze sobą z Norwegii. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Spoglądał na nazwisko, które dostał od szefa policji, i na dokument, który trzymał przed sobą.

* Niech mnie szlag, ale masz rację, Fredricu! * prychnął i podał mu kartkę.

Potem odepchnął Alpapunga Fy na bok i spoglądając na zegarek, złapał za telefon. W Norwegii było chyba trochę po ósmej rano. Wybrał numer i po chwili miał na linii szefa KRIPOS, Arthura Krondala. Przez następne kilka minut mówił przesadnie powoli na wdechu. Kiedy skończył, oparł się wygodniej i spojrzał na Fredrica.

* Jasna cholera, myślę, że miałeś rację * powiedział. * Ale jest jednak coś, co nie do końca się zgadza...

* Myślę, że wiem, o co ci chodzi * odparł Fredric. * Zastanawiałem się trochę nad tym nazwiskiem, kiedy przeczytałem je po raz pierwszy, ale wiesz, że nazwisko bardzo łatwo zmienić...

Nie dane mu było dokończyć.

Zadzwoił telefon.

Skarphedin chwycił za słuchawkę.

* Tak? Olsen, słucham. Co? Zniknął? Gdzie, do diabła... Tak. Zostań tam. * Odłożył słuchawkę.

* To Sara Enghall * powiedział. * Alban Trossig gdzieś zniknął. Wziął samochód Elfhammara i odjechał. Sara się martwi.

Fredric nie odpowiedział.

* Komendancie! * krzyknął Skarphedin. * Niech pan tu natychmiast przyjdzie!

Alpapung Fy nic nie zrozumiał z ich rozmowy, gdyż mówili po norwe*sku. Stał zadowolony w recepcji, częstując się świeżym i pachnącym chlebem kokosowym. Przybiegł i postawił tacę z* wypiekami na stole. Skarphedin spojrzał ze złością na jedzenie.

* Niech pan wezwie komando wojskowe, i to w te pędy! * powiedział, biorąc kawałek ciasta.

* Czas na pracę w terenie!

W tym momencie usłyszał hamulce samochodu zatrzymującego się przed hotelem. Trzasnęły drzwiczki i do recepcji wbiegł jakiś człowiek, którego nigdy wcześniej nie widział. Niski, o szerokiej twarzy i jasnych lokach, które opadały mu na czoło. Wydawał się bardzo poruszony. Jego buty i spodnie były oblepione brązową ziemią. Rozglądał się dokoła, jakby się znalazł w jakimś obcym świecie. Widząc ludzi w jadalni, wbiegł tam i krzyknął po norwesku:

* Jesteście policjantami z KRIPOS, prawda?! * Patrzył na Skarphedina i Fredrica. *

Zdemolowaliście nasze biuro, ale mniejsza z tym, nic na mnie nie macie. Facet zwariował. Zupełnie stracił rozum. Zabije nagiego człowieka. Chyba Norwega. Na wzgórzu!

odeszli od starych metod zabijania

W jadącym z tyłu wojskowym jeepie siedziało pięć osób. Przed nimi jechał w wypożyczonym samochodzie Rolf Hakkeng. Wskazywał drogę. Skarphedin zacisnął zęby i zazgrzytał nimi. Siedział pomiędzy szefem policji Albapungiem Fy i pozbawionym mimiki twarzy sierżantem. Na przednich siedzeniach było jeszcze dwóch wojskowych w brązowo*żółtych mundurach i solidnie uzbrojonych. Raz jeszcze próbował pojąć to, co Hakkeng powiedział im przed paroma minutami w hotelowej jadalni.

Przez wiele dni, a zwłaszcza nocy, Rolf Hakkeng śledził mężczyznę. Był pewien, że coś kombinuje i że chodzi o coś lukratywnego, ale nie wiedział, co to było. Nocami mężczyzna wyjeżdżał na wzgórza z motyką i łopatą. Hakkeng cały czas podglądał go z ukrycia. Czyżby kopał w poszukiwaniu *złota? Starał się dowiedzieć, czego szukał, gdyż mężczyzna, którego zdążył już poznać, gonił za wielkimi i łatwymi pieniędzmi, zresztą kto dziś tego nie robi? Jednak dzisiaj, parę godzin temu, poszedł za nim do jednego z opuszczonych domów w buszu. Zakradł się w pobliże i przez szparę w ścianie zajrzał do środka. Leżał tam ten człowiek. Związany i niemal bez życia. Gdyby nie wiedział, że pierwszy policjant, który został tutaj przysłany z KRIPOS, został zamordowany, przysięgłby, że to właśnie on. Był jednak pewien, iż to Norweg, bo słyszał język. Hakkeng zrozumiał, że mężczyzna ma zamiar zabić biedaka, więc czym prędzej wrócił do miasta, gdzie zastał własne biuro zdemolowane. Porządnie się zdenerwował. Czy w tym miejscu istnieje coś poza oszustwami, złem i wyzyskiem? To przeszło wszelkie granice. Nawet dla niego, człowieka, który już wiele w życiu doświadczył. Dlatego postanowił ich powiadomić, aby szaleniec został pojmany. Jeden Bóg wie, czego szukał! Jednak to, co zobaczył w domku, było tak straszne, że nie mógł oddać tego słowami. Dlatego przyjechał, ale najprawdopodobniej jest już za późno.

Za późno. Skarphedin próbował normalnie oddychać. Albapung Fy robił, co mógł, aby wykazać się zdecydowaniem i poczuciem odpowiedzialności. Przydzielono mu uzbrojone komando złożone z oficera i dwóch szeregowych, którzy od razu pojawili się w hotelu. Poszło całkiem szybko i sprawnie. Teraz szef policji bawił się swoją wypolerowaną bronią służbową i z natężeniem wpatrywał się w mijany krajobraz. Hakkeng jechał krętymi i błotnistymi drogami w górę zbocza. Niech to szlag, pomyślał Skarp hedin. Nie tak dawno temu jechał tędy z Albanem Trossigiem. Spojrzał na zegarek. Za niecałą godzinę zapadnie zmrok. Ciemna jak smoła noc.

Hakkeng zjechał na skraj drogi i zatrzymał samochód.

Samochód wojskowy stanął za nim.

Rolf Hakkeng wyskoczył z pojazdu i pokazał palcem.

Między krzakami stał zaparkowany pojazd. Prawie niewidoczny.

Skarphedin od razu rozpoznał samochód.

* Gdzie to jest, do cholery? * spytał. Hakkeng położył palec na ustach.

* Jakieś dwieście*trzysta metrów stąd. Prowadzi tam ścieżka. Może byłoby dobrze zachować ciszę, tak by... Jeśli jeszcze nie... * urwał, a potem szybko dodał: * Ale ja nie idę. Nie jestem żadnym cholernym żołnierzem!

Skarphedin nie odpowiedział. Podbiegł do szefa policji, który trzymając w prawej ręce gotowy do strzału pistolet, wreszcie wygramolił się z samochodu.

* OK, komendancie * powiedział. * Może pan opuścić broń. Pan i Hakkeng zostanieie tutaj. Czy sierżant mówi po angielsku?

* Niewiele. Kilka słów, ale rozumie. * Fy starał się nie wdepnąć w kałużę.

Skarphedin wyjaśnił szefowi policji, co ma zamiar zrobić, a on przekazał to żołnierzom. Ci bez wahania od razu ustawili się po bokach Norwega, który znakami, gestami i jednosylabowymi słowami dał im do zrozumienia, że mają w ciszy pójść za nim. Pobiegł ścieżką, a żołnierze za nim. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Ptaki. Ruszył dalej wolniej, z większą ostrożnością. Odchyłał gałęzie i patrzył przed siebie. Jasna cholera, jak daleko

jeszcze, zastanawiał się. Czy nie przeszli już prawie trzystu metrów? Nagle dotarli do polanki. Skarphedin ukrył się za krzakiem i dał znak żołnierzom, aby także znaleźli jakąś kryjówkę. Dom na palach z tarasem, do którego prowadziły schody.

Niemal taki sam jak ten, w którym przebywał Elfhammar.

Zamknął oczy i skrzywił się.

Przed jego oczami pojawił się obraz pozbawionego głowy naukowca.

Nie miał do czynienia z człowiekiem.

Ale z bestią, i to najgorszego rodzaju.

Poczuł, że serce wali mu jak oszalale.

Co mógł teraz zrobić? Kazać żołnierzom przystąpić do szturmu? Przez chwilę miał wątpliwości. To byłoby zbyt ryzykowne, gdyby ta świnia zrozumiała, że walka jest przegrana, a Ungbeldt wciąż by żył. Nie chciał popełnić żadnego błędu. Przyjrzał się terenowi wokół domu. Z tyłu było jezioro, które sięgało aż do samego budynku. Było prawie całkowicie porośnięte glonami. Dochodziła stamtąd istna kakofonia dźwięków. Żaby? Na prawo był las. Może powinien okrążyć dom i podejść do niego pod osłoną lasu? Czy zrobi to wystarczająco szybko? Coś się tam teraz dzieje, pomyślał.

Nagle usłyszał, że stojący za nim żołnierze odbezpieczyli broń. Ktoś ukazał się w drzwiach na tarasie. W dłoni trzymał długi na metr nóż.

Nóż był zakrwawiony.

Upuścił go obok drzwi.

Potem rozpiął rozporek i wysikał się z tarasu.

Struga moczu nie zdążyła jeszcze sięgnąć ziemi, gdy Skarphedin wyskoczył i krzyknął głosem, z którego posiadania nie zdawał sobie sprawy:

* Jeśli ruszysz się choćby o milimetr, zostaniesz zastrzelony!

W mgnieniu oka rozpoznał tę osobę.

Alban Trossig stał spokojnie.

Fredric Drum bardzo martwił się o wuja, kiedy ten opuścił hotel, kategorycznie zabraniając mu przyłączenia się. W pośpiechu rzucił Fredricowi plik dokumentów i notatek z prośbą, aby je przejrzał, i jeśli chciałby coś zrobić, to tam jest numer telefonu do Krondala. Martwił się, bo wuj, który miał dość choleryczne usposobienie, teraz zachowywał się wręcz flegma*tycznie. Może nabawił się jakichś poważnych chorób tropikalnych, sądząc po rankach i śladach ukąszeń insektów widocznych na jego ciele. Co się stanie, jeśli Skarphedin stanie oko w oko z mordercą i znajdzie swego kolegę martwego? Starając się odpędzić te ponure myśli, zajął się przeglądaniem notatek, które wuj mu zostawił.

To były dane osobowe.

Przebywających tutaj Norwegów i Szweda.

Znalazł to, co interesowało go najbardziej, i przeczytał konkluzję Skarphedina: zbyt mało informacji na temat tego, czym zajmował się dotychczas w Norwegii, ale nic nie wskazuje na działalność przestępczą. Póki co niewielkie znaczenie.

Fredric Drum zadumał się.

Dlaczego to nazwisko?

Nowe nazwisko. Czy to ten sam człowiek?

Dwa nazwiska?

Jeden z dokumentów przysłanych z ministerstwa był podpisany tym samym nazwiskiem. Przez chwilę zawahał się. Jak Krondal zareagowałby na jego telefon? Nie zastanawiał się nad tym długo. Szef KRIPOS podniósł słuchawkę i cierpliwie wysłuchał pytań Fredrica. Obiecał oddzwonić, kiedy tylko zgromadzi odpowiednie informacje, co powinno szybko nastąpić. Firma Eastern Syccori Company była bardzo blisko przejęcia koncesji po wycofaniu się JFC*Culpepper, a jeśli Skarphedin miał rację, że występują tutaj wielkie pokłady

szmaragdów, to motyw staje się bardzo wyraźny. Im więcej Fredric o tym myślał, tym bardziej był przekonany. Poczul gęsią skórę na karku i plecach.

Wymyślono zatem straszny plan.

Popelnione z zimną krwią zabójstwa były środkiem do celu.

Kto był w stanie zrobić coś takiego?

Znów spojrzal na nazwisko, na nazwiska.

Fredric był zaniepokojony. Raz po raz spoglądał na zegarek. Od chwili, gdy detektyw i reszta wyjechali z hotelu, upłynęło ponad dwadzieścia minut. Zamówił u kobiety w recepcji parę butelek wody i zaczął pić. Czy Skarphedin zdąży? Co z tym Hakkengiem? Czy naprawdę znalazł Ung*beldta? Wydawał się wiarygodny, ale gdzie podział się jego wspólnik, Carl Christian Ender? Z tego, co zrozumiał, ich firma Irian Limbtrade Export rozpadła się w ciągu ostatnich dni. Po tym, co się zdarzyło, nielegalny handel drewnem z chronionego lasu deszczowego skończy się. Kiedy znów zerknął na zegarek, zadzwonił telefon. Szybko podniósł słuchawkę.

To szef Centrali Policji Kryminalnej.

Teraz nie był już taki spokojny.

To, co mu powiedział, było ostatnimi elementami układanki.

Nazwiska zyskały sens.

Skarphedin otarł pot spływający mu do oczu. Patrzył jakby przez mgłę. Czy dobrze widzi? Czy to Trossig? Tak, to Alban Trossig. Stał zupełnie spokojnie z pochyloną głową, zapinając rozporek. Detektyw mocno potrząsnął głową. Znów zaczął wyraźniej widzieć. Dał znak stojącym za nim żołnierzom, aby opuścili broń, a potem ruszył w stronę domku. Zatrzymał się pod schodami i krzyknął zachrypłym głosem:

* Alban?

Aktywista nagle pochylił się i Olsen zobaczył, że wymiotuje. Wbiegł po zmurszałych schodach na werandę i klęknął obok chłopaka.

* Co ty, do cholery, Albanie... Co ty... * Spojrzal ku zamkniętym drzwiom. Czyżby ze środka dochodziły jakieś dźwięki?

Skarphedin nagle wstał. Wywalił drzwi silnym kopniakiem i wpadł do tonącego w półmroku pustego i nadgniłego pokoju.

Pod ścianą leżał człowiek z głową opartą na zakrwawionej piersi. Bez życia. Palce jego otwartej dłoni były zastygłe w śmiertelnym skurczu. Po drugiej stronie pokoju zauważył jakąś postać przywiązaną do desek rzemieniami. Mężczyzna był nagi i poruszał głową, próbując ją unieść. Skarphedin usłyszał zachrypiałą, piskliwy głos:

* Pod umywalką... Tylko włóż tam rękę...

* Peder? * Jego głos był ledwie słyszalny.

Fredric zamyślił się, a potem wziął długopis, czystą kartkę i zapisał imiona i nazwiska:

Tor Henry Astviner, 37 lat

Tor Henry Lindbom, 37 lat

Finn Edwin Lindbom, 35 lat

Urodzili się w Hokksund, ale ich rodzina przeniosła się później do Drammen. KRIPOS pod kierunkiem Arthura Krondala bardzo szybko zebrał istotne informacje. Finn Edwin Lindbom był zatrudniony w Ministerstwie Spraw Zagranicznych od dwóch*trzech lat. Szybko piał się po szczeblach kariery. Teraz był sekretarzem, a w pewnych sytuacjach także rzecznikiem ministerstwa. W tej sprawie był pośrednikiem między ministerstwem a Centralą Policji Kryminalnej. Od samego początku miał wgląd do akt, a także dostęp do raportów i faksów oraz nadsyłanych przez aktywistów istotnych informacji.

Fredric pomyślał, iż łatwo mu było podać błędny numer faksu. Nie znał wprawdzie wewnętrznych procedur obowiązujących w ministerstwie, ale tak przypuszczał.

Tor Henry Astviner i Tor Henry Lindbom to jedna i ta sama osoba. Mężczyzna zmienił nazwisko nieco ponad pięć lat temu, ale teraz wykorzystał swoje stare nazwisko do zarejestrowania firmy Easyco. Fredric zastanawiał się dlaczego. Najprawdopodobniej po to, aby nikt tutaj nie dostrzegł jego związku z tą firmą. Finn Edwin Lindbom i Tor Henry Astviner byli więc braćmi. Razem stworzyli straszny plan, aby uzyskać kontrolę nad tutejszymi złożami. Tym razem nie chodziło jednak o lasy deszczowe, ale o to, co znajdowało się pod ziemią. Rzucając podejrzenia o zamordowanie aktywisty Jana Vennaliego na mafię drzewną, spowodowali, że opinia publiczna skupiła się na tej formie przestępczej działalności. W Norwegii jeden z braci, oficjalnie rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, dolewał oliwy do ognia, formułując ostre wypowiedzi na temat ignorowania przez niektóre kraje problemu niszczenia lasów deszczowych. Fredric ze zdumieniem czytał przefaksowane do Skarphedina nagłówki najważniejszych norweskich gazet. Finn Edwin Lindbom rzeczywiście nie przebierał w słowach. Poza tym Astviner wiedział o nieporozumieniach między braćmi Culpepper, dlatego łatwo mu było rozwiązać ten problem, a co za tym idzie, usunąć ze swej drogi Irian Limbtrade Export, firmę Endera i Hakkenga, i tym samym przejąć kontrolę nad całym interesującym go terenem. Jednak nie wszystko było jasne.

Istniało parę sprzeczności.

Sposób, w jaki mordowano ofiary.

Odcinanie głowy.

Czy jest jakieś logiczne wytłumaczenie tego?

Chcieli pewnie nawiązać do aktów zemsty ze strony lokalnej ludności, niewidocznych cieni, które pod osłoną nocy odbierały życie najeźdźcom i niszczycielom z zachodniego świata, ale taką teorię można było łatwo

przejrzeć! Skarphedin od razu ją odrzucił. Czy bracia to przewidzieli? Kiedy pochwyca Astvinera, poznają odpowiedzi.

Astviner. Nazwisko brzmiało nordycko.

Z tego, co pamiętał, było to jedno z określeń boga Tora.

Fredric wstał z krzesła i wyjrzał na ulicę.

Niecierpliwie spojrzął na zegarek.

Niedługo miną trzy kwadransy od ich wyjazdu.

Lada moment zacznie się ściemniać.

Co się tutaj dzieje?

Jakim człowiekiem jest ten Tor Henry Astviner, skoro mógł się posunąć do takiego okrucieństwa? Fredric był szczęśliwy, że ma taki zawód, który nie zmusza go do analizowania tego, co drzemie w człowieku. Akurat teraz najchętniej znalazłby się w zupełnie innym miejscu. Czuł, jakby był tu już całą wieczność, mimo że przybyli do tej małej miejsciny Tanjung na północnym wschodzie Nowej Gwinei dopiero dwie doby temu. Nagle zauważył mrugającą lampkę faksu. Wkrótce pojawiła się kartka.

Chwycił ją i przeczytał.

Od Arthura Krondala.

Szczegółowe informacje na temat Tora Henry'ego Astvinera.

Fredric czytał, kiwając wolno głową.

Skarphedin Olsen pochylił się nad leżącym na podłodze mężczyzną. Peder Ungbeldt. Żyje!

Śledczy zerwał rzemienie i uwolnił ciało kolegi, które wydawało się zupełnie bezwładne.

* Peder, do cholery! To ja, Skarphedin!

Spojrzenie Pedera było nieobecne. Jego twarz była oblepiona czymś zielonym i śluzowatym. Skarphedin rozpoznał słodkawy zapach, który pamiętał z pokoju Sary Enghall. Rozejrzał się dokoła. W kącie zobaczył stos liści. To roślina, którą opisał Elfhammar. Czyżby Ungbeldt był

pod jej wpływem? Oczyszczył twarz kolegi najlepiej, jak potrafił. Była poraniona i pełna siniaków. Jego wargi były suche i popękane.

* Dobry Boże. To ja, Skarphedin, rozumiesz?! Zabierzemy cię stąd. To już koniec. *
Próbował unieść głowę Ungbeldta.

* Nie idę... Głos... Z kasety... Nie wiem... * Jego głos był piskliwy i zachrypnięty.

Do środka weszło dwóch żołnierzy. Trzeci, pozbawiony mimiki twarzy sierżant, został na werandzie z bronią wycelowaną w głowę Albana Trossiga, który cały czas wymiotował. Detektyw krzyknął coś po norwesku, czego żołnierze nie zrozumieli. Wreszcie dał im jakoś do zrozumienia, że mają ostrożnie podnieść Ungbeldta i zanieść go do samochodu. Byli młodzi i zerkali z przerażeniem na zakrwawione ciało po ścianę. W końcu podeszli do Ungbeldta i podnieśli go. Jego nagie ciało było zupełnie bezwładne. Znieśli go ze schodów, a potem zniknęli w buszu. Olsen jeszcze przez chwilę pozostał w domku. Mrużąc oczy, rozglądał się dokoła. Poza trupem Tora Henry'ego Astvinera i kupką zielonych liści, w pomieszczeniu niczego nie było. Prawie niczego. W zagłębieniu w jednej z desek dojrzał małe urządzenie, które momentalnie rozpoznał.

Odtwarzacz.

Mały odtwarzacz Pедера Ungbeldta.

Wziął go i schował do kieszeni.

Potem ze złością kopnął stos liści.

Spojrzał na nieżyjącego Norwega.

* Masz to, na co zasłużyłeś! * syknął.

Wreszcie wyszedł z domku i wskazując ścieżkę, dał sierżantowi znak, by sobie poszedł. Ten zrozumiał i ruszył. Alban Trossig podniósł głowę, kiedy Skarphedin podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu, i powiedział cicho:

* Zabiłem go, świnię, zabiłem go.

* Tak, zabiłeś * Skarphedin spojrzał na leżący przy wejściu zakrwawiony nóż * ale teraz wstań. Musimy już iść.

* Zabiłem go * powtórzył Alban, wstając. * Chciał zabić mężczyznę, który leżał na podłodze, więc wbiłem mu nóż w plecy. Ja nie myślałem...

* Dobrze, że nie myślałeś, Albanie. * Pomógł chłopakowi zejść ze schodów i ruszyli razem w stronę samochodów.

* On zabił Jana, mojego kolegę. Zabił też Hassego, który wszystkim tak dobrze życzył. To była bestia, panie Olsen. * Mówił cicho, ale dosadnie.

* Był bestią, Albanie * potwierdził Skarphedin.

Zauważył, że wcale nie czuje jakiegokolwiek niepokoju w związku z tym młodym mężczyzną, który przed chwilą wbił długi nóż w plecy innego człowieka, przebijając go na wylot.

* Jak tu trafiłeś?

* Pojechałem za Astvinerem, kiedy opuścił miasto. Nagle naszła mnie taka myśl.

Powinienem być panu powiedzieć, ale po prostu za nim pojechałem. Zaparkowałem jeepa jakieś sto metrów stąd w górę drogi.

* Dobrze. Nie będziemy teraz więcej o tym rozmawiać. Jest parę rzeczy, których muszę się dowiedzieć, ale mogą poczekać.

* Czy ja zostanę... * Alban Trossig zatrzymał się i odwrócił do Skarphedina.

* Jasna cholera, człowieku! Oczywiście, że nie. To był przecież akt samoobrony. * Na twarzy detektywa pojawił się nagle szeroki uśmiech.

Dotarli do drogi.

Peder Ungbeldt został położony na tylnym siedzeniu samochodu Rolfa Hakkenga, który stał teraz, kaszłając, spluwając i mocno kręcąc głową. Szef policji Albapung Fy szybko potruczał do Skarphedina.

* To wielka radość, że pana człowiek został odnaleziony żywy, polisi Olsen. Z całą pewnością nasi najlepsi lekarze go wyleczą, ale co zrobimy z tym strasznym mordercą? * spytał, wskazując Trossiga.

* Mordercy, drogi szefie policji, tutaj nie ma. Leży martwy w chatce. * Wskazał w kierunku, z którego przyszli. * Wytłumaczę panu wszystko później. Teraz musimy w te pędy zawieźć polisi Ungbeldt do szpitala!

Alban stwierdził, że jest w stanie pojechać swoim jeepem, który zaparkował nieco wyżej, za zakrętem. Przez chwilę Skarphedin się wahał, ale w końcu skinął głową.

* Pojedź prosto do hotelu i zaczekaj tam na mnie. Aha, zadzwoń do Sary, by wiedziała, gdzie jesteś. Zrozumiano? * Zajął miejsce w samochodzie Hakkenga. Komendant Fy usiadł w wojskowym jeepie.

Ciemność szybko zapadła.

Rolf Hakkeng zaklął, zakasłał i uruchomił samochód. Skarphedin cały czas spoglądał na tylne siedzenie, Peder Ungbeldt leżał z zamkniętymi oczyma.

* Pieprzona malaria * powiedział Hakkeng, znów zakasłał i otarł pot. * Cieszę się, że stąd wyjadę. Ta przygoda miała swoją cenę!

* Nie wątpię * odparł krótko detektyw.

Nawet Rolf Hakkeng nie potrafił wzbudzić w Skarphedinie jakichkolwiek negatywnych emocji. Obserwował mijany krajobraz. Drzewa, które powoli zmieniały się w ciemne cienie, wzgórza, które stawały się szare i czarne, roje owadów, które przyciągnięte przez światła reflektorów, przypominały spadające płatki śniegu. Poczul ciepło napierające mu na głowę i zrozumiał, że ssanie, bolesne ssanie w żołądku, które dokuczało mu przez ostatnie dni, zaczyna ustępować.

Szpital był mały, ale wydawał się czysty. Peder Ungbeldt został umieszczony w pokoju, w którym leżało już czterech innych pacjentów. Minęła ósma wieczorem. Skarphedin wstał z łóżka, szykując się do wyjścia. Niczego więcej nie mógł już tutaj zrobić. Ungbeldta zbadało trzech lekarzy. Póki co nie odkryli żadnych poważnych obrażeń, ale miał wiele brzydkich ukąszeń owadów i dość wysoką gorączkę, co prawdopodobnie było skutkiem malarii. Lekarze zalecili podawanie chininy i chlorochiny. Olsen poczuł wielką ulgę, kiedy opowiedział lekarzom o roślinie, na której działanie pacjent był chyba dość długo narażony. Lekarze powiedzieli mu wtedy, że jeśli tak było, to znaleźli powód braku czucia i zaburzeń świadomości, na które pacjent cierpiał. Ta roślina mogła właśnie w ten sposób oddziaływać na ludzi. Ten stan nie jest jednak chroniczny i wszystkie normalne funkcje organizmu powrócą. To może jednak potrwać.

Ungbeldt spał.

Skarphedin stanął przy łóżku i patrzył na kolegę.

W chwili przytomności Ungbeldt rozpoznał go.

* Czy to ty, Olsen? * zapytał.

Następnego ranka zarekwirowano helikopter, który miał przewieźć Ungbeldta do większego szpitala w Jayapurze. Komendant Albapung Fy wykorzystał swą władzę i autorytet, które były całkiem znaczące, by to zorganizować.

Fredric ledwie poznawał wuja. Zmiana była zauważalna. Teraz siedział po drugiej stronie stołu w restauracji „Ulabaya Tuak” i sączył wino. Był świeżo ogolony i miał na sobie czystą koszulę. Większość zmarszczek na jego twarzy wygładziła się, a usta raz po raz składały się do uśmiechu. Była dziesiąta wieczorem, ostatni wieczór ich pobytu tutaj. Sprawa została rozwiązana.

Po powrocie Skarphedina ze szpitala przez parę godzin w jadalni wiele się działo. Detektyw odbył dłuższą rozmowę z Albanem Trossigiem, który był bardzo poruszony swym czynem, ale po chwili uspokoił się. Skarphe*din wmówił mu, że najprawdopodobniej uratował życie policjanta. Pojawiła się Sara Enghall i wraz z Albanem postanowili spakować rzeczy i jak

najszybciej wrócić do Norwegii. Majori polisi Gumali Albapung Fy prezentował się z dumą córce właściciela hotelu, wdowie, zanim do niego dotarło, że ma jeszcze jedno zadanie do wykonania, a mianowicie przewiezienie dwóch ciał z dżungli do kostnicy. Skarphedin powiedział wyraźnie, że ma to zrobić tego wieczoru. Rolf Hakkeng siedział cicho w kącie, zerkając na wszystkich spode łba. Wypił pięć*sześć butelek piwa, przeklinając cały świat i w ogóle życie.

* Przez chwilę myślałem, że jestem na zupełnie złym tropie * powiedział Skarphedin i zanurzył marynowaną w imbirze krewetkę w sosie sago * że za tym wszystkim stoją ludzie, o których istnieniu nie wiedziałem. Na szczęście myliłem się, a Alban Trossig był aktywistą w pełnym tego słowa znaczeniu. Poza tym wykazał się odwagą. Jak pamiętasz, opowiedział nam, jak szpiegował Endera i Hakkenga oraz braci Culpepper.

* Tak, słyszałem, co powiedział * odparł Fredric i z przyjemnością wypił kilka łyków wyśmienitego wina z Nowej Zelandii. * Zaprezentował także całkiem niezłą galerię zdjęć z walk świń, z Carlem Christianem En*derem w centrum. Gdzie w ogóle podział się Ender?

* Prawdopodobnie podkulił ogon i zwiął do domu * wymamrotał detektyw. * Rolf Hakkeng był w każdym razie wyraźnie zły na współnika, że zniknął, nic mu nie mówiąc. Wracając jednak do naszego przyjaciela Trossiga...

* Prawdopodobnie uratował Pederowi życie. * Skarphedin zamknął oczy. * Alban Trossig nagle na coś wpadł, kiedy od nich wyszedłem i znalazłem te kamienie. Zapytałem ich, czy uważają, że ktoś jeszcze mógł o nich

wiedzieć, ale oni stwierdzili, że nie. Alban przypomniał sobie jednak pewien epizod, kiedy to Elfhammar chciał przetestować właściwości znieczulające i halucynogenne naszej rośliny.

Hans Mercur Elfhammar najwyraźniej był bardzo łatwowiernym człowiekiem i nawiązał znajomość z Astvinerem. Pewnego wieczoru byli razem w jego gabinecie. Alban słyszał głośny śmiech i jakiś bełkot. Myślał, że za dużo wypili, ale okazało się, że naukowiec testował działanie rośliny, i to pod okiem Astvintera! Fredric skinął głową. Słuchał.

* Prawdopodobnie Elfhammar stał się bardzo gadatliwy i opowiadał, co mu ślina na język przyniosła * kontynuował Sclarphedin. * Krótko mówiąc, zdradził się, że odkrył bogactwo ukryte w ziemi na tutejszych wzgórzach. Szmaragdy. Pewnie właśnie wtedy w głowie Astvintera zaczął kiełkować straszny plan.

* Rozumiem. * Fredric znów skinął głową.

* Kiedy Alban Trossig przypomniał sobie o tym, nie zawahał się. Wyszedł z domu i zobaczył, że Aswiner wsiada do samochodu i odjeżdża. Pojechał za nim. Nie muszę powtarzać, co potem się działo. * Olsen poprosił mister Toma o kolejną butelkę wina.

* To, co mnie dziwi * powiedział Fredric po chwili * to fakt, że Astvi*ner został zdemaskowany jakby z trzech stron jednocześnie. Rolf Hakkeng, który go szpiegował nocami i poszedł za nim do tej chatki, gdzie odkrył, że kogoś tam przetrzymuje, Alban Trossig, który nagle przypomniał sobie coś ważnego i od razu przystąpił do działania, oraz ty, który zdemaskowałeś go dzięki podaniu o koncesję złożonemu przez firmę Easyco.

* Ale my dotarlibyśmy tam zbyt późno, aby uratować Ungbeldta.

* Czy znalazłeś w ogóle czas, aby przyjrzeć się temu dokładnie? * Fredric wyjął z kieszeni kartkę. Faks, który nadesłał Krondal.

* Nie, nie dałem rady. Pokaż! * Chwycił kartkę i przeczytał na głos. *Tor Henry Astviner, gruntowne wykształcenie wojskowe z dobrymi wynikami i opiniami, pominąwszy kilka epizodów nadużycia przemocy, zmienił nazwisko, kiedy jako żołnierz najemny zgłosił się do służby w Południowej Ameryce, w obszarze granicznym pomiędzy Peru, Brazylią i Kolumbią. Po trzech latach wrócił do Norwegii, gdzie wraz z bratem Finnem Edwinem Lindbomem odkupił rodzinną posiadłość w Drammen, którą wcześniej odebrano im za długi. Założył firmę doradczą, o której działalności nic nie wiadomo. Podejrzenia o skrajnie nacjonalistyczne sympatie. Informacje udzielone przez wywiadownię KRIPOS.

Skarphedin spojrział znad kartki. Odłożył ją. Długo kiwał głową,

* Tenpopapraniebyłświetnieprzeszkolonywtortuowaniuuludzi,pewnie także w ścinaniu głów nożami używanymi w dżungli! * powiedział.

* Jego nazwisko Astviner... * powiedział Fredric. * Nagle uświadomi

łem sobie, że to jedno z imion nordyckiego boga Tora. Zatem to prawicowy ekstremista, ale wygląda na to, że jego brat jest członkiem i rzecznikiem znaczącej partii politycznej.

* Lepiej nie wiedzieć, jakie motywy narodziły się w głowie tego faceta z ministerstwa * prychnął Skarphedin. * Teraz czeka go w każdym razie udzielanie odpowiedzi na wiele pytań.

* Ich plan nie powiódł się dzięki dwóm rzeczom * powiedział spokojnie Fredric. * Po pierwsze, przez sprawę z faksem, a po drugie przez to, iż Peder Ungbeldt ukrył kasetę.

* Właśnie. Mam dla ciebie niespodziankę, z którą czekałem do tej chwili, ale zajmijmy się najpierw faksem. Szybko ci tutaj poszło, Fredricu! * W jego oczach pojawił się błysk.

* Zrozumiałem, że osoba, która otrzymała faks, musiała podać fałszywy numer nadawcy.

Innymi słowy, musiał to zrobić ktoś z ministerstwa *powiedział Fredric. * Teraz wiemy, że to

był element planu braci. Lindbom miał podać numer urzędu pocztowego z Tanjung jako numer nadawcy faksu ze zdjęciami ciała Pedera Ungbeldta. Astviner musiał mu powiedzieć,

że to całkowicie bezpieczne. Faks na pocztę był wykorzystywany przez wiele osób, i to

skierowałyby śledztwo na fałszywy ślad, gdyby policjanci próbowali znaleźć osobę, która

tego ranka coś wysyłała. Uważam, że zdjęcia zostały nadane z prywatnego faksu Astvintera.

Żaden z braci nie wiedział jednak, iż pocztowy faks został skradziony i nie było go w

urzędzie w chwili nadania zdjęć. Ergo podany przez ministerstwo numer telefonu musiał być niepoprawny.

* Właśnie. * Skarphedin wyczyścił talerz do końca i wypił porządny łyk wina. * A teraz wreszcie posłuchamy.

Długo grzebał w kieszeni.

Najpierw wyjął kasetę.

Potem postawił na stole lśniące urządzenie.

Mały dyktafon Ungbeldta.

Jego ręce lekko drżały, kiedy umieszczał w nim kasetę, ale dał sobie radę. Zamrugało zielone światelko. Nacisnął przycisk i taśma zaczęła się kręcić. Przez następną godzinę siedzieli w ciszy i słuchali.

Najpierw głos Ungbeldta. Mówił o swym zadaniu.

Potem przesłuchanie Sary Enghall i Albana Trossiga.

Następnie Carla Christiana Endera i Rolfa Hakkenga.

Angielski * Justin Culpepper.

Jeszcze raz angielski * Ferdinand Culpepper.

Hans Mercur Elmammar.

Potem ktoś nieznanym, po angielsku.

Następnie podsumowanie Ungbeldta.

Większość informacji uzyskanych w czasie tych przesłuchań była znana Skarphedinowi i Fredricowi. Nic nowego. Nic, co mogłoby dać od

powiedz na pytanie, dlaczego aktywista Jan Vennali został zamordowany. Czy to wszystko?

Taśma kręciła się, ale niczego już na niej nie było. Nagle jednak coś usłyszeli. Ktoś oddychał, jakieś drapanie, słabe głosy, które po chwili stały się bardziej donośne. Wyostrzyli słuch:

* Trzymaj głowę na kłódkę. Mówię ci to dlatego, że jeśli trochę pomożesz, zarobimy niezłe pieniądze. To ja go znalazłem. Zjechał z drogi. Jeep leżał w rowie. Idiota zjechał z drogi.

* Nie żył, kiedy go znalazłeś?

* Tak, znalazłem go martwego. Idiota zjechał z drogi. Tak było. Jan Vennali. Wiesz, o kim mówię? Leżał tam, a ja akurat tamtędy przejeżdżałem. ZAamał kark. Zimny trup.

* Ale przecież głowa była...

* Zamknij się i słuchaj, co ci powiem, człowieku! Właśnie tam i wtedy w mojej głowie pojawiły się zarysy planu. Przez jakiś czas zastanawiałem się, jak zdobyć prawo do tego, by kopać w tutejszej ziemi, otworzyć kopalnię, i nagle uświadomiłem sobie, co mógłbym zrobić. I zrobiłem to, a to może uczynić z nas bogaczy. Dostaniesz swoją część, wierz mi. To będzie prawdziwa fortuna!

* Skoro, jak powiedziałaś, chodzi o szmaragdy...

* Wiem, o czym mówię. Elfhammar, ten idiota, mamrotał coś o zielonych kamieniach pod ziemią, które są o tysiąc razy bardziej wartościowe niż to, co rośnie na ziemi. Dał mi nawet próbkę do przeanalizowania!

* Co zrobiłeś z chłopakiem?

* Wyciągnąłem go z samochodu i ukryłem. Następnego wieczoru odciąłem trupowi głowę i umieściłem go w dobrze widocznym miejscu, wiesz gdzie. Ha ha! Sam widzisz, jakiego narobiłem hałasu! To koniec branży drzewnej!

* Tak więc to nie ty zabiłeś biedaka?

* Nie, do cholery, to nie ja! Ja tylko odciąłem mu głowę i wrzuciłem ją do jeziora z krokodylami. Ziemia jest pełna zielonych migoczących kamieni szlachetnych, Jerimiahu! Czeka na mnie, na nas, niesamowite bogactwo. Jeśli dobrze to rozegramy, przegonimy tych Amerykanów i sprawimy, by pewne władze odpowiednio zareagowały, rozumiesz? Przygotowałem już podanie o koncesję, w którym obiecuję spore łapówki. Tutejsze władze nie odmówią. Norweg z odciętą głową, ha ha ha. Jak myślisz, kogo za to obwinia? Norweski śledczy może spakować walizkę i wrócić do domu!

* Drzwi są otwarte. Komary wlatują do środka.

* To je zamknij, do cholery!

Taśma przez chwilę szumiała, a potem rozległ się głos Ungbeldta:

* Rozmowa między Norwegiem, Torem Henrym Astvinerem, i Holendrem, Jerimiahem Verkeuterenem, nagrana w portowej uliczce kiva*drans po trzeciej, 24 marca.

Skarphedin Olsen i Fredric Drum spojrzeli na siebie.

* Zatem Astviner nie zamordował Jana Vennaliego. * Fredric chwycił kieliszek z winem.

* To tłumaczy ostatnią rozmowę telefoniczną, jaką odbyłem z Ung*beldtem. Robił wtedy wrażenie, że sprawa jest rozwiązana, a pojmanie sprawcy okaże się proste. Mężczyzna nie był przecież mordercą. Astvi*ner zostałby oskarżony tylko o zbezczeszczenie zwłok. Ungbeldt sądził, że wszystko pójdzie jak z płatka.

* Ale jak... * Fredric zamyślił się. Parę elementów układanki znalazło się na swoim miejscu, ale pewne sprawy wciąż były niejasne.

Skarphedin nie odpowiedział. Długo patrzył przed siebie. Butelka z winem była już pusta.

Przywołał jedną z kelnerek. Kawa i jeszcze jedna butelka wina? Fredric skinął głową.

* Myślę, że wiem, co sprawiło, że Astviner stał się bestialskim mordercą. * Skarphedin chrząknął. * Mogę spróbować naszkicować pewien scenariusz.

* Zrób to, wujku * zachęcił go Fredric.

Skarphedin sięgnął do wewnętrznej kieszonki i wyjął dwie podkładki pod kufle. Położył je na stole obok dyktafonu.

* "Ty zielone migoczące * diabelstwo" i "Polisi. Ik verdien 5000 rupiah, jahh!"* powiedział, wskazując na podkładki. * Sądzę, że te dwie podkładki są znaczące dla tego scenariusza. Obie pochodzą z pubu przy plaży.

Detektyw znów chrząknął, nim zaczął kontynuować.

* Punkt 1: Tor Henry Astviner zupełnie przypadkiem dowiaduje się od Elfhammara, że tutejsza ziemia może kryć spore pokłady szmaragdów. Nie ma jednak pozwolenia na ich poszukiwanie czy wydobywanie. Bracia Culpepper mają koncesję na cały teren, aż po góry. Przypadkowo znajduje martwego aktywistę. Jak właśnie usłyszeliśmy z kasety, w jego głowie rodzi się plan. Kontaktuje się z bratem, który jest w samym centrum ministerstwa, i szkicuje

mu plan. Pozycja Lindboma pozwala mu rozdmuchać pewne fakty i skupić uwagę opinii publicznej na nielegalnym wyrębie będących pod ochroną lasów deszczowych. Finn Edwin w Oslo, Tor Henry tutaj. Obaj w świetnej sytuacji. Astviner obcina Vennaliemu głowę i umieszcza trupa w dobrze widocznym miejscu. Dramat się rozpoczyna.

*Punkt 2: Śledczy KRIPOS, Peder Ungbeldt, zostaje tutaj wysłany. Dostaje wsparcie w postaci dwóch lokalnych policjantów: Annego Bolipo*ma i Goriona Sena. Śledztwo nie posuwa się aż do chwili, kiedy we wtorek około trzeciej podsłuchuje rozmowę między Jerimiahem Verkeuterenem i Astvinerem. Holender zostaje wtajemniczony w plany Aswinera, gdyż

jest mu potrzebny pomocnik z wątpliwą przeszłością, ale który ma także wiele kontaktów i lokalnych znajomości. Śledczy podsłuchuje i nagrywa rozmowę oraz informuje o niej swych dwóch pomocników, a potem odwiedza „Bar u Albyssona”. Tam zapisuje swe przemyślenia na podkładce pod kufel. Pech chce, że jeden z policjantów, Gorion Sen, spędza ten wieczór w barze w towarzystwie Jerimiaha Verkeutereana. Policjant oczywiście nie ma pojęcia, z kim pije. Sen zdradza Holendrowi, o czym Ungbeldt się dowiedział, i mówi mu o nagraniu oraz o tym, kiedy ma nastąpić aresztowanie. Verkeuteren spodziewa się wdzięczności Astvinera za informacje w postaci 5000 rupii. Zapisuje to na podkładce, którą zabiera ze sobą. Skarphedin zrobił krótką przerwę. Zwiłzył gardło winem.

* Zgadasz się?

* Tylko jedno pytanie * odparł Fredric. * Pojmanie Astvinera i Holendra najwyraźniej miało nastąpić wieczorem następnego dnia. Dlaczego Ungbeldt czekał ponad dobę?

* O tym nic nie wiemy. Peder pewnie miał swoje powody. Być może słyszał o tym, że Astviner i Holender mieli się spotkać o jakiejś konkretnej porze. Może coś nie znalazło się na kasecie? To ma jednak mniejsze znaczenie. Mam kontynuować?

Fredric skinął głową.

* Punkt 3: Teraz zaczyna się prawdziwy dramat. Verkeuteren oczywiście od razu opowiada Astvinerowi, co Gorion Sen mu powiedział o kasecie, i o tym, kiedy policjant będzie chciał ich aresztować. Astviner uświadamia sobie, iż jego plan może spełznąć na niczym, dlatego zaczyna szybko działać. Najpierw próbuje upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: najprawdopodobniej przy pomocy Holendra porywa Goriona Sena w nocy z wtorku na środę. Zabierają go do tartaku, mordują i przywiązują do kłody drewna, a dzień później policjant trafia pod piłę. Gorion Sen jest już unieszkodliwiony, a jednocześnie udaje im się przypuścić poważny atak na działalność braci Culpepper. Jednak Ferdinand Culpepper okazuje się kuty na cztery nogi i sama działa bez skrupułów. Próbuje zakamuflować to, co zdarzyło się w tartaku, obwieszając, że doszło do wypadku przy pracy, którego ofiarą padł jeden z pracowników. Wtedy jednak w najemnym żołnierzu Astvinerze na dobre budzi się żądza krwi. Musi się pozbyć także norweskiego śledczego, ale nie może go zamordować, zanim się nie dowie, czy Ungbeldt nie jest w posiadaniu jakichś świadczących przeciwko niemu dokumentów, i co się stało z kasetą. Asndner i Verkeuteren zastawiają w środowy wieczór pułapkę w portowej uliczce, o tej godzinie, o której mieli się pojawić policjanci. Szybko dają sobie radę z Bolipomem, którego bezgłowe ciało zostaje później odnalezione. Ungbeldt prawdopodobnie zostaje ogłuszony. Co dokładnie się stało, nie wiem, ale Ungbeldt zostaje wywieziony z miasta w miejsce, w którym jego buty zostają zabrudzone brązowym błotem, ukryty i rozebrany.

Punkt 4: Pozbawiony skrupułów i działający z zimną krwią Astviner uświadamia sobie, że realizacja jego planów może nabrać tempa. Oczywiście pijak Holender zbyt wiele wie, dlatego ginie tej samej nocy, jak sądzę, a jego zwłoki zabójca umieszcza w dobrze widocznym miejscu przy kamieniu w porcie. Bezgłowe ciało ma ubranie i buty Ungbeldta, jego portfel oraz legitymację. Teraz następuje prawdziwa eskalacja. Zwłoki Holendra mające uchodzić za ciało śledczego z KRIPOS zostają sfotografowane i przesłane faksem do

norweskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w czwartek rano. Tam odbiera je brat Astvinera, Lindbom. Zdjęcia zostają przefaksowane w momencie, kiedy wielu ludzi korzysta z pocztowego faksu. Dlatego też Lindbom podaje numer poczty jako numer nadawcy. Z pewnością usunął prawdziwy numer z dziennika poczty przychodzącej do ministerstwa, a jeśli się nie mylę, to ten numer był numerem faksu Astvinera. Jednak norweska telekomunikacja ma swoje metody działania i prawdziwy numer z pewnością wkrótce się pojawi.

* Nie potrafię zrozumieć * przerwał mu Fredric * że gdy brat poinformował Lindboma o tym, co się stało, ten się na to zgodził. Przecież to straszne rzeczy w porównaniu z bezczeszczeniem zwłok!

* Nie dowiemy się tego, zanim nie zostanie przesłuchany, ale możemy przypuszczać, że po ataku na Ungbeldta bracia odbyli długą i gorącą rozmowę. Wiemy jednak, iż w przypadku powodzenia ich planu czekały ich ogromne zyski. * Skarphedin wzruszył ramionami. * Mam dokończyć?

* Tak * odparł Fredric.

* Punkt 5: Astviner włamuje się do pokoju hotelowego Ungbeldta w nocy ze środy na czwartek. Wiemy przecież, jak w pewnych godzinach łatwo jest przemknąć niezauważonym obok recepcji. Znajduje dyktafon, ale nie kasetę. To zmusza go do utrzymywania Ungbeldta przy życiu do chwili, dopóki nie dowie się, gdzie jest kaseeta. Wie o substancji, która rozwiązuje ludziom języki. Przekonał się o jej skuteczności u Elfhammara. Potem my przybyliśmy, ale Astviner nie widział w nas większego zagrożenia. Pomyślał pewnie, iż dla przeszkolonego żołnierza najemnego detektywi z Centrali Policji Kryminalnej nie mogą być groźni. Poza tym nasze przybycie jeszcze bardziej zwróciło uwagę na nielegalny wyrąb drewna. Okrutny i cyniczny Astviner postanawia zabić także Elfhammara. Boi się, że naukowiec mógłby sobie przypomnieć, co mu opowiedział o złożach szmaragdów. Wreszcie nikt już nie wie, co kryje tutejsza ziemia. Nikt poza nim i bratem.

* A Rolf Hakkeng nie znał plotek o szmaragdach?

* Hakkeng nic nie wiedział, ale przypuszczał, iż Astviner był na tropie czegoś wielkiego. . * Skarphedin wypił ostatni łyk wina. Na jego wzrok kładła się już szarość.

* Dziwią mnie trochę te fotografie, które miały przedstawiać Ungbeldta. * Fredric nie do końca był usatysfakcjonowany. * Dlaczego dla Astvinera tak ważne było wysłanie ich do Norwegii?

* Tak, to było bardzo ważne* odparł Skarphedin. * Wszystko musiało potoczyć się bardzo szybko! Cała Norwegia, cały świat natychmiast musiał się dowiedzieć o okropnościach, jakie mafia drzewna tutaj wyczyniała. Norweski śledczy zamordowany! Sam zobacz, jak Lindbom świetnie to rozegrał z prasą! Astviner nie miał zaufania do lokalnej policji i jej umiejętności szybkiego reagowania. Nie wierzył, że bezzwłocznie poinformuje Norwację. Było jednak coś jeszcze. Miało dojść do zawarcia bardzo znaczącego kontraktu między braćmi Culpepper i Enderem/Hakkengiem z jednej strony oraz chińskim importerem reprezentowanym przez Chińczyka z naszego hotelu, Teng Fung Li, z drugiej. Jeśli umowa zostałaby podpisana, strony tak łatwo nie dałyby za wygraną. Dlatego Astvinerowi tak bardzo się śpieszyło, aby rzucić podejrzenia na działalność JFC. W jedynej rozmowie, jaką z nim odbyłem, był na tyle bezczelny, że wskazał Amerykanów jako winnych zbrodni.

* Wiele brutalnych czynów w tak krótkim czasie. * Fredric ziewnął. * Świat bywa okrutny.

* A pewnie będzie jeszcze gorzej. * Detektyw wezwał personel. Chciał zapłacić. * Nie wierzę, iż sukces aktywistów potrwa długo. Wkrótce pojawią się nowe sępy.

* Prawdopodobnie * zgodził się Fredric. Skarphedin odliczył rupie i położył je na stole.

* Jeszcze jedno. * Fredric wstał. * Co się zdarzyło na arenie walki świń? Kto zatroszczył się o to, aby Ferdinand Culpepper...

Skarphedin spojrzał na niego surowo.

* Na to pytanie są trzy możliwe odpowiedzi. Jeśli dobrze się zastanowisz, z pewnością znajdziesz wszystkie trzy. Nigdy jednak nie będziemy mieli pewności. Ale pamiętaj o jednym: autochtoni raczej nie kultywują tradycji obcinania głów swoim wrogom. Fredric Drum zamknął się w pokoju. Było już po północy. Skarphedin miał jeszcze parę rzeczy do zrobienia w jadalni przed położeniem się do łóżka, jak powiedział. Fredric podszedł do stołu i nieco niedbale zajął się przeglądaniem swoich notatek dotyczących pisma rongo*rongo.

Niezbyt daleko zaszedł.

Jednak żaden z badaczy tego pisma nie dotarł dalej.

Chwycił ostatnią z propozycji.

Najlepszą.

Jest wielu w (dolinie?), w której walczy wielki (król) i gdzie brat (bliźniak) jest (był?) przyjacielem/wrogiem walka (nadejście) i zwycięzca powstanie żaden brat (bliźniak) nie ujrzy słońca (światła?).

Brat, pomyślał, przyjaciel/wróg. Żaden z braci nie ujrzy słońca/światła. Lasu nie ma. Ziemia nie żyje. Wyspa Wielkanocna. Czy w tym przypadku także tak musi być?

Skarphedin Olsen zakończył dość krótką, lecz treściwą rozmowę z szefem Centrali Policji Kryminalnej, Krondalem. Specjalny samolot medyczny przewiezie Pедера Ungbeldta z Jayapury do Norwegii tak szybko, jak to możliwe. Przez chwilę posiedział ze słuchawką w dłoni, a potem mocno potarł oczy i włożył czystą kartkę do maszyny do pisania.

Zaczął pisać.

Pisał przez całą godzinę.

Szło mu powoli.

Teraz wszystko toczyło się wolno.

Kiedy wreszcie skończył, złożył razem kartki i wsunął je do koperty. Zakleił ją. Przez chwilę grzebał w swoich teczkach, aż znalazł adres, który zapisał na kopercie. Potem zgasił światło i udał się do pokoju. Zamknął za sobą drzwi na klucz i rozebrał się. Długo stał przed umywalką, przyglądając się w lustrze swemu chudemu, blademu ciału. Niedbale podrapał się wokół trzech okrągłych plam, egzemy, która nigdy nie zniknęła z jego piersi, a potem usiadł na łóżku.

Nagle na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

Znów wstał.

Znalazł pozołkłą teczkę z wycinkami z gazet i zdjęciami.

Lara Drum Olsen.

Fredric Drum starszy.

Potem długo grzebał w torbie podróżnej i wyjął ćwierć litra białego wina sauterne, a także zawiniątko zapakowane w dwie dobrze zaklejone plastikowe torebki. Kiedy je otworzył, w pokoju rozszedł się ostry i bardzo silny zapach.

Ser stilton, dojrzały.

Odlamał dwa kawałki i włożył do ust.

Zamknął oczy i zamlaskał.

Wypił kilka małych łyków wina.

Zmarszczki na jego twarzy niemal zupełnie się wygładziły.

12

W plecaku są też baterie do latarki.

Fredric Drum spotyka bardzo starą kobietę,
a Skarphedin Olsen chce tylko zerknąć

Fredric był bardzo zaskoczony, kiedy tego przedpołudnia wuj, który zdążył już wrócić ze szpitala, gdzie się upewnił, iż stan Pedera Ungbeldta poprawia się i zostanie on bezpiecznie przewieziony do Jayapury, stanął w drzwiach do jadalni z najwyraźniej nowo zakupionym plecakiem na plecach. Od chwili, kiedy razem zjedli śniadanie, Skarphedin wydawał się nieobecny i tajemniczy. Wybełkotał coś o niezbędnym ekwipunku, po czym opuścił hotel i wrócił jakąś godzinę później.

* No, teraz jesteśmy dobrze wyposażeni na małą wycieczkę! * powiedział i zdjął plecak.

* Wycieczkę? * zdumiał się Fredric. * Samolot, który komendant zamówił specjalnie dla nas, odlatuje za jakąś godzinę.

* Posłuchaj, Fredricu. * Skarphedin podszedł do stołu, przy którym Fredric siedział, i rozłożył przed nim mapę. * To jest * powiedział i położył palec na mapie * Nowa Gwinea, coś zupełnie innego niż ta zadzumiona dziura tutaj! To właśnie tam pojechał twój pradziadek, a mój dziadek.

* Co, do licha, masz na myśli? * Fredric spoglądał na miejsce, które Skarphedin pokazywał.

* Góry Bandesi. Zrobiłem mały rekonesans, wiesz. To terytorium zamieszkuje plemię Korowajów*Batuenów, ale jeszcze dalej w górach żyją Sengaupeni, lud, o którym po dziś dzień niewiele wiadomo. Mówi się jednak, iż to plemię, ten lud, strzeże dostępu do świętej góry. Rozumiesz, do czego zmierzam, chłopcze?

* Nie, wcale nie * odpowiedział Fredric stanowczo. * Nie masz chyba zamiaru tam pojechać? Widzisz czerwone oznaczenie na mapie? To Zone Red, Czerwona Strefa, pod całkowitą ochroną...

* A właśnie, że mam taki zamiar! * Skarphedin podniósł się gwałtownie i spojrzał na niego hardo. * I nie wspomniesz o tym ani słowem naszemu dobremu Albapungowi Fy! * Wyszedł i pomaszzerował schodami na górę.

Fredric pozostał w jadalni. Mapa wciąż przed nim leżała. Spojrzał na plecak stojący pod ścianą. Co, do cholery, nie wracają do domu? Pojadą na wycieczkę? Coś zaczęło mu świtać w głowie. Czyżby Skarphedin cały czas miał taki plan? Chciał po rozwiązaniu sprawy pojechać tam, gdzie ich przodek, Fredric Drum starszy, zaginął ponad pół wieku temu? Stare wycinki z gazet i zdjęcia, które ze sobą zabrał, mogły na to wskazywać. Skąd zebrał wiedzę o tych plemionach? Pewnie wkrótce pozna odpowiedź na to pytanie.

Nietknięty ludzką ręką las deszczowy.

Czerwona Strefa.

Mieszkali tam autochtoni.

Plemiona.

Nieznane kultury.

Poczuł budzącą się w nim ciekawość. Nieznane kultury. Nieznane języki. Kichnął trzy razy. Odczuł jednak także niepokój. Taka wycieczka nie jest dla amatorów, a poza tym jaki jest jej cel? Zobaczyć jaskinię, w której zniknął dziadek? Pokręcił głową, ale ku swemu zdziwieniu poczuł, że nie będzie już tak bardzo protestował, jeśli Skarphedin będzie nalegał. To musi być oczywiście bardzo krótka wyprawa, gdyż nie zostali odpowiednio przygotowani fizycznie do dłuższego pobytu w tropikalnym lesie deszczowym, a poza tym zawartość plecaka Skarphedina raczej nie wystarczy na długo. Jak tam się dostaną? To pytanie tak bardzo zajęło Fredrica, iż silne przeżycia ostatnich dni zupełnie odeszły w cień.

Majori polisi Gumali Albapung Fy, odziany w swój nienaganny mundur, stał sztywno wyprostowany przy wojskowym pojeździe, który miał zabrać Skarphedina Olsena i Fredrica Drum na lotnisko. Jego okrągła twarz zdradzała dziecięcą radość, kiedy bawił się przypiętą do piersi plaketką z symbolami Pancasila, pięcioma fundamentalnymi wartościami dla każdego indonezyjskiego urzędnika. Myśli w głowie szefa policji były tego ranka łagodne, ale wyraziste. Uśmiechnął się szeroko, kiedy dwójka Norwegów pojawiła się z bagażami.

* To była, z całym szacunkiem, polisi Olsen * chrząknął, trzymając otwarte drzwi pojazdu * trudna sprawa, ale zdołaliśmy ją rozwiązać dla dobra obu naszych krajów.

* Tak, naprawdę daliśmy radę * odparł Skarphedin z zadowoleniem i wrzucił bagaż do samochodu. * A z tego, co zrozumiałem, pan nie wraca z nami do Jayapury?

* Cóż... * Albapung Fy lekko się zaczerwienił, kiedy spojrzał w stronę recepcji. * Otóż, polisi Olsen * kontynuował z lekkim wahaniem * obowiązki każą mi tu zostać jeszcze dzień lub dwa. Można się zastanowić, czy to miasto nie potrzebuje jednak jakiegoś posterunku policji, choć wojskowi...

* Wspaniale, komendancie. * Skarphedin stanął przed Fy i przyjrzał mu się. * Mądry wniosek. Proszę mi jednak powiedzieć jedno: pan pochodzi z Sumatry, prawda?

* Tak, polisi Olsen. Mam tam matkę, dwóch braci i siostrę. * Sprawiał wrażenie trochę zmartwionego.

* Właśnie. * Przez moment Skarphedin wydawał się onieśmielony, kiedy wyjął z wewnętrznej kieszonki kopertę i wręczył ją szefowi policji. * To * powiedział * raport, który napisałem dla naszego drogiego przyjaciela, ministra sprawiedliwości, pana Gigawattiego. Zawiera pełen opis pana znaczącej pomocy w naszej pracy tutaj. Poza tym napisałem także pewne zalecenie w imieniu norweskiego KRIPOS, więc jeśli będzie pan chciał się ubiegać o przeniesienie do innego dystryktu, na przykład na Sumatrę, pana podanie zostanie pozytywnie rozpatrzone.

Albapung Fy patrzył na kopertę, którą trzymał w dłoni. Przełknął ślinę i spojrzał na Skarphedina. Otworzył usta, by coś powiedzieć, i wreszcie wybąkał:

* Ale... Po lisi Olsen, to...

* W porządku * przerwał mu detektyw i podał mężczyźnie rękę. * I chcę, aby pan wiedział, że jakakolwiek próba ataku na chroniony las deszczowy przez nieuczciwe zagraniczne czy indonezyjskie firmy sprawi, że przyjadę tutaj osobiście i pociągnę winnych do odpowiedzialności. Mam gdzieś, jakie metody przyjdzie mi wykorzystać!

* Tak, ma pan to gdzieś, tak, polisi Olsen * powiedział pośpiesznie Fy i mocno uściśnął rękę Skarphedina. * Teraz życzę panu i polisi Drum przyjemnej podróży.

* Bardzo dziękuję. * Skarphedin usiadł w samochodzie.

Fredric Drum także uściśnął rękę szefa policji, uklonił się i podążył za Skarphedinem. Samolot był jednosilnikową Cessna, która należała do małego prywatnego przewoźnika. Pilot ze zdumieniem spojrzał na mapę, którą Skarphedin wręczył mu razem z porządnym plikiem rupii, i zdecydowanie pokręcił głową. Najbliższe tego miejsca lądowisko znajduje się w małej miejscowości o nazwie Wamena, wyjaśnił kiepskim angielskim, a stamtąd będą już musieli sami dać sobie radę. W tej miejscowości z pewnością uzyskają jednak konieczną pomoc, stwierdził, chciwie przeliczając pieniądze. Za taką sumę nie miał nic przeciwko lotowi do Wameny zamiast do Jayapury. Fredric zawahał się chwilę, nim wsiadł do samolotu. Czy to naprawdę rozsądne? Wujek nie wydawał się jednak mieć jakichś głębszych przemyśleń na ten temat. Wkrótce wzbili się w powietrze i zaczęli lecieć nad lądem. Fredric spoglądał w dół.

Pod nimi było zielono.

Zielono, zielono, zielono.

Wzgórza, doliny i rzeki.

Wielkie połacie nietknięte ludzką ręką.

Kiedy po godzinie ujrzeli na horyzoncie wysokie góry, pilot pokazał palcem leżącą przed nimi dolinę, a w niej lądowisko. Wyjaśnił, że to właśnie Wamena. Nie chciał z nimi lecieć dalej. Jeśli jednak dopisze im szczęście, to w Wamencie na pewno są jacyś piloci, którzy będą mogli zawieźć ich jeszcze trochę dalej, do małej miejscowości o nazwie Yaniruma. Ci piloci świetnie znają okolice, ale nie wiadomo, czy akurat teraz w tej miejscowości stacjonują jakieś samoloty.

Fredric przyglądał się krajobrazowi poniżej.

Patrzył na małe lądowisko, do którego się zbliżali.

Po obu stronach gęsty las.

I rozsiane tu i ówdzie skupiska bambusowych chatek.

Samolot zatrzymał się i wyszli na zewnątrz. Od razu podbiegły do nich dwie osoby, gestykulując i głęboko się kłaniając. Fredric poczuł mocne uderzenie wilgotnego ciepła. Nasłuchiwał odgłosów dochodzących z dżungli. Nie mógł pojąć, dlaczego wuj nie pozbył się swego okropnego płaszcza gabardynowego, ale śledczy stwierdził, iż ten strój wspaniale sprawdza się jako ochrona przed różnego rodzaju owadami i innymi mało pożądanymi zwierzętami. Ciasno się nim owinał, stojąc przy samolocie i rozmawiając z pilotem. Cały bagaż podróżny poza plecakiem miał być przewieziony na lotnisko w Jayapurze i tam przechowywany. Pilot skinął głową i spytał, czy potrzebny im jakiś powrotny transport. Skarphedin otarł pot i rozejrzał się dokoła. Zauważył samolot stojący w przypominającym hangar budynku z pochyłym dachem. Uznali, że powrót stąd nie powinien być problemem, dlatego nie umówili się. Fredric przyglądał się mężczyznom, którzy podbiegli do samolotu. Wytatuowane twarze, ogromne futerały na penisy, w nosach świński kiel? Pióra we włosach i łańcuchy z muszli na szyjach. Mówili niezwykle szybko jakimś niezrozumiałym dla niego językiem. Wkrótce pojawiła się trzecia osoba, mężczyzna o jaśniejszej skórze, ubrany w szorty, poszarpaną koszulkę i słomiany kapelusz z szerokim rondem.

* Welcome to Wamena!* Otworzył usta, ukazując bezzębne dziąsła. *Potrzebujecie tłumacza?

Fredric Drum uniósł brwi, patrząc pytająco na Skarphedina. Detektyw wymamrotał coś niezrozumiałego, osuszając pot z czoła i patrząc na dwóch członków plemienia, kryte słomą chatki i wreszcie na mężczyznę w kapeluszu.

* Oczywiście, że potrzebujemy tłumacza! * powiedział i wyjął z kieszeni mapę.

Fredric wziął plecak, który pilot wyjął z samolotu. Był ciężki. Zastanawiał się, jaki to sprzęt wuj zakupił z myślą o ich wycieczce. Tymczasem Skarphedin gestykulował, rozmawiając z bezzębnym mężczyzną i pokazując mu coś na mapie, a po chwili wyjął kilka banknotów i wcisnął je w rękę tłumacza. Potem zostali poproszeni o to, by pójść za nim do budynku pełniącego rolę hangaru. Tam przyłączyło się do nich jeszcze więcej autochtonów, półnagich dzieci i mężczyzn, ale nie pojawiły się żadne kobiety. Skarphedin stanął w cieniu pod dachem hangaru, a Fredric podążył jego śladem.

* Będzie dobrze, Fredricu * powiedział Olsen i uśmiechnął się wymuszonym uśmiechem. * Wygląda na to, iż jest tu do dyspozycji paru pilotów. Poprosiłem tłumacza, aby po nich posłał. Jeszcze dzisiaj będziemy na miejscu.

* Na jak długi czas zaplanowałeś tę wycieczkę? * Fredricowi najwyraźniej od dawna planowana przez wujka wycieczka niezbyt się podobała.

* Zobaczmy, zobaczmy. Myślę, że jakieś kilka dni. * Nie patrzył Fredricowi w oczy. Fredric rozejrzał się wokół.

Uśmiechnął się i kiwnął głową do biegających w pobliżu dzieci.

Temperatura była bardzo wysoka, ale znośna.

Byli daleko w głębi lądu, w jego najzialszej zieleni.

Jakiś nastolatek przyniósł przywiązaną do pleców skrzynię. Zręcznie wyjął z niej butelkę wody mineralnej i wręczył ją Fredricowi, a on wyciągnął z kieszeni kilka banknotów i dał chłopcu do zrozumienia, że chce kupić cztery butelki. Podał jedną Skarphedinowi, który chciwie ją wypił.

* Co to znaczy, że jeszcze dziś będziemy na miejscu? * Głos Fredrica był surowy.

* Tak, na miejscu * odparł wuj i zmrużył oczu. * Nie słyszałeś, co pilot mówił o Yanirumie? Z tego miasteczka do świętej góry i plemienia Sen*gaup jest tylko pół dnia marszu.

* Przepraszam, wujku, ale powiedz mi, skąd masz te wszystkie informacje? Jesteś pewien, że dobrze to przemyślałeś? Dotrzeć tam tylko po to, aby...

* Zaufaj mi, chłopcze * przerwał mu Skarphedin. * Jak powiedziałem, zrobiłem małe rozeznanie. Przeczytałem między innymi dziennik niemieckiego antropologa, który odwiedził plemię Sengauw w tym samym roku, w którym zaginął mój dziadek, i to od nich dowiedział się, co się z nim stało. Ciesz się egzotyką, Fredricu, to nasza pierwsza i pewnie ostatnia okazja, by poznać Nową Gwineę.

* Tak więc już dawno to zaplanowałeś.

* Dawno jak dawno. Planowałem to chyba przez ostatnie trzydzieści lat. Fredric nie odpowiedział. Skoro ten plan dojrzewał w głowie Skarphedina od trzydziestu lat, dobrze byłoby to mieć już za sobą. Mimo to wciąż nie rozumiał, po co mają odwiedzić miejsce, w którym zaginął ich wspólny przodek. Jego rozmyślania przerwał młody mężczyzna, młodszy niż on sam, w towarzystwie tłumacza. Domyślił się, iż to jeden z pilotów.

Młody pilot pochodził z Nowej Zelandii.

Mógł ich zabrać do Yanirumy.

To zaledwie półgodzinny lot.

I zgodził się odebrać ich o umówionym czasie.

Skarphedin skinął głową z zadowoleniem. Uzgodnili cenę i kilka minut później znów lecieli w stronę gór na horyzoncie.

Był późny wieczór. Fredric Drum leżał na koi, a jego twarz i ręce przykrywała siatka chroniąca przed komarami. Ciemność wokół była nieprzenikniona. Jedynymi odgłosami, jakie słyszał, był lekki i miarowy oddech Skarphedina, który spał na koi po drugiej stronie pokoju, oraz kakofonia koników polnych, cykad i żab, dochodząca z dżungli za ścianami bambusowej chatki. Nie mógł zasnąć. Cały czas myślał o marzeniach wujka, aby zrealizować tę ekspedycję.

Dlaczego tak szybko?

Dlaczego nie po kilku dniach zadumy po tym, co się wydarzyło?

Przybyli do małej miejscowości Yanirumy, gdzie zostali przyjęci mniej więcej w ten sam sposób, jak w Wamenie. Tutaj także były osoby mówiące po angielsku. Przedstawiono ich wodzowi, który poza futerałem na penisa, tatuażami i spiłowanymi zębami miał wokół talii pas, do którego przymocowane były różne przedmioty, jak na przykład plastikowe freesbee, bardzo podniszczony magazyn pornograficzny z Nowej Zelandii i mosiężne dzwonki. Po tym, jak Skarphedin za pośrednictwem młodego chłopca, który mówił po angielsku, wyjaśnił wodzowi, dlaczego tutaj są i dokąd zmierzają, ten zaczął dość ostrą i głośną dyskusję z kilkoma członkami plemienia. Potem podano im miseczkę z czymś szarym do picia. Skarphedin i Fredric wypili tę substancję, nie okazując niechęci. Napój był słodkawy i mocny, działał znieczulająco na język. Potem Skarphedin musiał poświęcić jeszcze jeden plik rupii, zanim zostali skierowani do bambusowej chatki na skraju miejscowości, dokąd towarzyszyła im gromada dzieci. Ich pilot odleciał od razu po tym, jak uzgodnili, że ma po nich wrócić za dwa dni.

Pod bambusowym dachem Skarphedin wypakował plecak.

Z dumą wyjął dwie koje.

Poza tym dwie pary solidnych wyższych butów.

Noże i latarkę.

Siatkę przeciwko moskitom.

Torebki z ryżem, makaronem, orzeszkami, sago i hermetycznie pakowaną żywność.

Poza tym różne inne drobiazgi, które polecono mu w Tanjung, w sklepie pewnego Japończyka, który sprzedawał sprzęt niezbędny podczas wyprawy do dżungli. Skarphedin najwyraźniej był dumny z zawartości plecaka, którą wyłożył na podłodze chatki, w której mieli spędzić nadchodzącą noc. Fredric kiwał głową, ale mówił bardzo niewiele.

Później, po południu i wieczorem, przespacerował się po wiosce, przyglądając się życiu ludzi. Mieszkańcy wioski byli przyjaźnie nastawieni i uśmiechnięci. Cały czas oferowali mu różne pamiątki, owoce i warzywa do spróbowania. Wujek poprosił o rozmowę z wodzem, a po tej rozmowie, która wcale nie była łatwa, oznajmił Fredricowi, że przydzielono im przewodnika, który przeprowadzi ich przez dżunglę aż w poblizze rejonu zamieszkiwanego przez plemię Sengaup, ale ostatni kilometr dzielący ich

od góry będą musieli przebyć sami, bo żaden z członków plemienia nie chce spotkać Sengaupów. Detektyw nie miał pojęcia, jaki jest tego powód. Podróż może potrwać pół dnia, więc jeśli następnego dnia wyruszą

o wschodzie słońca, dotrą na miejsce o przyzwoitej porze. Tak sądził wódz i jego doradcy. Kiedy po rozłożeniu koi spożywali prymitywny posiłek złożony z pakowanej hermetycznie żywności, Skarphedin znów wyjął z bocznej kieszeni plecaka stare wycinki z gazet.

* Pewnie wielu rzeczy nie rozumiesz, Fredricu * powiedział tajemniczo. * Ta sprawa z dziadkiem męczyła mnie przez ostatnie lata. To coś więcej niż czysta ciekawość. To... cholera, nie wiem, jak to nazwać, coś więcej. Czy jesteś w ogóle świadom tego, jak bardzo przypominasz swego pradziadka? Widziałem wiele zdjęć z okresu jego młodości i twoje podobieństwo jest uderzające. Poza tym stary Drum otworzył w Paryżu restaurację, którą nazwał „La Casserolle”. Dziwne, nie?

* Cóż * odparł Fredric cicho. * Z tego, co pamiętam, to ty zaproponowałeś nazwę mojej restauracji.

Skarphedin nie odpowiedział.

Światło latarki padało na wycinek z gazety.

* Spójrz tutaj * rzekł Olsen z zapalem. * To wywiad, jaki przeprowadziła z nim gazeta „Morgenbladet”, zanim tutaj przyjechał. Odpowiedział wymijająco na większość pytań i był bardzo tajemniczy w kwestii celu swojej podróży.

* Przeczytałem ten wywiad * odpowiedział krótko Fredric. * Facet był podróżnikiem i tyle.

* Dobrze. * Skarphedin wydawał się trochę poirytowany. * Ale czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego przez ostatnie lata odczuwałem wielką chęć, aby przyjechać w to miejsce, w którym zaginął?

* To zupełnie irracjonalne. * Fredric wzruszył ramionami. Zapadła chwila ciszy.

* To ma coś wspólnego z tobą, Fredricu * powiedział wreszcie cicho Skarphedin. * Macie coś... * urwał.

Fredric siedział bez słowa.

Nie mógł temu zaprzeczyć.

Także on czuł wielką chęć, by tu przybyć.

Jakieś pragnienie, którego nie potrafił zidentyfikować.

Teraz leżał w ciemności i obracał się z boku na bok. Pierwszy raz w życiu starał się zasnąć na koi. Myśli krążyły mu w głowie, ale nie mógł w nich odnaleźć żadnej logiki. Myślał o sobie i wuju, detektywie KR1POS, Skarp*hedinie Olsenie. Żaden z nich nie miał bliskiej rodziny.

Wiedział, iż wujek wiele lat temu stracił żonę i córkę w strzelaninie, kiedy to jakiś szaleniec, do którego skazania Skarphedin doprowadził, postanowił się zemścić. Nigdy jednak o tym nie rozmawiali. Fredricowi wydawało się, iż wuj nie chce

wracać do tego traumatycznego wydarzenia. Skarphedin nadal pracował jako detektyw Centrali Policji Kryminalnej i należał do najlepszych policjantów. Mimo to przez ostatnie miesiące przed przyjazdem tutaj wydawał się mało zaangażowany w pracę i wiele czasu spędzał u Fredrica w „Kasse*rollen”, gdzie rozkoszował się dobrym jedzeniem i pićm. Skarphedin Ol*sen i Fredric Drum nigdy nie rozmawiali o swoim prywatnym życiu poza pracą i restauracją, i obaj byli z tego zadowoleni.

„Kasserollen”, współnik Tob, Torbjorn Tinderdal.

Nowa uczennica, Maya Manuella z Portugalii.

Fredric poczuł, iż jego serce bije nieco szybciej.

Wkrótce wróci.

Myśl o restauracji i przyjaciółach sprawiła, iż Fredric zaczął drzemać, ale nagle znów się rozbudził. Jak wiele tak naprawdę wujek musiał znieść? Znój ostatnich dni, które upłynęły mu na intensywnym i nieprzyjemnym śledztwie w sprawie makabrycznych morderstw, musiał wycisnąć na nim swoje piętno. Fredric wiedział, iż wuj pracował dzień i noc, a spał może z godzinę. Czy teraz śpi? Zaczął nasłuchiwać oddechu wuja. Raczej nie, pomyślał. Zanim doszło do przełomu w sprawie i poznali tożsamość mordercy, wuj wydawał się całkowicie zdeprymowany. Jego twarz była popielata, głos zachrypły, zmarszczki głębokie, a oczy lśniły gorączkowo. Czy mógł tak szybko dojść do siebie? Fredric miał wątpliwości, a przecież jutro mają wyruszyć w trudną i męczącą podróż przez tropikalną dżunglę, w warunkach, do jakich żaden z nich nie był przyzwyczajony. Nagle poczuł wielki niepokój i strach, że Skarphedin Olsen przecenia swoje siły. Czy jednak jest w stanie teraz go zatrzymać? Fredric obracał się z boku na bok, a ostatnim obrazem, jaki zapadł w jego świadomość, nim zasnął, było zdjęcie bezgłowego ciała opartego o kamień, kamień, na którym wyryto tajemnicze znaki. We śnie bezskutecznie starał się je odczytać.

Przewodnik nazywał się Olameg i znał parę słów po niemiecku. Skarphedin szybko skrócił jego imię do Ola. Chodził boso. Miał na sobie szorty i podniszczoną żółtą koszulkę, na której wciąż można było odczytać napis Schwarzwaldler Curling Team. Poza plecakiem Skarphedina niósł też skórzaną torbę.

Przez pierwsze godziny szli dość szeroką drogą, ale z biegiem czasu teren stawał się coraz trudniejszy do przebycia. Minęli bagna i dwa strumyki, chyba ruchome piaski i małe szczeliny skalne, od których przewodnik trzymał się z daleka. Fredric szedł z tyłu, próbując jak najwięcej chłonać. Dzięki gęstemu listowiu chroniącemu przed promieniami słońca i temperaturą było całkiem przyjemnie. Między drzewami fruwały rajskie ptaki. W koronach drzew chroniły się też małpy. Mógł je dojrzeć, kiedy niczym cienie przeskakiwały z drzewa na drzewo. Po dwóch godzinach Olameg zatrzymał się przy rzece, która płynęła dość wartko, i pokazał na usta. To oznaczało czas na jedzenie.

Fredric Drum usiadł na kamieniu i otarł pot.

Spoglądał na rzekę.

Most upleciony z lian umożliwił przejście na drugą stronę.

Skarphedin otworzył plecak i wyjął puszkę. Olameg odmówił poczęstowania się, wskazał na dżunglę i zniknął. Po kilku minutach wrócił ze zmurszałym kawałkiem pnia drzewa.

Wydlubał z niego białe, długie na kciuk larwy, które z szerokim uśmiechem położył na chleb sago. Skarphedin skinął głową z uznaniem.

* Ola z pewnością zjada zdrowy i pełnowartościowy posiłek, Fredricu * powiedział.

* Mam jedno pytanie. * Fredric Drum opróżnił puszkę solonego mięsa. * Jak znajdziemy drogę powrotną?

* Bez problemu. Wódz w Yanipurze stwierdził, iż jeśli damy Sengau*penom kilka baterii, oni z radością odprowadzą nas tak daleko, aż znajdziemy ścieżkę.

* Baterii?

* Tak, baterii. * Detektyw wskazał stopą jedną z kieszeni plecaka. *Mam jakies dziesięć*dwanaście baterii do latarki, wiesz. To najlepszy prezent, jaki Sengaupeni mogą sobie wymarzyć. Wykorzystują kwas z baterii do tatuowania się.

Następne parę godzin przedzierał się przez gęste krzaki. Musieli też pokonać rzekę, i to trzymając się tylko luźnej liany łączącej jej brzegi. Jakim cudem Olameg jest w stanie tutaj się orientować, zastanawiał się Fredric? Widoczność w lesie wynosiła zaledwie kilka metrów, ale przewodnik ani przez chwilę nie wydawał się mieć wątpliwości. Gabardynowy płaszcz

Skarphedina był po pewnym czasie cały poszarpany i w końcu musiał się go pozbyć. Opróżnił kieszenie z całej zawartości, pokręcił ze smutkiem głową i zawiesił go na krzaku.

Po paru godzinach przewodnik znów się zatrzymał.

Usiadł na pieńku.

* GeId * powiedział i wyciągnął rękę.

* Pieniądze? * zdumiał się Skarphedin. * Już dostał kwotę, na jaką się umówiliśmy.

* Nie wygląda na to, by miał zamiar iść dalej. * Fredric także usiadł.

Doszło do dość żywej, pełnej gestów i niewiele wyjaśniającej rozmowy między detektywem a przewodnikiem. Fredric rozumiał, iż Olameg chce rupii za pokonanie ostatnich kilometrów do wioski Sengaupenów. Nie mieli wyboru i Skarphedin prychając, wyjął kilka banknotów, którym przewodnik dokładnie się przyjrzał, zanim wreszcie skinął głową. Twarz wuja była poraniona, czerwona i pokryta pęcherzami po ukąszeniach owadów. Fredric owinął szyję i twarz chustą. Ruszyli w dalszą drogę, ale nagle

Olameg dał im znak, aby zachowywali się cicho. Uważał, aby nie nadebrać na żadną gałązkę. Fredric poczuł niepokój. Czyżby plemię Sengaupenów mogło być niebezpieczne? Niewiele rozmawiał na ten temat z wujkiem. Byli intruzami. Wkroczyli w świat, który powinien być chroniony. I nagle wezbrał w nim bunt. Nigdy nie powinien był na to się zgodzić! Dlaczego nie powstrzymał wuja przed tym szaleństwem? Bo, Fredricu, powiedział mu wewnętrzny głos, sam jesteś cholernie ciekawski! Poirytowany, zerwał chustę z głowy. Była przesiąknięta potem. Rzucił ją w pień drzewa. Teraz jest za późno, aby zawrócić.

Olameg znów się zatrzymał.

Przyłożył dłoń do ust i pokazał palcem.

Fredric i Skarphedin spojrzeli we wskazanym przez niego kierunku.

W miękkiej ziemi zauważyli ślady nagich stóp.

I coś, co mogło być ścieżką.

Przewodnik nie chciał iść dalej. Zdecydowanie pokręcił głową i założył ręce na piersiach, nie reagując na polecenia Skarphedina. Potem demonstracyjnie zdjął plecak, postawił go na ziemi i błyskawicznie zniknął w dżungli.

Fredric i Skarphedin stali w milczeniu.

Byli wyczerpani.

Detektyw zakasał ostrożnie.

* Jesteśmy chyba prawie u celu, Fredricu * szepnął.

* Wspaniale. Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak podążyć tą ścieżką. Wezmę plecak. *

Pochylił się i podniósł plecak. Założył go na plecy.

Powoli, bardzo powoli posuwali się do przodu. Skarphedin pierwszy. Nic nie mówili. Patrzyli w ziemię, idąc za śladami i nasłuchując. Słyszeli jednak tylko ptaki i żaby. Wiele razy mieli wątpliwości, któredy powinni pójść, ale udało im się nie zgubić ścieżki, która po jakimś czasie stała się szersza i bardziej widoczna. Las po obu stronach trochę się przerzedził. Od czasu do czasu poprzez liście widzieli zarysy wzgórz czy gór. Nagle Skarphedin zatrzymał się.

Przed nimi stała jakaś postać.

Fredric i Skarphedin siedzieli na ziemi w samym środku kręgu utworzonego przez piętnastu*dwudziestu mężczyzn. Za nimi siedziały kobiety i dzieci. Wszyscy patrzyli na obcych białych przybyszów, których przed kilkoma minutami przyprowadzono na otwarty plac między słomianymi chatkami. Gesty Sengaupenów dały im wyraźnie do zrozumienia, iż mają siedzieć spokojnie, co też uczynili. Nie ośmielili się nawet rozmawiać. Fredric zamrugał, aby pozbyć się napływającego do oczu potu, i ostrożnie postawił plecak na ziemi. Spojrzał na ludzi dokoła. Ich skóra była wyraźnie jaśniejsza niż skóra innych plemion, które widział. Byli też wyżsi. Wszyscy byli mniej lub bardziej nadzy, ale obwieszani różnego rodzaju ozdobami, głównie różnej wielkości i kształtu

kości. Ich piersi, ręce i twarze pokryte były tatuażami. Nieco przed pozostałymi siedział mężczyzna najwyraźniej należący do starszyny. Miał na głowie dość rzucającą się w oczy ozdobę. Fredric pomyślał, że to wódz. Czy ci ludzie wyglądają na niebezpiecznych? Nie miał pojęcia, ale, o dziwo, nie czuł strachu.

Mężczyźni cicho rozmawiali.

Fredric nasłuchiwał.

Język brzmiał dziwnie, niemal jak śpiew, było w nim wiele syczących dźwięków.

Wódz wskazał Fredrica palcem.

Rozmowa stała się głośniejsza. Mówili jeden przez drugiego.

Wszyscy zaczęli na niego pokazywać.

Co to mogło znaczyć? Nie musieli długo czekać, by się dowiedzieć. Nagle trzech mężczyzn wstało. Podeszli do niego i podnieśli, a potem zaczęli go dokładnie przeszukiwać. Dotykali też jego twarzy. Powiedzieli coś szybko do wodza, a ten warknął coś w odpowiedzi. Trwało to tak długo, że Fredric zaczął się czuć bardzo nieswojo. Czy oceniali jakość jego ciała?

Wreszcie znów mógł usiąść. Teraz wódz wykonał jakieś gesty, których znaczenia nie mogli nie zrozumieć * podniósł ręce, pokazując wewnętrzną stronę dłoni, a jednocześnie kiwał głową w tę i z powrotem. Czyżby na jego twarzy pojawił się uśmiech? Właśnie tak było. Krąg rozproszył się. Podeszedł do nich wódz w towarzystwie kilku mężczyzn i usiadł. Wyraźnie byli zainteresowani plecakiem.

* Myślę, że bardzo dobrze nam idzie, Fredricu. * Skarphedin mówił powoli, cedząc słowa.

* Możliwe* odparł Fredric.

Próbował wszystkimi możliwymi gestami pokazać, iż jest przyjaźnie nastawiony. Uśmiechnął się, złożył ręce i kilka razy uklonił się. Jeden z mężczyzn zaczął się bawić jego zegarkiem.

Szybko go zdjął i podarował mu. Ten gest został przyjęty z podziwem, a zegarek zaczął wędrować z ręki do ręki. Fredric doszedł do wniosku, iż atmosfera w żadnym razie nie jest wroga. Skarphedin musiał poczuć to samo, bo przyciągnął do siebie plecak i otworzył go.

Przez następne minuty Fredric Drum i Skarphedin Olsen czuli się jak prawdziwi święci Mikołaje, rozdając torebki z suszonymi owocami, ryż, fasolę, cukier i kawę, a także puszki z jedzeniem.

* To teraz do rzeczy. * Skarphedin wreszcie ośmielił się głośno odezwać. Otworzył jedną z bocznych kieszeni plecaka i wyjął opakowanie zawierające cztery baterie do latarki.

Mężczyźni wlepili w nie wzrok.

Potem zaczęli niesamowicie szybko mówić.

Skarphedin wyjął jedną baterię.

Któryś z mężczyzn pochwyił ją. Wstał i uciekł. Detektyw położył trzy pozostałe baterie przed sobą i skinął głową. Mogli je wziąć. To były najbardziej wartościowe prezenty, jakie mogli sobie wyobrazić. Fredric poczuł, że ich świeżo nawiązana przyjaźń właśnie została przypieczętowana. Wstał. Nikt go nie powstrzymywał.

Rozejrzał się dokoła.

Mała wioska leżała na brzegu rzeki.

Las był tutaj o wiele rzadszy.

Po drugiej stronie rzeki widać było skalną ścianę.

Pięła się stromo ku górze, a jej szczyt był poza zasięgiem wzroku.

Święta Góra?

Mogli chodzić po okolicy, ale cały czas podążała za nimi grupa kobiet i dzieci, które z ciekawością dotykały ich skóry i ubrań. Fredric słuchał ich języka i nie mógł sobie przypomnieć, by kiedyś słyszał podobny. Dźwięki i intonacja były zupełnie wyjątkowe. Zastanawiał się, czy jakiś antropolog albo misjonarz odwiedził już kiedyś to plemię i zanotował istnienie tego języka. Wątpił w to. Skarphedin wydawał się bardzo zadowolony. Próbował ze wszystkimi się zaprzyjaźnić, co wyraźnie mu się udawało.

Późnym popołudniem Fredric i Skarphedin zawiesili swoje koje pod słomianym dachem. Ścian nie było, ale im to nie przeszkadzało. Obaj byli zmęczeni po przebyciu niegościnnej dżungli. Właśnie jedli suchy prowiant, kiedy podeszło do nich dwóch młodych mężczyzn, robiąc znak, by Fredric poszedł za nimi. Fredric wstał. Skarphedin zrobił to samo, ale zdecydowanie go odepchnęli. Chcieli tylko Fredrica. Co to mogło znaczyć? Fredric z chęcią poszedł za nimi. Zaprowadzili go na sam skraj wioski. Tam przed chatką czekali na niego wódz i pięciu mężczyzn. Fredric uklonił się, starając się okazać szacunek. Wódz skinął głową i wskazał na wejście. Liście palmy zostały odsunięte i Fredric wszedł za wodzem do chatki. Wewnątrz panował półmrok.

Na środku żarzyło się palenisko.

Zapach był ostry i przenikliwy.

Po chwili Fredric przyzwyczaił się do ciemności i zauważył jakąś postać pod jedną ze ścian. Opierała się o coś, co mogło przypominać poduszki. Była to kobieta. Jej ciało było chude i pomarszczone. Twarz także. Policzki miała zapadnięte. Zrozumiał, że kobieta musi być bardzo stara. Teraz stało się coś, co go zawstydziło. Mężczyźni podeszli do niego i zaczęli szarpać jego ubranie. Wyraźnie dali mu do zrozumienia, że chcą, aby się rozebrał. Przez chwilę się zawahał, ale potem zdjął koszulę, buty i spodnie. Mężczyźni warknęli i zaczęli między sobą rozmawiać. Byli zadowoleni dopiero wtedy, kiedy Fredric stanął zupełnie nagi. Starał się sprawiać wrażenie nieporuszonego.

Popchnęli go ku starej kobiecie.

Ona spojrzała na niego głębokimi czarnymi oczyma.

Potem przemówiła. Jej głos był niski i niezbyt przyjemny dla ucha, ale szczególna intonacja sprawiała, iż jej wypowiedź przypominała śpiew. Mówiła, a mężczyźni wokół niej kiwali głowami i coś mamrotali. Potem wódz podeszedł do niego i znów powtórzyła się sytuacja, kiedy siedział w środku koła utworzonego przez wszystkich mieszkańców wioski. Wódz zaczął głaskać go po policzkach, czole, karku i szyi, jakby dotykał jakiejś rzeźby. Kobieta cały czas mówiła, a mężczyźni przytakiwali. Wyglądało na to, iż wszyscy są zadowoleni. Dali Fredricowi znak, aby usiadł przed kobietą.

Ona wyciągnęła ku niemu swe chude ręce.

Ściągnęła, skóra i kości.

Fredric zrozumiał, że ona także chce go dotknąć, więc przysunął się jeszcze bliżej. Jej dłonie na dłuższą chwilę spoczęły na jego policzkach. Były ciepłe i lekko drżały. Co może teraz się stać? Fredric poczuł, że przyspieszył mu puls, ale zmusił się do zachowania spokoju.

Wreszcie stare ręce odsunęły się i zapadł cisza.

Cisza trwała przez dłuższą chwilę.

Wreszcie kobieta powoli poruszyła się.

Wyjęła coś, co ukrywała za plecami.

Fredric patrzył.

Stara, zużyta i wygnieciona torebka.

Kobieta dała Fredricowi do zrozumienia, że może ją sobie wziąć.

Zamrugał. O co tu, do cholery, chodzi? Przyciągnął torebkę do siebie. Spojrzał na jej podgniłe rzemienie i mosiężną klamrę. Czy powinien ją otworzyć? Na to wygląda. Z wahaniem rozplatał rzemienie, uniósł górną część i zobaczył zawartość. Były tam dwa przedmioty. Cienka czerwona książeczka z herbem Norwegii.

I portfel

Fredric zauważył, że zaczęły mu drżeć ręce. Wyjął czerwoną książeczkę. Norweski paszport! Nagle zrozumiał, do kogo te przedmioty i ta torebka należały. Otworzył paszport i od razu zobaczył zdjęcie. Fotografie samego siebie, Fredrica Drum.

Ani Skarphedin, ani Fredric nie spali wiele tej nocy. Fredric raz po raz musiał opowiadać, co się zdarzyło u starej kobiety. Skarphedin twierdził, że kobieta jest tak stara, że mogła znać

starszego Fredrica Drum. Siedzieli i oglądali torebkę, portfel i paszport, które Fredric dostał. Plemię najwyraźniej uważało, że to jego własność i że on jest tą samą osobą, które była u nich prawie sześćdziesiąt lat temu. Fredric po raz drugi w życiu zobaczył niezwykłą rzecz: po policzkach detektywa popłynęły łzy.

* Wiedziałem, że to może się stać, Fredricu * powiedział. * Ta podróż nie jest więc stratą czasu. Pozostaje nam tylko zobaczyć jaskinię, w której zniknął staruszek!

To życzenie miało się spełnić wcześniej, niż się tego spodziewali. Wkrótce po wschodzie słońca, gdy Fredric i Skarphedin jeszcze spali na swoich kojach, zostali obudzeni przez kilku mężczyzn, którzy dawali im znaki, aby za nimi poszli. Detektyw wymamrotał coś o szybkim umyciu twarzy i śniadaniu, ale jego sugestia nie została uwzględniona. Okazało się, iż niemal wszyscy mieszkańcy wioski stali przed swoimi chatkami. Co to może znaczyć?

Zdecydowanie, ale jednak przyjaźnie dano im do zrozumienia, by ruszyli za wodzem i grupą mężczyzn, którzy szybko zmiierzali ku rzece. Cała wioska podążyła za nimi. Po mniej więcej kwadransie dotarli do mostu. Wydawał się solidny. Cała procesja przeszła na drugą stronę i zobaczyli gładką skalną ścianą.

* A niech mnie, wydaje mi się... * Głos Skarphedina znowu był zachrypły.

* Święta Góra * odpowiedział po cichu Fredric * i chyba jaskinia. Tak też było. Po kilku minutach marszu zaczął się las. Wódz podszedł pod samą ścianę.

Fredric otarł pot z czoła. Zamrugał.

Na nagiej skale były jakieś znaki.

Ryty. Dziwne figury i symbole.

Jeden ryt koło drugiego. Glify?

Przez kilka sekund coś mocno tykało mu w głowie. Przypomniał sobie, co wiedział o kulturach Oceanu Spokojnego, polinezyjskich symbolach, o piśmie rongorongo. Mogło być jakieś podobieństwo! Natychmiast zapomniał o plemienu i sytuacji, w jakiej się znalazł. Chciał tylko jednego: ołówka i papieru oraz masy czasu. Żadna z tych rzeczy nie była jednak teraz osiągalna. Wódz podszedł do Fredrica i poprowadził go ku gęstym krzewom, które zakrywały dolną część skały. Kilku mężczyzn odsunęło krzaki i jego oczom ukazał się otwór. Jaskinia.

Skarphedin podbiegł i stanął obok Fredrica.

* To tu, Fredricu! * rzucił chrypliwie. * To właśnie tam... * Przerwał mu głośny krzyk wszystkich zgromadzonych mężczyzn oraz wtórujące mu okrzyki kobiet i dzieci. Następnie rozbrzmiała pieśń. Wszyscy śpiewali, kiwając głowami i uderzając się po udach.

* To rytualne miejsce, wuju * szepnął Fredric. * Święte miejsce. * Trzymał rękę w kieszeni, dotykając kryształowej gwiazdy, którą zawsze miał przy sobie.

Pieśń wznosiła się i opadała, aż wreszcie zupełnie ucichła. Wódz i wszyscy mężczyźni usiedli na ziemi i zamknęli oczy. Po chwili wódz zaczął głośnie krzyżeć. Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku niemu.

* Chcieli nam to pokazać * znów wyszeptał Skarphedin. * Może chcą, abyśmy weszli do jaskini?

* Nie ma mowy! * odparł Fredric.

* Samo zajrzenie do środka nic nie kosztuje, prawda? * Skarphedin miał rozbiegany wzrok.

* Spokojnie, wuju. Oni chyba myślą, że ja dawno temu zszedłem do tej jaskini i teraz powróciłem zdrowy i młody. Musimy poczekać i zobaczyć, co się będzie działo. * Fredric zawahał się, ale usiadł tak samo jak Sengaupeni.

Słychać było jakieś mamrotanie. Wódz gwałtownie kiwał głową.

* Tylko zajrzę, Fredricu, nie przyszedłem tutaj po to, by... * Skarphedin urwał i zdecydowanym krokiem ruszył ku wejściu do jaskini.

Fredric czujnie obserwował Sengaupenów. Wydawało się, że nie mają nic przeciwko temu, by wuj zaspokoił ciekawość. Chciał wstać, by pójść za nim i go powstrzymać, ale jednak został na swoim miejscu.

Skarphedin pochylił się.

Zrobił parę kroków.

I zniknął.

* Zatrzymaj się! * krzyknął Fredric i wstał. * Wracaj!

Nie słyszał, iż Sengaupeni znów zaczęli śpiewać. Ich monotonna pieśń nie docierała do jego uszu. Podbiegł do otworu w skale i krzyknął, ale nikt mu nie odpowiedział. Fredric poczuł strach, panikę. Próbował zajrzeć do środka, ale było ciemno i ciasno. Nic nie mógł zobaczyć. Oparł się o skalną ścianę i wsadził głowę w otwór. Krzyczał, ale bez skutku. Zdesperowany, odwrócił się i spojrzał na grupę autochtonów. Nie wykazywali najmniejszej chęci pomocy. Śpiewali. Co mógł zrobić? Podbiegł do wodza i zaczął go szarpać. Pokazał na siebie i krzyknął po norwesku:

* Lina! Długa lina, i to w te pędy!

Wrzeszczał, gestykulował, i nagle stał się cud. Chyba zrozumieli. Po paru długich minutach przyciągnęli z lasu długie liany. Fredric zawiązał jeden koniec wokół pasa. Starał się uspokoić, co częściowo mu się udało.

Próbował wytłumaczyć mężczyznom, co się teraz stanie.

Wydawali się zmieszani, ale słuchali go.

Zrozumiał, że go szanują.

Może traktowali go jak jakiegoś boga, świętą istotę?

Nie był jednak święty i nie był też duchem czy wcieleniem swego pradziadka. Teraz musi uratować Skarphedina. W jego głowie kłębiły się myśli o trujących gazach, które mogą wypełniać takie jaskinie. Udało mu się przyprowadzić mężczyzn do samego wejścia i jeszcze raz wyjaśnił im, co mają robić. Jeśli stosunkowo szybko nie wyjdzie, mają go wyciągnąć. Chyba zrozumieli. Liana miała około dwudziestu metrów długości i wydawała się solidna. Czy może jednak polegać na tych ludziach? Nie wiedział i wołał się nad tym nie zastanawiać.

Pochylił się nad wejściem.

Zrobił parę kroków do środka.

Podłoże było śliskie, bo ze sklepienia kapą woda. Porośnięte glonami.

Jeszcze jeden krok.

Wtedy upadł. Próbował wyhamować, ale zjeżdżał coraz niżej po śliskim gruncie. Nagle poczuł ostry, przenikliwy zapach. Próbował złapać się czegoś rękami i nogami, ale bez powodzenia. Zjeżdżał coraz niżej. Nagle przestał czuć strach. Przenikliwy zapach wcale nie był już nieprzyjemny, ale łagodny i słodki. Leżał bez ruchu, wciąż jadąc w dół. Powoli, powolutku. Słyszał uderzenia własnego serca. Coraz silniejsze i silniejsze. Mocne dudnienie. Przyjemne dudnienie.

Nagle coś zajaśniało w jego głowie. W mózgu zapłonęło oślepiające światło, dzięki któremu wszystko stało się błyszczące.

Potem nastąpiła przyjemna cisza.

Wiosna i początek lata

13 kwietnia, godzina 11:00

Szef policji kryminalnej w Oslo, Arthur Krondal, raz jeszcze przejrzał teczkę, ale teraz także nie znalazł niczego, co można by odczytać między wierszami. Dokumenty były napisane kiepskim angielskim, ale zawartość była jednoznaczna.

Detektyw Skarphedin Olsen i Fredric Drum dostali się wbrew indonezyjskiemu prawu na obszar Zachodniej Papui, Irian Jaya, który znany jest pod nazwą Zone Red, Czerwona Strefa,

i gdzie obowiązuje zakaz wstępu dla obcokrajowców, jeśli nie okażą rządowi prowincji odpowiednich dokumentów celnych. Teren jest chroniony przede wszystkim ze względu na żyjące tam plemiona, ale także dlatego, iż ta część wyspy jest częściowo niezbadana i niedostępna. Zaginęło tam wielu obcokrajowców, a władze indonezyjskie zrzekły się wszelkiej odpowiedzialności za to, iż te sprawy nigdy nie zostały wyjaśnione. Także teraz lokalne władze w Jayapurze nie mogły podjąć żadnych działań, aby rozwiązać zagadkę zaginięcia norweskiego policjanta. Na szczęście polisi Fredric Drum w cudowny sposób wrócił do cywilizacji, nieprzytomny, ale żywy. Był to skutkiem nietypowego i zdaniem władz w Jayapurze niewytłumaczalnego zachowania prymitywnego plemienia, Sengaup, którego członkowie zanieśli polisi Drum na noszach do stacji badawczej Ulabat Mulgo niedaleko małego miasteczka Yaniruma. Tam zajęto się nim i przewieziono do szpitala w stolicy prowincji, gdzie nie udało się jednak sprawić, aby odzyskał przytomność. Dziwi to tym bardziej, że poszkodowany nie ma żadnych widocznych śladów obrażeń głowy. Dla lokalnych władz sprawa została uznana za zakończoną, a z chwilą umieszczenia Fredrica Drum na pokładzie samolotu medycznego zarekwirowanego przez norweskie władze skończyła się także dla centralnych władz indonezyjskich.

Teczka przyleciała do Norwegii na pokładzie tego samego samolotu.

Była podpisana przez tamtejszego komendanta policji.

Teraz Fredric Drum leżał w śpiączce.

Na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej w Rikshospitalet.

Co takiego zdarzyło się na Nowej Gwinei?

Czy kiedykolwiek pozna odpowiedź na to pytanie?

Śledczy Peder Ungbeltd nic nie wiedział. Krondal odbył z nim wiele rozmów po jego powrocie do domu. Policjant wciąż jeszcze był na zwolnieniu lekarskim i chorował na malarię. Ungbeltd bardzo niewiele pamiętał z pobytu w Indonezji. Przez ostatnie dni komendant starał się, aby KRI*POS zaczęła normalnie funkcjonować, ale większość śledczych w głównej kwaterze w dzielnicy Helsfyr wciąż nie potrafiła się otrząsnąć z tragedii, jaka ich dotknęła. Jeden z najbardziej doświadczonych i najzdolniejszych detektywów najprawdopodobniej zginął w niewyjaśnionych okolicznościach po tym, jak rozwiązał bardzo zagmatwaną i trudną sprawę. Tajemnicze zniknięcie Olsena było niczym nieprzyjemny dotyk wilgotnej, śliskiej ręki, który wszyscy odczuwali.

Trzydzieści lat.

Ponad trzydzieści lat Skarphedin Olsen i Arthur Krondal ramię w ramię rozwiązywali skomplikowane sprawy.

Odsunął teczkę i spojrzał na brązową*kopertę, która wciąż niewysłana leżała na jego biurku. Leżała już prawie od tygodnia.

Oparł się wygodniej i zamknął oczy. Długo tak siedział. Wreszcie chwycił za telefon i wybrał numer do psychiatry.

13 kwietnia godzina 14:00

Krondal poczuł kiełkującą nadzieję, kiedy zmierzał szpitalnymi korytarzami na oddział, na którym leżał Fredric będący pod opieką najbardziej uznanego psychiatry w Europie, doktora Ernsta Sachmulda.

Od czasu jego ostatniej wizyty minęły trzy dni.

Podczas rozmowy telefonicznej Sachmuld był małomówny i udzielił mu niewielu informacji. Mówił coś o jakichś krzywych, których nie powinno być.

We wcześniej były dwie, a teraz są trzy.

Krondal głośno chrząknął, kiedy wszedł do sali. Od czasu jego ostatniej wizyty nie zaszła żadna zmiana, poza tym, że prześcieradło, które wcześniej przykrywało większą część ciała Fredrica Drum, teraz było zdjęte. Leżał całkiem nagi, a do jego ciała podłączone były dziesiątki elektrod, rurek i węży. Na piersiach, na samym środku, Krondal zobaczył coś

migającego zielonkawym światłem. To kryształowa gwiazda, którą Drum trzymał w dłoni, kiedy został tutaj przewieziony. Doktor Sachmuld siedział przy jednym z monitorów. Odwrócił się i kiwnął Krondalowi głową.

* Byłoby wspaniale * zaczął komendant KRIPOS * gdyby mógł pan dać nam jakieś prognozy. On jest tutaj prawie od tygodnia i chyba może pan już coś powiedzieć?

Psychiatra wstał z krzesła, zdjął okulary i zmrużył oczy.

* Rozumiem pana niecierpliwość oraz ciekawość. Najbardziej zależy panu pewnie na tym, aby się dowiedzieć, co się stało z pana podwładnym, Skarphedinem Olsenem, ale już teraz mogę panu powiedzieć jedno: ten pacjent, Fredric Drum, nigdy nie będzie mógł panu opowiedzieć, co się wydarzyło na Nowej Gwinei.

* Tak więc nie ma nadziei?

* Trudno powiedzieć. To zależy, co pan rozumie pod słowem "nadzieja", Krondal. * Położył dłoń na ramieniu szefa policji kryminalnej i poprowadził go bliżej łóżka Fredrica. Odsunął kryształową gwiazdę z piersi pacjenta, zważył ją w dłoni, a potem włożył do kieszeni.

* Co pan ma na myśli?

* Spróbuję to wyjaśnić. * Wskazał na woskowe ciało na łóżku. * Niech pan dokładnie się przyjrzy temu człowiekowi, Krondal. Nigdy pan nikogo takiego nie widział! Cóż, dla nas wydaje się całkiem zwyczajny. Normalne rysy twarzy, normalna budowa ciała. Nic specjalnego. To, czego nie jesteśmy w stanie zauważyć, gdyż nasze oczy nie są wyposażone w odpowiednie przyrządy, to fakt, że ciało Fredrica Drum jest najbardziej perfekcyjnym przykładem złotego podziału, jaki kiedykolwiek widziałem, jeśli pamięta pan, o czym mówiłem, kiedy był pan tutaj ostatnio. Kryształowa gwiazda, którą umieściłem na jego piersiach, reprezentuje pentagram, także złoty podział.

* Tak, pamiętam, że pan o tym wspomniał. * Krondal zrozumiał, że psychiatra do czegoś zmierza.

* Długość ciała Fredrica Drum od stóp do głów wynosi dokładnie 182,7 centymetra. Odległość od podeszwy stopy do pępka 112,9 centymetra. Jeśli podzielimy 182,7 przez 112,9, to jak pan myśli, jaki otrzymamy wynik? * Psychiatra zamrugał energicznie.

* Zapewne stałą fi.

* Właśnie! Otrzymamy 1,618. Fi. Dokładnie, co do setnych części po przecinku. To jednak nie koniec. Jeśli zmierzmy odległości pozostałych części ciała i podzielimy je przez siebie, to znowu otrzymamy fi. Co do milimetra. Może pan pójść do domu i zmierzyć swoje ciało. Zobacz pan, że może parę pomiarów jest bliskich fi, ale nie będą się zgadzały co do milimetra. Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

* Rozumiem fakty, ale nie konsekwencje. * Szef policji kryminalnej pokręcił głową.

* Jak już ostatnio wspominałem * kontynuował doktor * we współczesnej psychiatrii i badaniach mózgu odkryliśmy pewien związek między anatomią różnych osób i fi oraz ich równowagą psychiczną, homeostazą. Im bardziej wymiary danej osoby są zbliżone do fi, tym większa równowaga umysłu. Jeśli pójdziemy dalej, być może uda nam się także stwierdzić, iż liczba fi ma duże znaczenie w diagnostyce i leczeniu chorób umysłowych. Póki co jednak teoria ta nie jest poparta badaniami.

* Tutaj jednak nie ma mowy o chorobie psychicznej, ale o stanie przypominającym śpiączkę, wywołanym szokiem lub stresem. Co fi...

* Proszę dać mi dokończyć, Krondal! * przerwał mu ostro Sachmuld. Krondal skinął głową i cofnął się nieco. Stał, patrząc na monitor z trzema krzywymi.

* Fredric Drum, jak mi powiedziano * doktor usiadł na krześle przy monitorze * miał niezwykle rozwinięte zmysły smaku i węchu. Tak samo w przypadku rozumienia i odczytywania skomplikowanych nieodczyfrowanych tekstów pisanych. Postawmy więc następującą hipotezę: te umiejętności to wynik niemal idealnego fi, złotego podziału, OK?

* OK * chrząknął szef policji kryminalnej.

* Idźmy jeszcze dalej. Załóżmy, że to wpływa także na pewne obszary jego świadomości i że Fredric Drum ma ukryte zdolności, które wychodzą na jaw w pewnych okolicznościach. Zastanawia się pan pewnie, jakie umiejętności mam na myśli. Jeśli będzie pan cierpliwy, postaram się to wyjaśnić. Wtedy opuści pan ten pokój nieco bardziej zadowolony, niż gdy pan do niego wchodził. * Psychiatra uśmiechnął się słabo.

* Ależ proszę kontynuować. * Krondal czuł rosnącą ciekawość.

* W dziedzinie badań mózgu istnieją pewne teorie * z całą skromnością mogę się panu przyznać, iż brałem udział w formułowaniu niektórych z nich *opierające się na tym, że ludzki mózg można porównać do radioodbiornika. Każdy z nas nadaje na własnych częstotliwościach. Moja częstotliwość nadawania może być daleko od pańskiej, ale może także się z nią pokrywać. Póki co nic o tym nie wiemy. My, zwykli ludzie, nie mamy umiejętności przestawienia się na inne fale. Gdybyśmy to potrafili, umielibyśmy czytać myśli innych ludzi. Mimo to słyszeliśmy historie o ludziach, którzy twierdzą, iż mają zdolności telepatyczne. Niektórzy badacze czerpią radość z badania takich ludzi. Niemal wszyscy oni mają jedną wspólną cechę: wymiary ich ciała są bliskie fi i złotego podziału. Mamy zbyt małą wiedzę, by stwierdzić coś na pewno, ale w środowisku tych uczonych wciąż podejmowane są nowe badania. * Doktor zrobił chwilę przerwy, spojrzął na monitor i kontynuował.

* Co to ma wspólnego z naszym pacjentem? No więc już stwierdziliśmy, iż Fredric Drum przejawiał pewne genialne umiejętności. Nie słyszałem od nikogo, by miał jakieś telepatyczne zdolności, więc możemy to wykluczyć. Nie możemy jednak pominąć faktu, że jego świadomość ma właściwości, które w specjalnych okolicznościach, w stanie śpiączki, mogą zostać aktywowane.

Sachmud wskazał palcem wskazującym na monitor, na którym były widoczne trzy krzywe.

* To one są problemem. Nie powinno ich tam być. Wpierw były dwie krzywe świadomości, a potem nagle wskutek nowej sytuacji stresowej w świadomości pacjenta pojawiła się trzecia krzywa. Można to wytłumaczyć tak, że w głowie Fredrica Drum są teraz trzy świadomości.

Widzi pan cały dramatyzm tej sytuacji, Krondal?

* Tak. Jak najbardziej. To nie brzmi najlepiej. * Krondal zdecydowanie skinął głową.

* Jeśli teraz obudzimy pacjenta, będzie miał trzy świadomości, co, jak już panu wcześniej wyjaśniłem, skutkowałoby ekstremalną sytuacją stresową i pacjent wkrótce by zmarł. Jak to możliwe, by będący w śpiączce pacjent miał trzy świadomości?

* Nie mam pojęcia. A pan wie?

* Jeśli pan pamięta * kontynuował psychiatra * powiedziałem panu, że już wcześniej widziałem podobne zjawiska. Dotyczy to osób krótko przed śmiercią. Nim umierali, na monitorach pojawiała się wiele krzy-

wych świadomości. Tłumaczymy to tak, iż w momencie śmierci lub tuż przed nią dochodzi do pewnego rozszczepienia częstotliwości, na jaką nastawione są nasze myśli, w wyniku czego nasza świadomość dopuszcza parę innych, pobliskich częstotliwości.

* Ale Fredric Drum chyba nie umiera?

* Właśnie! * Psychiatra był podekscytowany. * Nasz pacjent żyje, a w jego głowie są trzy świadomości. Stawiam na to, że ten stan rzeczy z dużym prawdopodobieństwem wynika z jego anatomicznej i kognitywnej doskonałości w zakresie fi, złotego podziału. Jego mózg ma zdolność odbierania większej liczby częstotliwości, ale stało się to dopiero pod wpływem wielkiego stresu. Rozumie pan teraz?

Krondal nie odpowiedział od razu. Podeszedł do łóżka, spojrzął na Fredrica, a potem na monitor i doktora.

* Wydaje mi się, że rozumiem * powiedział wreszcie. * Ale co z tego? Chcę, by ten człowiek się obudził, i to najchętniej tylko z jedną świadomością.

* Jak pan myśli, kto się za tym kryje? * Sachmud pokazał palcem wskazującym dwie górne krzywe na ekranie. * Kto może być właścicielem tych świadomości?

Krondal patrzył na krzywe, jakby miał tam znaleźć informację o tożsamości ich właścicieli. Nagle powiedział:

* Skarphedin Olsen i być może pradziadek Fredric Drum? Psychiatra uniósł brwi i powoli skinął głową.

* Skąd taka pewność?

* Leżą bardzo blisko. * Szef policji kryminalnej wzruszył ramionami.

* Blisko jak blisko. Nie byłbym taki pewien, gdybym nie wiedział, że te dodatkowe krzywe świadomości, które pojawiają się u umierających, na ogół bardzo odbiegają od krzywej umierającego. Nie ma mowy o symetrii. Niech pan jednak spojrzysz na krzywe tutaj. * Znów wskazał na monitor. * Te krzywe leżą blisko, jedna nad drugą, i biegną niemal równolegle. Wnioskuje więc, że muszą należeć do osób bardzo bliskich Fredricowi Drum, a z tego, co wiem, był bardzo blisko ze swym wujem Olsenem, prawda?

Krondal powoli skinął głową.

* Ale jak to możliwe, aby świadomość dawno zmarłego człowieka, pradziadka Fredrica Drum, pokazywała się na tym ekranie? To przecież zupełnie bez sensu.

* Może pan tak mówić, ale niewiele wiemy o śmierci, Krondal. Niech mi pan powie, dlaczego tak szybko powiedział pan, że jedna z krzywych może należeć do pradziadka Drum?

* Tak mi tylko przyszło do głowy.

* Właśnie. Przyszło to panu do głowy, bo przed paroma dniami pokazałem panu zdjęcie pradziadka Drum z młodości. Podobieństwo Fredrica Drum było uderzające, prawda?

* Być może właśnie przez to. * Krondal poczuł, iż zmęczenie i rezygnacja powracają.

* I niech pan zwróci uwagę na jedno. Ta linia, która, jak obaj sądzimy, może być krzywą świadomości pradziadka, pojawiła się tego dnia, kiedy głośno o nim rozmawialiśmy. O jego pełnym przygód życiu, podróżach i restauracji „La Casserolle” w Paryżu. Ta rozmowa mogła przeniknąć przez śpiączkę Fredrica Drum i wyzwolić coś, co było głęboko ukryte.

* No tak. * Krondal nie miał nic innego do powiedzenia. Spojrzał na zegarek.

Doktor Sachmuld wyprowadził komendanta z pokoju na korytarz, gdzie postali kilka minut.

* Krondal * psychiatra ściszył głos * naprawdę widzę nadzieję. Jeśli moja teoria jest prawdziwa, jeśli mam rację, że te dwie krzywe świadomości należą do Skarphedina Olsena i pradziadka, to Fredric Drum może zostać wybudzony ze śpiączki. Jednak zanim to się stanie, jego pamięć musi zostać zupełnie oczyszczona z jakiegokolwiek wiedzy o tych dwóch osobach. Rozumie pan, co to oznacza? Wie pan już, co miałem na myśli, gdy powiedziałem, że ten człowiek nigdy nie powie, co się stało na Nowej Gwinei? Kiedy Fredric Drum się zbudzi, nie będzie pamiętał o Skarphedinie Olsenie czy swym pradziadku.

Krondal nie odpowiedział, a tylko patrzył na doktora.

* Chodzi o pranie mózgu, i to dosłownie. O czyszczenie bardzo wrażliwego i skomplikowanego organu. Nie mogę w żaden sposób zagwarantować, że to się powiedzie. Jednak to jedyna możliwość, jaką mamy. * Sachmuld położył dłoń na ramieniu szefa policji.

* Czy naprawdę można komunikować się z nim w takim stanie, w jakim się znajduje? Czy rozumie, co się do niego mówi? * Głos Krondala był chrypliwy.

* Mamy swoje metody, ale to potrwa.

* Powodzenia. * Szef KRIPOS mógł tylko tyle powiedzieć. Potem odwrócił się i wolnym krokiem ruszył korytarzem.

* Coś jeszcze. * Sachmuld podniósł głos. * Pan także nie będzie istniał w pamięci Fredrica Drum, gdy się zbudzi. Rozumie pan, co to oznacza?

Krondal stanął, odwrócił się i powiedział spokojnie:

* Tak. To znaczy, że nie mogę się pokazywać Fredricowi Drum, kiedy się zbudzi.

* Właśnie, ale będę pana informował telefonicznie. * Psychiatra zniknął za drzwiami pokoju.

19 kwietnia godzina 13:00

Torbjorn Tinderdal, bliski przyjaciel i wspólnik Fredrica w „Kasserol*len”, podniósł się z krzesła w gabinecie doktora Sachmulda. To była długa rozmowa.

o przeszłości Fredrica.

i roli, jaką odegrał w niej Skarphedin Olsen. A także o przyszłości Fredrica Drum.

Jeśli takowa istniała.

Doktor powtarzał i powtarzał. Tob raz po raz musiał mu dokładnie opowiadać o tym, co wiedział o Fredricu, ich restauracji i o znajomości Fredrica z wujem z KRIPOS, Skarphedinem. Poszło całkiem dobrze. Gorzej było, kiedy doktor zaczął mówić o przyszłości. Początkowo nic nie rozumiał. Co się stanie? Czy Fredric znów się obudzi, ale z pamięcią poddaną wnikliwej cenzurze? I z historiami o swej przeszłości, które tylko po części będą prawdziwe? Nawet rola, jaką odegrał w niej Tob, będzie zmieniona.

Doktor powiedział, że muszą zbudować wszystko od nowa, ale fundamenty zostaną zachowane. Szczególne umiejętności Fredrica Druma pozostaną pewnie niezmienione, ale wiele może pójść nie tak, jeśli on i inni, którzy znają Fredrica, nie wykażą się ostrożnością w kwestii wrażliwych stron jego przeszłości, zwłaszcza znajomości ze Skarphedinem Olsenem. Skarphedin Olsen nigdy nie istniał.

Fredric absolutnie nic nie wiedział o Centrali Policji Kryminalnej.

Nigdy nie był na Nowej Gwinei.

Tak musiało być.

Doktor mówił o tym w kółko. Torbjorn Tinderdal to rozumiał, ale czy Fredric znów wyzdrowieje?

* Dobry człowieku * powiedział Ernst Sachmuld, kiedy konsultacja dobiegła końca i Tob zmierzał ku drzwiom * dla pana przyjaciela jest nadzieja, jednak tajemnice umysłu, ludzkiego mózgu są nieprzeniknione. Wciąż nie wiemy, jaki będzie rezultat.

* Dziękuję. * Tylko tyle Tob mógł powiedzieć.

19 kwietnia * 23 maja

Profesor Ernst Sachmuld potrafił siedzieć godzinami przy łóżku, na którym leżał Fredric Drum. Dzień w dzień tam siedział. Nie beczynnie, ale wykorzystując najważniejsze narzędzie każdego psychiatry * mowę. Hipnozę. Mówił, cały czas mówił do pacjenta monotonnym, lecz przyjaznym tonem. Mówił i powtarzał, powtarzał i mówił, ale krzywe na monitorze wcale się nie zmieniły. Naprawa umysłu, manipulowanie pamięcią jest niczym wspinanie się ku niebiańskiej przestrzeni, gdzie cisza jest doskonała, a waga równa zeru, zanim zacznie się schodzenie, a hałas znów stanie się częścią codzienności. Tak właśnie było. Od czasu do czasu zalecał zastrzyki z betablokerami, propranololem. To miało osłabić zdolność pacjenta do pamiętania nieprzyjemnych szczegółów związanych z jakimiś wspomnieniami. Propranolol zmniejszał efektywność ciała migdałowatego. Czasem spotykał się z szefem KRIPOS, Krondalem, i Torbjornem Tin

derdaiem, a także z uczniami z „Kasserollen”. Odbył także parę spotkań z pewną kobietą,

aktorką, która nazywała się Mia Munch i z którą Fredric miał kiedyś romans. To ona nadała mu przydomek "Pielgrzym", bo tak dużo podróżował. Ich związek najwyraźniej jednak już się skończył.

Spotkał się z ich dużym zrozumieniem.

Zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła.

Redagował przeszłość Fredrica Drum.

I planował jego przyszłość.

Na monitorze wciąż jednak było o dwie krzywe za dużo.

24 maj godzina 10:37

Pojęcie "kognitywny", myślał Sachmuld po pierwszym seansie hipnozy, może być stosowane na wiele różnych sposobów. Najczęściej to słowo jest rozumiane jako synonim słowa "intelektualny", przeciwieństwo "emocjonalnego" i "funkcjonalnego" w sferze percepcji,

języka, myślenia i pamięci. Dla Ernsta Sachmulda słowo to miało jednak o wiele szersze znaczenie. Oznaczało nie tylko czyste tworzenie wyobrażeń, ale także współgranie percepcyjnych, motorycznych, afektywnych i lingwistycznych elementów towarzyszących każdemu procesowi myślowemu. Wszystko, co wiąże się z tym pojęciem, musi się znaleźć w mózgu Fredrica Drum, zanim coś w ogóle może się stać. Właśnie w chwili, kiedy o tym pomyślał, spojrzął na monitor, który pokazywał krzywe świadomości.

Linia leżąca najwyżej zaczęła drżeć.

Została przerwana!

Zniknęła i znów się pojawiła.

Pradziadek.

Ernst Sachmud wstrzymał oddech. Jedna z krzywych stopniowo zniknęła z monitora, aż w końcu zupełnie przestała być widoczna.

Leżącemu na łóżku pacjentowi lekko zadrżała prawa stopa, ale po kilku sekundach uspokoiła się.

* Gdziekolwiek się teraz znajdujesz, pradziadku Drum, musiałeś opuścić swe tymczasowe miejsce pobytu w umyśle tego młodzieńca! *Uśmiechnął się krzywo.

Potem psychiatra poszedł do swego gabinetu i zadzwonił.

23 czerwca godzina 14:00. Przebudzenie

Przed pokojem Fredrica Drum siedziały trzy osoby: szef KRIPOS, Arthur Krondal, Torbjorn Tinderdal, bliski przyjaciel Fredrica i jego wspólnik, oraz Maya Manuella Gardilleiro, ucząca się w „Kasserollen” zawodu kucharza.

Tob i Maya rozmawiali po cichu. Krondal siedział z odwróconą w bok głową. Co czuł? Nic.

Wczoraj doktor poinformował go, że Fredric Drum

zostanie wybudzony ze śpiączki. Ostatnia przeszkoda przestała istnieć ponad tydzień temu.

Krzywa, druga krzywa, która najprawdopodobniej była krzywą świadomości Skarphedina

Olsena, stopniowo zniknęła z monitora. Teraz na ekranie znajdowało się odzwierciedlenie

tylko jednej świadomości * Fre*drica Drum. Psychiatra Ernst Sachmud powiedział mu o tym

przez telefon i dodał, że jeśli szef policji kryminalnej chce być obecny przy przebudzeniu, to może przyjść pod warunkiem, iż nie pokaże się pacjentowi i pozostanie poza jego pokojem.

Teraz właśnie tu siedział.

Z nadzieją, że już po raz ostatni.

Nie czuł niczego poza pustką.

Doktor Sachmud poinstruował ich dokładnie, co się stanie. Kiedy pacjent się zbudzi, przy łóżku mają być, oprócz dyżurnej pielęgniarki, trzy osoby: on sam, Torbjorn Tinderdal i Maya Manuella. Ta trójka przez ostatnie dni wymyśliła następującą historię:

Fredric Drum miał wypadek w "Kasserollen". Poślizgnął się na oleju, który Tob rozlał na podłodze i którego nie zdążył zetrzeć. Fredric upadł do tyłu i uderzył głową w uchwyt jednej z szafek z winem. Odwieziono go nieprzytomnego do szpitala, w którym teraz się znajdował. To zdarzenie miało miejsce trzy dni temu. Przebywał w szpitalu pod profesjonalną opieką aż do momentu przebudzenia. Mają mu powiedzieć, że raczej nie będzie pamiętał zbyt wiele z ostatnich tygodni, gdyż uderzenie w tył głowy było dość mocne.

Prosta historyjka.

Bez domieszki dramatyzmu.

Powinno się udać.

Jeśli tylko wszystko pójdzie tak, jak Sachmud sobie tego życzył.

Drzwi do pokoju otwarty się i stanął w nich psychiatra. Skinął głową do całej trójki.

* Wszystko gotowe * powiedział. * Proces wybudzania już się zaczął. Wszystkie funkcje pacjenta są stabilne i zadowalające. Możecie wejść do środka. * Przywołał gestem Tobą i Mayę Manuellę.

Weszli i stanęli przy łóżku. Fredric Drum leżał tak, jak przez ostatnie dwa tygodnie. Pojawiły się tylko dwie widoczne zmiany: jego twarz zaczynała nabierać kolorów, a na głowie pojawił się wielki bandaż, pod którym była rana, jaką zafundował mu Sachmuld, wraz z obrzękiem wywołanym specjalnym, ale zupełnie nieszkodliwym zastrzykiem.

Nikt nic nie mówił.

Tob poczuł nerwowe mdłości.

Maya Manuella ciągle mrugała.

Minęły trzy minuty, potem pięć.

Doktor, który cały czas obserwował monitory, nagle zdecydowanie

kiwnął głową do pielęgniarki, a ta zdjęła maskę tlenową z twarzy Fredrica Drum. Zauważyli,

że jego klatka piersiowa zaczęła wyraźnie się unosić. Jakby ktoś napełnił jego płuca

powietrzem. Powieki Fredrica zaczęły drgać. To samo stało się z jego rękami i nogami. Potem

usłyszeli przeciągły i nieprzyjemnie piszczący dźwięk wydobywający się z gardła pacjenta i

Fredric mocno zakasłał. Tob i Maya instynktownie cofnęli się od łóżka.

Fredric Drum otworzył oczy.

Spojrzał prosto w sufit.

Jego usta poruszały się, nie wydając dźwięku.

Doktor Sachmuld podszedł do łóżka i chwycił dłoń pacjenta. Ścisnął ją mocno.

* No i jak pan się czuje, panie Drum? * zapytał beztrosko. Fredric powoli zwrócił twarz ku psychiatrze i zamrugał kilka razy.

* Co? * Jego głos był zachrypły.

* Dobrze, dobrze, spokojnie. Uległ pan małemu wypadkowi. Lekarz cały czas spoglądał na jeden z monitorów, ale widoczna na nim

krzywa wydawała się stabilna.

* Cześć, Fredricu, jak się masz? * Tob zebrał się na odwagę.

* Tooob? * Zakasłał.

* Upadłeś i uderzyłeś się w głowę. Wstrząśnienie mózgu, ale wkrótce znów staniesz na nogach.

* Upadłem? * Jego głos był słaby.

* Pewnie, że upadłeś, do licha ciężkiego. Przeze mnie. Rozlałem olej na podłodze.

* Ale całkowicie wyzdrowiejesz! * Maya Manuella mówiła szybko i z zapałem.

* Maya, ty też? * Próbował unieść głowę, co częściowo mu się udało. Rozejrzał się po pokoju.

* Musi pan trochę odpocząć i zostać tutaj u nas, ale potem będzie pan tak samo zdrow jak wcześniej! * Sachmuld dotknął palcem piersi pacjenta. * Pamięta pan, co pan robił, zanim upadł i się uderzył?

Fredric zamknął oczy. Na parę minut zapanowała cisza. Wreszcie znów je otworzył. Spojrzał na Tobą i Mayę.

* Nie, nic. * Jego głos był teraz wyraźniejszy. * Jestem w szpitalu?

* OK * przerwał psychiatra. * Myślę, że powinniśmy teraz zostawić pacjenta w spokoju, ale obiecuję, że za tydzień pojawi się pan pełen sił i wigoru w pracy.

Tob i Maya opuścili pokój. Krondal siedział tam, gdzie wcześniej. Spojrzał na nich pytająco, a oni zdali mu sprawozdanie. Z powagą skinął głową, ale nic nie powiedział. Tak musiało być, pomyślał.

Psychiatra, profesor Ernst Sachmuld, wyszedł z pokoju i stanął przed nimi.

* Cóż. * Zdjął okulary i gruntownie je przeczyścił. * Poszło tak, jak

miałem nadzieję. Fredric Drum stał się takim Fredrikiem Drum, jakim ma być w przyszłości.

Miejmy nadzieję. A pan, Krondal * zwrócił się do szefa policji kryminalnej * niech najlepiej

zapomni o Fredricu Drum. W przyszłości wasze drogi nigdy się nie skrzyżują. On nigdy o

panu nie słyszał. Muszę jednak uściślić: w pamięci Fredrica Drum wciąż mogą tkwić jakieś

sprzeczne fakty dotyczące jego przeszłości. Wy, którzy pracujecie z nim na co dzień, musicie być w stu procentach lojalni wyobrażeniu, jakie Fredric Drum ma o swej przeszłości. Muszę to jeszcze powtórzyć?

* Nie * odparł od razu Tob.

* A jeśli chodzi o los Skarphedina Olsena na Nowej Gwinei, komendancie, to pozostaje panu tylko oswoić się z faktem, że raczej nigdy nie dowie się pan, co się tam wydarzyło. Chyba że sam pan tam pojedzie i przeprowadzi śledztwo, co bardzo mocno panu odradzam, wzięwszy pod uwagę traumatyczne doświadczenia tego pacjenta. Chcę, abyście wiedzieli także, iż ja i moja wiedza nie dokonujemy cudów. W przypadku Fredrica Drum wykorzystałem proste, wypróbowane i cieszące się uznaniem metody, które jednak mają pewne ograniczenia. Głęboko w pamięci Fredrica Drum wciąż tkwi dobrze ukryty Skarphedin Olsen. Nie można stwierdzić, czy pozostanie tam na zawsze.

Milczenie.

Żadnych komentarzy.

Tob i Maya podziękowali Sachmuldowi i wyszli.

Krondal wciąż stał.

* Coś jeszcze? * Sachmud spojrzął na zegarek.

* Co chciał pan wyrazić tym ostatnim zdaniem? * Szef KRIPOS stanowczo spoglądał doktorowi w oczy, akcentując każde słowo.

* Nic, Krondal, nic poza tym, co powiedziałem. Niech pan o tym zapomni jak najszybciej. * Doktor odwrócił się na pięcie i odszedł.

W kwietniu w Oslo zagościło prawdziwe lato. Krondal teraz to zauważył. Ciepło uderzyło go, kiedy opuścił teren szpitala. Postął chwilę, spoglądając w błękit nieba, a potem powoli wyjął z kieszeni brązową kopertę. Podarł ją najpierw na dwa, potem na cztery, aż wreszcie na mnóstwo małych kawałków. Wszystkie wylądowały w koszu na śmieci.

Wypowiedzenie nigdy nie istniało.

Na jego biurku nigdy nie leżała brązowa koperta.

Nadal pozostanie szefem KRIPOS.

Tak musi być.

(Następna książka z serii o Fredricu Drum pojawiła się w 1985 roku i nosiła tytuł "Dzban miodu").

Posłowie

Seria o Fredricu Drum i Skarphedinie Olsenie została doprowadzona do końca. Koło się zamknęło. Powstało dziesięć książek, tak jak zaplanowałem w 1984 roku, kiedy zacząłem realizację projektu.

Poza tym, że każda z książek ma swoją własną, samodzielną intrygę, która zostaje rozwiązana, moim zamiarem od samego początku było stworzenie czegoś na kształt wstęgi Mobiusa, która poprowadziłaby czytelnika przez całą serię od tomu do tomu, czegoś dodatkowego, nad czym czytelnik mógłby się zastanawiać. Kim w ogóle był Fredric Drum? Czy to Skarp*hedin Olsen naprawdę był Fredrikiem Drum? A może Drum był własnym pradziadkiem? Jak Skarphedin mógł zastrzelić Fredrica Drum? Dlaczego Fredric Drum znów się pojawił? Dlaczego Skarphedin ma trzy ślady przypominające rany postrzałowe? Co z aspektem czasu? W jakim czasie się znajdujemy? I tak dalej...

Oczywiście kierował mną dość złośliwy zamysł. Chciałem pokazać, że fenomen czasu i tego, co nazywamy świadomością, odbieraniem siebie, wciąż nie może być naukowo wyjaśniony. Czas i świadomość to cały czas zagadki bez odpowiedzi.

Bystry czytelnik zrozumie zatem, iż telefony komórkowe i Internet nie miały racji bytu w tej dziesiątej i ostatniej książce serii.

Naturalne dla mnie było umieszczenie akcji tej książki o Fredricu Drum w lesie deszczowym. Problematyka ochrony lasów deszczowych angażuje mnie od dwudziestu lat. Przestępstwa, okrucieństwo i tragedie są konsekwencjami plądrowania najważniejszej biosfery naszej planety. Ludzie walczący zarówno przeciwko niszczeniu lasów, jak i zagładzie autochtonicznej ludności, padają ofiarą niezliczonych morderstw i egzekucji w Amazonii, Afryce i Azji. Od zamordowania Chico Men*deza, obrońcy lasów deszczowych, przez latyfundystów w Amazonii pod koniec lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, nastąpiła eskalacja fali okrucieństwa. Najbardziej dotknęło to oczywiście autochtoniczną ludność tych terenów, całe plemiona i grupy zostały unicestwione. Rzeczywistość jest o wiele straszniejsza i bardziej brutalna, niż można to opisać w powieści.

Sara Enghall ma więc absolutną rację, gdy mówi: "Chodzi o największą katastrofę ekologiczną na świecie. Naszą technologię da się rozwinąć tak, byśmy potrafili zwalczyć dziurę ozonową. Możemy walczyć z zanieczyszczeniem CO2. Tak, jeśli zechcemy, możemy obsadzić Europę nowymi roślinami, krzewami i drzewami tak, jak to było ponad tysiąc lat temu, ale zniszczonego lasu deszczowego nigdy nie uda się odtworzyć. To coś wyjątkowego. Ukształtowanie się takiego bogactwa gatunków, jakie występuje w lesie deszczowym, trwało miliony lat".

Koniec

Czy to rozumiemy? Wygląda na to, że nie.

Wreszcie muszę przyznać, iż w ostatnim rozdziale tej książki pozwoliłem sobie na małe przekłamanie. Fredric Drum i Skarphedin Olsen udają się w podróż w głąb Irianjaya, do plemion zwanych Korowai*Batu i Sen*gaup. Podróż odbywa się względnie szybko i bez większych problemów.

Jeśli taka ekspedycja miałaby zostać realistycznie opisana, to po pierwsze, trwałaby wiele tygodni, a po drugie, spotkanie z tymi prymitywnymi plemionami z pewnością sprawiłoby panom Drum i Olsen wiele kłopotów. To mogłaby być nowa powieść, a tym samym nie byłoby to zgodne z moimi intencjami. Liczę tutaj na wyrozumiałość czytelnika.

Ta książka dedykowana jest norweskiemu Funduszowi na rzecz Ochrony Lasów Deszczowych, który zrobił i robi bardzo dużo w sprawie lasów deszczowych na świecie i zamieszkującej je ludności.

Lier, kwiecień 2006 Gert Nygardshaugw

Spis treści

Parę wiosennych dni później.....7

1. Tego ranka żadne ptaki nie podrywają się do lotu z koron drzew, jest mowa o cenie pewnego rodzaju drewna, a śledczemu wydaje się, że sprawa jest już prawie rozwiązana.....19

2. Fredric Drum bez większego powodzenia częstuje dojrzałym serem stil*ton, tajemnicze znaki znikają bez śladu, a palec wskazujący Skarphedina Olsena wędruje po mapie.....35

3. Szefewi policji dokuczają bolący ząb, dzika świnia traci prawe oko, a Fre*drica Drum zdumiewa zapięcie pewnej koszuli.....47

4. Jest mowa o możliwości odznaczenia medalem, Fredric Drum wie, że zagadki Wyspy Wielkanocnej nie zostały rozwiązane, import bibelotów to wątpliwy biznes i pojawiają się mało atrakcyjne spodnie.....	65
5. Skarphedin Olsen dokonuje podsumowania, Fredric łapie się na podsłuchiwanie przy drzwiach, a szef policji udaje się do miejscowej kostnicy.....	84
6. Znaki rongo mogą znaczyć brat lub wróg, pojawia się podkładka pod piwo, a Fredric Drum i Skarphedin Olsen słyszą nagle głos Pavarottiego.....	99
7. Zastanawiają się, dlaczego to coś zielonego migocze, pani ambasador zostaje zbudzona, Fredric Drum odrzuca dobrą myśl, a detektyw wątpi, czy sny mogą mieć zapachy.....	114
8. Człowiek lasów deszczowych może mieć przed sobą przyszłość, pewnej osobie wydaje się, że rozwiązała sprawę, a Fredricowi ledwie udaje się uniknąć kolizji w drodze z poczty.....	129
9. Zniszczonego lasu deszczowego nigdy nie da się odtworzyć. Olsen myśli o drapieżnych ptakach z rodziny jastrzębiowatych, a Fredric zabiera mały kamyk.....	147
10. Detektyw rozbiera się do naga, coś pod ziemią może być naprawdę wiele warte, a Fredric Drum zadaje nierozsądne pytanie.....	164
11. Ktoś oddaje mocz, dwaj bracia zostają odkryci, kaseta mówi, a detektyw twierdzi, iż autochtoni odeszli od starych metod zabijania.....	179
12. W plecaku są też baterie do latarki. Fredric Drum spotyka bardzo starą kobietę, a Skarphedin Olsen chce tylko zerknąć.....	196
Wiosna i początek lata.....	212
Posłowie.....	223